

# CLIVE CUSSLER



PAUL KEMPRECOS



# ZEGLARZ

**Clive Cussler**

Paul Kemprecos

**Żeglarz**

Przekład Maciej Pintara



# Prolog

*Odległy ląd, około roku 900 p.n.e.*

Potwór wyłonił się z porannej mgły w perłowym świetle brzasku. Ogromny łeb z długim pyskiem i rozdętymi nozdrzami zbliżał się do brzegu, gdzie klęczał myśliwy z cięciwą łuku napiętą przy policzku i wzrokiem utkwionym w jelenia pasącego się na moczarach. Gdy do uszu łowcy dotarł plusk, mężczyzna zerknął w stronę wody. Zdjęty strachem, cisnął łuk i z krzykiem rzucił się do ucieczki. Spłoszony jeleni pomknął w las i zniknął wśród drzew.

Mgła rozstała się, odsłaniając wielki czerwonobrazowy żaglowiec, którego drewniany sześćdziesięciometrowy kadłub oblepiały wodorosty. Na wysokim dziobie, za wyrzeźbionym łbem parskającego ogiera, stał mężczyzna i zaglądał do drewnianej szkatułki, szukając w niej czegoś, ale gdy pojawił się widmowy brzeg, podniósł głowę i wskazał w lewo.

Żeglarze przy dwóch wiosłach sterujących skierowali statek na nowy kurs wzdłuż gęsto zalesionego wybrzeża, a załoga z wprawą przestawiła kwadratowy żagiel w pionowe czerwono-białe pasy.

Kapitan nie przekroczył jeszcze trzydziestki, lecz powaga i surowość malujące się na jego twarzy dodawały mu lat. Wydatne usta i kwadratową szczękę okalała gęsta czarna broda, grzbiet nosa był lekko skrzywiony, cera ogorzała od morskiego wiatru i słońca przypominała barwę mahoń, a przepastne piwne oczy miały tak ciemny kolor, że źrenice stały się prawie niewidoczne.

Dowódcy statków nosili purpurowe szaty, barwione cenną wydzieliną ślimaka *Murex trunculus*, ale kapitan wolał chodzić ubrany tylko w bawełniany kilt jak zwykły żeglarz. Czarne, falujące, krótko przycięte włosy przysłaniała miękka, stożkowa czapka.

Słony zapach morza zniknął, gdy statek wszedł do szerokiej zatoki. Kapitan wciągnął do płuc powietrze, pachnące kwiatami i zielenią, rozkoszując się myślą o wypiciu słodkiej wody, kiedy tylko postawi stopę na suchym lądzie.

Rejs trwał długo, ale przebiegł bez przygód, dzięki starannie dobranej fenickiej załodze, składającej się z doświadczonych żeglarzy, do której należeli również Egipcjanie, Libijczycy oraz mieszkańcy innych krajów śródziemnomorskich. Bezpieczeństwa strzegł oddział scytyjskich piechurów.

Fenicjanie byli najlepszymi żeglarzami na świecie, odważnymi podróżnikami i kupcami. Ich morskie imperium rozciągało się na całe Morze Śródziemne, poza Słupy Heraklesa i Morze Czerwone. Statki Greków, podobnie jak Egipcjan, trzymające się wybrzeży, rzucały kotwice o zachodzie słońca, podczas gdy nieustraszeni Fenicjanie żeglowali dniem i nocą, nie widząc lądu. Przy sprzyjającym wietrze w rufę ich duże statki handlowe potrafiły pokonywać ponad sto mil morskich na dobę.

Kapitan nie był Fenicjaninem, ale znał marynarskie rzemiosło jak mało kto i w umiejętności żeglowania nie miał równych sobie, co sprawiło, że szybko zyskał szacunek załogi.

Żaglowiec „Tarsisz”, budowany specjalnie z myślą o dalekich rejsach handlowych po pełnym morzu, w przeciwieństwie do bardziej przysadzistych statków, przeznaczonych do krótkich podróży, miał długie i proste linie. Pokład oraz wręgi wyciosano z twardych cedrów libańskich, gruby maszt

był niski i mocny, żagiel kwadratowy z egipskiego płótna, wzmocniony skórzanymi pasami, najlepiej nadawał się do pełnomorskich rejsów. Wygięty kil, wysoki dziób i rufa upodobniały go do statków wikingów, budowanych dopiero kilka wieków później.

Tajemnica panowania Fenicjan na morzu kryła się nie tylko w technice. Słynna była doskonała organizacja na pokładach ich statków, gdzie każdy członek załogi znał swoje miejsce i pracował równie sprawnie jak tryb w dobrze naoliwionej maszynie. Za takielunek odpowiadał pomocnik kapitana, obserwator, który stale sprawdzał każdą część osprzętu, by mieć pewność, że nie zawiedzie w obliczu niebezpieczeństwa.

Kapitan poczuł, jak o jego bosą stopę ociera się coś miękkiego. Pozwolił sobie, co zdarzało się rzadko, na uśmiech, włożył szkatułkę do skrzyni, schylił się i podniósł kota. Fenickie koty pochodziły z Egiptu, gdzie były czczone jako bóstwa. Na fenickich statkach, na których nie brakowało szczurów, okazywały się bardzo przydatne. Kapitan pogłaskał kilka razy pasiaste, pomarańczowo-żółte zwierzę, potem delikatnie postawił mruczącego kota na pokładzie. Statek zbliżał się do szerokiego ujścia rzeki.

- Opuścić żagiel! - zawołał kapitan do obserwatora. - Do wiosel!

Obserwator przekazał pierwszy rozkaz dwóm marynarzom, którzy wspięli się błyskawicznie po maszcie na reję; dwaj inni rzucili takielarzom liny, przymocowane do dolnych rogów żagla, by tamci mogli zrefować duży płócienny kwadrat.

Wioślarze o brązowych ramionach czekali już, siedząc w dwóch rzędach po dwudziestu po obu stronach okrętu. W przeciwieństwie do niewolników na wielu statkach byli zawodowcami i napędzali żaglowiec szybkimi, precyzyjnymi ruchami.

Sternicy wprowadzili statek w ujście rzeki. Choć poziom wody podnosiły wiosenne roztopy, płytcizny i bystrza uniemożliwiały podróż żaglowcem w głąb lądu.

Wzdłuż relingu stali scytyjscy najemnicy, trzymający broń w gotowości. Kapitan, który obserwował z dziobu brzeg rzeki, zobaczywszy trawiasty cypel, rozkazał wioślarzom zatrzymać statek pod prąd i załoga rzuciła kotwicę.

Muskularny mężczyzna z wystającymi kośćmi policzkowymi i twarzą zniszczoną jak skóra na starym siodle podszedł do kapitana. Tarsa dowodził scytyjskimi najemnikami, ochraniającymi statek i jego ładunek. Spokrewnieni z Mongołami Scytowie, cieszący się sławą doskonałych jeźdźców konnych i łuczników, mieli też osobliwe zwyczaje.

W czasie walki pili krew pokonanych wrogów, a z ich skalpów robili serwetki. Tarsa oraz jego ludzie malowali ciała na czerwono i niebiesko, myli się w łaźni parowej, nosili skórzaną spodniczkę i spodnie, wpuszczone w miękkie, skórzaną buty. Nawet najbiedniejsi Scytowie upiększali swoje stroje złotymi ozdobami. Tarsa miał na szyi wisiołek w kształcie konia, który dostał od kapitana.

- Przeprowadzę się ze zwiadowcami na brzeg - powiedział.

- Zabiorę się z wami. - Kapitan skinął głową.

Na kamiennej twarzy Scyty pojawił się uśmiech. Początkowo nie bardzo wierzył, że młodemu kapitanowi uda się utrzymać statek na wodzie, ale obserwując, jak dowodzi on wielkim żaglowcem, przekonał się, że za arystokratycznymi rysami i łagodnym głosem młodego mężczyzny kryje się człowiek z żelaza.

Do burty przyciągnięto szeroką łódź, którą holowano za statkiem, i wsiedli do niej Tarsa, trzech jego najbardziej walecznych scytyjskich najemników, kapitan oraz dwóch silnych wioślarzy.

Kilka minut później łódź ze zgrzytem uderzyła w cypel i kapitan przywiązał ją do pachołka,

prawie niewidocznego wśród chwastów, porastających skalisty brzeg.

Tarsa kazał jednemu ze swoich ludzi zostać z wioślarzami, a sam wraz z kapitanem i dwoma najemnikami ruszyli zarośniętą kamienistą drogą w głąb łądu. Po tygodniach spędzonych na rozkołysanym pokładzie szli najpierw niepewnie, ale szybko odzyskali równy krok. Kilkaset metrów od rzeki natknęli się na zachwaszczony plac, otoczony z czterech stron walącymi się budynkami; w otwartych drzwiach i zaułkach rumowiska rosła wysoka trawa.

Kapitan pamiętał, jak kiedyś wyglądało to miejsce. Plac tętnił życiem, setki robotników uwijały się w magazynach.

Grupa zwiadowcza przeszukała metodycznie każdą budowlę i kapitan, zadowolony, że osada jest opuszczona, poprowadził swoich towarzyszy z powrotem nad rzekę. Doszedłszy do końca drogi, dał znak ręką. Kiedy załoga podniosła kotwicę i wioślarze skierowali statek do brzegu, kapitan odwrócił się do scytyjskiego dowódcy.

- Czy twoi ludzie są gotowi wykonać zadanie, które nas czeka?

- Moi ludzie są gotowi na wszystko - parsknął Scyta.

Odpowiedź nie zaskoczyła kapitana. Podczas długiego rejsu wiele godzin spędził, rozmawiając z Tarsą, wypyując Scytę o jego ojczyznę i naród, pragnął bowiem wiedzieć jak najwięcej o ludziach różnych ras. Poza tym lubił twardego, starego wojownika, który hołdował przedziwnym zwyczajom.

Przycumowano statek i załoga opuściła szeroki trap. Na pokładzie zadudniły kopyta dwóch koni pociągowych, wyprowadzanych ze stajni pod rufą po pochylni. Zwierzęta zachowywały się nerwowo na otwartej przestrzeni, ale Scytowie szybko je uspokoili łagodnymi słowami i garściami ziarna nasączonego miodem.

Kapitan, zarządziwszy wyprawę po słodką wodę oraz żywność, zszedł do ładowni i stanął przy skrzyni z mocnego cedru libańskiego, która zdawała się lśnić w świetle wpadającym przez luk. Kazał załodze bardzo ostrożnie wyciągnąć ją na pokład.

Przymocowali do niej grube liny, a gdy zaczęli je za hak bomu przeładunkowego, aż zaskrzypiał pod ciężarem. Uniesiono ją wolno z ładowni, postawiono na pokładzie, odczepiono hak, po czym wsunięto wiosła w otwory w jej bokach i końcach, żeby można było przenieść. Żeglarze dźwignęli skrzynię, położyli sobie wiosła na ramionach i zeszli po trapie na brzeg.

Ładunek został umieszczony na niskim wozie mającym mocne drewniane koła z żelaznymi obręczami, do którego zaprzężono konie. Piesi żołnierze, zarzuciwszy na ramiona tarcze oraz łuki, dzierżąc włócznie w rękach, sformowali ochronę po obu stronach. Orszak ruszył naprzód z klekotem broni, prowadzony przez kapitana i scytyjskiego dowódcę.

Z wyludnionej osady wyszli na drogę, wyciętą w gęstym lesie wzdłuż rzeki. Trakt zarosła trawa, ale mimo to mogli się szybko posuwać między drzewami. Zatrzymywali się co noc i rozbijali obóz. Trzeciego dnia rano dotarli do doliny między dwiema niskimi górami.

Kapitan zatrzymał kolumnę i wyjął z plecaka szkatułkę, do której zaglądał na statku. Kiedy żołnierze odpoczywali i zajmowali się końmi, wlał do szkatułki trochę wody i zajrzał do środka. Spojrzał na zwój welinu w sakiewce z tkaniny, potem ruszył dalej z niezachwianą pewnością wędrownego ptaka.

Przemaszerowali przez dolinę, dochodząc do pola, gdzie w wysokiej trawie leżały resztki okrągłych kamieni młyńskich. Widok ich przywiódł kapitanowi na myśl spoconych mężczyzn, obracających nimi, robotnicy wsypywali do młynów kosze odłamków skalnych, mełli je na proch i nosili do palenisk, w których miechy podsycaly ogień. Mężczyźni przechylali gliniane tygle

i wlewali lśniąca żółta ciecz do form w kształcie cegły.

Idąc dalej, dotarli do dwóch kamiennych posągów. Wielkością dwukrotnie przewyższały człowieka i od szyi w dół przypominały ludzkie postacie. Wyrzeźbiono je po to, by odstraszały tubylców. Upiorne oblicza łączyły w sobie najszkaradniejsze rysy ludzkie i pyski zwierzęce, jakby rzeźbiarz zamierzał stworzyć najohydniejszą i najbardziej przerażającą twarz, jaką można sobie wyobrazić. Nawet twardzi najemnicy czuli się nieswojo. Nerwowo przekładali włócznie z jednej ręki do drugiej i rzucali niespokojne spojrzenia na groźnie wyglądające posągi.

Kapitan zerknął do magicznej szkatułki i na welin, po czym skierował się w stronę mrocznego lasu, a reszta podążyła za nim. Marsz utrudniały grube korzenie, ale w niespełna godzinę pokonali leśne ostępy i zbliżyli się do gładkiej ściany niskiej skały u podnóża góry. Drogę zagradzały dwa posągi, takie same jak te widziane wcześniej.

Używając ich jako odniesienia, kapitan wyznaczył metodą triangulacji punkt na skalnej ścianie. Przesuwając ręką po pionowej powierzchni, natrafił palcami na ledwo widoczne uchwyty i wspiał się po nich.

Niecałe cztery metry nad ziemią odwrócił się i usiadł w skalnym zagłębieniu. Wsunął włócznię w szczelinę jako dźwignię. Rzucono mu linę, której koniec umocował do włóczni, drugi żołnierze przywiązali do konia. Kiedy koń pociągnął, a kapitan popchnął stopami lekkie wypiętrzenie, od skały oddzieliła się kamienna płyta trzydziestocentymetrowej grubości, spadła z łoskotem na ziemię, odsłaniając otwór szeroki na prawie dwa metry i wysoki na trzy.

Kapitan zszedł ze skalnej ściany, rozpałił ognisko w kępie suchej trawy i przytknął do płomieni pęk chrustu. Uniósł wysoko pochodnię i wszedł do otworu. Scytowie chwycili uprząż i pociągnęli wóz tunelem o gładkich ścianach. Po pokonaniu piętnastu metrów znaleźli się w grocie.

Kiedy kapitan zapalił kilka lamp olejnych na ścianie, w kręgu światła ukazała się duża kolistą galeria z odchodzącymi od niej korytarzami. Na środku pomieszczenia stał okrągły kamienny postument, mający prawie metr wysokości i dwa razy tyle średnicy, na którym kapitan kazał Scytom postawić skrzynię. Ci, wykonawszy polecenie, zdjęli wieko, po czym cofnęli się, a kapitan sięgnął do środka i otworzył mniejszą, kunsztowną skrzynkę z ciemnego drewna, zdobioną bogato złotem. Serce mu waliło, gdy usuwał warstwy błękitnej tkaniny. Patrzył w głąb jak urzeczony, jego twarz oświetlał blask bijący z wnętrza. Po chwili ułożył starannie niebieski materiał i zamknął skrzynkę, a ludzie Tarsy umocowali wieko.

- Wypełniliśmy naszą misję. - Słowa kapitana odbiły się echem w grocie.

Kiedy wyszli na zewnątrz, poczuł na spoconej twarzy powiew świeżego, chłodnego powietrza, które oczyszczało płuca z pyłu. Kazał Scytom zasłonić otwór kamienną płytą i przyjrzał się uważnie skalnej ścianie. Nikt by się nie domyślił, że jest w niej ukryte wejście.

Kolumna ruszyła w drogę powrotną tą samą trasą, którą przybyła. Bez ciężkiego ładunku na wozie pomaszerowali rażno prosto do rzeki. Na pochyłym brzegu stała drewniana chata, z dużymi drzwiami, za którymi zniknął kapitan, a kiedy wrócił, wyglądał na zadowolonego. Poleciał ludziom Tarsy przygotować smaczny posiłek i dobrze się wyspać.

Pobudka była o świcie. Konie zaciągnęły nad rzekę drewnianą, odkrytą pół łódź, pół tratwę, która miała piętnaście metrów długości, prawie cztery szerokości i bardzo małe zanurzenie. Do obsługi steru służył długi rumpel.

Żołnierze wprowadzili na pokład konie, zepchnięto łódź na wodę i skierowano drągami w prąd rzeki. Podróż do ujścia okazała się trudniejsza niż rejs przez morze, napotykali bowiem płycizny,

bystrza, wiry, skały, a nawet dryfujące kłody. Gdy wypłynęli na zatokę i zobaczyli przycumowany statek, Scytowie zaczęli wiwatować.

Żałoga powitała ich i pomogła wciągnąć tratwę na brzeg. Podczas gdy kapitan robił wpis w dzienniku okrętowym, marynarze świętowali do późnej nocy. Ale byli na nogach długo przed świtem i odcumowali żaglowiec, kiedy zza drzew wyrzało słońce. Statek oddalał się szybko od lądu. Wiatr sprzyjał, wioślarze nie szczydzili sił, tak jak wszyscy na pokładzie; śpieszyli się do domu.

Dobry nastrój zburzyło nieoczekiwane zdarzenie. Gdy żaglowiec mijał jakąś wyspę, drogę zagroził mu inny statek.

Kapitan po wydaniu rozkazu, by unieść wiosła i opuścić żagiel, wspiął się na wielki dzban z wodą na dziobie, chcąc przyjrzeć się dokładnie statkowi naprzeciwko. Nie zauważył tam żywej duszy, ale pokład zasłaniało pionowe wiklinowe ogrodzenie do ochrony ładunku, które biegło wzdłuż górnej klepki poszycia, najwyższej deski kadłuba.

Widział przed sobą swój statek.

Zgrabny i praktyczny żaglowiec wyglądał tak jak „Tarszisz”. Nad długim, prostym pokładem górowała stewa dziobowa w kształcie końskiego łba, wygięta rufa wznosiła się wysoko nad wodę. Bystre oko kapitana dostrzegło jednak różnicę. Żaglowiec handlowy miał wyposażenie okrętu wojennego.

Wiązania dziobu były z brązu, nie z drewna, a zatem taki żaglowiec siłą uderzenia zmiażdżyłby najmocniejszy statek. Masywne wiosła, przyciśnięte do kadłuba, mogły służyć jako tarany.

- Wysyłamy nań zbrojnych? - spytał Tarsa.

Kapitan zastanowił się. Fenicki okręt nie powinien stanowić zagrożenia; ale z jakiego powodu tu się znalazł? Chociaż nie wyglądało, żeby miał zdecydowanie wrogie zamiary, nie sprawiał też wrażenia przyjaznego.

- Nie - odrzekł. - Zaczekamy.

Minęło pięć minut. Potem dziesięć. Po dwudziestu minutach zobaczyli postacie, schodzące po drabince z okrętu wojennego do łodzi, która podpłynęła na odległość zasięgu głosu. Przy wiosłach siedziało czterech mężczyzn, piąty stał na szeroko rozstawionych nogach na dziobie. Purpurowa peleryna wydymała się za nim jak luźny żagiel.

- Witaj, bracie! - zawołał przez wodę, przyłożywszy dłonie do ust.

- Witaj! Skąd się tu wzięłeś?! - odkrzyknął kapitan zaskoczony.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz udawanego niedowierzania. Wskazał okręt wojenny.

- Przypłynąłem tu tak jak ty, Meneliku, na okręcie „Tarszisz”.

- A po cóż to, Melkarcie?

- By znów połączyć siły, drogi bracie.

Twarz kapitana nie zdradzała żadnych emocji, ale w jego ciemnych oczach błysnął gniew.

- Wiedziałeś o mojej misji?

- Jesteśmy rodziną, czyż nie? Między krewnymi nie ma sekretów.

- Więc nie ukrywaj przede mną swoich zamiarów.

- Wyjawię ci je, oczywiście. Przybądź na pokład mojego okrętu, to porozmawiamy.

- Mogę cię ugościć na moim statku.

Mężczyzna w purpurze wybuchnął śmiechem.

- Najwyraźniej nie ufamy sobie jak bracia.



- Może dlatego, że jesteśmy tylko przyrodni braćmi.

- Ale w naszych żyłach płynie ta sama krew. Nie traćmy czasu, spotkajmy się tam i pomówmy poważnie. - Melkart wskazał na wyspę.

Kapitan przyjrzał się jej uważnie. W przeciwieństwie do większej części gęsto zadrzewionego brzegu, piaszczysta plaża nadrzeczna była płaska na długości kilkudziesięciu metrów, potem przechodziła w niskie, trawiaste wzniesienie.

- Zgoda!

Kazał Tarsie wyznaczyć żołnierzy do wyprawy na ląd. Dowódca wybrał czterech ze swoich najbardziej zaprawionych w boju ludzi i kilka minut później łódź przybiła do wyspy. Scytowie zostali przy łodzi, kapitan ruszył w górę spadzistej plaży.

Przyrodni brat czekał trzydzieści metrów od brzegu z rękami skrzyżowanymi na piersi, ubrany w fenicki strój paradny; szyję, ramiona i palce zdobiły złote precjoza.

Obaj byli tego samego wzrostu i podobni do siebie. Mieli wydatne nosy, ciemną cerę, falujące włosy i brody. Ale królewska postawa kapitana wyrażała władczość i siłę, natomiast sposób bycia brata świadczył raczej o brutalności i arogancji. Ciemnym oczom Melkarta brakowało głębi i łagodności, wystający podbródek wskazywał bardziej na upór niż determinację.

- Wspaniale znów cię zobaczyć po tylu latach, drogi bracie - przemówił Melkart z chytrym uśmiechem.

Menelik zmierzył go wzrokiem.

- Co tu robisz? - zapytał ostro.

- Być może nasz ojciec uznał, że podczas twojej misji przyda ci się pomoc.

- Nigdy by ci nie zaufał.

- Ale najwyraźniej zaufał tobie, a ty jesteś złodziejem.

Kapitan poczerwieniał po tej zniewadze, ale pohamował gniew.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie - wycedził.

Brat wzruszył ramionami.

- Dowiedziałem się, że wyruszyłeś w podróż. Próbowałem cię dogonić, ale twój statek okazał się zbyt szybki i zostaliśmy z tyłu.

- Dlaczego twój statek przerobiono na okręt wojenny?

- To niebezpieczne wody.

- Przypłynąłeś tu wbrew woli naszego ojca. Nie życzyłby sobie tego.

- Nasz ojciec to kobieciarz, który przespał się z tą dziwką twoją matką - rzucił Melkart.

- A z tą dziwką, twoją matką, nie?

Melkart odrzucił do tyłu połę purpurowej peleryny, sięgając do rękojeści miecza, ale cofnął rękę.

- Jesteśmy głupi, że klócimy się o sprawy rodzinne - załagodził. - Wracajmy na mój okręt. Napijemy się i porozmawiamy.

- Nie ma o czym. Zawróć swój okręt. Popłyniemy za tobą. Menelik ruszył w kierunku rzeki, nasłuchując kroków za plecami, choć nie wierzył, żeby brat znalazł w sobie dość odwagi, by go zaatakować. Ale usłyszał krzyk Tarsy:

- Kapitanie, za tobą!

Scyta zobaczył około tuzina postaci, które nagle wyrosły na trawiastym wzniesieniu za plażą.

Kapitan się obrócił, kiedy półnadzy mężczyźni o wytatuowanych torsach i ramionach puścili się pędem w jego stronę.

Trakowie!

Kolejna waleczna rasa, władająca dobrze mieczem i oszczepem, którą wynajmowała fenicka flota wojenna. Gdy Trakowie dobiegli do Melkarta, przynaglił ich:

- Zabijcie go!

Menelik dobył krótkiego miecza, Trakowie otoczyli go, wrzeszcząc.

Stawił czoło atakującym, ale z tyłu był odsłonięty. Napastnik, który się zamachnął, by rzucić oszczepem, zamarł nagle i wypuścił broń z ręki. Chwycił pierzastą strzałę, sterczącą z piersi, chcąc ją wyszarpnąć, ale zakaszłał krwią, osunął się na kolana i upadł twarzą w piasek.

Tarsa spokojnie znów napiął cięciwę łuku. Bez wysiłku, jakby po prostu brał oddech, uśmiercił drugiego Traka. Reszta szybko się rozproszyła.

Łucznicy Tarsy wypuścili zabójczy grad strzał, które dosięgały pleców uciekających Traków.

Kapitan wydał głośny okrzyk wojenny i, zadając potężny cios mieczem, skróciłby Melkarta o głowę, gdyby ten rozpaczliwie nie sparował cięcia. Zaplątał się jednak w pelerynę, potknął i runął na ziemię.

Przetoczył się na plecy i odrzucił miecz.

- Nie zabijaj mnie, bracie.

Menelik zawahał się. Melkart uosabiał samo zło, ale łączyły ich więzy krwi.

Rozległ się znów ostrzegawczy krzyk Tarsy.

Na wzniesieniu zaroilo się od Traków, przybywały posiłki.

Kapitan wycofał się i popędził do łodzi, przeskakując nad ciałami martwych przeciwników.

Scytowie wypuścili z łuków ostatnie strzały. Nie odparli ataku Traków, ale chwilowo go osłabili.

Tarsa odrzucił na bok łuk, chwycił kapitana potężnymi rękami i dźwignął do łodzi. Wioślarze szybko odплыnęli poza zasięg oszczepów, które lądowały w wodzie za nimi.

Kapitan wspiął się na pokład statku, podczas gdy obserwator rozdawał już włócznie i miecze przechowywane w zbrojowni.

Łódź Melkarta z ostatnimi Trakami odbiła od plaży. Wiklinowe ogrodzenie na okręcie wojennym opadło i odsłoniło co najmniej setkę ludzi na podwyższonym pomoście bojowym.

W słońcu lśniły groty ich włócznie, tarcze zawieszane na barierze tworzyły mur obronny. Kapitan zobaczył smugi dymu, unoszące się z pokładu, i kazał rozmieścić na statku dzbany z wodą.

Z okrętu poszybowały pod niebo zapalone, dymiące strzały, zanurzone w płonącej smole, i opadły w dół ognistym deszczem.

Żadna nie trafiła nikogo z załogi, ale niektóre utkwily w burtach i pokładzie. Płomienie ugaszono wodą z dzbanów, lecz nadleciała następna chmara zapalonych strzał i część wylądowała na zwiniętym żaglu. Marynarze rozciągnęli płótno na pokładzie i zaczęli zdeptywać ogień, nie zważając na żar parzący stopy.

Kapitan rozkazał podnieść kotwicę. Scytowie wypuścili z łuków zabójczą serię dla osłony, wioślarze cofnęli statek poza zasięg rażących ogniem strzał, ale niezgrabny manewr spowodował, że żaglowiec ustawił się burtą do przeciwnika.

Pożar żagla rozprzestrzenił się i kapitan wiedział, że los statku jest przesądzony. Do budowy żaglowców używano drewna, konopi, smoły i tkanin, zatem w ciągu kilku minut statek mógł się zamienić w ogromną płonąca pochodnię.

Okręt wojenny przygotowywał się do bezpośredniego ataku.

Za pomocą wielkich wiosł na obu jego końcach odwracano go szybko o sto osiemdziesiąt stopni, by użyć tarana na dziobie. Uderzenie przedziurawiłoby płonący statek. Kiedy zacząłby tonąć, posypałyby się na niego zapalone strzały. Z dziobu okrętu spuszczone by na kijach granaty wypełnione palącym się olejem.

Kapitan kazał sternikom obrócić statek.

- Cała naprzód! - krzyknął do wioślarzy, gdy dostali się w prąd morski.

Żaglowiec ruszył jak leniwy wieloryb, potem nabrał prędkości. Choć statek kapitana nie miał na dziobie metalowej osłony, konstrukcja z twardego cedru libańskiego mogła zadać przeciwnikowi zabójczy cios.

Krzyki marynarzy zagłuszył na moment tętent kopyt; konie, które były w stajni na dole, uwolniły się i wypadły po pochylni na pokład. Scytowie próbowali zagonić zwierzęta z powrotem, ale te stawały dęba, przewracały oczami, bardziej przerażone pożarem niż ludzkim wrzaskiem.

Statek dzieliły od okrętu zaledwie metry i kapitan dostrzegł, mimo że dym utrudniał widoczność, postać w purpurze; Melkart przebiegał z jednego końca pokładu na drugi, popędzając załogę.

Gdy płonący statek uderzył w okręt wojenny, kapitan stracił równowagę i upadł na kolana, ale szybko wstał. Wyrzeźbiona końska głowa przechyliła się, statek odbił się i zaczął ustawiać równoległe do okrętu. Łucznicy przeciwnika mogli za chwilę wystrzelać załogę, a wojownicy z włóczniami wdrzeć się na pokład, by wykończyć niedobitki.

Na statku panował chaos, marynarze biegali po płonącym pokładzie, uciekając przed ogniem i końmi.

Oba żaglowce znów się zderzyły.

Kiedy podmuch wiatru rozwiął na chwilę dym, Menelik zobaczył szeroki uśmiech na twarzy brata, który patrzył na niego z odległości zaledwie kilku metrów.

Pobudzony do działania kapitan ruszył na główny pokład, nie zważając na buchające kłęby dymu, by przywrócić dyscyplinę wśród spanikowanej załogi.

Pędzący koń stanął przed nim dęba. Kapitan zdążył odskoczyć na bok i nagle wpadł na pewien pomysł: chwycił z pokładu strzęp płonącego żagla i zamierzył się nim na konia. Krzyknął do Scytów, żeby zrobili to samo. Zwierzę znów stanęło dęba, młócąc powietrze kopytami.

Żeglarze sformowali nierówny szereg i wymachując kawałkami płonącego płótna lub skórzanymi koszulami, zagnali konie do relingu.

Wytatuowani Trakowie z żądzą mordy w oczach stali przy burcie, gdy konie na wpół przeskoczyły, na wpół wdrapały się na okręt wojenny, przebiły przez linię wojowników i galopowały po pokładzie, tratując wszystko na drodze.

Kapitan pokonał reling, a Scytowie podążyli za nim. Jednym pchnięciem miecza zabił pierwszego napotkanego przeciwnika, inni pierzchali w popłochu. Gdy na okręt wdarła się cała załoga statku. Trakowie cofali się bezładnie przed wściekłym atakiem marynarzy.

Kapitan z twarzą czarną od sadzy, nie bacząc na krwawiące rany zadane mieczem i włócznią, parł nieustępliwie w kierunku Melkarta, który w obliczu klęski próbował znaleźć bezpieczną kryjówkę na podwyższonej rufie okrętu. Menelik wspiął się tam po krótkiej drabinie.

Tym razem nie zawahał się przed zadaniem przyrodniemu bratu śmiertelnego ciosu.

Ale kiedy miecz zagłębił się w ciele Melkarta, poczuł uderzenie czymś twardym w czaszkę, osunął się na pokład i ogarnęła go ciemność.

Później, gdy na powierzchnię wypłynęło to, co pozostało po bitwie, milczący świadek, który ukrywał się w trawie, ruszył ostrożnie wzdłuż plaży niedaleko miejsca, gdzie po raz pierwszy zobaczył potwora z końskim łbem.

Wokół panowała cisza, krzyki bólu i szczęk broni umilkły. Słuchać było tylko szmer wody przy brzegu rzeki zasłanym ciałami. Mężczyzna szedł od trupa do trupa, ograbiając zwłoki, ale złote ozdoby pozostawiał, zabierał bardziej przydatne rzeczy.

Schylił się po kolejny łup, gdy usłyszał żałosne miauczenie. Jakieś mokre stworzenie o zmierzwionej pomarańczowo-żółtej sierści trzymało się pazurami zwęglonej deski. Myśliwy, który jeszcze nigdy nie widział kota, zastanawiał się przez chwilę, czy go nie zabić. Ale nie zrobił tego i zawinął zwierzę w kawałek miękkiej skóry.

Kiedy nie mógł już udźwignąć więcej łupów, odszedł, zostawiając ślady swoich stóp na piasku.

## Biały Dom, rok 1809

W rezydencji głowy państwa przy Pennsylvania Avenue było ciemno, z wyjątkiem gabinetu, gdzie trzaskający w kominku ogień nie dopuszczał zimowego chłodu. Żółty chybotliwy blask oświetlał profil długonosego mężczyzny, który siedział za biurkiem i nucił przy pracy.

Thomas Jefferson zerknął na zegar ścienny. Bystre, przenikliwe spojrzenie niebieskoszarych oczu często onieśmiało ludzi podczas pierwszego spotkania. Druga nad ranem; zwykle kładł się spać o dziesiątej. Pracował w gabinecie od szóstej wieczorem, a wstał o świcie.

Po południu prezydent objechał Waszyngton na swoim ulubionym wierzchowcu Orle i miał jeszcze na sobie strój dojazdy konnej: wygodną, znoszoną brązową marynarkę, czerwoną kamizelkę, sztruksowe spodnie i wełniane skarpety. Kawaleryjskie buty zamienił na kapcie bez pięt, które szokowały zagranicznych posłów, spodziewających się bardziej eleganckiego obuwia na prezydenckich nogach.

Jefferson sięgnął do szafki. Drzwiczki otworzyły się gwałtownie za dotknięciem palca. Uwielbiał takie wynalazki. W środku znajdowały się starannie ustawione puchar z rżniętego szkła, karafka francuskiego czerwonego wina, talerz ciastek i świeca, której używał w drodze powrotnej korytarzami do swojej sypialni. Napełnił do połowy kielich, uniósł z rozmarzeniem do światła i wypił łyk. Napłynęły miłe wspomnienia z Paryża.

Nie mógł się doczekać jutra. Za kilka godzin miał złożyć uciążliwe brzemię urzędowania na wąskie, lecz mocne barki przyjaciela Jamesa Madisona.

Delektował się przez chwilę następnym łykiem, potem wrócił do papierów na biurku. Zawierały ponad pięćdziesiąt wzorów indiańskiego słownictwa, gromadzonego od przeszło trzydziestu lat. Wszystko co zostało tam napisane - zamasyście tą samą ręką co Deklaracja Niepodległości - było ujęte w kolumny.

Od dawna nurtowało go pytanie, jak to się stało, że Indianie przybyli do Ameryki Północnej. Przez lata tworzył listy wyrazów, używanych powszechnie w indiańskich językach i dialektach. Miał teorię, że podobieństwa między słowami ze Starego i Nowego Świata mogą być wskazówką, skąd pochodzą Indianie.

Prezydent bezwstydnie wykorzystywał swoją władzę do zaspokajania własnej ciekawości. Kiedyś zaprosił do Białego Domu pięciu wodzów Irokezów i wypytywał o ich język. Polecił Meriwetherowi Lewisowi zbierać słownictwo Indian podczas historycznej wyprawy tego podróżnika do wybrzeża Pacyfiku.

Jefferson zamierzał napisać książkę o pochodzeniu Indian. Miała być kulminacją jego pracy naukowej. Burzliwe wydarzenia w czasie jego drugiej kadencji sprawiły, że musiał to chwilowo odłożyć. Wstrzymywał się z wysłaniem swoich list do druku, gdyż najpierw chciał napisać streszczenia tomów nowego materiału, przywiezionego przez Lewisa i Clarka z ich podróży.

Przysiągł sobie, że weźmie się do tego natychmiast po powrocie do Monticello. Ułożył papiery

starannie w stos, związał je sznurkiem i umieścił w masywnym kufrze, wraz z innymi zbiorami słownictwa i materiałami piśmiennymi. Kufer miał być przetransportowany nad rzekę James i załadowany na pokład łodzi, odpływającej z jego bagażem do Monticello. Włożył do kufra ostatnią paczkę dokumentów i zatrzasnął wieko.

Na prezydenckim biurku pozostała już tylko kasetka ze stopu cyny i ołowiu z jego nazwiskiem wytłoczonym na wierzchu. Otworzył ją i wyjął prostokątny kawałek welinu o wymiarach mniej więcej dwadzieścia pięć na trzydzieści centymetrów. Przysunął miękką skórę zwierzęcą do lampy olejnej. Chropowatą powierzchnię pokrywało dziwne pismo, faliste linie i znaki X. Jedna krawędź była postrzępiona.

Jefferson zdobył welin w roku 1791. On i jego sąsiad z Wirginii, „Jemmy” Madison, pojechali konno na Long Island w Nowym Jorku na spotkanie z ostatnimi, żyjącymi w ubóstwie członkami plemienia Unkechaug. Jefferson liczył na to, że znajdzie wśród nich kogoś, kto zna dawne języki Algonkinów. Od trzech starych kobiet, które używały jeszcze tamtej mowy, dostał słowniczek. Miał nadzieję, że pomoże mu to dowieść, iż Indianie pochodzą z Europy.

Wódz plemienia, ofiarodawca welinu, powiedział, że przekazywały go sobie kolejne pokolenia. Jefferson, wzruszony jego gestem, poprosił bogatego właściciela ziemskiego, również sygnatariusza Deklaracji Niepodległości, by zadbał o Indian.

Kiedy patrzył teraz na welin, wpadł na pewien pomysł. Przeniósł się do stołu z zamontowaną poziomo sztalugą. Z drewnianej ramy zwisały dwa pióra do pisania. Mogły się poruszać jednocześnie. Jefferson używał regularnie tej maszyny kopiującej, znanej jako poligraf, do swojej bogatej korespondencji.

Skopiował wyrazy na welinie i dodał prośbę, żeby odbiorca zidentyfikował język, w którym zostały napisane. Zaadresowane i zaklejone koperty włożył do koszyka z pocztą wychodzącą.

Listy słów w języku Unkechaug leżały z innymi papierami w kufrze. Welin chciał mieć pod ręką, więc schował go z powrotem do kasetki. Jadąc konno do Monticello, zamierzał ją trzymać w sakwie przy siodle. Znów zerknął na zegar ścienny, dopił wino i wstał z krzesła.

Jefferson był farmerem. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat nie miał na ciele ani grama zbędnego tłuszczu. Trzymał się prosto, mierzył metr osiemdziesiąt osiem wzrostu i wyglądał imponująco. Gęste rudoblond włosy posiwiały mu z upływem czasu, dokuczało też trochę zapalenie stawów, ale kiedy pogimnastykował zeszywniałe kończyny, poruszał się jak młodzieniec.

Zapalił świecę i poszedł cichymi korytarzami Białego Domu do sypialni.

Wstał o świcie. Pojechał konno na inaugurację rządów nowego prezydenta, swoim zwyczajem bez pompy i ceremonii. Dotykając kapelusza, przegalopował po prostu obok czekającej eskorty kawalerii, zsiadł z konia przy Kapitolu i przywiązał wierzchowca do parkanu ze sztachet. Podczas uroczystości siedział wśród publiczności. Później złożył pożegnalną wizytę w Białym Domu. Na balu inauguracyjnym tańczył z Dolley Madison.

Następnego dnia dokończył pakowanie i sprawdził, czy kufer z indiańskimi materiałami jest na wozie, który miał zawieźć bagaż nad rzekę James. Potem wyruszył konno do Monticello. Jechał przez osiem godzin w śnieżnej zamieci, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy znów będzie mógł wieść życie farmera.

Obserwator stał w cieniu zaśnieżonego dębu nad rzeką James, gdzie przy brzegu zacumowało na

noc kilka łodzi towarowych. Z pobliskiej karczmy dochodziły hałaśliwe śmiechy, rozmowy stawały się coraz głośniejsze. Wiedział z własnego doświadczenia, że marynarzom niewiele już brakuje do upicia się na umór.

Wyłonił się z ciemności i poszedł po śniegu do łodzi, której kształt rysował się niewyraźnie w chybotliwym blasku latarni na rufie. Piętnastometrowy, wąski płaskodenny *bateau* służył do transportu tytoniu rzeką.

Mężczyzna zatrzymał się na brzegu i zawołał. Nikt mu nie odpowiedział. Skuszeni alkoholem, ciepłem i damskim towarzystwem, kapitan i dwaj członkowie załogi zeszli na ląd. Na tym odludnym odcinku rzeki przestępstwa były rzadkością, więc marynarze nie mieli powodu, by zostawać na łodziach w tę zimną noc.

Obserwator wspiał się po trapie, wziął lampę wiszącą na rufie, by oświetlić sobie drogę, i dał nura pod łukowe zadaszenie nad środkową częścią pokładu. Leżały tam ponad dwa tuziny tobołów, oznaczonych inicjałami T. J. Postawił latarnię i zaczął przeszukiwać bagaż i skrzynie.

Podważył nożem wieko kufra i wyjął plik starannie zapakowanych dokumentów. Tak jak go poinstruowano, część papierów wepchnął do dużego worka i rzucił na brzeg. Potem cisnął trochę kartek na wodę. Porwał je silny prąd rzeki i zniknęły z widoku.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zerknął w stronę hałaśliwej karczmy, zszedł cicho po trapie na ląd i zniknął w ciemności niczym duch.

Jefferson wrócił konno z przyjaciółmi do Monticello i zobaczył, że służba zdejmuje skrzynie z wozu, stojącego przy głównym wejściu do rezydencji. Kiedy podjechał bliżej, w krępej, brodatej postaci rozpoznał kapitana łodzi, która transportowała jego bagaż rzeką James z Waszyngtonu.

Zsiadł z konia i podszedł do wozu. Ale był tak podniecony widokiem swoich rzeczy, że nie zauważył przygnębionej miny przewoźnika. Postukał knykциями w bok pojazdu.

- Dobra robota, kapitanie - pochwalił. - Cieszę się, że wszystko dotarło. Twarz przewoźnika zmarszczyła się jak przejrzała dynia.

- Przykro mi to mówić, ale nie wszystko - wymamrotał.

- Jak to?

Mężczyzna jakby się skurczył. Jefferson przerastał kapitana o głowę i onieśmielałby go, nawet gdyby nigdy nie był prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jego oczy zdawały się przewiercać przewoźnika na wylot.

Usłyszawszy opowieść kapitana, Jefferson zmiął kapelusz tak mocno, że chyba tylko cudem nie porwał go na kawałki.

Do kradzieży zawartości kufra doszło na ostatnim etapie podróży rzeką powyżej Richmondu. Kapitan wyjaśnił, że złodziej wszedł na pokład łodzi, gdy stała przycumowana do brzegu, a załoga spała na lądzie. Przewoźnik wręczył Jeffersonowi trochę ubłoconych papierów i powiedział, że znalazł je na brzegu rzeki.

Jefferson popatrzył na mokre kartki w swojej dłoni. Ledwo mógł wydobyć z siebie głos.

- Nic więcej nie zginęło?

- Nie. - Kapitan rozchmurzył się, przekonany, że to szczęście w nieszczęściu. - Tylko rzeczy z kufra.

„Tylko rzeczy z kufra”. Te słowa odbijały się echem w głowie Jeffersona, jakby brzmiały w jaskini.

- Gdzie to leżało? - zapytał ostro.

Chwilę później odjechał galopem z przyjaciółmi. Gdy dotarli nad rzekę, rozdzielili się. Po intensywnych poszukiwaniach natrafili na część papierów, które woda wyrzuciła na brzeg. Poza kilkoma ubłoconymi kartkami, gdzie można było coś odczytać, spisy indiańskiego słownictwa rozmiękły tak, że nie nadawały się do użytku.

Latem aresztowano pod zarzutem kradzieży notorycznego złodziejaska i pijaka, który twierdził, że zrobił to na zlecenie - wynajął go jakiś obcy, kazał ukraść papiery i upozorować ich przypadkowe zniszczenie.

Jefferson był zadowolony, iż sprawca został złapany i może czeka go stryczek. Nie interesował się jego dalszym losem, miał bowiem na głowie ważniejsze sprawy. Musiał się zająć uprawą swoich od dawna zaniedbywanych pól i pomyśleć, jak spłacić rosnące długi.

Wszystko się zmieniło miesiące później, gdy dostał list.

Otrzymał kilka odpowiedzi na swoją prośbę, wysłaną z Białego Domu do członków Towarzystwa Filozoficznego, i wszyscy wyrażali zdziwienie zbiorem słów, które przepisał z welinu. Z wyjątkiem jednego człowieka.

Profesor Holmberg, lingwista z Uniwersytetu Oksfordzkiego, przeprosił, że nie odezwał się wcześniej, ale podróżował po Afryce Północnej. Wiedział dokładnie, w jakim języku zostały napisane słowa, i załączył przekład.

Jefferson wytrzeszczył oczy, gdy przeczytał wyjaśnienie Holmberga. Z listem w ręku chodził po bibliotece i wyciągał z półek książkę za książką. Historia. Lingwistyka. Religioznawstwo.

Przez kilka następnych godzin czytał i robił notatki. Kiedy odsunął na bok ostatni tom, wyciągnął się w fotelu, złączył końce palców i wpatrzył się w przestrzeń. Po chwili zadumy wymówił bezgłośnie znajome nazwisko.

Meriwether Lewis.

Los nie obszedł się łaskawie z człowiekiem prowadzącym ekspedycję, która otworzyła Stanom Zjednoczonym wrota do ekspansji na zachód Ameryki Północnej.

Lewis był niezwykle utalentowany. Jefferson wiedział o uzdolnieniach swojego krajana z Wirginii, gdy w roku 1803 poprosił go o poprowadzenie wyprawy badawczej do wybrzeża Pacyfiku.

Wykształcony, odważny, dobrze zorientowany w naukach ścisłych, silny fizycznie Lewis przebywał dużo w terenie, znał zwyczaje Indian i miał niezłomny charakter. Był powszechnie szanowanym kapitanem wojsk lądowych, zanim zaczął pracować dla Jeffersona w Białym Domu, gdzie zabłysnął jako dyplomata, mąż stanu i polityk.

Ekspedycja okazała się niewiarygodnym sukcesem. Kiedy w roku 1806 powrócił do Waszyngtonu z drugim kierownikiem wyprawy, Williamem Clarkiem, otrzymał nominację na gubernatora Luizjany.

Lewis się zastanawiał, czy to nagroda czy kara. Mimo wszystkich swoich talentów nie miał łatwego życia, starając się ujarzmić dzikie pogranicze. A przeciwnicy polityczni nie ustępowali.

Pewnego wieczoru, po kolejnym męczącym dniu spędzonym na odpieraniu zarzutów, że wydał państwowe pieniądze na firmę futrzarską, w której miał udział, zobaczył na swoim biurku zapieczętowaną przesyłkę i natychmiast rozpoznał pismo Jeffersona. Na jego twarzy z orlim nosem zagościł uśmiech, gdy wsunął ostrze noża pod pieczęć i ostrożnie odwinął sztywny papier, w który



były zapakowane plik dokumentów i kartka o treści:

*„Drogi Panie Lewis.*

*Pańskie ogrody mogą zyskać dzięki załączonym informacjom.*

*T.J.”*

Na pierwszej stronie widniał tytuł „Uprawa karczochów”. Na następnych był obszerny traktat na ten temat ze szczegółowymi instrukcjami dotyczącymi sadzenia i planem ogrodu.

Lewis rozłożył wszystko na blacie biurka i zmarszczył czoło ze zdumienia. Wiedział, iż Jefferson interesuje się ogrodnictwem, ale wydało mu się dziwne, że zadał sobie trud, by przysłać informacje o uprawie karczochów z drugiego końca kontynentu. Musiał się orientować, że obowiązki nie pozwalają Lewisowi na pracę w ogrodzie.

Aż nagle doznał olśnienia i serce zabiło mocniej. Przejrzał półki w szafce, gdzie trzymał raporty ze swojej wyprawy z Clarkiem, i po kilku minutach znalazł to, czego szukał.

Między dwiema paczkami dokumentów tkwił arkusz grubego papieru. Wyjął go i uniósł do światła. W kartonie były tuziny małych prostokątnych otworów. Drżącymi palcami przyłożył szablon do pierwszej strony tekstu o karczochach i przepisał litery w okienkach na oddzielną kartkę.

Kiedy prezydent wpadł na pomysł zorganizowania ekspedycji do wybrzeża Pacyfiku, wiedział, że Lewis będzie w trudnej sytuacji, badając tereny należące do Francji i Hiszpanii. Niewzruszenie spokojny Jefferson był nie mniej przebiegły niż ludzie na dworach i w pałacach Europy. Korespondując ze swoim posłem we Francji, używał często szyfru, który nazywał „maską na wypadek potrzeby”.

Gdy Lewis przygotowywał się w Filadelfii do wyprawy, przy wsparciu wybitnych naukowców z Towarzystwa Filozoficznego, Jefferson przysłał mu swój szyfr, opracowany z myślą o ekspedycji. Metodę szyfrowania przygotował na podstawie rozpowszechnionego w Europie systemu Vigenere’a. Polegał on na stosowaniu tabeli alfanumerycznej i słowa klucza.

*„Karczochy”.*

W czasie wyprawy szyfr okazał się niepotrzebny, dlatego Lewisa zaskoczyło teraz jego użycie. Nie zastanawiając się nad tym dłużej, zabrał się do odszyfrowania wiadomości z takim samym zapałem, z jakim podchodził do każdego wyzwania. Kiedy oddzielił od bełkotu poszczególne litery, przeczytał:

*„Drogi Panie Lewis*

*Mam nadzieję, że ten list zastanie Pana w dobrym zdrowiu. Pozwoliłem sobie przesłać Panu raport w formie uzgodnionego przez nas szyfru, by treść pozostała tylko do pańskiej wiadomości. Obawiam się, że załączone informacje, bez względu na to, czy są prawdziwe, czy nie, rozbudziłyby pewne namiętności i skierowały ludzi na terytorium, gdzie byliby źle przygotowani do przetrwania i mieliby problemy z Indianami. Wiem, że jest Pan bez reszty zaangażowany w zakładanie uprząży luizjańskiemu ogierowi, ale proszę o pomoc w tej sprawie.*

*Z wyrazami głębokiego szacunku*

*T.J.”*

Lewis odczytał resztę zaszyfrowanej wiadomości, potem wrócił do planu ogrodu. Linie, znaki X,

kręgi i słowa w starożytnym języku zaczynały mieć sens. Patrzył na jakąś mapę i dostrzegł coś znajomego. Przerzuciwszy tuziny własnych map i dokumentów, znalazł to, czego szukał.

Wziął pióro i napisał krótki list do Jeffersona; dziękując za porady ogrodnicze, poinformował go także, iż zlokalizował idealne miejsce pod uprawę i zapowiedział, że porozmawiają o tym, kiedy przyjedzie do Waszyngtonu, by oczyścić się z zarzutów. Na początku września 1809 roku planował podróż w dół rzeki Missisipi. Zamierzał odezwać się do Jeffersona, kiedy przybędzie do Waszyngtonu.

Nigdy tam nie dotarł. Późną jesienią tego roku nadeszła wiadomość od majora Neelly'ego, że Lewis zmarł wskutek ran postrzałowych odniesionych podczas podróży przez dziki obszar Natchez Trace. Miał zaledwie trzydzieści pięć lat.

Śmierć młodego utalentowanego człowieka poruszyła bardzo Jeffersona. Wydawało się, że nad zbiorami indiańskiego słownictwa wisi jakaś starożytna klątwa. Kilka tygodni później major przyjechał do Monticello z niewolnikiem Lewisa. Kiedy Neelly mył się po podróży, niewolnik wręczył nieśmiało Jeffersonowi przesyłkę i przekazał szeptem wiadomość.

Jefferson poinstruował swój personel, żeby mu nie przeszkadzano, zamknął się w gabinecie i przestudiował zawartość paczki. Potem zrobił pisemną analizę wypadków, które doprowadziły do zgonu Lewisa. Świtało już, gdy sformułował ostateczny wniosek:

Spisek.

A jeśli jego zbiory indiańskich słów zostały skradzione, tak jak twierdził złodziej? A jeśli ktoś wiedział, że badania Jeffersona są kluczem do pradawnej tajemnicy? A jeśli Lewis nie odebrał sobie życia, lecz padł ofiarą zabójstwa?

Pracował w swoim gabinecie jeszcze kilka dni. Kiedy wyszedł, wymachując listą poleceń dla personelu, miał obłąd w oczach. Pewnej nocy wymknął się konno z posiadłości wraz z najbardziej zaufanymi niewolnikami. Wrócili po paru tygodniach, bardzo zmęczeni, ale Jefferson triumfował.

Rozważał implikacje swojego odkrycia. Zrobił, co w jego mocy, by uchronić Stany Zjednoczone przed zabójczym sojuszem Kościoła z państwem, który powodował wojny religijne na kontynencie. Obawiał się, że jeśli ta informacja zostanie upubliczniona, może wstrząsnąć fundamentami młodego państwa, a nawet zniszczyć nowo powstałą republikę, którą pomógł stworzyć.

Nie tracąc czasu na mycie i przebieranie się, Jefferson poszedł do gabinetu i napisał długi list do swojego starego przyjaciela i czasami nemezis, Johna Adamsa. Kiedy zaklejał kopertę, przez jego znużoną twarz przemknął uśmiech.

Mógł się zabawić w spiskowca równie dobrze jak każdy.

# 1

*Bagdad, Irak, rok 2003*

Carina Mechadi kipiała z gniewu. Młoda Włoszka iskrzyła niczym ognie rzymskie, gdy patrzyła na zdemolowane pokoje biurowe w Irackim Muzeum Narodowym. Szafki były poprzewracane, dokumenty rozrzucone, jakby porwała je trąba powietrzna, biurka i krzesła połamane. Mściwość, z jaką dokonano zniszczeń, przerażała.

Carina wyrzucała z siebie potok obelżywych słów o pochodzeniu, orientacji seksualnej i sprawności płciowej wandalii, którzy dopuścili się tego bezsensownego czynu.

Przekleństwa słyszał młody kapral amerykańskich marines, stojący w pobliżu z karabinem M4 w rękach. Znał tylko dwa włoskie słowa: „pepperoni” i „pizza”, ale nie potrzebował leksykonu, żeby wiedzieć, iż są to przekleństwa godne robotnika portowego z obolałymi plecami.

O tak soczysty język nigdy by nie podejrzewał tej subtelnej dziewczyny. Carina była dobre trzydzieści centymetrów niższa od ochraniającego ją podoficera, a mając na sobie wojskowy strój bojowy, takie bowiem obowiązywały przepisy, szczupła kobieta wydawała się jeszcze drobniejsza. W pożyczonej kamizelce kuloodpornej wyglądała jak żółw w za dużej skorupie. Pustynny mundur maskujący pasowałby na niskiego mężczyznę. Zbyt głęboki hełm, spod którego wymykały się długie, czarne włosy, niemal zasłaniał jej jasnoniebieskie oczy.

Carina dostrzegła uśmiech zdziwienia na twarzy podoficera. Zarumieniła się zakłopotana i przerwała tyradę.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy - odparł kapral. - Gdyby chciała pani zostać instruktorem musztry, Korpus Piechoty Morskiej chętnie widziałby panią u siebie.

Z jej śniadej twarzy zniknęła furia, zmysłowe wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, odsłaniając idealnie białe zęby. Kiedy się nie wściekała, mówiła cichym, spokojnym głosem, z lekkim akcentem.

- Dziękuję za propozycję, kapralu O'Leary. - Zerknęła na pobojuwisko wokół nich. - Jak pan zauważył, ponosi mnie na widok czegoś takiego.

- Nie dziwię się, że jest pani wkurzona... - Podoficer się zaczerwienił i odwrócił wzrok. - Proszę wybaczyć, chciałem powiedzieć „zła”. Cholerny tu bałagan.

W czteroipółhektarowym kompleksie muzeum w sercu Bagdadu na zachodnim brzegu Tygrysu zajęła pozycje obronne elitarna Gwardia Republikańska Saddama Husajna. W czasie natarcia Amerykanów irackie oddziały uciekły i zostawiły muzeum niestrzeżone na trzydzieści sześć godzin. Kompleks splądrowały setki szabrowników, zanim przepędził ich starszy personel.

Gwardziści zrzucili mundury i spalili książki wojskowe, by jak najszybciej powrócić do cywilnego życia. W ostatnim odruchu buntu ktoś nabazgrał na ścianie dziedzińca: „Śmierć wszystkim Amerykanom”.

- Nic tu po nas. - Carina się skrzywiła.

Gdy wychodzili z pomieszczeń administracyjnych, stawiała ciężko kroki, nie tylko z powodu wojskowych butów na nogach. Przygniatał ją niepokój, co zastanie - lub raczej czego nie zastanie - w części dla zwiedzających, gdzie w ponad pięciuset gablotach wystawiano cenne eksponaty muzeum.

Droga długim centralnym korytarzem tylko wzmogła jej obawy. Otwarto kilka sarkofagów i ucięto posągom głowy. Carina chodziła w oszołomieniu od sali do sali, gdzie każda gablota wyglądała tak, jakby wyczyszczono ją odkurzaczem.

W sali wystawowej z babilońskimi artefaktami tęgi mężczyzna w średnim wieku pochylał się nad rozbitą gablotą. Obok niego stał młody Irakijczyk, który na widok wchodzących uniósł AK-47.

Kapral marines przyłożył karabin do ramienia.

Mężczyzna spojrzał na niego przez grube szkła okularów, bardziej z pogardą niż ze strachem. Zerknął na Carinę i rozpromienił się.

- Moja droga panna Mechadi!

- Witam, profesorze. Cieszę się, że jest pan cały i zdrowy. - Carina odwróciła się do podoficera.

- Kapralu, to starszy kustosz muzeum, profesor Mohammed Jassim Nasir.

O'Leary opuścił broń. Dopiero po chwili, by pokazać, że się nie boi Amerykanina, Irakijczyk zrobił to samo. Mierzyli się wzrokiem. Nasir podszedł do Cariny i ujął w dłonie jej ręce.

- Przyjeżdżając tak prędko, podjęła pani wielkie ryzyko.

- Ale pan tu jest, profesorze.

- Oczywiście. Ta instytucja to moje życie.

- Rozumiem doskonale - odparła Carina. - Wiedziałam, że teren wokół muzeum jest zabezpieczony. - Poza tym mam eskortę; kapral O'Leary nie spuszcza mnie z oka.

Nasir spochmurniał.

- Ufam, iż ten dżentelmen spisze się lepiej niż jego koledzy. Gdyby nie odwaga moich współpracowników, nic by tu nie zostało.

Nie dziwiło jej rozgoryczenie Nasira. Amerykańscy żołnierze zjawili się dopiero po czterech dniach od zgłoszenia kradzieży ich dowódcom przez kustoszów muzeum. Carina starała się rozpaczliwie przysłać ich wcześniej. Wymachiwała przed nosami amerykańskich oficerów swoim identyfikatorem UNESCO, ale wciąż powtarzali, że sytuacja jest zbyt niestabilna i niebezpieczna.

Teraz, kiedy szkoda już się stała, nie było sensu spierać się, kto jest winien.

- Rozmawiałam z Amerykanami. Powiedzieli, że gdyby wkroczyli wcześniej, doszłoby do krwawej bitwy.

Nasir zerknął niechętnie w kierunku kaprala marines.

- Rozumiem. Byli zbyt zajęci pilnowaniem szybów naftowych. - Jego mina wskazywała, że wolałby rozlew krwi niż szaber.

- Jestem tak samo wstrząśnięta jak pan - zapewniła Carina. - To straszne.

- Sytuacja wygląda lepiej, niż można by sądzić - stwierdził Nasir z niespodziewanym optymizmem. - Rzeczy zabrane z tej gabloty nie były zbyt cenne. Na szczęście, po inwazji w 1991 roku muzeum opracowało plan awaryjny. Kustosze przenieśli większość eksponatów do bezpiecznych pomieszczeń, znanych tylko pięciu najwyższym rangą urzędnikom muzeum.

- To wspaniale, profesorze!

Nasir szybko stracił dobry humor. Szarpnął nerwowo brodę.

- Żałuję, że reszta wiadomości nie jest taka dobra - powiedział ze smutkiem. - W innych częściach muzeum jest gorzej. Złodzieje ukradli największe skarby Mezopotamii. Zabrali świętą wazę i maskę Warki, posąg Bassetki, lwicę z kości słoniowej, atakującą Nubijczyka, i dwa miedziane byki.

- Te przedmioty są bezcenne!

- W przeciwieństwie do drobnych szabrowników, których przegoniliśmy z muzeum, rabusie bardziej wartościowych antyków mieli lepsze rozeznanie. Zostawili na przykład Czarny Obelisk.

- Musieli wiedzieć, że oryginał jest w Luwrze.

Nasir uśmiechnął się smętnie.

- Nie tknęli żadnej kopii, wybierali eksponaty niezwykle starannie. Chodźmy, pokażę pani.

Profesor poprowadził Carinę do magazynów. Półki wzdłuż ścian były puste, na podłodze walały się dzbany, różne naczynia i skorupy. Carina kopnęła wojskowy mundur.

- Gwardia Republikańska też spędziła tu jakiś czas - zauważyła. - Orientuje się pan, ile rzeczy brakuje?

- Oszacowanie strat zajmie lata. Oceniam, że zginęło około trzech tysięcy eksponatów. Niestety, nie to jest najgorsze - dodał z westchnieniem.

Weszli do sali wystawowej z rzymskimi antykami. Profesor odsunął narożną półkę, za którą znajdowały się ukryte drzwi. Szyba w nich została wybita, a stalowa krata wygięta. Wyjął świecę i zapalniczkę z kieszeni. Zszedłszy po wąskich schodach, stanęli przed szeroko otwartymi metalowymi drzwiami. Ze ściany zagrządzającej drogę za progiem usunięto betonowe bloki, żeby zrobić duży otwór.

Gdy weszli przez dziurę do dusznego pomieszczenia, w nozdrza uderzył ich gryzący odór. Ekipa dochodzeniowa ogrodziła żółtą taśmą ślady stóp na zakurzonej podłodze.

Carina rozejrzała się.

- Gdzie jesteśmy?

- W suterenie służącej za magazyn. Jest tu pięć pomieszczeń. Niewiele osób spośród pracowników muzeum wie o ich istnieniu. Dlatego uważaliśmy, że zbiory będą tu bezpieczne. Jak widać, myliliśmy się.

Nasir zatoczył świecą łuk. Żółte światło padło na plastikowe pojemniki wędkarskie, rozrzucone na podłodze.

- Jeszcze nie widziałam takiego bałaganu - szepnęła Carina.

- W pojemnikach trzymaliśmy pieczęcie, korale, monety, butelki, amulety i biżuterię. Brakuje tysięcy sztuk. - Oświetlił świecą większe plastikowe skrzynki pod ścianami. - Tymi nie zawracali sobie głowy. Najwyraźniej wiedzieli, że są puste.

Kapral O'Leary lustrował pomieszczenie okiem ulicznego cwaniaka.

- Jeśli wolno spytać, skąd mogli wiedzieć, jak znaleźć to miejsce? Nasir z ponurą miną pokiwał głową.

- No, właśnie. Nie tylko wy, Amerykanie, macie powód do zakłopotania. Podejrzewamy, że złodziei wpuścił ktoś z personelu, znający dobrze muzeum. Zdjęliśmy odciski palców wszystkim naszym ludziom, z wyjątkiem szefa ochrony, który nie powrócił do pracy.

- Zastanawiałam się, dlaczego nie widać śladów włamania - powiedziała Carina.

- Złodzieje dostali się do suterenu tą samą drogą, co my, ale zapomnieli latarek albo nie spodziewali się, że będą im potrzebne. - Nasir podniósł kawałek spalonej gumy piankowej. - Użyli

tego materiału jako pochodni. Szybko płonie i strasznie śmierdzi. Leżący na podłodze komplet kluczy pewnie upuścili i nie mogli go potem znaleźć. Przeoczyli trzydzieści szafek z najcenniejszymi pieczęciami oraz dziesiątkami tysięcy złotych i srebrnych monet. Oceniam, że zginęło około dziesięciu tysięcy artefaktów z wykopalisk. Setki pojemników, Allah niech będzie wielki, pozostały nietknięte.

Przeszli gęsiego drzwiami do większego pomieszczenia, pełnego przeróżnych antyków.

- Te eksponaty zostały wstępnie zidentyfikowane i miały być dołączone do głównego zbioru w odpowiednim czasie. Niektóre czekają od lat.

- Widać ślady stóp - powiedziała Carina.

- Złodzieje najwyraźniej myśleli, że jest tu coś cennego. Nie dowiemy się, czego brakuje, dopóki nie zrobimy inwentaryzacji. Jesteśmy zbyt zajęci próbami odzyskania bardziej wartościowych przedmiotów.

- Słyszałam, że ogłoszono amnestię.

- Zgadza się. To trochę odbudowało moją wiarę w człowieka. Ludzie przynoszą tysiące rzeczy; wróciła do nas między innymi maska Warki. Spodziewam się, że nadal będą zwracać eksponaty, ale jak pani wie, najcenniejsze antyki są już zapewne w posiadaniu jakiegoś bogatego nowojorskiego lub londyńskiego kolekcjonera.

Carina przytaknęła z westchnieniem. Kradzieże dokładnie planowano i przygotowywano tygodniami. Pozbawieni skrupułów handlarze w Europie czy Stanach Zjednoczonych przyjmowali od bogatych klientów zamówienia na określone eksponaty.

Handel antykami stał się niemal tak opłacalny jak narkotykami, a głównymi rynkami były Londyn i Nowy Jork. Artefakty z nielegalnych wykopalisk we Włoszech, w Grecji i Ameryce Południowej często „prano” w Szwajcarii, gdzie kradzione przedmioty mogły uzyskać status „czystych” po zaledwie pięcioletnim pobycie w tym kraju.

Carina zamyśliła się.

- Może mogłabym przyśpieszyć odzyskanie naszych eksponatów - odezwała się po chwili.

- Ale jak? Bardzo to nagłaśniamy. Odwróciła się do podoficera marines.

- Będę potrzebowała pańskiej pomocy, kapralu O'Leary.

- Mam rozkaz spełniać każdą pani prośbę.

Carina uśmiechnęła się tajemniczo.

- Na to liczyłam.

Chodnik drżał od ruchu gąsienic nadjeżdżającego transportera opancerzonego piechoty - wibracje uprzedzały o zbliżaniu się dwudziestopięcotonowego pojazdu, kiedy był jeszcze niewidoczny. Zanim wyłonił się zza rogu i potoczył bulwarem, mężczyzna idący pustą aleją nadbrzeżną skręcił w zaułek i dał nura w jakieś wejście, żeby ktoś z załogi transportera nie zobaczył go przez noktowizor.

Obserwował pojazd, dopóki nie zniknął za następnym rogiem. Dopiero wtedy odważył się wyjść na ulicę. Huk bomb, zapowiadający natarcie Amerykanów ze wsparciem sił sojuszniczych, ucichł, ogień z broni ręcznej odzywał się sporadycznie. Z wyjątkiem walk, które wybuchały, gdy atakujący likwidowali ogniska oporu, trwała przerwa w działaniach bojowych. Koalicja i niedobitki obrońców rozważały swój następny krok.

Mężczyzna minął pomnik Saddama Husajna, pozbawiony twarzy, i szedł jeszcze dziesięć minut, zanim dotarł do bocznej ulicy. W blasku latarki ołówkowej o wąskim snopie czerwonego światła przestudiował plan miasta, potem obie rzeczy schował do kieszeni i skręcił za rogiem.

Choć był więcej niż słusznego wzrostu - miał prawie dwa metry - przemierzał pograżone w ciemności miasto lekko i bezszelestnie jak cień. Umiejętność skradania się rozwinął podczas tygodni szkolenia w obozie prowadzonym przez dawnych żołnierzy francuskiej Legii Cudzoziemskiej, US Delta Force i brytyjskich służb specjalnych. Aby wykonać zadanie, potrafił przeniknąć do najlepiej strzeżonych obiektów. Opanował doskonale wiele różnych sposobów zabijania, ale ulubioną bronią pozostały własne, wielkie, silne dłonie o grubych palcach.

Przebył długą drogę od czasu swoich skromnych początków po dzień dzisiejszy. Mieszkał z rodziną w małym miasteczku na południu Hiszpanii, gdy odkrył go jego dobroczyńca. Był wówczas nastolatkiem zatrudnionym w rzeźni i lubił uśmiercać wszystko, od kurczaków do krów, odznaczając się niezwykłą pomysłowością podczas wykonywania pracy, ale coś mu mówiło, że jest stworzony do wyższych celów.

Omal tego nie zaprzepaścił. Z powodu drobnej sprzeczki udusił irytującego współpracownika i oskarżony o zabójstwo trafił do więzienia. Prasa podkreślała, że jest synem człowieka, który był hiszpańskim egzekutorem w czasach, kiedy państwo aprobowało *garrotte*, czyli wykonywanie wyroków śmierci przez duszenie skazańca żelaznym kołnierzem przymocowanym do słupa.

Pewnego dnia w więziennej celi zjawiał się niespodziewanie jego późniejszy dobroczyńca, który powiedział młodemu człowiekowi: „Masz wspaniałą, chwalebną przeszłość i czeka cię wielka przyszłość”.

Chłopak słuchał uważnie opowieści o tym, jak jego rodzina służyła krajowi. Nieznajomy mężczyzna wiedział, że ojciec stracił pracę po tym, jak zrezygnowano z *garrotte* w roku 1974, że zmienił nazwisko i przeniósł się na małą farmę, gdzie jego rodzina żyła w nędzy, że zmarł, zostawiając żonę i syna.

Dobroczyńca chciał, by młody człowiek pracował dla niego. Zapłacił władzom więziennym

i sędziemu, dał zrozpaczonej rodzinie ofiary więcej pieniędzy, niż nieżyjący mężczyzna zarobiłby na skubaniu kurczaków przez tysiąc lat, i oskarżony o morderstwo chłopak był wolny. Trafił do prywatnej szkoły, gdzie nauczył się kilku języków, a po zakończeniu nauki odbył przeszkolenie wojskowe. Zawodowi zabójcy, którzy wzięli go pod swoje skrzydła, szybko się zorientowali, że ich podopieczny ma talent. Wkrótce zaczął dostawać samodzielne zadania; usuwał ludzi wybieranych przez swojego dobroczyńcę. Po telefonie z instrukcjami wykonywał zlecenie i pieniądze wpływały na jego konto w szwajcarskim banku.

Przed przyjazdem do Bagdadu zlikwidował księdza aktywistę, który podburzał robotników w jednej z peruwiańskich kopalń dobroczyńcy. Wracał do Hiszpanii na spotkanie z dobroczyńcą, gdy odebrał wiadomość, że ma przeniknąć do Iraku przed amerykańską inwazją. Zamieszkał tu w małym hotelu i nawiązał niezbędne kontakty.

Był rozczarowany, kiedy się dowiedział, że nie chodzi o zabójstwo, lecz o zabranie z muzeum w Bagdadzie pewnego eksponatu. Na pocieszenie mógł zobaczyć z bliska inwazję, a więc śmierć i zniszczenie.

Znów przestudiował plan miasta, uśmiechnął się z zadowoleniem. Za kilka minut będzie na miejscu.



W mieście tonącym w ciemności Carina z trudem znalazła przysadzisty betonowy budynek w starej części Bagdadu. Wcześniej była tu tylko raz, w dzień, i nie podczas wojny. Okna domu zabito deskami, co nadawało mu wygląd twierdzy. Kiedy podeszła do grubych drewnianych drzwi, usłyszała w oddali strzały z broni ręcznej.

Nacisnęła ciężką żelazną klamkę. Drzwi nie były zaryglowane, pchnęła je i przestąpiła próg. Zamglony blask lamp naftowych oświetlał twarze mężczyzn pochylonych nad planszami do tryktraka i szklankami herbaty. Gęsty, duszący dym z papierosów i fajek wodnych tylko w niewielkim stopniu zabijał odór potu niemytych ciał.

Szmer męskich głosów ucichł jak nożem uciął i choć większość zarośniętych twarzy pozostawała w cieniu, Carina wiedziała, że jest pod ostrzałem wrogich spojrzeń.

Z ciemnego kąta wyłoniły się dwie postacie niczym stwory wypełzające z bagna. Jeden mężczyzna podszedł do Cariny z tyłu i zamknął drzwi, pozbawiając ją możliwości ucieczki, drugi stanął przed nią.

- Coś ty za jedna? - warknął po arabsku.

Jego oddech cuchnął nikotyną i czosnkiem. Carina opanowała odruch wymiotny i wyprostowała się na całą swoją wysokość stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów.

- Powiedz Alemu, że Mechadi chce się z nim widzieć.

Kobieca pewnośc siebie miała swoje granice w świecie arabskich mężczyzn. Człowiek stojący z tyłu opasał jej szyję ramieniem i mocno ścisnął, mężczyzna z przodu wyciągnął nóż i przysunął go tak blisko do jej lewego oka, że nie widziała wyraźnie końca ostrza.

Zdołała krzyknąć słabo, chrapliwie.

Ale to wystarczyło, by drzwi otworzyły się z hałasem i ucisk ramienia wokół jej szyi zelżał. W progu już stał kapral O'Leary, przyciskając wylot lufy karabinu do czaszki strażnika przy drzwiach. Podoficer marines słyszał wszystko przez swoją krótkofalówkę, ustawioną na ten sam kanał, co radio przy kamizelce kuloodpornej Cariny.

Po drugiej stronie ulicy parkował hummer. Miał włączone szperacze i mężczyźni w herbaciarni widzieli wyraźnie długą lufę karabinu maszynowego M2, zamontowanego na dachu pojazdu. Broń celowała w drzwi. Oddział marines czekał z karabinami w pozycji do ataku.

Kapral nie odrywał wzroku od Araba z nożem.

- Nic się pani nie stało?

- Nie. - Rozmasowała szyję. - Wszystko w porządku. Dziękuję.

- Na intensywnym kursie arabskiego nie nauczyłem się wiele i nie wiem, jak powiedzieć temu facetowi, że jego mózg rozprysnie się po tym lokalu, jeśli koleś nie rzuci noża.

Carina przetłumaczyła to na tyle wiernie, że nóż upadł na podłogę i O'Leary kopnął go na bok. Mężczyźni omal się nie poprzewracali o siebie, pierzchając w mrok.

Zza zasłony w głębi herbaciarni ktoś zawołał po angielsku:

- Pokój z tobą!

Carina odpowiedziała na tradycyjne arabskie powitanie słowami:

- Pokój z tobą, Ali!

Rozchyliwszy wyświechtane płachty, które służyły jako zasłony, gruby mężczyzna przeszedł między ciasno ustawionymi stolikami. Blask reflektorów hummera padł na jego pulchną twarz z mięsistym nosem. Ubrany był w przykrótki T-shirt „New York Yankees”, odsłaniający owłosiony brzuch, a na ogolonej głowie miał myckę z dzianiny.

- Witam panią, signorina Mechadi - powiedział, składając dłonie. - I pani przyjaciół.

- Twój człowiek omal nie wykuł mi nożem oka. Tak witasz gości? Ali wpatrywał się w nią chytrymi oczkami.

- Nosi pani wojskowy mundur - stwierdził z wazeliniarskim uśmiechem. - Być może myślał, że jest pani żołnierzem wroga.

Carina zignorowała jego komentarz.

- Chcę z tobą porozmawiać.

Irakijczyk podrapał się w postrzępioną czarną brodę, do której przylgnęły resztki jedzenia.

- Proszę bardzo. Wejźmy na zaplecze i napijmy się herbaty.

- Mam iść z panią? - zapytał O'Leary.

- Nie trzeba. - Carina rozejrzała się po sali. - Ale, prawdę mówiąc, przydałoby mi się jakieś ubezpieczenie. Jak widać, ten lokal nie przyciąga najlepszej klienteli.

Podoficer uśmiechnął się. Wystawił głowę za drzwi i wykonał przywołujący gest. Do środka weszło kilku marines i zajęło pozycje pod ścianami.

Ali odchylił brudne zasłony, otworzył metalowe drzwi i wpuścił Carinę do pokoju, gdzie paliło się jasne światło elektryczne. W innej części budynku warczał generator prądotwórczy. Podłogę i ściany pokrywały kolorowe kilimy, ekran telewizyjny pokazywał obraz z zewnętrznej kamery systemu bezpieczeństwa, skierowanej na ulicę. Widać było wyraźnie hummera.

Gospodarz poprosił Carinę, żeby usiadła na podwyższeniu, wyłożonym wielkimi aksamitnymi poduszkami. Zaproponował herbatę, ale odmówiła, więc napełnił tylko swoją szklankę.

- Co panią tu sprowadza? Popatrzyła na niego twardo.

- Byłam w Muzeum Narodowym. Zostało splądrowane. Zniknęły tysiące antyków.

Opuścił szklankę w połowie łyku.

- To skandal! Muzeum Narodowe jest sercem i duszą dziedzictwa kulturalnego Iraku.

Carina roześmiała się głośno z udawanego szoku Alego.

- Powinieneś być aktorem, Ali. Za sam ten tekst dostałbyś Oscara. Ali nauczył się aktorskich sztuczek jako zawodowy zapaśnik. Walczył nawet w Stanach pod nazwiskiem Ali Babbas.

- Jak mogła pani pomyśleć, że jestem zamieszany w ten skok? - Czasem jeszcze mówił amerykańskim slangiem, do którego się przyzwyczał, przebywając za granicą.

- Żaden cenny antyk nie przekracza granicy Iraku w tę lub tamtą stronę bez twojej wiedzy albo cichego przyzwolenia.

Ali stworzył światową siatkę zaopatrzeniowców, handlarzy i kolekcjonerów. Utrzymywał znajomość z rodziną Saddama Husajna i rzekomo dostarczał wiele przedmiotów do zbiorów jego psychopatycznych synów, Udaja i Kusaja.

- Handluję tylko legalnie. Może pani przeszukać to miejsce, jeśli pani chce.

- Jesteś nieuczciwy, ale nie głupi, Ali. Nie żądam zwrotu mało wartościowych artefaktów. Bez wiarygodnego pochodzenia są nieprzydatne dla celów muzealnych. - Wyjęła z kieszeni kartkę i wręczyła Alemu. - Chcę odzyskać te eksponaty. Jest amnestia. Nikt nie będzie o nic pytać.

Rozłożył kartkę grubymi palcami i uśmiechnął się szeroko.

- Dziwię się, że nie umieściła pani na tej liście mostu Brooklyńskiego.

- Już go mam - odparła Carina. - Więc?

- Nie mogę pani pomóc. - Oddał jej spis.

Carina wetknęła listę z powrotem do kieszeni i wstała.

- Okej.

- Tylko tyle? Jestem rozczarowany, signorina. Spodziewałem się, że pani nie odpuści, jak zwykle.

- Nie mam czasu. Muszę pogadać z Amerykanami. - Ruszyła do drzwi.

- Amerykanie będą mieć pełne ręce roboty, starając się przywrócić dostawę prądu i wody! - zawołał za nią. - Carina szła dalej. - Zostawili muzeum niestrzeżone. Myśli pani, że obchodzi ich taki drobny złodziej jak ja?

Położyła rękę na klamce.

- Myślę, że zaczniesz ich bardzo obchodzić, kiedy się dowiedzą o twoich powiązaniach z Saddamem Husajnem.

- Wszyscy w Iraku mieli powiązania z Saddamem. - Ali zarechotał. - Byłem ostrożny i nie zostawiłem żadnych dowodów moich układów.

- To nieważne. Od jedenastego września Amerykanie trzymają nerwowo palec na spuście. Radzę ci stąd zniknąć, zanim zrzucą na ten budynek jedną ze swoich inteligentnych bomb.

Zerwał się z poduszki i podbiegł ciężko do Cariny. Szyderczy uśmiech zniknął, teraz na twarzy Alego widać było niepokój. Sięgnął po kartkę.

- Zobaczę, co da się zrobić - mruknął.

Carina cofnęła rękę z listą.

- Podnoszę stawkę. Dzwon teraz. Tylko mi nie mów, że telefony nie działają. Wiem, że masz niezawodne sposoby porozumiewania się. Zaczekam, a ty skontaktuj się ze swoimi ludźmi.

Ali zmarszczył brwi i wyrwał jej spis. Odszedł, sięgnął pod poduszkę i wyjął radio. Połączył się kolejno z kilkoma osobami i odbył pozornie niewinne rozmowy. Po ostatniej wyłączył aparat i położył na stoliku.

- Będzie pani miała wszystko w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Załatw to w dwadzieścia cztery - poleciła Carina. - Znam drogę do wyjścia. - Otworzyła drzwi i rzuciła przez ramię: - Powinieneś się zaopatrzyć w baterie do latarek.

- Nie rozumiem.

- Wynajęci przez ciebie idioci poparzyli sobie palce, penetrując muzeum; w ciemności przeoczyli trzydzieści szafek z najcenniejszymi pieczęciami oraz dziesiątkami tysięcy złotych i srebrnych monet. Ciao. - Śmiejąc się, zniknęła za zasłoną.

Kiedy Ali zatrzasnął za nią drzwi, kilim na ścianie odsunął się na bok i przez otwór wszedł do pokoju mężczyzna.

Był wysoki, potężnie zbudowany i miał twarz cherubinka, która nie pasowała do reszty groźnej postaci, co wyglądało groteskowo, jakby jego ogoloną głowę przymocowano do niewłaściwego tułowia.

- Ostra kobieta - stwierdził.

- Carina Mechadi? - Ali wzruszył lekceważąco ramionami. - To tylko wścibska przedstawicielka UNESCO, której się wydaje, że może mną dyrygować.

Obcy zerknął w górę na monitor telewizyjny i uśmiechnął się figlarnie, gdy zobaczył, że hummer z Cariną i marines odjeżdża.

- Z tego, co usłyszałem, wynika, że robi to skutecznie.

Ali roześmiał się.

- Przeżyłem Saddama, to przeżyję i Amerykanów. Mężczyzna przeniósł wzrok z powrotem na Araba.

- Mam nadzieję, że twoje kłopoty nie skomplikują sprawy, o której diskutowaliśmy, zanim ta kobieta przerwała nam negocjacje.

- Niestety, tak.

- Co to znaczy?

- Jest problem.

Mężczyzna podszedł bliżej. Górował nad Irakijczykiem jak wieża.

- Jaki?

- Żeglarz został sprzedany komuś innemu.

- Kazaliśmy zabrać go z muzeum i zapłaciliśmy ci z góry. Przyjechałem do Bagdadu sfinalizować umowę.

- Tamten dał więcej. Zwrócę wam zaliczkę, spróbuję też namówić kupca, żeby odstąpił od transakcji, ale cena prawdopodobnie będzie wyższa, niż ustaliliśmy.

Spojrzenie mężczyzny, który wciąż się uśmiechał, zdawało się przewiercać Irakijczyka na wylot.

- Chyba nie próbujesz wyciągnąć ode mnie więcej forsy, co?

- Jeśli nie chcesz zrobić ze mną interesu, to trudno.

Ali nie ochłonął jeszcze po rozmowie z Cariną i złość osłabiła naturalną dla niego czujność cwaniaka - w przeciwnym razie wyczułby groźbę w cichym głosie mężczyzny, gdy ten powiedział:

- Muszę mieć Żeglarza.

Irakijczyk dopiero teraz zwrócił uwagę na zadziwiające wielkie dłonie mężczyzny i ciarki przeszły mu po plecach, ale zatuszował niepokój sztucznym uśmiechem.

- Tylko się z tobą drażniłem. To вина tej włoskiej suki. Połączę się przez radio z magazynem i każę przywieźć posąg.

Ruszył w stronę siedziska.

- Zaczekaj. - Ali przystanął w pół kroku, a mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy wziął radio, leżące na stoliku. - Tego szukasz?

Ali rzucił się w kierunku podwyższenia, wsunął rękę pod poduszkę i wyciągnął berettę z ukrycia.

Mężczyzna zareagował z szybkością polującego geparda - cisnął radio w bok, złapał Alego z tyłu za podbródek i zaczął obracać ramię. Broń wypadła handlarzowi z ręki, ciało wygięło się do tyłu jak podkowa na kowadle.

- Mów, gdzie jest Żeglarz. Jeżeli nie powiesz, złamię ci kręgosłup. Irakijczyk był twardzielem, ale niezbyt odważnym. Wystarczyło kilka sekund potwornego bólu, by uznał, że żadne dzieło sztuki nie jest warte jego życia.

- Dobra, powiem ci. - I podał miejsce.

Mężczyzna przestał obracać ramię, ból zelżał, a ręka Alego popęzła od razu w dół do pochwy

nad kostką, gdzie był sztylet. Zamysł, że zaszlachtuje tego drania jak świnie, nie miał szans powodzenia. Mężczyzna złączył wolną dłoń z ręką, którą trzymał go za podbródek, i zaczął zaciskać palce. Jednocześnie uniósł kolano i wbił mu w dół pleców.

- Co ty wyrabiasz? Myślałem, że mamy umowę - wykrztusił Ali.

Tracąc przytomność, usłyszał i poczuł głuchy trzask. Mężczyzna rozluźnił chwyt, głowa opadła Alemu na pierś jak szmacianej lalce. Kiedy osunął się na podłogę, mężczyzna przeszedł nad drgającym jeszcze ciałem i odsunął kilim na ścianie, który zasłaniał tylne drzwi budynku. Po chwili zniknął w labiryncie zaułków. Droga powrotna do hotelu zajęła mu czas niemal do świtu. Stał przy oknie, popatrzył na dymy nad zniszczonym miastem i zadzwonił z telefonu satelitarnego.

Natychmiast usłyszał melodyjny głos swojego dobroczyńcy:

- Czekam na wiadomość, Adriano.

- Przepraszam za spóźnienie. Były nieprzewidziane trudności. Opisał szczegółowo swoje spotkanie z Alim. Dobroczyńca zorientowałby się, gdyby kłamał lub koloryzował.

- Jestem bardzo zawiedziony, Adriano.

- Wiem. Ale miałem rozkaz nie dopuścić, żeby Żeglarz wpadł w obce ręce. To wydawało się jedynym sposobem.

- Postąpiłeś jak najbardziej słusznie, działając zgodnie z rozkazem. Najważniejsze, żebyśmy najpierw znaleźli eksponat. Czekaliśmy na to prawie trzy tysiące lat. Trochę więcej nie robi różnicy.

Odetchnął z ulgą. Wyszkolono go tak, by nie czuł bólu ani strachu, ale dobrze wiedział, co spotyka tych, którzy się narażają jego dobroczyńcy.

- Chce pan, żebym spróbował go wytropić?

- Nie. Postaram się jeszcze raz wykorzystać kanały międzynarodowe. Tam robi się dla ciebie zbyt niebezpiecznie.

- Zorganizowałem sobie wyjazd z tego kraju przez Syrię.

- Dobrze. - Na drugim końcu linii na chwilę zapadła cisza. - Ta kobieta, Carina Mechadi, może się przydać.

- Do czego?

- Zobaczymy, jak sprawy się potoczą. Połączenie zostało przerwane.

Adriano chwycił torbę podróżną i zamknął za sobą drzwi pokoju hotelowego. Był umówiony z przemytnikiem ropy, który obiecał wywieźć go z Iraku. Dbając zawsze o to, żeby nie zostawiać po sobie śladów, Adriano musiał go oczywiście wysłać do Allaha, kiedy tylko przekroczą granicę.

Uśmiechnął się, rozkoszując tym, co podsuwała wyobraźnia.

*Hrabstwo Fairfax, Wirginia, obecnie*

Czerwony kabriolet corvette zjechał z szosy, z głośników stereo ryczała salsa, jakby samochód był szafą grającą na kołach w Tijuanie. Auto pomknęło drogą dojazdową, biegnącą obok wiktoriańskiej rezydencji i trawników, które wyglądały jak przycięte nożyczkami do paznokci. Joe Zavala zaparkował przed ozdobnym budynkiem przystani rzecznej na brzegu Potomacu i już miał się wysunąć zza kierownicy, gdy usłyszał strzał.

Zavala, błyskotliwy konstruktor pojazdów podwodnych dla NUMA, zwykle nie nosił przy sobie nic bardziej zabójczego niż laptop. Ale lata pracy w Zespole Specjalnym Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych nauczyły go, że należy być przygotowanym na wszystko, jak mądrze mówią skauci. Sięgnął pod siedzenie, zacisnął palce na kaburze pistoletu i wyjął walthera PPK.

Wysiadł z samochodu, po czym skradając się jak myśliwy polujący na jelenie, okrążył przystań. Przywarł plecami do ściany i przesuwając się wolno do rogu, aż wyskoczył na otwartą przestrzeń z bronią w wyciągniętych rękach.

Na brzegu rzeki stał tyłem do niego barczysty mężczyzna w jasnobrązowych szortach i białym T-shircie. W opuszczonej ręce trzymał pistolet i przyglądał się uważnie papierowej tarczy przypiętej do drzewa. W powietrzu wisiała chmura purpurowego dymu. Mężczyzna zdjął z uszu ochraniacze akurat w tym momencie, kiedy Zavala nadepnął na gałązkę. Usłyszał trzask, odwrócił się i zobaczył Zavalę, wyłaniającego się zza rogu z bronią w dłoniach.

Kurt Austin, szef Zawali i Zespołu Specjalnego NUMA, roześmiał się.

- Wybierasz się na indyki, Joe?

Zavala opuścił pistolet, podszedł do drzewa i spojrzał na tarczę. Otwór po pocisku widniał nieco w bok od jej środka.

- To ty powinieneś polować na indyki, snajperze.

Austin zdjął żółte gogle ochronne i popatrzył na Zavalę niebieskimi oczami o barwie koralowca pod wodą.

- Na razie zostanę przy nieruchomych celach. - Zerknął na broń Zawali. - Co to za akcja w stylu SWAT?

Zavala wetknął pistolet za pasek spodni.

- Nie wiedziałem, że zamieniłeś swoją drogą nadrzeczną posiadłość w strzelnicę.

Austin zdmuchnął dym z wylotu lufy, jak rewolwerowiec, który pokonał przeciwnika.

- Nie mogłem się doczekać wypróbowania nowej zabawki. Wręczył Zawali skałkowy pistolet pojedynkowy. Joe obejrzał łożę z drewna orzechowego i grawerowaną ośmioboczną lufę. Uniósł broń.

- Dobrze wyważona. Ile ma lat?

- Została zrobiona w 1785 roku przez londyńskiego rusznikarza Roberta Wogdona. Konstruował

jedne z najcelniejszych pistoletów pojedynkowych tamtych czasów. Taką broń sprawdza się, trzymając w opuszczonej, wyprostowanej ręce. Potem szybko ją unosisz tylko na tak długo, żeby wziąć cel na muszkę i oddać strzał. Powinieneś wtedy trafić.

Zavala wycelował w inne drzewo i mlasnął językiem, imitując wystrzał.

- Trafiłeś w dziesiątkę - powiedział Austin. Zavala oddał mu broń.

- Chyba mówileś, że w swojej kolekcji pistoletów masz już wszystko?

Austin wzruszył ramionami.

- To wina Rudiego.

Rudi Gunn był wicedyrektorem NUMA.

- Powiedział tylko, żebyśmy się odprężyli po naszym ostatnim zadaniu - przypomniał Zavala.

- No właśnie. Bezczytność jest niebezpieczna dla kolekcjonera. - Austin oderwał od drzewa tarczę i wetknął do kieszeni. - Co cię sprowadza do Wirginii? W Waszyngtonie zabrakło dla ciebie kobiet?

Uroczy, przystojny, ciemnowłose Zavala miał powodzenie u płci pięknej w stolicy. Kąciki jego ust uniosły się lekko w charakterystycznym uśmiechu.

- Nie powiem, że żyję jak mnich, bo byś mi nie uwierzył. Wpadłem pokazać ci projekt, nad którym zacząłem pracować kilka miesięcy temu.

- Projekt S? Proponuję, żebyś wprowadził mnie w szczegóły przy piwie.

Włożył sprzęt strzelecki do torby, zawinął pistolet w miękką ściereczkę i wszedł pierwszy po schodach na szeroki taras z widokiem na rzekę.

Austin kupił przystań w pobliżu Langley, kiedy pracował w tajnej sekcji wywiadu podwodnego CIA. Nie mógł sobie pozwolić na taki wydatek, ale panorama Potomacu przesądziła sprawę i wytargował korzystną cenę, bo budynek był w ruinie. Remont i przeróbki pochłonęły tysiące dolarów i wymagały niezliczonych godzin pracy, ale zniszczony obiekt stał się wygodnym domem, gdzie mógł odetchnąć od codziennych obowiązków zawodowych.

Wyjął z lodówki dwa zimne *tecate*, wyszedł na taras i podał Zawali jedną butelkę. Stuknęli się, pociągając po łyku meksykańskiego piwa. Joe wyciągnął z kieszeni wydruk komputerowy, rozłożył na stole i wygładził dłonią.

- Co myślisz o moim nowym „mokrym” pojeździe podwodnym? Podczas nurkowania „mokrym” pojazdem podwodnym pilot i pasażer musieli korzystać z akwalungów, siedzieli bowiem na zewnątrz, zamiast w zamkniętym kokpicie. „Mokre” pojazdy przypominały zwykle wyglądem ich „suche” odpowiedniki. Na jednym końcu kadłuba w kształcie torpedy były pędniki, na drugim miejsce dla pilota.

Pojazd skonstruowany przez Zavalę miał długą opadającą maskę, zwężający się bagażnik, przednią szybę zachodzącą na boki, podwójne reflektory, białe zaokrąglone płaszczyzny po obu stronach, dwukolorowe wnętrze i cztery pędniki zamiast kół.

Austin odchrząknął.

- Gdybym nie wiedział, że to pojazd podwodny, przysięgłbym, że to corvette rocznik '61. Konkretnie twoja corvette.

Zavala ścisnął podbródek między kciukiem a palcem wskazującym.

- Mam czerwoną, a ta jest turkusowa.

- Wygląda na szybką - ocenił Austin.

- Mój samochód rozpędza się od zera do setki w około sześciu sekund. Ten pojazd jest trochę

wolniejszy. Ale będzie się poruszać na wodzie i pod wodą oraz pokonywać zakręty, jakby ich w ogóle nie było. Zrobi wszystko to co samochód, z wyjątkiem palenia gum.

- Dlaczego odszedłeś od bardziej konwencjonalnych modeli w kształcie spodka, torpedy czy owalu?

- Pomijając fakt, że to jest wyzwanie, chciałem zbudować coś, co da mi frajdę z jazdy w czasie pracy.

- Będzie działać?

- Testy w terenie poszły dobrze. Skonstruowałem też platformę do transportu, wodowania i wyławiania pojazdu. Prototyp jest w drodze do Turcji. Lecę tam za tydzień pomóc w podwodnych wykopaliskach archeologicznych w starym zatopionym porcie, który odkryto w Stambule.

- Tydzień powinien nam wystarczyć aż nadto.

- Na co? - zapytał ostrożnie Zavala.

Austin podał mu magazyn naukowy, otwarty na artykule o pracy statku do odciągania na holu gór lodowych, zagrażających nowofundlandzkim platformom wiertniczym.

- Co ty na to, żebyśmy wybrali się razem w rejs korytarzem gór lodowych?

Zavala popatrzył na artykuł.

- Sam nie wiem, Kurt. Zdaje się, że tam jest strasznie zimno. *Cabo* byłoby bardziej odpowiednie dla ciepłokrwistego Amerykanina meksykańskiego pochodzenia jak ja.

Austin spojrzał na niego z dezaprobatą.

- Daj spokój, Joe. Co byś robił w *Cabo*? Leżał na plaży i popijał margaritę albo patrzył na zachód słońca, obejmując jakąś piękną *senioritę*. Stale to samo. A gdzie twoje zamiłowanie do przygód?

- Dla ścisłości, przyjacielu, zamierzałem patrzeć na wschód słońca, śpiewając mojej *senioricie* piosenki o miłości.

- Kusiłbyś los. - Austin parsknął. - Nie zapominaj, że słyszałem, jak śpiewasz.

Zavala nie miał złudzeń co do swoich umiejętności wokalnych. Fałszował.

- Masz rację. - Westchnął, kiwając głową.

- Nie chcę cię namawiać, Joe. - Kurt wziął magazyn.

- To coś nowego. - Zavala wiedział z doświadczenia, że jego kolega nie namawia; on naciska.

Austin uśmiechnął się.

- Jeśli jesteś zainteresowany, potrzebuję szybkiej decyzji. Wyjechalibyśmy jutro. Właśnie dostałem zgodę. Co na to powiesz?

Zavala wstał, zbierając plany swojego pojazdu podwodnego.

- Dzięki za piwo.

- Dokąd idziesz?

- Do domu. Żebym zdążył zapakować flanelowy ochraniacz na genitalia i butelkę tequili.



*Okolice Maaribu, Jemen*

- Tam w dole, panie, jest grobowiec królowej.

Pomarszczony Beduin dziobał kościstym palcem powietrze, wskazując szczelinę w porowatym zboczu wapiennego wzgórza. Miała około metra szerokości i jakieś sześćdziesiąt centymetrów wysokości. Nierówne krawędzie warstw skalnych powyżej i poniżej otworu przypominały wargi pacjenta z ciężkim przypadkiem wrzodziejącego zapalenia jamy ustnej.

Anthony Saxon opuścił się na czworaki i zajrzał do dziury. Pozbył się myśli o jadowitych wężach i pajakach, odwinął turban i ściągnął beżową pustynną szatę, pod którą miał szorty i koszulę. Skierował snop światła latarki w ciemność i wziął głęboki oddech.

- Wchodzę do króliczej nory - zażartował beztróska.

Wsunął się do otworu, wyginając niczym salamandra swoją chudą postać o wzroście metr osiemdziesiąt, i zniknął z widoku. Korytarz opadał jak zsyp do węgla. Saxon przeżył chwilę klaustrofobicznej paniki, gdy tunel się zwężił. Wyobraził sobie, że w nim utknie, ale przecisnął się przez wąski odcinek skoordynowanymi ruchami rąk i nóg.

Gdy korytarz znów się rozszerzył, Saxon, czując ulgę, przeczołgał się jeszcze jakieś pięć metrów i wydostał z tunelu. Uważając, by nie uderzyć głową w niskie sklepienie, podniósł się wolno, wyprostował i poświecił dookoła latarką.

Zobaczył spojone zaprawą kamienne bloki, które tworzyły ścianę prostokątnego pomieszczenia wielkości garażu na dwa samochody. W przeciwległej ścianie widniał otwór z kroksztynowym łukiem o wysokości około półtora metra. Saxon dał nura do dziury, przeszedł korytarzem jakieś piętnaście metrów i znalazł się w wąskim pomieszczeniu, mniej więcej o połowę mniejszym od pierwszego.

Wszechobecny kurz był przyczyną silnego ataku kaszlu Saxona. Dopiero po chwili zauważył, że w pomieszczeniu jest tylko drewniany sarkofag, przewrócony na bok. Wieko leżało kilkadziesiąt centymetrów od antycznej trumny, z której do połowy wystawała ludzka mumia. Zaklął pod nosem. Spóźnił się o całe wieki. Złodzieje okradający grobowce ogołocili to miejsce z cennych rzeczy setki lat przed jego urodzeniem.

Wieko sarkofagu zdobiły malowidła, przedstawiające urodziwą dziewczynę, zapewne nastolatkę. Miała wielkie, ciemne oczy, pełne wargi i czarne włosy związane z tyłu. Wyglądała na pełną życia. Saxon delikatnie włożył ciało z powrotem do trumny. Spreparowane zwłoki przypominały w dotyku worek suchych patyków. Ustawił sarkofag prosto i położył na wierzchu wieko.

Oświetlając latarką ściany grobowca, odczytał litery wyryte w kamieniu. Słowa tworzyły arabski epigraf z I wieku n.e. Tysiąc lat różnicy.

- Bzdety - mruknął i poklepał wierzch sarkofagu. - Śpij dobrze, kochanie. Przepraszam za najście.

Obrzucił grobowiec ostatnim smutnym spojrzeniem i wrócił korytarzem do wylotu pochyłego

tunelu. Pokonywał z wysiłkiem zwężenie, aż wygramolił się zakurzony ze szczeliny na trzydziestoośmiostopniowy upał. Miał podarte spodnie, krwawiły mu otarte łokcie i kolana.

Beduin patrzył na niego wyczekująco.

- Bilkis? - zapytał.

Anthony Saxon wybuchnął śmiechem.

- Pudło.

Beduin spochmurniał.

- Nie ma królowej?

Saxon przypomniał sobie portret na sarkofagu.

- Najwyżej księżniczka. Ale nie moja królowa Saby.

U stóp wzgórza rozległ się klakson. Mężczyzna stojący przy starym zdezelowanym land-roverze trzymał jedną rękę w aucie, drugą wykonywał przywołujące gesty. Saxon pomachał do niego, włożył pustynną szatę oraz turban i ruszył w dół zbocza. Mężczyzna, który trąbił z wysmaganego piaskiem samochodu, był Arabem o arystokratycznym wyglądzie. Jego górną wargę zasłaniały bujne wąsy.

- Co jest, Mohammed? - zagadnął Saxon.

- Czas jechać. Mamy złe towarzystwo.

Wskazał lufą kałasznikowa punkt oddalony o jakiś kilometr. Zbliżający się pojazd wzbijał tuman pyłu.

- Skąd wiesz, że to złe towarzystwo? Arab odsłonił w uśmiechu złote zęby.

- Tu jest tylko złe towarzystwo. - Bez dalszych wyjaśnień usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

Saxon nauczył się szanować umiejętność Mohammeda utrzymywania go przy życiu na jemeńskiej prowincji rodem jakby z Dzikiego Zachodu. Wyglądało na to, że każdy lokalny kacyk, żądny łupów i krwi ma prywatną armię zabijaków.

Wsiedli do samochodu, Saxon zajął miejsce pasażera, Beduin władował się do tyłu. Mohammed wcisnął gaz. Land-rover wyrzucił spod kół kurz i piasek. Kierowca zmienił bieg. Jakimś cudem udawało mu się prowadzić i jednocześnie trzymać broń.

Mohammed, patrząc stale w lusterko wsteczne, po kilku minutach poklepał deskę rozdzielczą, jakby to był kark wiernego wierzchowca.

- W porządku - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Znalazł pan swoją królową?

Saxon pokręcił głową, opowiedział mu o sarkofagu i mumii młodej dziewczyny.

Mohammed wskazał kciukiem Beduina na tylnym siedzeniu.

- Mówiłem panu. Ten syn wielbłąda, tak jak całe jego plemię, to oszuści.

Myśląc, że jest chwalony, Beduin odpowiedział bezzębnym uśmiechem.

Saxon westchnął i popatrzył na pustynny krajobraz. Miejsca się zmieniały, ale sytuacja była zawsze taka sama. Zwykle jakiś lokalny kanciarz zapewniał go z radosnym podnieceniem, że grobowiec królowej, którego szuka, jest dosłownie o krok. Dokonywał więc karkołomnego wysiłku, wchodząc do starożytnej nekropolii, splądrowanej przez przodków kanciarza setki lat temu. Nie potrafiłby zliczyć mumii, które widział do tej pory. Poznał też mnóstwo miłych ludzi. Żałował, że wszyscy nie żyją.

Wygrzebał z kieszeni szortów kilka riali i wręczył monety Beduinowi, a ten, zachwycony, zaproponował mu pokazanie grobowca innej królowej, jednak Saxon odmówił.

Mohammed wysadził koczownika przy skupisku pustynnych namiotów i pojechał do starego miasta Maarib. Saxon mieszkał w hotelu Ogród Dwóch Rajów. Zaprosił Araba do siebie nazajutrz

rano, żeby ułożyć plan działania.

Wziął gorący prysznic, włożył luźne bawełniane spodnie i koszulę, po czym zszedł na dół do holu. W ustach miał taki smak, jakby zjadł kilogram pustynnego piasku. Usiadł przy barze i zamówił martini Bombay Sapphire. Słodki drink splukał mu pył z gardła.

Wdał się w pogawędkę z dwoma bufonami z koncernu naftowego w Teksasie. Drugie martini podniosło go na duchu. Jeden z nafcjarzy zapytał go, co robi w Maaribie.

Mógł powiedzieć, że jest na ostatnim etapie skazanych na niepowodzenie poszukiwań grobowca królowej Saby wśród ruin starego Maaribu gdzie podobno rezydowała. Zamiast tego odpowiedział:

- Badam tutejszą wodę.

Nafcjarze wymienili zdziwione spojrzenia, potem ryknęli śmiechem. Zanim poszli do swoich pokoi, postawili Saxonowi trzecie martini.

Był w tym cudownym stanie, jaki wywołuje alkoholowa mgielka zasnuwająca umysł, gdy do baru przyczłapał stary portier i wręczył mu kartkę hotelowego papieru listowego z krótką wiadomością:

*„Myślę, że mogę Pana przedstawić człowiekowi morza. Jeśli nadal jest Pan zainteresowany poznaniem go, proszę dać mi jak najszybciej znać”.*

Saxon zamrugał, żeby wyraźniej widzieć, i przeczytał jeszcze raz. Informację przysłał niejaki Hassan, kairski wyszukiwacz antyków. Saxon rozmawiał z nim przez telefon przed przyjazdem do Jemenu. Nabazgrał u dołu kartki odpowiedź, dał ją portierowi wraz z napiwkami i poprosił o transport na rano. Potem zamówił pierwszy z kilku dzbanków mocnej kawy i zajął się trzeźwieniem.

Zavala miał już spakowany worek marynarski i był gotowy do wyjścia, kiedy Austin zajechał przed budynek dawnej biblioteki w Alexandrii w Wirginii, który jego przyjaciel przerobił na garsonierę. Złapali poranny samolot Air Canada i późnym popołudniem, po postoju w Montrealu, wylądowali w Saint John's na Nowej Fundlandii.

Taksówka zawiozła ich na ruchliwe nabrzeże, gdzie stał przycumowany „Leif Eriksson”. Solidny statek o wyporności czterech tysięcy sześciuset ton miał niecałe pięć lat, osiemdziesiąt dwa metry długości i wzmocniony kadłub dla ochrony przed krą na północnym Atlantyku.

Kapitan, rodowity Nowofundlandczyk nazwiskiem Alfred Dawe, znał godzinę ich przylotu i czekał na nich przy relingu. Kiedy weszli po trapie, przedstawił się i powiedział:

- Witam na pokładzie „Leifa Erikssona”. Austin uściśnął mu mocno dłoń.
- Kurt Austin. Dzięki, że zgodził się pan nas zabrać, kapitanie. To mój kolega Joe Zavala. Jesteśmy pańskimi nowymi łowcami gór lodowych.

Dawe był krępy męczyzną po pięćdziesiątce. Lubił opowiadać, że przyszedł na świat w miejscu o żalostnej nazwie „Zatoczka Nieszczęścia”, a jego rodzina jest taka głupia, że wciąż tam mieszka. W jasnynieczkich oczach Nowofundlandczyka czaiła się chłopięca figlarność, na jego rumianej twarzy łatwo gościł szeroki uśmiech i wtedy pojawiały się na niej dołeczki. Miał poczucie humoru i pogodny usposobienie, a przy tym był doskonałym kapitanem z wieloletnim doświadczeniem w żegludze po nieprzyjaznych wodach północno-zachodniego Atlantyku. Często spotykał statki badawcze NUMA z kadłubami w charakterystycznym turkusowym kolorze i wiedział, że amerykańska agencja jest najbardziej szanowaną organizacją oceanograficzną na świecie.

Kiedy zatelefonował Austin i poprosił o zabranie jego i kolegi w rejs, zapytał armatora, czy może wziąć na pokład pasażerów. Dostał zgodę, oddzwonił do Austina i podał mu datę następnego wyjścia statku w morze.

Dawe bardzo chciał poznać dwóch przedstawicieli NUMA, odkąd Austin przefaksował mu ich życiorysy. Austinowi zależało na tym, by kapitan wiedział, iż oni nie są szczurami lądowymi ani dyletantami, których trzeba będzie ciągle pilnować w obawie, że wypadną za burtę.

Kapitan dowiedział się, że Austin jest absolwentem Uniwersytetu Waszyngtońskiego, ma kwalifikacje nurka o różnych specjalnościach i zna się doskonale na ratownictwie morskim. Na długo przed tym, zanim były dyrektor NUMA admirał James Sandecker ściągnął go z CIA, Austin pracował na platformach wiertniczych na Morzu Północnym i w firmie ratownictwa morskiego swojego ojca z siedzibą w Seattle.

Z życiorysu Zavali wynikało, że ukończył z wyróżnieniem Wyższą Szkołę Morską w Nowym Jorku, spędził setki godzin za sterami wszystkiego, co się porusza na powierzchni morza, nad nią lub pod nią, i jest bardzo zdolnym konstruktorem pojazdów podwodnych.

Inżynierowie z NUMA, którzy mieli imponujące osiągnięcia zawodowe, zaintrygowali kapitana,

kiedy poznał ich osobiście. Obaj sprawiali wrażenie raczej zawadiackich dżentelmenów niż naukowców, których się spodziewał. Dobrymi manierami nie mogli zamaskować tego, że są ostrymi twarżkami i mają tupet.

Nie byli też ułomkami. Barczysty, potężnie zbudowany Austin z przedwcześnie posiwiął, niemal białą czupryną miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, same mięśnie bez grama tłuszczu i ważył około dziewięćdziesięciu kilogramów. Ciemna opalenizna na twarzy o wyrazistych rysach zdradzała, że dużo przebywa na powietrzu. Morski wiatr i słońce nadały jego skórze metaliczny połysk. Wokół oczu o barwie koralowca tworzyły się bruzdy mimiczne, a spokojne inteligentne spojrzenie sugerowało, że ten człowiek widział już wiele i nic go nie zaskoczy.

Zavala był kilka centymetrów niższy i również dobrze umięśniony. Poruszał się z kocią zwinnością matadora, co pozostało mu z czasów college'u, kiedy boksował zawodowo w wadze średniej. Pokonywał przeciwników kombinacją ciosów prawa kontra - lewy sierpowy. Z urodą gwiazdora filmowego i atletyczną budową wyglądał jak bohater opowieści o piratach.

Kapitan zaprowadził gości do małej, ale wygodnej kajuty.

- Mam nadzieję, że nie zajęliśmy czyjś miejsca. - Austin rzucił worek marynarski na koję.

Dawe pokręcił głową.

- W ten rejs wypływa tylko dwunastoosobowa załoga. Jest dwóch marynarzy mniej niż normalnie.

- W takim razie chętnie ich zastąpimy - powiedział Zavala.

- Liczę na to, panowie.

Obejrżeli statek od dziobu do rufy, potem wspięli się na mostek, gdzie kapitan wydał rozkaz wyjścia w morze. Załoganci oddali cumy i „Leif Eriksson” opuścił port w Saint John's. Kiedy przepłynął między Fort Amherst a cyplem Point Spear, najdalszym północno-wschodnim krańcem Ameryki Północnej, skierował się na północ wzdłuż wybrzeża Nowej Fundlandii pod grubą warstwą ciemnoszarych chmur.

Na pełnym morzu, gdy płynął już swoim kursem, Dawe przekazał dowodzenie pierwszemu oficerowi i rozłożył na stole nawigacyjnym zdjęcie satelitarne.

- W ciepłych miesiącach dostarczamy żywność i sprzęt platformom wiertniczym. Od lutego do lipca szukamy dużych gór lodowych, które dryfują z Morza Baffina. - Postukał palcem wskazującym w zdjęcie. - Stąd bierze się ich większość na północnym Atlantyku. Dziewięćdziesiąt procent nowofundlandzkich gór lodowych pochodzi z blisko stu lodowców w zachodniej części Grenlandii.

- Jak to się przekłada na liczbę gór lodowych? - zapytał Austin.

- Oceniam, że na Grenlandii tworzy się ich nie mniej niż czterdzieści tysięcy, średnich i dużych. Tylko niewielka część dociera tak daleko na południe. Do korytarza gór lodowych, leżącego na czterdziestym ósmym stopniu szerokości geograficznej północnej, w górę od Saint John's, dopływa od czterystu do ośmiuset. Dryfują mniej więcej przez rok po powstaniu, a potem dostają się Cieśniną Davisa w prąd labradorski.

- Którędy prowadzą szlaki żeglugowe - dodał Austin.

Dawe uśmiechnął się.

- Odrobił pan pracę domową. Rzeczywiście. Tam się zaczynają kłopoty. Między Kanadą, Stanami a Europą stale kursują statki. Armatorzy chcą, żeby rejsy były krótkie i ekonomiczne. Statki przepływają na południe od granicy występowania znanych gór lodowych.

- Właśnie tam „Titanic” napotkał nieznaną górę lodową - przypomniał Austin.

Z twarzy Dawe'a zniknął sympatyczny uśmiech.

- Tu często się myśli o „Titanicu”. Jego katastrofa stale przypomina, że nieumiejętna żegluga może być biletem w jedną stronę na dno morza. Wrak „Titanica” spoczywa niedaleko Grand Banks, gdzie prąd labradorski łączy się z zatokowym. Jedenastostopniowa różnica temperatury wody powoduje, że tworzy się mgła, gęsta jak wata stalowa. Cyrkulacja w oceanie na tym obszarze też jest dość skomplikowana.

- Przy takiej pracy pewnie czasami jeżą się panu włosy na głowie - powiedział Austin.

- Szkoda że nie ma czegoś dla łysych, co mógłbym wlać do butelki. Góra lodowa potrafi wędrować po oceanie jak pijany w drodze do domu. Północnoatlantyckie góry lodowe poruszają się najszybciej ze wszystkich na świecie, z prędkością do siedmiu węzłów. Na szczęście, mamy pomoc. Międzynarodowe patrole lodowe dokonują regularnych lotów, przepływające statki śledzą góry lodowe. Współpracujemy też z eskadrą małych samolotów obserwacyjnych, wynajętych przez koncerny naftowe i gazowe.

- Skąd wziął się pomysł holowania gór lodowych? - dociekał Zawała.

- Próbowaliśmy je przesuwac przy użyciu armatek wodnych. To się udaje z „kibłami”, bryłami lodu mniej więcej wielkości fortepianu. Ale nie ma odpowiednio dużych węży, żeby przemieścić górę lodową o wadze pięciuset tysięcy ton. Najlepiej wychodzi przeciąganie ich na cieplejsze wody.

- Ile gór lodowych łapiecie na łąso? - zażartował Austin.

- Dwadzieścia do trzydziestu. Tylko takie, które zagrażają platformom wiertniczym. Kiedy statek usłyszy ostrzeżenie o górze lodowej, może zmienić kurs. Platforma za pięć miliardów dolarów nie ma takiej szansy. Pływające platformy mogą się przemieszczać, ale to trwa. Kilka lat temu o mało nie doszło do kolizji, kiedy górę lodową zauważono dopiero wtedy, gdy była sześć mil morskich od platformy. Zabrakło już czasu na odholowanie góry i ewakuację platformy. W ostatniej chwili odciągnęły ją statki zaopatrzeniowe. Góra lodowa przeszła dokładnie nad szybem.

- Nie do uwierzenia, że przy obecnych możliwościach monitoringu zobaczono ją tak późno. - Austin pokręcił głową.

- Jak mówiłem, góry lodowe potrafią nieoczekiwanie zmieniać kurs, zależnie od ich kształtu, wielkości i wiatru. Tamta się nam wymknęła. Teraz będziemy wypatrywać takiej, która została zauważona kilka dni temu, a potem zniknęła we mgle. Nazwałem ją Moby Berg.

- Miejmy nadzieję, że nie będziemy, jak kapitan Ahab, ścigać białego wieloryba - powiedział Austin.

- Wolalbym białego wieloryba niż górę lodową - odparł Dawe.

- A przy okazji, wiecie, dlaczego Nowofundlandczycy lubią jeździć samochodami w zimie?

Austin i Zawała wymienili zdziwione spojrzenia, nie rozumiejąc tej nagłej zmiany tematu.

- Bo śnieg wypełnia dziury na drogach! - Dawe uśmieł się do łez. Znał nieskończenie wiele nowofundlandzkich dowcipów i przy kolacji sypał nimi jak z rękawa.

Kucharz okrętowy podał posiłek godny pięciogwiazdkowej restauracji. Kiedy zajadali krwisty rostbef z konserwową fasolką szparagową i piure ziemniaczanym z czosnkiem i gęstym sosem pieczeniowym, kapitan zabawiał ich kawałami ze swojego repertuaru. Znosili to, dopóki mogli, w końcu mieli dosyć, przeprosili i wyszli.

Gdy następnego dnia wczesnym rankiem wspięli się na mostek, kapitan najwyraźniej im współczuł. Darował sobie dowcipy i nalał im kubki gorącej kawy.

- Płyniemy w dobrym tempie. Widać już mnóstwo „kibli”. A to nasz pierwszy „burger”. Wskazał górę lodową z prawej burty jakieś ćwierć mili morskiej od dziobu.

- Jeszcze nie widziałem takiego dużego hamburgera - powiedział Austin.
- To nic w porównaniu z tym, co zobaczymy później - mówił Dawe.
- Za górę lodową uważa się bryłę, która wystaje sześć metrów nad powierzchnię wody i ma piętnaście metrów długości. Mniejsze kawałki lodu to „kible” albo „burgery”.
- Wygląda na to, że będziemy musieli się tutaj nauczyć całkiem nowego słownictwa - zauważył Zavala.

Dawe przytaknął.

- Witam w korytarzu gór lodowych, panowie.

Saxon wypożyczył samochód w kairskim porcie lotniczym i zagłębił się w komunikacyjny chaos, jakim jest ruch uliczny w starożytnym mieście piramid. Kakofonia klaksonów, duszący kurz i spaliny były silną odtrutką na uczucie wyizolowania po tygodniach podróży przez jemeńskie pustynie.

Dojechał na obrzeża Kairu i zaparkował na Sharia Sudan. Od strony pobliskiego ogrodzonego terenu, Suk al Gamaal, starego kairskiego targu wielbłądów, dochodziły odór jak z obory i nie ludzkie odgłosy. Zagrody otaczały kiedyś zielone pola, teraz wyrosły wokół bloki mieszkalne.

Zaproponował spotkanie tu dla własnego bezpieczeństwa. Chciał się zobaczyć z Hassanem w miejscu publicznym. Poza tym atmosfera pełnej łajna oazy starego Egiptu przemawiała do jego poczucia dramatyzmu.

Uiścił niewielką opłatę za wstęp, pobieraną od obcokrajowców, i poszedł spacerkiem między zagrodami. Setki wielbłądów z Sudanu czekał transport do rzeźni lub jeszcze gorszy los, jakim jest wożenie otyłych turystów do piramid.

Przystanął, żeby popatrzeć na stawiającego opór dromadera, którego ładowano na pikapa, gdy poczuł delikatne szarpnięcie za rękę. Jego uwagę próbował zwrócić jeden z umorusanych łobuziaków, żebrzących na targu o bakszysz.

Saxon powiódł wzrokiem za wyciągniętym palcem chłopca. Pod prowizorycznym zadaszaniem, obok grupki targujących się kupców wielbłądów stał jakiś mężczyzna. Saxon dał dzieciakowi jałmużnę, po czym ruszył przez plac. Mężczyzna miał cerę koloru kawy z mlekiem, jak wielu miejscowych, oraz starannie przyciętą brodę. Nosił myckę z dzianiny i białą galabiję, ulubiony strój wielu Egipcjan.

- *Sabaah ilkheer* - powiedział Saxon. - Dzień dobry.

- *Sabaah innuur*, panie Saxon. Nazywam się Hassan.

- Dziękuję za przyjście.

- Chce pan ubić interes? - zapytał Hassan od razu, co powinno wzbudzić czujność Saxona. Egipcjanie lubią posiedzieć przy herbacie, zanim przejdą do rzeczy. Ale niecierpliwość wzięła w nim górę nad ostrożnością.

- Podobno może mi pan pomóc odnaleźć pewien zaginiony przedmiot.

- Być może. Jeśli pan za to zapłaci.

- Zapłacę, jeżeli usłyszę rozsądną cenę. Kiedy mogę zobaczyć ten przedmiot?

- Mogę go panu pokazać teraz. Mam tu samochód. Chodźmy.

Saxon zawahał się. Wiedział, że część kairskiego podziemia przestępczego ma powiązania z podejrzanymi ugrupowaniami politycznymi. Pomyślał, że lepiej odmówić Hassanowi, zanim odda się w ręce obcego.

- Pojedźmy do Fishawiego. - Zaproponował popularny lokal na świeżym powietrzu w pobliżu głównego kairskiego bazaru i najstarszego meczetu w mieście. - Porozmawiamy i poznamy się.



Hassan zmarszczył brwi.

- Tam jest strasznie dużo ludzi.

- Wiem.

Poprowadził Saxona do białego zdezelowanego fiata, zaparkowanego przy krawężniku przed bazarem, i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Pojadę za panem moim samochodem - oświadczył Saxon.

Kiedy usiadł za kierownicą wypożyczonego auta i włożył kluczyk do stacyjki, nagle obok niego zatrzymał się z piskiem opon jakiś samochód; wyskoczyli dwaj mężczyźni w czarnych garniturach i władowali się do jego wozu. Jeden usiadł z przodu, drugi z tyłu. Obaj wycelowali pistolety w głowę kierowcy.

- Jedź - rozkazał ten na przednim siedzeniu pasażera.

Saxonowi przeszły ciarki po plecach, ale zareagował z typowym dla siebie spokojem. Będąc badaczem i poszukiwaczem przygód, nieraz znajdował się w niebezpieczeństwie. Włączył silnik i nie zadając żadnych pytań, ruszył za fiatem Hassana, jak mu kazano.

Samochód jechał przez zatłoczone miasto w kierunku cytadeli, kompleksu meczetów i budynków wojskowych. Saxon pomyślał sobie, że cała armia nie znajdzie go w labiryncie wąskich uliczek wokół cytadeli.

Fiat zatrzymał się przed wejściem do jakiegoś niczym nieróżniącego się od innych domu, tyle że szyld nad drzwiami w języku arabskim i angielskim informował, iż to posterunek policji.

Hassan oraz jego ludzie wyciągnęli Saxona z auta i powlekli mrocznym korytarzem do małego pokoju bez okien, gdzie cuchnęło potem i dymem papierosowym. Stały tam tylko dwa krzesła i metalowy stół; pomieszczenie oświetlała pojedyncza żarówka pod sufitem.

To, że znalazł się w takim miejscu, Saxonowi raczej nie poprawiło nastroju; wiedział, iż w Egipcie często bywa tak, że zatrzymani już nie wychodzą z posterunków policji.

Kazano mu usiąść, odebrano portfel i pozostawiono samego. Po kilku minutach wrócił Hassan z brzuchatym mężczyzną o przerzedzonych siwych włosach, z papierosem w grubych wargach. Grubas rozpiął przyciasną marynarkę, sadowiąc się na krześle naprzeciwko Saxona. Zdusił papierosa w popielniczce pełnej niedopałków, strzelił palcami i Hassan podał mu portfel Saxona. Mężczyzna otworzył go tak, jakby miał przed sobą rzadki egzemplarz książki.

Spojrzał na dowód tożsamości w środku.

- Anthony Saxon - przeczytał głośno.

- Zgadza się - przytaknął Saxon. - A pan?

- Inspektor Sharif. Szef tego posterunku.

- Mogę spytać, dlaczego zostałem zatrzymany, inspektorze?

Sharif rzucił portfel na stół.

- Ja tu zadaję pytania. Saxon skinął głową.

Inspektor wskazał kciukiem Hassana.

- Po co chciał się pan spotkać z tym człowiekiem?

- Nie chciałem. Rozmawiałem z kimś o nazwisku Hassan. To najwyraźniej nie on.

Sharif chrząknął.

- Zgadza się. To funkcjonariusz Abdul. Dlaczego chciał się pan zobaczyć ze złodziejem, Hassanem?

- Miałem nadzieję, że doprowadzi mnie do eksponatu skradzionego z muzeum w Bagdadzie.

- Więc chciał pan zdobyć skradzioną rzecz.

- Zwróciłbym ją muzeum. Hassan to potwierdzi. Może pan z nim porozmawiać.

Sharif zerknął znacząco na Abdula.

- Nie mogę. Hassan nie żyje.

- Nie żyje? Rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon. Co się stało?

Inspektor wpatrywał się w Saxona.

- Został zamordowany. Na pewno nic pan o tym nie wie?

- Na pewno.

Sharif zapalił cleopatra i wypuścił nozdrzami dwie smugi dymu.

- Wierzę panu - odparł. - Teraz może pan pytać.

- Skąd wiedzieliście, że byłem umówiony z Hassanem?

- To proste. Znaleźliśmy pańskie nazwisko w jego notesie. Z datą i miejscem spotkania. Jest pan

bardzo znanym pisarzem. Wszyscy czytają pańskie książki.

Saxon uśmiechnął się blado.

- Nie tyle ludzi, ile bym chciał.

Inspektor wzruszył ramionami.

- Dlaczego sławnego pisarza interesował jakiś złodziej?

Saxon wątpił, żeby Sharif zrozumiał jego obsesję, która skłoniła go do podróży przez Europę, Bliski Wschód i Amerykę Południową w poszukiwaniu rozwiązania jednej z zagadek przeszłości.

Czasami on sam siebie nie rozumiał. Dobrał starannie słowa:

- Liczyłem na to, że Hassan pomoże mi odnaleźć pewną kobietę.

- Ach, tak. - Inspektor odwrócił się do Abdula. - Kobietę.

- Hassan miał antyk, który mógłby mi pomóc w pisaniu książki i scenariusza do filmu o królowej Saby.

Wyjaśnienie rozczarowało Sharifa.

- Martwą kobietę.

- Martwą a jednak żywą. Jak Kleopatra.

- Kleopatra była wielką królową.

- Władczyni Saby też. I bardzo piękną.

Drzwi się otworzyły i wszedł jakiś mężczyzna. Miał na sobie jasnooliwkowy garnitur, spodnie zaprasowane w kant. W przeciwieństwie do grubego inspektora był szczupły i wysoki. Sharif podniósł się z krzesła i stanął na baczność.

- Dziękuję, inspektorze - odezwał się mężczyzna. - Pan i pański podwładny jesteście wolni.

Sharif zasalutował i wyszedł, Abdul za nim.

Mężczyzna usiadł na miejscu inspektora i położył na stole teczkę z aktami. Popatrzył na Saxona z wyrazem rozbawienia na pociągłej twarzy.

- Słyszałem, że podoba się panu targ wielbłądów - zaczął. Mówił doskonale po angielsku.

- Podziwiam sposób, w jaki wielbłądy trzymają uniesione głowy. Przypominają mi arystokratów, dla których nastaly ciężkie czasy.

- Interesujące - powiedział mężczyzna. - Nazywam się Yousef. Pracuję w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Saxon wiedział, że ten resort zajmuje się bezpieczeństwem narodowym.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, że pan przyszedł.

- Uprzejmość ma niewiele wspólnego z tą sytuacją. - Yousef otworzył teczkę z aktami. - Kartoteka Hassana. - Wyjął wypielegnowanymi palcami kilka zszytych razem kartek i podsunął mu. - A to lista antyków.

Saxon przeczytał spis w języku angielskim.

- Zestawienie odpowiada temu, co opublikowało muzeum w Bagdadzie.

- Zatem obawiam się, że pan się spóźnił. - Yousef oparł się wygodnie i złączył końce palców. - Ekspozyty zabrało wojsko. Są teraz w posiadaniu przedstawicielki UNESCO. Dzień po ich przekazaniu Hassan został poddany torturom i zamordowany. - Przeciągnął palcem po gardle.

- Jeśli nie miał żadnych antyków, dlaczego twierdził, że je ma?

- Złodziej nie kradnie raz. Mógł uważać, że uda mu się naciągnąć bogatego cudzoziemca.

- Wiecie, kto go zabił?

- Pracujemy nad tym.

- Kto jest przedstawicielką UNESCO?

- Pewna Włoszka. Nazywa się Carina Mechadi.

- Orientuje się pan, czy ta kobieta jest jeszcze w Kairze?

- Kilka dni temu odpłynęła z antykami do Stanów Zjednoczonych. Transportuje je tam na podstawie umowy z rządem w Bagdadzie.

Z Saxona uszło całe powietrze. A był tak blisko celu.

- Mogę już iść?

- Proszę bardzo. - Yousef wstał z krzesła. - Sercem każdej sprawy zawsze jest jakaś kobieta.

- Carina Mechadi?

Egipcjanin pokręcił głową.

- Królowa Saby.

Uśmiechnął się i otworzył drzwi.

Saxon wrócił samochodem do hotelu Marriott. Wykonał z pokoju kilka telefonów i dotarł do pewnej osoby w UNESCO, która potwierdziła, że Carina Mechadi jest w drodze do Ameryki.

Stał przy oknie zamyślony, patrząc na wieczny Nil i skrzące się światłami starożytne miasto. Przypomniawszy sobie uśmiech Yousefa na wzmiankę o jego poszukiwaniach ducha kobiety, która znikła trzy tysiące lat temu.

Po chwili namysłu znów podniósł słuchawkę telefonu i zarezerwował sobie miejsce w samolocie do Stanów Zjednoczonych. Potem zaczął się pakować.

Jego długa podróż tropem kobiety doskonałej zaprowadziła go w najodleglejsze i najniebezpieczniejsze zakątki świata. Nie zamierzał się teraz poddać.

Statek „Ocean Adventure” mógł transportować prawie dwa tysiące kontenerów, ale mimo siedmiu tysięcy ton wyporności i stu pięćdziesięciu dwóch metrów od dziobu do rufy był mały w porównaniu z nowszymi kontenerowcami o długości trzech boisk do futbolu amerykańskiego. Carina Mechadi nie myślała o tym, że wielkość to pojęcie względne, gdy maszerowała przez długi pokład statku, opatulona dla ochrony przed przenikliwym chłodem na północnym Atlantyku.

Odkąd się zaokrętowała w Salerno, co rano wstawiała wcześniej i wychodziła ze swojej kajuty na trzecim poziomie nadbudowy na szybki spacer przed śniadaniem. Ten przymus powodowały jej niezrozumiała obsesja utrzymywania swojego gibkiego ciała w dobrej formie i niecierpliwość - nie mogła doczekać się końca podróży. Liczba okrążeń zależała od pogody, która się zmieniała od wilgotnej do zimnej u wybrzeży Nowej Fundlandii.

„Ocean Adventure” nie miał nic z romantyzmu frachtowców, o jakich się czyta w powieściach Josepha Conrada. Statek był pełnomorską platformą do transportu stalowych skrzyń o długości sześciu metrów i wysokości około dwóch i pół metra. Stały w sześciu poziomach i zajmowały większość pokładu, z wyjątkiem dzioba i rufy oraz wąskich przejść przy obu burtach. Setki innych kontenerów znajdowały się w ładowniach.

Kiedy Carina szła wzdłuż prawego relingu, przypominała sobie ciąg zdarzeń, który sprawił, że znalazła się na statku płynącym przez Atlantyk. Zabójstwo Alego Babbasa zszokowało ją, ale nie zaskoczyło. Za kulisami bardzo opłacalnego nielegalnego handlu antykami zawsze czaiła się przemoc. W świecie ciemnych interesów z rąk do rąk przechodziły ogromne sumy pieniędzy i tym procederem rzadko zajmowali się dżentelmeni. On prawdopodobnie oszukał niewłaściwą osobę.

Żałowała, że Ali nie żyje. Bez niego raczej nie uda jej się odzyskać zaginionych antyków. Był pośrednikiem i dostarczał skradzione przedmioty na rynek. Nic nie zapisywał na papierze; nazwiska swoich kupców i sprzedawców miał w głowie. Śmierć dilerka oznaczała, że poszukiwane przez Carinę antyki zostały rozrzucone po świecie.

W swoim paryskim biurze UNESCO miała mnóstwo zajęć. Kilka miesięcy po wyjeździe z Bagdadu tropiła rzadki etruski posąg, gdy złożył jej wizytę niejaki Auguste Benoir. Mężczyzna ten przypominał Carinie detektywa Herkulesa Poirota z powieści Agathy Christie.

Benoir był współwłaścicielem renomowanej paryskiej kancelarii adwokackiej. Wręczył Carinie wizytówkę i przeszedł od razu do rzeczy.

- Moja kancelaria reprezentuje Fundację Baltazara. Pan Baltazar jest bardzo zamożnym biznesmenem i filantropem. Zmartwiła go wiadomość o splądrowaniu muzeum w Bagdadzie. Dowiedział się z prasy o pani poszukiwaniach skradzionych eksponatów i ma nadzieję, że dysponując środkami jego fundacji, zdoła pani odzyskać antyki i dołączy je do irackich zbiorów.

- To bardzo miłe z jego strony - odpowiedziała Carina - ale uważam, że mogę się bardziej przydać w organizacji o światowym zasięgu, jaką jest UNESCO.

- Przepraszam, że nie wyraziłem się jaśniej. Nie musiałyby pani odchodzić z UNESCO.

Zerknęła na stosy papierów na swoim biurku.

- Jak pan widzi, jestem zagrzebana w robocie po uszy.

- Zrozumiałem. - Benoir wyjął z teczki dokument. - Oto propozycja umowy z panem Baltazarem.

Fundacja otworzy rachunek bankowy do pani dyspozycji. Będzie pani mogła korzystać z niego bez ograniczeń pod jednym warunkiem: pieniądze muszą być przeznaczone na odzyskanie irackich artefaktów.

Carinę nagle zainteresowała oferta.

- Pan Baltazar jest bardzo hojny.

Benoir rozpromienił się.

- A więc, *mademoiselle* Mechadi?

Była w rozterce. Miała do wykonania kilka zadań dla UNESCO, ale uznała, iż nie może przepuścić takiej okazji. Powinna przestudiować dokładnie umowę.

- Przemyślę i jutro dam panu odpowiedź, zadzwonię.

Następnego dnia powiadomiła Benoira, że się zgadza. Z ramienia UNESCO współpracowała z rządami wielu państw, Interpolem, muzeami i archeologami, ale dysponowanie nieograniczonymi funduszami dawało jej nowe możliwości. Z gotówką w ręku łatwo dotrzeć do ciemnych typów handlujących antykami. I tak się stało. Wkrótce stworzyła skutecznie działającą siatkę informatorów w policji i przestępczym podziemiu. Często dostawała od nich cynk o artefaktach skradzionych w innych krajach niż Irak.

Jednym z jej najbardziej zaufanych kontaktów był przekupny oficer egipskiej armii, którego znała tylko jako Pułkownika. Niecały tydzień wcześniej zatelefonował z wiadomością, iż poszukiwane przez nią przedmioty wystawił na sprzedaż złodziejaszek nazwiskiem Hassan. Powiedziała oficerowi, że spotkają się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, przesłała mu zaliczkę i poleciła, żeby dyskretnie dokonał transakcji.

Umowa z Fundacją Baltazara zobowiązywała ją do informowania Benoira na bieżąco o rozwoju wypadków, więc zadzwoniła do niego i powiedziała o Hassanie. Prawnik odparł, że przekaze to dalej. Przed odlotem do Kairu skontaktowała się telefonicznie z profesorem Nasirem w Bagdadzie, dzieląc się z nim dobrą nowiną, że zbliża się chwila odzyskania eksponatów.

Był uszczęśliwiony, ale w Iraku wciąż panował chaos, więc kustosz obawiał się o bezpieczeństwo kolekcji. Starał się zebrać fundusze na skuteczny system katalogowania istniejących zbiorów muzeum i z entuzjazmem przyjął propozycję Cariny, żeby wykorzystać do tego artefakty. Miał podpisać zgodę na czasowe przekazanie jej antyków oraz porozumieć się z ambasadą Iraku w Waszyngtonie, by omówić z dyplomatami sprawę zorganizowania wystawy objazdowej.

Kiedy Carina wylądowała w Egipcie, wypadki potoczyły się szybko. W restauracji hotelu Nile Sheraton pułkownik oznajmił jej, że już nabył kolekcję. Gdy zapłaciła mu całą należność, zachował się elegancko, rewanżując zaproszeniem na lunch. Tej nocy czekała z rosnącym podnieceniem w magazynie portowym w Port Saidzie na ciężarówkę, która przyjechała krótko po północy.

Artefakty, choć ubrudzone ziemią, były w dość dobrym stanie. Zrobiła przy świetle latarki szybką inwentaryzację, opisała każdy przedmiot i zanotowała jego numer. Wśród antyków znajdował się duży posąg z brązu, człowieka w kilcie i stożkowej czapce. Nie figurował na oryginalnej liście, którą miała, ale na pogniecionej papierowej przywieszce, przywiązanej sznurkiem do ramienia postaci,

widniała nazwa Żeglarz. Carina wydała następną część pieniędzy Baltazara na opłacenie robotników portowych oraz celników i zawartość ciężarówka załadowano na frachtowiec odpływający do Włoch.

Przyleciała do Salerno, zanim dotarł tam statek, i załatwiła dalszy transport eksponatów do Stanów Zjednoczonych na kontenerowcu „Ocean Adventure”. Podczas nerwowego oczekiwania na frachtowiec układała z Nasirem i ambasadą trasę wystawy. Kiedy statek wreszcie przyплыł, poinformowała telefonicznie Benoira, że ma antyki i przygotowuje wystawę objazdową. Prawnik wydawał się dziwnie niezadowolony, ale później oddzwonił z wiadomością, że skonsultował to z Baltazarem, który gratuluje jej odnalezienia artefaktów. Carina postanowiła nie spuszczać już ich z oka i zarezerwowała sobie kajutę na kontenerowcu.

Przystanąła w czasie spaceru i popatrzyła w głąb alejki między stosami kontenerów, by się upewnić, że niebieska skrzynia jest na swoim miejscu, potem ruszyła dalej w kierunku dziobu. Kiedy wyszła na odkryty pokład, uderzył w nią podmuch lodowatego wiatru.

Kapitan powiedział jej poprzedniego wieczoru przy kolacji, że szybkość podróży statku wynosi osiemnaście węzłów i zmniejszy ją w pobliżu Nowej Fundlandii, gdy wpłyną w korytarz gór lodowych. Wzmianka o tym bardziej ją zaciekała niż przestraszyła.

Stała chwilę na dziobie, mając nadzieję, że zobaczy góry lodowe, ale po szarym morzu dryfowały tylko bryły wielkości dużej walizki. Drżąc z zimna mimo kilku warstw ubrań, pomyślała z przyjemnością, że w mesie czeka na nią gorąca kawa i jajecznica. Odwróciła się tyłem do wody i poszła wzdłuż lewej burty statku.

Była mniej więcej w dwóch trzecich drogi do nadbudowy, kiedy przez szum fal usłyszała warkot samolotu. Spojrzawszy na niebo, zobaczyła dwa czarne helikoptery, które leciały blisko siebie kilkadziesiąt metrów nad morzem i zbliżały się szybko do statku. Nie dostrzegła żadnych oznaczeń.

Zaskoczyło ją, że pojawiły się tak nagle. Kontenerowiec był sto mil morskich od lądu. Ale przypomniawszy sobie wzmiankę kapitana o platformach wiertniczych w tym rejonie, pomyślała, że samoloty należą zapewne do jakiegoś koncernu naftowego.

Przeleciały tuż nad masztem statku i zawróciły. Krążyły nad kontenerowcem niczym drapieżne ptaki, zacieśniając coraz bardziej spiralę, potem zniknęły z pola widzenia. Hałas rotorów ucichł. Helikoptery najwyraźniej wylądowały na stosach kontenerów.

Carina spodziewała się, że pozna tożsamość gości, kiedy wejdzie do mesy. Szła dalej i nagle stanęła jak wryta. Na wprost niej ze szczytu kontenera opuścił się na linie jakiś człowiek. Po chwili na pokład zjechało trzech ludzi i zagrodzili jej drogę. Obcy mieli na twarzach kominiarki, byli ubrani w obcisłe czarne kombinezony i uzbrojeni w krótkolufowe pistolety maszynowe.

Zawróciła, rzucając się do ucieczki, ale ze stosu kontenerów przed nią opuściło się jeszcze czterech mężczyzn z automatami i została otoczona. Jeden złapał ją za ramię, obrócił, skrępował ręce za plecami taśmą samoprzylepną i wbił jej mocno lufę między łopatki, popychając w stronę nadbudowy. Zbliżali się do nich jacyś mężczyźni, w których Carina rozpoznała dwóch filipińskich załogantów. Uśmiechy na ich twarzach mówiły wszystko; Filipińczycy współpracowali z bandytami.

Napastnicy podzielili się na dwie grupy. Jeden marynarz i czterej obcy poszli w stronę nadbudowy, drugi załogant poprowadził resztę intruzów wzdłuż pokładu. Wszystko odbywało się w milczeniu. Carina pomyślała, że ci ludzie wiedzą, co robią i czego chcą. Ale oniemiała, gdy marynarz skierował ją do kontenera z artefaktami i dłonią w rękawicy zastukał knykami w metalową powierzchnię.

Drzwi blokowały inne kontenery. Jeden z bandytów otworzył metalową walizkę, wyjął z niej palnik spawalniczy oraz butlę z tlenem. Kiedy go zmontował, zapalił i wyregulował płomień. Włożył gogle ochronne, by osłonić oczy przed snopami iskier, po czym zaczął metodycznie wycinać dziurę w ścianie kontenera.

Carina krzyknęła, a wtedy jeden z napastników chwycił ją za ramiona i kopnął w kostkę. Straciła równowagę, nie mogła się podeprzeć rękami i upadła na pokład, uderzając czołem o twardą powierzchnię. Straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, leżała na plecach w półmroku i ból rozsadzał jej głowę. Przekręcając się z trudem na bok, zobaczyła, że jest wciśnięta między dwie drewniane skrzynie wewnątrz kontenera. Przez prostokątny otwór z nierównymi krawędziami, wycięty palnikiem, sączyło się do środka światło.

Próbowała wstać, ale nie dała rady. Z wysiłku zakręciło się jej w głowie. Gdy leżała na zimnej stalowej podłodze i ciężko dyszała, zobaczyła na skrzyniach czyjs cień. Przez dziurę zaglądał jakiś mężczyzna. Lekko puciołowaty, o twarzy cherubinka mającej demoniczny wyraz i spojrzeniu mrozącym krew w żyłach. Był przerażający.

Mina Cariny musiała zdradzać jej myśli, bo mężczyzna uśmiechnął się.

Niemal poczuła ulgę, zanim znów zemdląła.

Pomarańczowo-biały samolot obserwacyjny dalekiego zasięgu Hercules 130HC wystartował o świcie z Saint John's, skierował się na wschód i rozpoczął siedmiodzinny patrol lodowy. Górnopłat leciał z szybkością pięciuset sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i monitorował obszar oceanu o powierzchni siedemdziesięciu siedmiu tysięcy siedmuset kilometrów kwadratowych.

Funkcjonariusz straży przybrzeżnej przy konsoli radaru pokładowego rozmyślał o czekającej go randce z młodą Nowofundlandką. Wyobrażał sobie, jak miło będzie z nią w łóżku, gdy zobaczył na ekranie podejrzany pulsujący punkt.

Natychmiast dało o sobie znać wyszkolenie i poczucie odpowiedzialności operatora. Przestał marzyć i skoncentrował się na wyświetlaczu. Czterosilnikowy turbośmigłowiec był wyposażony w radar „patrzący” na wprost i na boki. Ten drugi, nazywany SLR, wyłapał na wodzie duży obiekt jakiegoś dwadzieścia mil morskich na północ.

Detekcja gór lodowych ma długą historię i zmieniła się od roku 1912, kiedy zorganizowano patrole lodowe, by nie powtórzyła się tragedia „Titanica”. Mimo że dziś korzysta się z nowoczesnej techniki, identyfikacja jest uważana bardziej za sztukę niż dziedzinę nauki.

Operator radaru starał się określić, czy obiekt jest górą lodową czy zakotwiczonym kutrem rybackim. Ruchomy cel o równych krawędziach oznaczałby statek. Punkt niemal stał w miejscu i nie zostawiał za sobą kilwatera. Wprawne oko operatora dostrzegło radarowy cień po przeciwległej stronie celu, gdzie nie było odbicia. Zjawisko wskazywało, że obiekt jest wyższy niż statek.

Góra lodowa!

Podał pilotom jej lokalizację, samolot skręcił i wziął kurs na północ.

Mgła wisząca nad oceanem uniemożliwiała identyfikację wzrokową do ostatniej chwili. Hercules schodził w dół, aż znalazł się na wysokości kilkudziesięciu metrów. Mgła się rozwiła i odsłoniła górę lodową z wysokim, wąskim szczytem na jednym końcu. Potem znów przysłoniła widok, ale załodze wystarczyło to, co zdążyła zobaczyć.

Lotnicy wysłali dane góry lodowej do centrum operacyjnego patroli lodowych w Groton w Connecticut. Tam komputer wyliczył prawdopodobny kurs dryfującej góry lodowej i nadano przez radio ostrzeżenie dla statków. Komunikat odebrał Beech Super King, należący do Provincial Airlines, który patrolował Grand Banks na podstawie umowy z właścicielami platform wiertniczych na morzu.

Dwusilnikowy samolot skierował się na pozycję o podanych współrzędnych. Mgła się rozwiewała i pilot bez trudu znalazł cel. Przeleciał nisko nad nim kilka razy, potem potwierdził przez radio ostrzeżenie dla platform wiertniczych i statków w okolicy.

„Leif Eriksson” płynął leniwie zakolami, gdy odebrał pilną wiadomość. Jego dwa diesle o mocy dziesięciu tysięcy koni mechanicznych natychmiast weszły z hałasem na pełne obroty. Zostawiając na szarym morzu biały kilwater, statek pomknął naprzód niczym gliniarz na motocyklu za piratem



drogowym.

Austin i Zavala studiowali na mostku mapę morską, kiedy usłyszeli w głośniku radiowym komunikat.

- Nasz zaginiony Moby? - zapytał kapitana Austin.

- Możliwe - odparł Dawe. - Opis się zgadza. Wkrótce powinniśmy wiedzieć.

Kazał maszynowni zmniejszyć szybkość. Wokół dziobu „Leif Erikssona” kłębiła się mgła i po kilku minutach spowiła cały statek. Widoczność spadła niemal do zera. Płynęli po omacku, polegając całkowicie na elektronicznych oczach statku.

Kapitan obserwował uważnie wyświetlacz radaru. Od czasu do czasu wydawał sternikowi polecenia zmiany kursu. Statek posuwał się naprzód w żółtym tempie, na mostku panowało napięcie. Byli w pobliżu podwodnego grobu „Titanica”. Mimo urządzeń elektronicznych, które potrafiłyby zlokalizować łódkę zabawkę w kałuży deszczowej, zdarzały się kolizje statków z górami lodowymi, czasami fatalne w skutkach.

Dawe chrząknął i podniósł wzrok znad ekranu radaru, uśmiechając się zagadkowo.

- Mówiłem wam już, czego Nowofundlandczycy używają jako środka przeciwko komarom?

- Strzelb - odparł pośpiesznie Zavala.

- Komar się rozbije, jeśli mu się odstrzeli światła ładownicze - dodał Austin.

- Widzę, że to znacie. Bez obaw, jeszcze zrobimy z was Nowofundlandczyków.

Kapitan z powrotem skoncentrował uwagę na wyświetlaczu radaru.

- Mgła się trochę podniosła. Dobrze się przyglądajcie. Teraz to już lada chwila.

Austin wpatrzył się w szarość.

- Mamy towarzystwo - powiedział, przerywając grobową ciszę na mostku. Na wprost pojawiły się zarysy ogromnej góry lodowej; wyglądała jak upiorna zjawa z sennego koszmaru. Po chwili stała się wyraźnie widoczna. Na jednym końcu gigantycznej bryły wyrastał strzelisty szczyt o wysokości piętnastopiętrowego budynku. Przez mgłę przenikał promień słońca i w blasku tego niebiańskiego reflektora góra żarzyła się na biało, z wyjątkiem błękitnych szczelin lodowych, gdzie w ponownie zamrożonej wodzie nie było pęcherzy powietrza, odbijających białe światło. Kapitan klepnął Austina i Zavalę w plecy.

- Łapcie swoje harpuny, chłopaki. Znaleźliśmy Moby Berga. - Przyjrzał się z zachwytem górze lodowej. - Piękna, co?

- Spora kostka lodu - powiedział Austin. - A widzimy tylko jakąś jedną ósmą nad powierzchnią wody.

- Tam musi być lodu na miliard margarit - stwierdził Zavala z nieukrywanym podziwem.

- To tak zwany zamek lodowy - mówił Dawe. - Z takim zderzył się „Titanic”. Przeciętą górą lodową w tym rejonie waży dwieście tysięcy ton i ma około sześćdziesięciu metrów długości. Ta ma ponad dziewięćdziesiąt i waży pewnie pięćset tysięcy ton. Góra lodowa „Titanica” miała wagę mniejszą o połowę.

Kapitan kazał sternikowi okrążyć górę w bezpiecznej odległości co najmniej trzydziestu metrów.

- Musimy być bardzo ostrożni - wyjaśnił.

- Te występy sterczące z wody wyglądają tak, jakby mogły zedrzyć pąkle z kadłuba - zauważył Austin.

Kapitan wpatrywał się w górę.

- Boję się tego, czego nie widać. Niebieskie pęknięcia to słabe punkty. W każdej chwili może się

odłamać ogromny kawał lodu; sam rozbryzg mógłby nas zatopić. - Uśmiechnął się lekko. - Nadal jesteście zadowoleni, że się z nami zabraliście?

Austin przytaknął. Chłonał wzrokiem groźne piękno majestatycznej góry lodowej.

Zavala pozbył się wszystkich zastrzeżeń co do tego rejsu i przyglądał się jak urzeczony monstrialnej górze.

- Fantastyczna! - wykrzyknął z zachwytem.

- Miło mi to słyszeć, przyjaciele, bo ta kruszyna jest wasza. Kilka lat temu statek NUMA pomógł mi wybrnąć z tarapatów. Chcę się w ten sposób odwdziżyć. Właściciele „Leifa Erikssona” powiedzieli, że nie będzie problemu odpowiedzialności, jeśli wpisze się czasowo na listę załogi, co już się stało. Pokazaliście, że jesteście urodzonymi łowcami burgerów.

Dawe pozwolił swoim gościom uczestniczyć w „łapaniu na łąso” mniejszych gór lodowych, ochrzczonych nietrafnie nazwą specjalności fast foodów. Zaimponowała mu współpraca nowych załogantów i to, że szybko się nauczyli stosowanej techniki.

- Tamte burgery były wielkości domów - przypomniał Austin. - To coś jest ogromne jak kompleks Watergate.

- Zasady są te same. Widzi się górę, okrąża ją, opasuje liną i holuje. Będę wam zaglądał przez ramię na wypadek, gdybyście mieli kłopoty. Wskakujcie w sztormiaki. Spotkamy się na pokładzie.

Austin i Zavala uśmiechnęli się szeroko jak mali chłopcy, którzy dostali swoje pierwsze rowery na dwóch kołach. Podziękowali kapitanowi i poszli do siebie. W kajucie włożyli dodatkowe warstwy ciepłej odzieży, a na wierzch pełne jaskrawopomarańczowe ubrania sztormowe. Zanim wyszli na otwartą przestrzeń, zerwał się wiatr, powierzchnia morza zrobiła się nierówna niczym skóra aligatora.

Kapitan obserwował uważnie, jak dwaj mężczyźni wraz z jego załogą łączą razem trzystusześćdziesięciopięciometrowe odcinki polipropylenowej liny holowniczej o grubości dwudziestu centymetrów. Przymocowano ją do cylindrycznego pachołka na pokładzie rufowym i wypuszczono przez szeroki otwór w relingu rufowym. Do jej wolnego końca przyczepiono pomarańczową boję. Austin zawiadomił przez radio mostek, że są gotowi.

Statek zataczał szeroki krąg. Trzymał się w odległości około sześćdziesięciu metrów od góry lodowej i przystawał, żeby załoga mogła spiąć części holu.

Kiedy „Leif Eriksson” wrócił do punktu wyjścia, jeden z marynarzy zahaczył bosak za koniec liny holowniczej z boją unoszący się na wodzie, i wciągnął go na pokład. Pod kierunkiem Austina załoga umocowała do niego stalową linkę, żeby opuścić hol pod wodę. Inaczej lina holownicza mogłaby się zsunąć ze śliskiej powierzchni góry lodowej. Kapitan sprawdził, jak się spisali.

- Dobra robota - pochwalił. - Teraz będzie najlepsza zabawa.

Poprowadził ich z powrotem na mostek. Statek dzieliło od góry lodowej około pół mili morskiej. Dawe uważał, że to minimum, jeśli holowanie ma być bezpieczne.

- Przekazuję sprawę w twoje ręce - zwrócił się do niego Austin.

Wiedział, że to nie jest zadanie dla amatora. Holowane góry lodowe potrafiły się przewracać, poza tym zawsze istniało ryzyko, że lina zaplącze się w śruby.

Według instrukcji kapitana maszynownia zwiększyła moc. Hol się naprężył. Woda za rufą statku zamieniła się w białą kipieli. Góra opornie pokonała bezwładność, która trzymała ją w miejscu. Ogromna bryła lodu została wprowadzona w ruch i zaczęli wolno posuwać się naprzód. Mogły minąć godziny, zanim osiągną prędkość jednego węzła.

Austin przeprosił i poszedł do swojej kajuty. Kiedy wrócił po kilku minutach, wręczył kapitanowi tekturowe pudło. Dawe je otworzył i uśmiechnął się szeroko, wydając ze środka kapelusz kowbojski, który włożył na głowę.

- Trochę za duży, ale mogę go wypchać gazetą, żeby pasował. Dzięki, panowie.

- W dowód wdzięczności za to, że wzięłeś nas na pokład - powiedział Austin.

Zavala patrzył na górę lodową, przy której statek wydawał się mały.

- Co z nią zrobimy?

- Doholujemy tam, gdzie zabierze ją prąd morski i oddali od platformy wiertniczej. To może potrwać kilka dni.

- Panie kapitanie! - przywołał Dawe'a operator radaru. - Mam na ekranie ruchomy obiekt.

Wygląda na to, że kieruje się w stronę Great Northern.

Marynarz narysował flamastrem trzy znaki X na przezroczystej plastikowej osłonie wyświetlacza i połączył je, żeby pokazać kurs obiektu. Kapitan przyłożył liniał do oznaczeń.

- Niedobrze - mruknął. - Jakiś statek płynie szybko prosto na platformę wiertniczą.

Zawiadomił przez radio platformę Great Northern. Jej operator radaru już zauważył zbliżający się statek i próbował się z nim skontaktować. Bez skutku. Właśnie miał wywołać „Leifa Erikssona”, gdy Dawe go ubiegł.

- Jesteśmy trochę zaniepokojeni - mówił operator radaru. - On idzie prosto na nas.

- Na to wygląda - przyznał Dawe. - Oceniam, że jest jakieś dziesięć mil morskich od was.

- Cholernie blisko.

- Zostawimy górę lodową, którą holujemy, i spróbujemy go przechwycić. Ile czasu zajmie przesunięcie platformy znad szybu?

- Już zaczęliśmy, ale nie zdążymy, jeśli ten statek nie zmniejszy szybkości.

- Wywołujcie go dalej przez radio. Ruszamy w drogę. - Dawe odwrócił się do Austina i Zavali. -

Przepraszam, panowie, ale będziemy musieli odciąć waszą górę lodową.

Austin przysłuchiwał się rozmowie radiowej. Włożył z powrotem kurtkę sztormową i zydwestkę. Zavala zrobił to samo.

Uwalnianie góry lodowej było odwrotnością jej łapania na łąso. Załoga odczepiła koniec liny z boją i pozwoliła mu unosić się swobodnie na wodzie. Dawe wymanewrował statkiem wstecz wokół góry i marynarze zwinęli setki metrów holu. Kiedy ostatni odcinek liny wciągnięto na pokład i nie było już obawy, że wkręci się w śruby, kapitan kazał rozwinąć pełną szybkość.

Zavala został na pokładzie, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik, Austin wrócił na mostek. Kapitan trzymał w ręku mikrofon.

- Ciągłe bez rezultatu?

Dawe pokręcił głową. Wyglądał na zaniepokojonego i wyraźnie tracił cierpliwość.

- Niedługo powinniśmy dogonić tych idiotów.

Podszedł do ekranu radaru. Widniał tam następny znak X, połączony z poprzednią linią kursu. Inna linia wskazywała kurs przechwycenia dla „Leifa Erikssona”.

- Jakie są szanse, że platforma wytrzyma uderzenie?

- Niewielkie. Great Northern to platforma półpływająca. Podpory trochę ją chronią, ale nie tak jak platformę Hibernia, która jest zakotwiczona na dnie i zabezpieczona grubą betonową zaporą.

Austin znał się na platformach wiertniczych. Kiedyś pracował na nich na Morzu Północnym. Wiedział, że platforma półpływająca to bardziej statek niż wieża wydobywcza, jakie przeważają na

głębokich wodach. Cztery podpory spoczywają na pływakach, które pełnią funkcję kadłubów. Platforma jest przeznaczona do holowania, choć niektóre mają własny napęd. Kiedy dociera do punktu odwiertu, pływaki są zalewane. Utrzymuje ją w miejscu kilka masywnych kotwic.

- Ilu robotników jest na platformie?
- Powinno być dwustu trzydziestu.
- Zdążą ją przesunąć w bezpieczne miejsce?

- Podnoszą już kotwice, i łodzie obsługowe niedługo zaczną ją holować, ale ta platforma nie jest przystosowana do ucieczki przed pędzącym statkiem, który wymknął się spod kontroli, tylko do ustępowania z drogi wolno płynącym górom lodowym, zauważonym przez patrole lodowe.

Nie bardzo wiedział, co kapitan rozumie przez to, że pędzący statek wymknął się spod kontroli. Miał wrażenie, że tamten statek jest całkowicie pod kontrolą i ktoś celowo utrzymuje kurs prosto na platformę Great Northern.

Jakiś marynarz o bystrym wzroku wskazał morze na prawo od dziobu.

- Widzę go.

Austin pożyczył od niego lornetkę, wyregulował ostrość i zobaczył sylwetkę kontenerowca. Duże litery na czerwonym kadłubie informowały, że statek należy do towarzystwa żeglugowego Oceanus Lines. Na wielkim dziobie widniała namalowana białą farbą nazwa „Ocean Adventure”.

Statki płynęły łeb w łeb równoległym kursem w odległości około ćwierci mili morskiej od siebie. „Leif Eriksson” błyskał światłami i dawał sygnały syreną okrętową, by zwrócić uwagę załogi kontenerowca. „Ocean Adventure” nie zwalniał. Dawe polecił marynarzom, żeby próbowali nawiązać kontakt wzrokowy lub radiowy.

W polu widzenia pojawiła się platforma wiertnicza, przycupnięta na morzu jak czworonożny owad wodny. Najbardziej rzucały się w oczy wysoka wieża wiertnicza i koliste lądowisko śmigłowca.

- Mają tam helikopter? - zapytał Austin.

- Wraca właśnie ze szpitala. Ale i tak jest już za późno na ewakuację drogą powietrzną.

- Nie o to mi chodzi. Może helikopter mógłby dostarczyć kogoś na pokład kontenerowca.

- Nie będzie na to czasu. Co najwyżej zabierze jakichś ocalałych rozbitków. Jeśli w ogóle ktoś przeżyje.

Austin uniósł lornetkę.

- Wstrzymajmy się z wyjmowaniem worków na zwłoki. Chyba jest jeszcze szansa na uratowanie platformy.

- To niemożliwe! Kiedy uderzy w nią statek, ona pójdzie na dno jak kamień.

- Przyjrzyj się jego śródkręciu - powiedział Austin. Kapitan popatrzył przez lornetkę.

- Tam zwisa schodnia. Sięga prawie do linii wodnej. Austin przedstawił mu swój plan.

- To szaleństwo, Kurt. Za duże ryzyko. Moglibyście zginąć. Austin uśmiechnął się cierpko.

- Bez obrazy, kapitanie, ale jeśli przeżyliśmy twoje nowofundlandzkie dowcipy, to nic nas nie zabije.

Dawe, patrząc na Austina, dostrzegł zdecydowanie i pewność siebie malujące się na jego twarzy. Jeśli ktokolwiek mógłby dokonać niemożliwej rzeczy, to właśnie ten Amerykanin i jego przyjaciel.

- Zgoda - odparł. - Dam wam wszystko, czego potrzebujecie.

Austin znów włożył kurtkę sztormową, podciągnął do góry suwak i zszedł na dół wprowadzić w sprawę Zawalę. Joe znał swojego przyjaciela na tyle dobrze, że nie zaskoczył go szalony

i ryzykowny pomysł Kurta.

- Jeśli się nad tym zastanowić, plan jest dość prosty - stwierdził Zavala. - Choć nie mamy dużych szans.

- Według mojego rozeznania trochę większe niż kula śniegowa na przetrwanie w piekle.

- Więcej nie można wymagać. Martwi mnie trochę, jak to wyjdzie w praniu.

Austin się skrzywił.

- „Pranie” kojarzy mi się z tym, że zostaniemy przemaglowani.

- Tak mi się powiedziało. Co o tym myśli kapitan Dawe?

- Uważa, że jesteśmy stuknięci.

Joe, spoglądając na masywny kontenerowiec, który płynął równoległym kursem przez szare morze, przeanalizował szybkość, kierunek i warunki pogodowe.

- Dawe ma rację, Kurt. Jesteśmy stuknięci.

- Rozumiem, że w to wchodzisz.

- Jasne. Już mi się znudziło łapanie na łąso gór lodowych.

- Dzięki, Joe. Moim zdaniem wszystko sprowadza się do tego, czy ryzyko się opłaca.

Zavala dobrze wiedział, do czego zmierza przyjaciel.

- Ilu facetów jest na platformie wiertniczej?

- Kapitan mówi, że ponad dwustu, ale trzeba jeszcze doliczyć załogę kontenerowca.

- Rachunek wydaje się dość prosty. Mimo że ryzyko jest duże, warto je podjąć. Możemy uratować życie ponad dwustu ludziom.

- Właśnie tak to widzę. - Kurt pokiwał głową. Włożył kamizelkę ratunkową i rzucił drugą Zawali. Uścisnęli sobie mocno dłonie. Kapitanowi, który obserwował ich z mostka, Austin pokazał uniesiony kciuk.

Pod ścisłym nadzorem kapitana Dawe'a „Leif Eriksson” skreślił i zatrzymał się pod takim kątem do wiatru, żeby Austin i Zavala mogli zwodować po zawietrznej jaskrawoczerwoną, pięciometrową łódź pneumatyczną. Statek przyjmował na siebie cały impet wiatru, mimo to ponton podskakiwał na wzburzonym morzu niczym gumowa kaczuska w wannie.

Austin wziął ze sobą kieszonkowe radio połączone z mikrofonem i słuchawką; kapitan miał go informować na bieżąco o postępach w podnoszeniu kotwic platformy wiertniczej. Gdyby wszystkie wyciągnięto w porę i Great Northern zdążyłaby się usunąć z kursu nadpływającego kontenerowca lub „Adventure” zmieniłby kierunek, Kurt dostałby wiadomość od Dawe'a i mógłby zrezygnować ze swojego planu. A gdyby kolizja statku z platformą wydawała się nieunikniona, kontynuowałby zadanie.

Austin wisiał na drabince, grzbiety fal omywały mu stopy. Skoczył w dół i wylądował na prostych nogach w łodzi pneumatycznej. Poczul się jak na mokrej trampolinie. Odbiłby się z powrotem, ale złapał się uchwytów bezpieczeństwa i utrzymał w pontonie, miotanym przez fale.

Kiedy łódź pneumatyczna ustabilizowała się pod jego ciężarem, Kurt odpalił siedemdziesięciopięciokonny silnik zaburtowy. Przy warkocie i prychaniu motoru chwycił się drabinki statku i przytrzymał ponton, żeby mógł dołączyć Zawali. Joe zeskoczył z kocią zwinnością do rozkołysanej łodzi, odcumował dziób oraz rufę i odepchnął ponton od statku.

Austin przekazał mu rumpel, Zavala zwiększył obroty silnika i skierował tępy dziób na kurs do przechwycenia „Ocean Adventure'a”.

Ze sterowni na wysokości piątego piętra kapitan Irwin Lange miał widok jak z lotu ptaka niemal na cały statek, którym dowodził. Był na swoim stanowisku, gdy z nieba opadły helikoptery i wylądowały na stosach kontenerów. Jego zaskoczenie szybko przerodziło się w gniew, kiedy patrzył przez wielkie okna wychodzące na długi pokład.

Lange szczyił się swoją teutońską powściągliwością; z jego twarzy o posągowych rysach nigdy nie znikał spokój. Teraz pojawił się na niej grymas złości. Zmarszczył brwi. Helikoptery wylądowały bez jego pozwolenia. Zawsze rozumował logicznie i szybko odrzucił ewentualność, że śmigłowce są w tarapatkach. Jeden mógł mieć kłopoty, ale nie dwa.

Spojrzał przez lornetkę i rozszerzył się jeszcze bardziej. Z helikopterów wyskoczyło kilkunastu ludzi w czarnych ubraniach, którzy się rozbiegli pod wirującymi rotorami, i nawet nie zdążył się im przyjrzeć, bo zniknęli za stosem kontenerów. Ale dostrzegł, że są uzbrojeni, i to wzbudziło w nim poważny niepokój.

Piraci?!

Nieemożliwe. Z trudem przełknął ślinę. Ci grasują w odległych rejonach, takich jak Sumatra i Morze Chińskie, zdarzają się napady na statki u wybrzeży Brazylii i Afryki Zachodniej, ale to nie do pomyślenia, żeby morscy rabusie działali na lodowatych, zamglonych wodach Grand Banks.

Kapitan, który od wielu lat odbywał rejsy między Europą i Ameryką, piratów znał tylko z kasety wideo, dostarczonej przez firmę ubezpieczeniową. Towarzystwo żeglugowe, będące właścicielem statku pod jego dowództwem, rozdało kopie nagrania swoim kapitanom z poleceniem, żeby obejrzeni materiał oni i podlegli im oficerowie. Film pokazywał, jak groźnie wyglądający Azjaci w małych, szybkich łodziach atakują tankowiec, i jak w takim wypadku należy się zachować.

Lange gorączkowo próbował przypomnieć sobie szkolenie instruktazowe.

„Najlepszą obroną przed piratami jest czujność”.

Nikt nie ostrzegał przed piratami, którzy spadają z nieba!

„Zamienić statek w twierdzę”.

Za późno na zaryglowanie wszystkich drzwi.

„Nie walczyć z piratami”.

Nie ma czym. Na pokładzie są tylko raketnice. I żaden z niemieckich oficerów ani filipińskich marynarzy nie umie się obchodzić z bronią.

„Zachować spokój”.

Tylko to jedno można zrobić.

Kapitan odwrócił się do załogi na mostku, tak jak on zaskoczonej widokiem helikopterów.

- Wygląda na to, że zaatakowali nas piraci - powiedział beznamiętnym tonem, jakby mówił, że nadciąga szkwał.

Sądząc po przerażonej minie pierwszego oficera, niewiele mu brakowało, w przeciwieństwie do

kapitana, żeby wpaść w panikę.

- Piraci?! I co mamy robić?

- W żadnym wypadku nie stawiać oporu. Wezwę pomoc.

Lange wziął mikrofon radiostacji, ale zanim zdążył się odezwać, zatrzeszczał głośnik radia okrętowego.

- Wzywam kapitana „Ocean Adventure’a” - odezwał się głos. - Słyszysz mnie?

- Tu kapitan. Kto mówi?

Rozmówca zignorował pytanie.

- Osaczamy twoją załogę. Monitorujemy waszą łączność radiową więc nie radzę nadawać SOS.

Rozumiemy się, kapitanie Lange?

Skąd on zna moje nazwisko? - zdziwił się Lange.

- Tak.

- To dobrze. Czeka tam, gdzie jesteś.

Kapitan natychmiast pomyślał o swojej dwudziestoosobowej załodze. Trzeba ostrzec ludzi, może zdołają się ukryć. Podniósł słuchawkę telefonu okrętowego i zadzwonił do maszynowni. Nikt nie odbierał. Spróbował się połączyć z masą. Cisza. Przewyciężył rosnącą panikę i zatelefonował do sali klubowej dla oficerów. To samo.

Na skrzydle mostka zadudniły szybkie, ciężkie kroki. Do sterowni wtargnęła grupa uzbrojonych ludzi, czterej mężczyźni mieli na sobie identyczne czarne kombinezony i kominiarki; piąty, w dzinsach i sztormiaku, nie był zamaskowany. Kapitan rozpoznał filipińskiego marynarza imieniem Juan, który pracował w maszynowni; myślał, że jest więźniem, dopóki nie zobaczył w jego ręku pistoletu. Juan spoglądał na niego chytrze, szczerząc w szerokim uśmiechu rzadkie zęby. Lange zdał sobie sprawę, że to jest człowiek piratów. On poprowadził napastników prosto do maszynowni, a także do innych pomieszczeń. Dlatego tak szybko opanowali statek i znali nazwisko kapitana.

Jeden z intruzów podszedł do konsoli i odepchnął sternika.

- Co pan wyrabia?! - krzyknął Lange.

Mężczyzna wprowadził do komputera okrętowego jakieś współrzędne, które miał zapisane na kartce, potem włączył automatycznego sternika. Zrobił swoje i warknął:

- Wylazić na pokład. Wszyscy.

Lange buntowniczo uniósł głowę, wysuwając mocno zarysowaną szczękę, ale wykonał polecenie, reszta poszła za nim. Zimny wiatr na otwartej przestrzeni natychmiast dał się we znaki, przenikając przez cienką kurtkę. Dodatkowo zmroził kapitana widok na pokładzie: uzbrojeni mężczyźni prowadzili pozostałych marynarzy. Wyglądało na to, że z piratami współpracuje drugi filipiński załogant.

Szturchając więźniów lufami, skierowali wszystkich na rufę. Część intruzów otaczała tam jakiś obiekt wielkości człowieka, owinięty brezentem i opleciony kilkoma kawałkami grubej liny.

Kapitan przyjrzał się uważnie piratowi sprawdzającemu węzły. Mężczyzna górował nad swoimi kompanami, miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ramiona, które wydawały się za długie nawet do tak potężnej postaci. Kiedy się odwrócił, Lange zobaczył jego odsłoniętą twarz. Mężczyzna spoglądał na niego oczami cherubina.

- Dobrze zrobiłeś, kapitanie, że posłuchałeś moich rozkazów. - Dowódca statku rozpoznał głos, który przestrzegł go przed nadaniem SOS. W słowach pirata zabrzmiało surrealistycznie jowialne ciepło.

- Kim jesteście? Czego szukacie na moim statku?

- Pytania, pytania... - Mężczyzna pokręcił głową. - Wyjaśnienia zajęłyby o wiele więcej czasu, niż mamy do dyspozycji.

Lange spróbował inaczej.

- Będę z wami współpracował, tylko bardzo proszę, zostawcie w spokoju załogę.

Usta o niemal kobiecej miękkości rozciągnęły się w uśmiechu.

- Bez obaw. Zostawimy was i statek prawie w takim samym stanie, w jakim go zastaliśmy.

Kapitan nie był głupi. Ten człowiek nie ukrywał swojej twarzy, nie martwił się więc, że ktoś go potem rozpozna. Przywódca piratów skinął głową jednemu z kompanów, oprych szturchnął Langego łufą i kazał mu się położyć na brzuchu, załodze też. Ręce i nogi skrupowano im taśmą.

- A co z kobietą? - zapytał Juan mężczyznę o dziecinnej twarzy. - Co mamy z nią zrobić?

- Co chcecie - odparł szef piratów. - Mieliśmy przez nią masę kłopotów. Tylko załatwcie to szybko.

Przestał się interesować tą sprawą i skoncentrował na obiekcie zawiniętym w brezent.

Juan pogładził rękojeść noża przy swoim pasie i pomaszerował szybko wzdłuż pokładu wykonać mokrą robotę. Śpieszył się. Od początku przyglądał się pożądliwie Carinie i wyobrażał ją sobie nago. Miała jędrne ciało. Oblizwał się na wspomnienie chwili, gdy kładł dziewczynę w kontenerze. Będzie miał tylko kilka minut, zanim ślicznotkę zabije, ale to wystarczy, żeby poznała, co to znaczy prawdziwy mężczyzna.

Biegając, zerknął na morze i stanął jak wryty, zaskoczony widokiem statku, który wyłonił się z mgły i zrównał z kontenerowcem. W kierunku „Ocean Adventure’a” mknęła, odbijając się od grzbietów fal, łódź pneumatyczna z dwoma mężczyznami.

Filipińczyk pomyślał o wezwaniu pomocy, ale wtedy nie mógłby się zabawić z kobietą. Pożądanie wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem. Poradzi sobie sam.

Schylił się nisko i posuwał wzdłuż burty. Wyglądało na to, że ponton kieruje się do jakiegoś punktu w śródkręciu. Filipińczyk dotarł tam pierwszy. Wyciągnął nóż, położył się na brzuchu, rozpląszczył na pokładzie jak krokodyl czekający na zdobycz i obserwował nadpływającą łódź.

To będzie wyjątkowy dzień.



Płaskodenna łódź pneumatyczna pędziła skokami po wzburzonym morzu. Zawała mógłby zmniejszyć szybkość, żeby nie wzbijali się w powietrze jak latająca ryba, ale musiał nadażyć za kontenerowcem.

- Czuję się tak, jakbym jechał na czterech przebitych oponach! - zawołał Austin przez wycie silnika zaburtowego.

Odpowiedź Joego utonęła w fali, która uderzyła go prosto w twarz. Zamrugał, żeby odzyskać ostrość widzenia, i wypluł wodę z ust.

- Cholerne wyboje!

Zbliżył się z wprawą do statku, poruszając rumplem, by kontrować napór sztucznej fali przyboju wzdłuż wielkiego kadłuba. Miał wrażenie, że z wysiłku ramię wyskoczy mu ze stawu. Przy każdym skręcie ponton zostawał w tyle. W ciągu kilku minut znalazł się niemal w połowie długości kontenerowca. Ale szybka ręka i pewne oko Zawali pozwoliły mu znacznie zmniejszyć dystans do statku.

„Ocean Adventure” przywodził na myśl legendarną moc, gdy z nadnaturalną siłą pruć fale, a te rozbiły się z hukiem o wysoki dziób. Woda przepływająca wzdłuż kadłuba tworzyła barierę białej piany, oddzielającą Austina od jego celu: drabinki dla pilota, która zwisała z pokładu i sięgała niemal do linii wodnej. Pokład kontenerowca był wysoko nad powierzchnią morza, drabinka sznurowa umożliwiała pilotowi portowemu wejście z jego łodzi na schodnię, prowadzącą w górę burty.

Zadanie, jakie wyznaczył sobie Kurt z pokładu „Leifa Erikssona”, wydawało się trudne, ale wykonalne. Tyle że „Ocean Adventure” miał długość wieżowca położonego na boku i co gorsza, ten wieżowiec był w ruchu. Kiedy Austin patrzył w górę na stromy mur forteczny, na który miał nadzieję się wspiąć, zastanawiał się, czy nie przecenił swoich możliwości.

Pozbył się tej niebezpiecznie deprymującej myśli, przedostał na dziób pontonu i wbił palce w mokrą, śliską gumową burtę. Kiedy był gotów, opuścił jedno ramię i dał Zawali sygnał, żeby wykonał swój ruch. Joe skierował łódź pneumatyczną w stronę drabinki. Przetaczająca się spieniona woda odrzuciła ponton do tyłu, jak krowa odpędzająca ogonem muchę. Zawała musiał powtórzyć manewr.

Kurt trzymał się kurczowo dziobu, gdy Joe próbował podejść równolegle do statku. Gdyby ustawił się burtą do fali, jej uderzenie mogłoby łatwo przewrócić łódź. Zimne rozbryzgi szczypały go w oczy i pogarszały widoczność; szum wody, wycie silnika zaburtowego, hałas diesli kontenerowca prawie uniemożliwiały porozumiewanie się, a nawet myślenie. No i dobrze. Gdyby Austin myślał o tym, co zamierza zrobić, nie zrobiłby tego.

Ciągłe zmaganie się z morzem zaczynało go męczyć. Wiedział, że jeśli wkrótce nie wykona ruchu, największą przeszkodą będzie zwykłe wyczerpanie, brak siły. Odwaga i zdecydowanie przegrają

z prostymi prawami fizyki.

W jego krótkofalówce zatrzeszczał czyjś głos.

- Kurt, zgłoś się - usłyszał. Wywoływał go kapitan Dawe.

- Nie mogę! - krzyknął do mikrofonu Austin. - Jestem zajęty.

- Wiem. Widzę was. Właśnie dostałem wiadomość z platformy. Splątała się ostatnia lina kotwiczna. Wygląda na to, że kolizja jest pewna. Lepiej oddalście się od miejsca katastrofy, bo możecie wpaść w cholerne tarapaty.

Austin podjął szybką decyzję. Wskazał kontenerowiec i krzyknął przez ramię do Zawali:

- Platforma wiertnicza utknęła! Wchodzimy!

Joe wyciągnął uniesiony kciuk i przesunął gładko rumpel, żeby przybliżyć ponton do statku na odległość kilku metrów. Sztuczna fala przyboju wzdłuż kadłuba jeszcze raz poderwała do góry małą łódź. Utrzymywał ponton na szczycie wodnej ściany niczym hawajski surfer, dopóki nie znalazł się o krok przed drabinką sznurową.

Drabinka splątała się z linami bezpieczeństwa, które wisiały po obu jej stronach. Zawała dał pełne obroty silnika i podszedł do kontenerowca pod małym kątem. Kiedy łódź przechyliła się na bok jak żagłówka, obaj rzucili się na drugą burtę. Ponton sunął na fali, aż dotarł do drabinki, objijającej się o kadłub statku.

Austin czuł się jak łosoś płynący pod prąd, gdy łódź płasła po wzburzonej wodzie. Mając wreszcie drabinkę w zasięgu ręki, zaklinował stopy między dnem a burtami pontonu, ściągnął kamizelkę ratunkową i uniósł się w półprzysiadzie. Potrzebował pełnej swobody ruchów, a kamizelka niewiele by mu pomogła, gdyby spieprzył sprawę. Wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę, i jeśli chybi, wyląduje w morzu, zostanie porwany w tył przez wodę przepływającą wzdłuż kadłuba i prawdopodobnie zmielony przez śrubę statku.

Poczuł, że łódź się oddala od kontenerowca, sięgnął w górę i zabrakło mu kilku centymetrów. Wychylał się poza dziób i chwycił rękami powietrze. Odległość między jego dłońmi a dolnym końcem drabinki rosła. Potem nagle zmalała i złapał się najniższego szczebla jak akrobata w locie.

Kiedy zacisnął palce na szczeblu, Zawała odpłynął od kontenerowca, żeby uniknąć wywrotki pontonu. Kurt zadyndał na końcu drabinki, sięgnął po omacku w górę i chwycił się następnego szczebla. Stopień z twardej gumy był mokry i śliski, Austin omal go nie puścił, gdy fala omyła go w pasie i pociągnęła w dół, ale utrzymał się na drabince i wspiął wyżej.

Drabinkę ustabilizował trochę ciężar jego ciała, ale dwie liny nadal obracały się swobodnie. O mało nie spadł, kiedy zawadził ręką o stalowy kadłub. Wrażenie było takie, jakby zanurzył knykcie w kwasie. Ale nie miał wyboru - musiał zignorować ból i wspinać się wyżej.

Zadarł głowę, żeby zobaczyć, jak daleko jest od schodni, i widok dodał mu otuchy - pokonał już połowę drabinki. Jeszcze tylko kilka szczebli dzieliło go od małego pomostu u dołu metalowych stopni.

Złapał się paru następnych szczebli, podciągnął wyżej i znów spojrzał w górę. Ktoś na niego patrzył między dwoma cienkimi metalowymi słupkami, które wystawały pionowo z pokładu, żeby wchodzący po drabince mieli się czego przytrzymać. Potargany ciemnoskóry mężczyzna pokazywał w szerokim uśmiechu rzadkie zęby.

Twarz zniknęła i za burtę wychyliło się ramię, a w zaciśniętej dłoni tkwił nóż. Długie ostrze zaczęło przecinać drabinkę sznurową.

- Hej! - zawołał Kurt z braku lepszego słowa.

Ręka się zawahała, lecz za moment wróciła do pracy i szybko przecięła jeden splot. Drabinka opadła, Austin uderzył w kadłub z takim impetem, że omal nie puścił szczepła. Utrzymał się na stopniu i znów spojrział w górę.

- O, cholera - mruknął. Nóż przecinał drugi splot.

Sięgnął po linę bezpieczeństwa, powiewającą na wietrze. Złapał ją obiema rękami, gdy ostrze noża przeszło przez drugi splot drabinki sznurowej. Spadła do morza i natychmiast zniknęła z widoku.

Kurt uderzył o burtę statku jak serce dzwonu, w oczach zawirowały mu gwiazdy. Starał się rozpaczliwie nie stracić przytomności, świadomy tego, że jedno pociągnięcie noża może odciąć linę, co oznaczało pewną śmierć. Sięgnął w górę, chwycił się dolnego stopnia schodni i wciągnął pod pomost, gdzie miał nadzieję być niewidoczny dla człowieka z nożem.

Pozostał tam przez chwilę. Kiedy już nie mógł się dłużej utrzymać, podciągnął się na pomost i wpełzł na czworakach po stopniach aż do otworu w relingu. Skoczył niezdarnie na pokład w postawie obronnej i odetchnął z ulgą. Nikt się na niego nie czaił w zasadzce.

Pomachał do Zawali, który płynął pontonem równolegle do kontenerowca. Joe odpowiedział takim samym gestem.

W krótkofalówce zatrzeszczał zdenerwowany głos kapitana Dawe'a:

- Jesteś cały, Kurt?

Austin czuł się jak świeżo zmielony hamburger, ale zapewnił:

- Wszystko gra, kapitanie. Jestem na statku. Ile mam czasu?

- Jesteś jakieś pięć mil od platformy. Będziesz musiał zdążyć zatrzymać statek albo skręcić.

Austin wystartował sprintem do nadbudowy na rufie, ale zatrzymał się. Spomiędzy stosów kontenerów dochodził przeraźliwy krzyk kobiety.

Carina odzyskała przytomność zaledwie kilka minut przed pojawieniem się Austina na pokładzie statku. Powrót do świata żywych miał pewne minusy - głowa jej pękała, niewyraźnie widziała i czuła mdłości.

Ból i niewygodność nie pozwalały znów zapaść się w nicość i zorientowała się, że nadal jest w kontenerze, wciśnięta między skrzynie. Ręce miała skrępowane mocno za plecami; bandyci w pośpiechu nie związali jej nóg.

Dzięki sile woli i dobrej formie fizycznej, którą zawdzięczała godzinom ćwiczeń w sali gimnastycznej UNESCO, zdołała się obrócić na brzuch. Napinając mięśnie z całej siły, podniosła się do pozycji klęczącej. Kręciło jej się w głowie, ale odczekawszy chwilę, stanęła na chwiejnych nogach, potem podeszła tyłem do skrzyni i zaczęła trzeć taśmą samoprzylepną na nadgarstkach o drewniany narożnik.

Kłuły ją drzazgi, ale ignorowała ból i po kilku minutach dobrowolnej tortury uwolniła jedną rękę. Odrywała taśmę od skóry, gdy w otworze wyciętym przez bandytów w ścianie kontenera pojawiła się jakaś postać.

Carina zobaczyła znajomą twarz. Nie miała pojęcia, jak się nazywa ten mężczyzna, wiedziała tylko, że jest jednym z filipińskich załogantów. Widywała go na statku przy pracy.

Odetchnęła z ulgą.

- Cieszę się, że pana widzę.

- A ja się bardzo cieszę, że widzę panią, *seniorita* - odparł chrapliwym głosem i z dziwnym błyskiem w oczach marynarz.

Kobieca intuicja podpowiedziała Carinie, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Zerknęła ponad ramieniem Filipińczyka.

- Bandyci już się wynieśli?

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie, jesteśmy jeszcze na pokładzie.

My?

Carina spróbowała go wyminąć, ale zagroził jej drogę.

- Czego pan chce?

Wargi Filipińczyka zwinęły się jak plasterki mortadeli na patelni.

- Przyszedłem cię zabić, ale przedtem trochę się zabawimy.

Złapał Carinę za ramiona. Był o kilka centymetrów niższy, ale dużo silniejszy. Zahaczył stopę za jej kostkę i popchnął. Upadła na plecy, a on runął na nią, przygważdżając do podłogi kontenera. Kiedy szarpała się z nim, chcąc go z siebie zrzucić, wyciągnął nóż i przeciął wąski pasek wokół jej talii.

Okladała napastnika pięściami po twarzy, kilka ciosów wylądowało na jego nieogolonym

podbródka. Było w tym więcej wyładowywania złości niż obrony. Filipińczyk wbił nóż w bok skrzyni, żeby mieć obie ręce wolne. Carina wrzasnęła na całe gardło. Na statku nie było nikogo, kto mógłby przyjść jej na ratunek, ale pomyślała, że może przeraźliwy krzyk zdekcentruje bandziora.

Kiedy się cofnął, chciała pochwycić nóż, ale zobaczył ruch i zdzielił ją otwartą dłonią w twarz. Omal nie straciła przytomności. Zamroczone, przestała walczyć. Ściągnął z niej dzinsy, dyszał ciężko. Cuchnęło mu z ust. Ostatkiem sił próbowała go odepchnąć, gdy nagle usłyszała niski męski głos:

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego.

Filipińczyk wyszarpnął nóż ze skrzyni, zerwał się i obrócił, żeby stawić czoło intruzowi.

Barczysty mężczyzna stał w nierównym prostokącie światła na szeroko rozstawionych nogach. Jego siwe, niemal białe włosy wyglądały jak aureola.

Zalogant skoczył naprzód z wyciągniętym nożem. Carina spodziewała się usłyszeć okrzyk bólu, gdy ostrze zagłębi się w ciało, ale rozległ się tylko brzęk i zgrzyt, jakby ktoś ostrzył nóż kuchenny.

Austin podniósł wcześniej kamienną tabliczkę z pismem klinowym, leżącą na pokładzie. Trzymał ją na wysokości kolan, kiedy wszedł do kontenera i zobaczył rozgrywającą się tam scenę. Gdy mężczyzna się odwrócił, Kurt go rozpoznał. Ten człowiek był na statku podczas jego wspinaczki po drabince sznurowej. Z szybkością, która zaskoczyła napastnika, zasłonił tabliczką tors przed dźgnięciem.

Kiedy ostrze ześlizgnęło się w bok, Austin uniósł swoją tarczę wysoko i opuścił w dół, jakby trzepał dywanik. Tabliczka pękła na głowie marynarza i roztrzaskała się na drobne kawałki. Filipińczyk jakimś cudem stał jeszcze przez kilka sekund, potem przewrócił oczami i złożył się w harmonijkę.

Austin przeszedł nad drgającym ciałem i wyciągnął rękę do kobiety. Chwyciła się jej i wstała, drżącymi palcami podciągając dzinsy.

- Nic się pani nie stało? - zapytał z troską w głosie.

Carina pokręciła głową. Spojrzała nienawistnie na leżącego marynarza.

- Dziękuję, że uratował mnie pan przed tym bydlakiem. Mam nadzieję, że nie żyje.

- Prawdopodobnie. Należy pani do załogi tego statku?

- Jestem pasażerką. Statek został okradziony. Przylecieli helikopterami. Zabrali Żeglarza - mówiła bezładnie.

Austin myślał, że chodzi o kogoś z załogi.

- Kogo?

Zorientowała się, że Austin nie rozumie.

- Żeglarza. To... to posąg.

Patrzył na nią ze zdziwieniem. Odpowiedź była raczej bez sensu. Podniósł nóż, który wypadł Filipińczykowi z ręki.

- Przepraszam, ale trochę mi się śpieszy. Mam do załatwienia kilka spraw. Niech pani spróbuje znaleźć sobie inną kryjówkę. Porozmawiamy później przy kolacji.

Wysunął się przez dziurę w kontenerze, zostawiając oszołomioną Carinę. Zastanawiała się, czy aby na pewno nie uroiła sobie tego anioła zemsty, który uratował jej życie, spokojnie unieszkodliwił napastnika i wspominał o wspólnej kolacji - wszystko za jednym zamachem. Nie wiedziała, kim on jest, ale postanowiła skorzystać z jego rady. Wzdrygnęła się ze wstrętem, zerknawszy na Filipińczyka, potem wyszła szybko przez dziurę i zniknęła między stosami innych kontenerów.

Austin pędził biegiem po pokładzie. Wiedział, że ma małe szanse. Zanosiło się na to, że postój na uratowanie damy w opałach będzie fatalny w skutkach dla nich obojga. Miał po prostu zbyt dużą odległość do pokonania pieszo. W poziomie i w pionie. Pokład przed nim zdawał się nie mieć końca. A musiał jeszcze dostać się na samą górę nadbudowy o wysokości bloku mieszkalnego.

Biegł tak szybko, że zarejestrował metaliczny błysk między stosami kontenerów dopiero wtedy, gdy był już kilka metrów dalej. Zawrócił i wetknął głowę w lukę. Błysk okazał się odbiciem światła od chromowanej kierownicy roweru, opartego o kontener. Wolałby harleya davidsona, ale musiał mu wystarczyć zdezelowany stary raleigh z trzybiegową przerzutką którego załoga używała do poruszania się po wielkim statku.

Kurt wskoczył na rower i pedałował, wykorzystując całą siłę swoich muskularnych nóg. Gdy mknął wzdłuż pokładu, zauważył u stóp nadbudowy kilka ciał.

Kiedy się zbliżył, zobaczył, że leżący twarzą do ziemi ludzie żyją ale mają skrępowane ręce i nogi. Cisnął rower na bok i podszedł do potężnie zbudowanego mężczyzny, który zmagął się z więzami. Austin powiedział, żeby się nie ruszał, i jednym pociągnięciem noża przeciął taśmę na nadgarstkach.

Po uwolnieniu rąk mężczyzna odwrócił się na bok. Był w średnim wieku, miał ogorzałą twarz i obwisłe policzki. Spojrzał czujnie na nóż, ale wyraźnie się odprężył, gdy Kurt przeciął też więzy na nogach i zapytał, czy jest oficerem na tym statku.

- Kapitanem - odparł. - Nazywam się Lange. Austin pomógł mu stanąć na chwiejnych nogach.

- Co się stało z napastnikami?

- Nie wiem. Przylecieli helikopterami. - Spojrzał na niebo. - Wylądowali na kontenerach. Kim pan jest?

- Przyjacielem. Później się przedstawię. - Wziął kapitana za ramiona, jakby to zwiększało pewność, że go wysłucha. - Pański statek jest na kursie kolizyjnym z platformą wiertniczą. Ma pan tylko kilka minut na zatrzymanie go lub zmianę kierunku.

Lange zbladł.

- Włączyli automatycznego sternika.

- Musi go pan jak najszybciej wyłączyć. Uwolnię pańskich ludzi.

- Idę na mostek. - Kapitan ruszył niepewnie na zeszywniałych nogach w stronę wejścia do nadbudowy.

Austin szybko oswobodził pozostałych członków załogi i polecił im dołączyć do kapitana. Nie obawiał się, że napotka napastników. Nie wierzył, żeby zostali na statku po skierowaniu go na kurs kolizyjny. Nagle usłyszał nad głową warkot helikoptera.

Po wykonaniu zadania napastnicy szykowali się do opuszczenia „Ocean Adventure’a”. Ich przywódca o twarzy dziecka właśnie skończył sprawdzać liny opasujące obiekt owinięty brezentem, gdy przybiegł drugi Filipińczyk, ulokowany na statku jako wtyczka.

- Juan gdzieś przepadł - zameldował marynarz imieniem Carlos. - Nie wiem, co się z nim dzieje.

Przywódca uśmiechnął się.

- Ja wiem. Twój przyjaciel właśnie lekceważył mój rozkaz - dodał, wsiadając do bliższego helikoptera.

- I co zrobimy? - zapytał Filipińczyk.

- Możesz mu dotrzymać towarzystwa, jeśli chcesz. - Szef się roześmiał i zatrzasnął drzwi.

Carlos miał panikę w oczach. Rzucił się do drugiego helikoptera i wgramolił do kabiny

w momencie, kiedy rotory nabrały obrotów do startu. Maszyna uniosła się wolno ze stosów kontenerów. Pod kadłubem dyndała lina z hakiem na końcu. Śmigłowiec skierował się ku rufie i zawisnął nad obiektem zapakowanym w brezent. Gdy zszedł w dół, zaczepił hak za pętlę z liny na szczycie ładunku. Austin obserwował ten manewr zza rogu nadbudowy.

Czuł do rabusiów odrazę, gdy tylko ich zobaczył. Schylił się nisko, podbiegł do obiektu i odczepił od niego hak na końcu kevlarowej liny przymocowanej do helikoptera. Owinął ją wokół pachółka na pokładzie i zakotwiczył hakiem.

Wracał biegiem za osłonę nadbudowy, gdy nagle poczuł się tak, jakby wbito mu gorące żelazo w żebra. Ktoś do niego strzelał i trafił. Austin zignorował ból, padł na pokład i przetoczył się kilka razy.

Zanim dał nura do otwartego włazu, spojrział w górę i zobaczył drugi helikopter; z otwartych drzwi kabiny wystawała lufa broni.

W zamieszaniu pilot pierwszego śmigłowca nie zorientował się, że jego maszyna jest przyczepiona do statku. Próbował nabrać wysokości i dał pełną moc, żeby unieść ciężki ładunek. Lina się naprężyła maksymalnie i zastopowała helikopter, który zaczął się obracać jak latawiec na sznurku, a gdy zaplątała się w łopaty rotora, została przecięta. Wirując szaleńczo, śmigłowiec znalazł się nad falami i runął do morza z gigantycznym rozbryzgiem wody.

Kurt wyjrzał z włazu. Drugi helikopter zataczał koło nad rosnącym kręgiem piany i pęcherzy powietrza. W drzwiach maszyny ukazał się mężczyzna z twarzą cherubinka. Popatrzył w dół na Austina, uśmiechając się, gdy ich oczy na moment się spotkały. Chwilę później śmigłowiec przechylił się w skrajnie i odleciał.

Austin stał na pokładzie w porywistym wietrze. Helikopter nie wrócił nad miejsce katastrofy. Na wprost była platforma wiertnicza Great Northern.

Patrząc na sterownię, dopingował w duchu kapitana. Wyobrażał sobie jego rozpaczliwe wysiłki na mostku, by zapobiec nieszczęściu. Statek płynął pełną parą. Nawet gdyby Lange wyłączył diesle, kontenerowiec będzie sunął dalej rozpędem. Pomyślał, że kapitan na pewno pozostawi sobie tę niewielką możliwość manewru, którą zapewniają silniki.

Statek zbliżał się do platformy. Austin wyczuł nagle zmianę kursu o kilka stopni w prawo. Kontenerowiec wreszcie skręcał. Potrzebował dużo przestrzeni na morzu, żeby ominąć platformę. Statek wielkości „Ocean Adventure’a” nie zrobi zwrotu w miejscu.

Wychylił się za reling. Ludzie na platformie wiertniczej przepychali się jak mrówki na płynącym liściu. Parę łodzi obsługowych ciągnęło z trudem liny przymocowane do platformy. Przeszedł go zimny dreszcz, gdy wyobraził sobie nieuchronną kolizję.

Usłyszał, że ktoś go woła, jakby z oddali. Uświadomił sobie, że głos dochodzi ze słuchawki krótkofalówki. Wetknął ją do ucha.

- Kurt, słyszysz mnie? Wszystko w porządku? Austin przerwał gorączkowy monolog Dawe’a.

- Po prostu super. Co się dzieje z platformą?

- Rozplatali ostatnią linę kotwiczną.

Ledwo kapitan skończył to zdanie, Kurt zobaczył eksplozję piany w miejscu, gdzie z wody wyłoniła się kotwica platformy. Wokół podpór Great Northern powstała kipiela. Za nimi tworzyły się kilwatery. Platforma ruszyła.

Za późno. Do uderzenia statku w jej prawą przednią podporę pozostały sekundy. Austin przygotował się na wstrząs.

W ostatniej chwili dziób kontenerowca przesunął się trochę bardziej w prawo. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt metalu o metal. Statek zawadził burtą o podporę. Odkotwiczona platforma nie stawiała oporu, co oznaczałoby jej koniec, lecz ustąpiła z drogi.

Zakołysała się od uderzenia, potem wolno ustabilizowała i popłynęła dalej, by wydostać się z niebezpiecznej strefy.

Zawyła syrena okrętowa. „Leif Eriksson” dotrzymywał im towarzystwa.

W słuchawce Austina rozległ się głos Zavali:

- Taka obcierka to dobry sposób na zdrapanie pąkli z kadłuba. Co zrobisz na bis?

- To proste - powiedział Austin. - Zjem kolację z piękną kobietą.



Asystentką bibliotekarki w archiwum Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii była drobna młoda kobieta Angela Worth. Niejeden zawodowy zapaśnik mógłby jej pozazdrościć mięśni, które miała od codziennego dźwigania skrzynek z dokumentami i aktami.

Bez wielkiego wysiłku wysunęła z półki ciężki plastikowy pojemnik i postawiła na wózku. Zawiozła go z magazynu rękopisów do czytelnicy. Przy długim stole siedział mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat i pisał na klawiaturze laptopa. Na blacie stołu piętrzyły się akta, papiery i dokumenty.

Angela postawiła pojemnik na stole.

- Idę o zakład, że nie spodziewałaś się znaleźć tylu materiałów historycznych o karczochach.

- Pasuje mi to - odparł pisarz Norman Stocker. - Mam umowę na tekst zawierający pięćdziesiąt tysięcy słów.

- Niewiele wiem o branży wydawniczej, ale czy ktoś będzie chciał czytać aż tyle o karczochach?

- Mój wydawca uważa, że tak. W tym biznesie jest teraz moda na takie monotematyczne książki historyczne o rzeczach, z którymi mamy do czynienia na co dzień. O dorszach, soli, pomidorach, grzybach. O wszystkim. Sztuka polega na tym, żeby pokazać, jak wybrany artykuł zmienił świat i uratował ludzkość. Sukces jest zapewniony, jeśli da się w to wpleść trochę seksu.

- Karczochy i seks?

Stocker otworzył teczkę na akta z kopiami starych rękopisów.

- W XVI-wiecznej Europie tylko mężczyznom pozwalano jeść karczochy, bo uważano, że zwiększają potencję. - Otworzył inną teczkę i wyjął zdjęcie ładnej młodej blondynki w kostiumie kąpielowym. - Marilyn Monroe. Rok 1947. Pierwsza kalifornijska królowa karczochów.

Angela wzięła skrzynkę z wózka i postawiła na stole. Zdmuchnęła z twarzy pasmo długich jasnych włosów.

- Nie mogę się doczekać filmu fabularnego o karczochach.

- Załatwię ci bilet na premierę w Hollywood.

Uśmiechnęła się i powiedziała pisarzowi, żeby dał jej znać, kiedy będzie chciał zwrócić materiały. Stocker otworzył pojemnik i zaczął grzebać w zawartości.

Pisanie książek o artykułach spożywczych nie było jego marzeniem, ale płacili dobrze, trafiały się podróże nad wyraz interesujące i wyrabiał sobie nazwisko. Dopóki pisał, nie musiał uczyć w szkole, żeby mieć pieniądze na opłacanie rachunków. Uważał, że karczochy to lepszy temat niż kumkwaty.

Przyszedł do Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego, żeby poszukać w archiwum jakichś mało znanych anegdot, które mogłyby uatrakcyjnić nieciekawą skądinąd historię. Budynek w georgiańskim stylu, gdzie mieści się biblioteka Towarzystwa, usytuowany za rogiem od Independence Hall w Filadelfii, to jeden z największych w kraju magazynów rękopisów naukowych,

które powstały od XVI wieku do chwili obecnej.

Organizację założył w roku 1745 naukowiec amator nazwiskiem Benjamin Franklin. On i jego przyjaciele chcieli uniezależnić gospodarkę Stanów Zjednoczonych od zagranicy. Pierwszymi członkami Towarzystwa byli lekarze, prawnicy, duchowni i rzemieślnicy, potem również prezydenci Waszyngton i Jefferson.

Pisarz, przeszukując skrzynkę, natrafił palcami na twardą powierzchnię. Wyciągnął szkatułkę pokrytą rdzawoczerwono-złocistą skórą. W środku leżał gruby plik pergaminowych kartek, związany czarną wstążką i zalakowany. Pieczęć ktoś już złamał. Stocker rozwiązał wstążkę i odłożył na bok czystą pierwszą stronę. Na następnej widniała odręcznie napisana informacja, że to traktat o uprawie karczochów.

Nudny materiał stanowił zbiór wiadomości o okresach wegetacji, nawożeniu i porach zbiorów. Gdzieś dodano jakiś przepis. Na jednym z arkuszy pergaminu były znaki X, faliste linie i kilka słów w nieznanym języku. Pod spodem leżał gruby karton z tuzinami małych prostokątnych otworów.

Stocker przywołał asystentkę bibliotekarki, gdy przechodziła obok jego stołu z ładunkiem książek.

- Znalazłeś coś interesującego w tej ostatniej skrzynce?

- Nie wiem, na ile to jest interesujące, ale na pewno stare.

Angela obejrzała szkatułkę, potem przerzuciła kartki. Odręczne pismo wyglądało znajomo. Podeszła do regału i wróciła z książką o rewolucji amerykańskiej. Otworzyła tom na stronie z reprodukcją Deklaracji Niepodległości i przysunęła do fotografii jedną z kartek manuskryptu. Podobieństwo zamasytętego, zwartego pisma na obu próbkach było bardzo wyraźne.

- Widzisz to? - zapytała.

- Tak. Pismo jest identyczne - potwierdził Stocker.

- Nie może być inaczej. Oba dokumenty napisała ta sama osoba.

- Jefferson? Niemożliwe.

- Dlaczego? Był ziemianinem, naukowcem i skrupulatnym archiwistą. Spójrz tu, na róg strony tytułowej. Mikroskopijne literki to inicjały T. J.

- Super! Dla przeciętnego czytelnika nie ma tu wiele ciekawych rzeczy, ale można poświęcić przynajmniej parę akapitów temu, że w materiałach znalazł się tekst Jeffersona o karczochach.

Angela zmarszczyła brwi.

- Coś takiego musiało się tu znaleźć przez pomyłkę.

- Czy to w ogóle możliwe? Mieć w ręku oryginalną rozprawę naukową Jeffersona i włożyć ją w niewłaściwe miejsce?

- Towarzystwo opracowało doskonały system segregacji dokumentów, ale w tym budynku jest osiem milionów manuskryptów, a oprócz tego ponad trzysta tysięcy woluminów i oprawionych periodyków. Przypuszczam, że ktoś zobaczył tytuł, nie zauważył nazwiska autora i wrzucił traktat do materiałów o rolnictwie.

Stocker uniósł do góry rysunek.

- W aktach było to. Wygląda jak plan ogrodu zrobiony przez pijanego. Angela spojrzała na szkic, potem wzięła karton z otworami i przysunęła do światła. Coś przyszło jej do głowy.

- Daj mi znać, kiedy skończysz. Chcę mieć pewność, że to trafi z powrotem do innych materiałów Jeffersona.

Wróciła do swojego biurka. Podczas pracy od czasu do czasu zerknęła niecierpliwie na stół

pisarza. Stocker wstał tuż przed godziną zamknięcia biblioteki, przeciągnął się i wsunął laptopa do futerału.

- Przepraszam za bałagan - powiedział.

- Nie ma sprawy. Zajmę się tym.

Poczekala, aż wszyscy wyjdą, i przeniosła manuskrypt Jeffersona na swoje biurko. Pod lampą na blacie przyłożyła karton do pierwszej zapisanej strony. W małych prostokątach ukazały się pojedyncze litery.

Uwielbiała rozwiązywać krzyżówki i przeczytała mnóstwo książek o kodach i szyfrach. Była pewna, że trzyma w ręku szablon do szyfrowania. Kładzie się go na czystej kartce papieru. W otwory wpisuje się litery, które tworzą wiadomość. Wokół nich dodaje się niewinnie brzmiące zdania. Adresat przykłada do tekstu identyczny szablon i widzi słowa.

Angela wypróbowała szablon na różnych stronach, ale to, co odczytała, nie miało sensu. Podejrzała, że szyfr jest na dużo wyższym poziomie niż jej amatorskie umiejętności dekryptażu. Skoncentrowała się na pergaminie z falistymi liniami i znakami X. Popatrzyła na towarzyszące im wyrazy i otworzyła w komputerze stronę ze słownikiem. Czasami oszukiwała przy rozwiązywaniu krzyżówek i korzystała z witryn naukowych, żeby znaleźć hasła.

Wpisała słowa z pergaminu do pola „Szukaj” i wcisnęła Enter. Nie otrzymała natychmiastowego przekładu, ale dostała informację, żeby wejść do działu języków starożytnych. - Zażądała jeszcze raz tłumaczenia i tym razem zobaczyła odpowiedź, która ją zaskoczyła i zaintrygowała.

Zrobiła wydruk i skopiowała go, materiał Jeffersona również. Kopie zostawiła w szufladzie, wzięła oryginały i poszła korytarzem do pokoju swojej przełożonej.

Szefową Angeli była profesjonalistka w średnim wieku, Helen Woolsey. Podniosła wzrok nad biurka i uśmiechnęła się na widok młodszej koleżanki.

- Dłużej pracujesz? - zapytała.

- Niezupełnie. Natknęłam się na coś nietypowego i pomyślałam, że to cię może zainteresować. -

Podala Woolsey papiery.

Kiedy bibliotekarka przejrzała uważnie materiał, Angela przedstawiła swoją hipotezę co do jego autorstwa. Woolsey gwizdnęła cicho.

- Jestem pod wrażeniem. Dotykam czegoś, co trzymał w ręku sam Jefferson. To niewiarygodne odkrycie.

- Też tak uważam. Podejrzewam, że Jefferson zaszyfrował w tym tekście jakąś wiadomość. Był znakomitym kryptografem. Wymyślił systemy, używane jeszcze przez kilkadziesiąt lat po jego śmierci.

- Najwyraźniej nie chciał, żeby jakaś poufna sprawa wyszła na jaw.

- To nie wszystko. - Angela podała jej wydruk ze strony językowej w sieci.

Szefowa studiowała go przez chwilę.

- Można polegać na informacjach z tego źródła?

- Dotąd zawsze okazywały się prawdziwe - odparła Angela.

Woolsey postukała długim paznokciem w kopię manuskryptu Jeffersona.

- Czy twój znajomy pisarz zdaje sobie sprawę ze znaczenia tego materiału?

- Wie, że autorem był Jefferson, ale myśli, że to po prostu poradnik, jak uprawiać karczochy.

Bibliotekarka pokręciła głową.

- Nie po raz pierwszy papiery Jeffersona się zawieruszyły. Kiedyś zgubił pewne materiały

etnologiczne o amerykańskich Indianach. Wiele jego dokumentów przeznaczonych dla różnych instytucji po prostu zniknęło. Orientujesz się, co tu może być?

- Ani trochę. Potrzebny jest komputer z programem do łamania szyfrów i kryptograf umiejący z niego korzystać. Mam kolegę w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Może potrafiłby pomóc.

- Wspaniale - powiedziała Woolsey. - Ale zanim się z nim skontaktujemy, lepiej pokażę to zarządowi Towarzystwa. Na razie niech sprawa zostanie między nami. Jeśli to autentyk, może być bardzo ważny dla Towarzystwa, ale jeśli to jakiś falsyfikat, będziemy w głupiej sytuacji.

Angela podzielała jej zdanie, że powinny być dyskretne, choć czuła, że szefowa chce przypisać sobie wszystkie zasługi, jeśli materiał okaże się historycznym hitem. Nie tylko Woolsey miała ambicje. Angela nie zamierzała być do końca życia asystentką bibliotekarki.

Skinęła głową.

- Jasne.

- Na razie - bibliotekarka otworzyła szufladę biurka, wsunęła do niej dokumenty i zamknęła ją - niech to leży pod kluczem, dopóki nie będę miała okazji porozmawiać z zarządem. Jeśli to jest prawdziwa sensacja, oczywiście dopilnuję, żeby cię doceniono.

Oczywiście, pomyślała Angela. Skupisz na sobie całą uwagę, a jeśli to jest oszustwo, zwalisz winę na mnie.

Zamaskowała uśmiechem swoje obawy i wstała.

- Dzięki.

Bibliotekarka uśmiechnęła się i wróciła do swoich papierów. Rozmowa była skończona. Kiedy Angela, powiedziawszy „dobranoc”, zamknęła za sobą drzwi, Woolsey wyjęła z szuflady materiał Jeffersona. Zajrzała do notesu i podniosła słuchawkę telefonu.

Czuła dreszcz podniecenia. Pierwszy raz dzwoniła pod ten numer. Dostała go od nieżyjącego już członka zarządu, który zorientował się, że jest ambitna, i zapytał ją, czy nie zechciałaby go zastąpić w sprawowaniu funkcji, której on nie może dłużej pełnić z powodu słabego zdrowia. Pracowałyby dla ekscentrycznego osobnika, zafascynowanego pewnymi sprawami. Musiałyby tylko mieć oczy i uszy otwarte, a gdyby wypłynął określony temat, wykonać telefon. Zgodziła się.

Dostawała duże pieniądze praktycznie za nic. Mogła sobie pozwolić na umeblowanie mieszkania i kupienie używanego bmw. Cieszyła się teraz, że wreszcie zasługuje na swoje wynagrodzenie. Była rozczarowana, kiedy nagrany głos kazał jej zostawić wiadomość. Zrelacjonowała krótko odkrycie dokumentów Jeffersona i rozłączyła się. Przeżyła moment niepokoju, gdy sobie uświadomiła, że ten telefon może oznaczać koniec jej usług dla nieznanego płatnika. Ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że materiał Jeffersona może jej również otworzyć drogę do nowej kariery i majątku. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Nie byłaby taką optymistką, gdyby mogła przewidzieć, że jej telefon będzie miał fatalne skutki. Straciłaby też dobry humor, gdyby wiedziała, że w innej części budynku Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego Angela siedzi przy swoim biurku i również do kogoś dzwoni.

Oficer na kontenerowcu, pełniący również funkcję sanitariusza, bandażował Kurtowi żebra, kiedy do izby chorych weszli kapitan Lange i Carina.

- Znalazłem tę młodą damę wędrującą po statku - zwrócił się do Austina, który siedział na stole lekarskim. - Powiedziała mi, że jakiś rycerz w lśniącej zbroi uratował jej życie.

- W mojej zbroi jest kilka pęknięć - odparł Austin. Oprócz naruszonego żebra, miał posiniaczoną twarz i pokaleczone knykcie. Poranił je o kadłub kontenerowca podczas wspinaczki po drabinie dla pilota.

- Bardzo mi przykro, że pan ucierpiał - odezwała się Carina.

Miała jeszcze opuchliznę na twarzy po ciosie Juana, ale i tak wyglądała bardzo atrakcyjnie. Była szczupła i długonoga, cynamonowo-kremowa cera podkreślała jasny błękit jej oczu pod idealnie półkolistymi brwiami. Czarne włosy związane z tyłu sięgały ramion.

- Dzięki - odpowiedział Austin. - To drobiazg. Pocisk tylko mnie drasnął. Bardziej martwię się o panią.

- Jest pan bardzo miły. Przyłożyłam zimny kompres i obrzęk już się zmniejszył. Trochę pieką mnie usta wewnątrz, ale zęby mam całe.

- Co za ulga. Będą pani potrzebne, żebyśmy mogli zjeść razem kolację.

Carina uśmiechnęła się krzywo.

- Nawet się sobie nie przedstawiliśmy, panie Austin.

Wyciągnął rękę.

- Proszę mi mówić Kurt, panno Mechadi.

- Dobrze, Kurt. Mów mi Carina. Skąd znasz moje nazwisko?

- Dżentelmen, który teraz mnie tak umiejętnie łąta, zdradził, że jesteś pasażerką „Ocean Adventure’a” i pracujesz w ONZ-cie. Poza tymi skąpymi informacjami nic o tobie nie wiem, Carino.

- Niczego nie ukrywam. Reprezentuję UNESCO i tropię skradzione antyki. Jeśli mówić o tajemnicy, to raczej w odniesieniu do Kurta Austina. Wyłoniłeś się z morza jak wodnik, uratowałeś mnie, a potem statek i platformę wiertniczą.

- Słowa uznania należą się przede wszystkim kapitanowi. Ominął platformę. Gdybym ja był za sterem, wszyscy plulibyśmy teraz surową ropą.

- Kurt jest zbyt skromny - wtrącił Lange. - Uwolnił mnie i moją załogę. Kiedy prowadziłem statek, przegonił stąd napastników i ocalił pani ładunek.

Carina rozpromieniła się.

- Uratowałeś Żeglarza!

- Na pokładzie stoi jakiś duży obiekt zawinięty w brezent. Może właśnie jest to posąg, którego poszukujesz.

- Każę go natychmiast przenieść w bezpieczne miejsce - powiedział Lange. Połączył się przez

kieszonkowe radio z mostkiem i poleciał pierwszemu oficerowi, żeby przysłał ludzi.

Gdy otrzymał informację, że w drodze jest kuter patrolowy Straży Przybrzeżnej i przylatuje przedstawiciel armatora, kapitan przeprosił i wyszli razem z sanitariuszem, który przedtem dał Austinowi środki przeciwbólowe.

- Co jest takiego wyjątkowego w Żeglarzu? - zapytał Kurt. Carina zmarszczyła brwi.

- Właśnie to jest dziwne. Nie wiadomo. Ten posąg nie jest bezcenny i może być nawet falsyfikatem.

- W takim razie porozmawiajmy o tym, co jest wiadome. Na przykład o naszej wspólnej kolacji.

- Jak mogłabym zapomnieć, zwłaszcza po tym, ile dla mnie zrobiłeś? Ale najpierw mi powiedz, skąd się wzięłeś, u diabła?

- Chyba nie u diabła, tylko na morzu? Łapałem w okolicy góry lodowe na łąso.

Carina spojrzała na szerokie bary Austina. Nie byłaby zaskoczona, gdyby się mocował z górami lodowymi. Myślała, że żartuje, dopóki jej nie wyjaśnił, co robił na pokładzie „Leifa Erikssona”.

Podczas licznych podróży po całym świecie spotykała wielu niezwykłych mężczyzn. Ale Austin był jedyny w swoim rodzaju. Zaryzykował własne życie, żeby ocalić setki ludzi i sprzęt wart miliony dolarów. Przepędził napastników i nawet jednego zabił, żeby ją uratować. A teraz flirtował z nią ot tak, po prostu, jak beztrocki nastolatek. Przesunęła wzrokiem po jego muskularnym, opalonym ciele. Sądząc po starych szramach, nie po raz pierwszy stawił czoło niebezpieczeństwu i zapłacił za to.

Dotknęła ręką okrągłej blizny na jego potężnym prawym bicepsie. Już miała zapytać, czy to po ranie postrzałowej, gdy otworzyły się drzwi i do izby chorych wszedł szczupły mężczyzna o ciemnej cerze.

Joe Zavala wytrzeszczył oczy ze zdumienia, potem kąciuki jego ust uniosły się w charakterystycznym półuśmiechu. Słyszał, że Austin jest opatrywany po postrzale. Ale nikt mu nie wspomniał słowem o pięknej młodej kobiecie, która teraz zdawała się pieścić jego ramię.

- Wpadłem zobaczyć, w jakiej jesteś formie - powiedział Zavala. - Wygląda, że w całkiem dobrej.

- Carino, ten dżentelmen to Joe Zavala, mój kolega i przyjaciel. Obaj pracujemy w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Sterował pontonem, którym dopłynąłem do tego statku. Niech cię nie przeraża, że wygląda jak pirat. Naprawdę jest niegroźny.

- Miło mi cię poznać, Carino. - Wskazał na bandaż Austina. - Wszystko gra? Oboje wyglądacie na trochę poobijanych.

- Owszem, dobrana z nas para. - Carina zaczerwieniła się po tych słowach i zdjęła dłoń z ramienia Kurta.

Austin przyszedł jej z pomocą. Wrócił do tematu własnej osoby.

- Jestem trochę zeszywniały na wysokości żeber, poza tym w kilku innych miejscach mam tylko siniaki i zadrapania.

- Czyli nie masz obrażeń, na które nie mogłaby pomóc kolejka tequili lub nawet dwie kolejki - orzekł Zavala.

- Widzę, że jesteś w dobrych rękach - odezwała się Carina. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójde zobaczyć, jak załoga radzi sobie z posągiem. Jeszcze raz dzięki za wszystko, co zrobiłeś.

Joe poczekał, aż za Cariną zamkną się drzwi, potem wybuchnął śmiechem, co było ewenementem, bo zazwyczaj zachowywał się powściągliwie.

- Tylko Kurt Austin mógł znaleźć takiego anioła jak panna Mechadi na tych zamglonych krańcach

korytarza gór lodowych. I pomyśleć, że to mnie nazywają Romeo.

Austin przewrócił oczami. Zsunął się ze stołu, włożył pożyczoną dzinsową koszulę roboczą i zapiął guziki.

- Jak tam kapitan Dawe?

- Wyczerpał swój repertuar dowcipów i zaczął od początku.

- Współczuję ci, stary.

- Powiedział, że musi ścigać Moby Berga, ale zostanie tu do jutra, więc jeszcze nie masz go z głowy.

- Jak się tu dostałeś? Drabinka sznurowa była odcięta.

- Najwyraźniej powiesili zapasową. Miałeś problemy, kiedy się wspinałeś na pokład. Co się działo?

- Opowiem ci całą tę straszną historię przy kawie.

Poszli do mesy, gdzie nalali sobie kubki parującej kawy i pochłonęli po kilka grubo obłożonych kromek pumpernika i sporo greckich ciasteczek. Austin opowiedział szczegółowo o wspinaczce na „Ocean Adventure’a” i o tym, co się działo na kontenerowcu.

Zawała gwizdnął cicho.

- Ktoś poniósł spore koszty i zadał sobie mnóstwo trudu, żeby ukraść ten posąg - stwierdził.

- Na to wygląda. Trzeba mieć wielkie pieniądze, by móc sobie pozwolić na kupno helikopterów i zorganizowanie napadu na morzu. Nie mówiąc o układach, koniecznych do tego, żeby wcześniej umieścić na statku dwóch swoich ludzi, którzy przywitają grupę.

- Mogli po prostu wziąć posąg i uciec - powiedział Joe. - Po co niszczyć kontenerowiec i platformę wiertniczą?

- Zatapiając statek, pozbyliby się dowodów i świadków. Sprytnie. Morze zabiera wszystko. Platforma była po prostu środkiem do osiągnięcia celu.

Zawała pokręcił powoli głową.

- Kto mógł wymyślić taki makabryczny plan?

- Jakiś całkiem pozbawiony skrupułów wyrachowany typ. Helikoptery musiały wystartować z lądowiska gdzieś na oceanie. Pozostajemy wprawdzie w zasięgu śmigłowca z lądu, ale wybrzeże jest dość urwiste. Nie wyobrażam sobie, żeby tamte helikoptery leciały daleko z ciężkim ładunkiem wiszącym na linie.

- Atak z ruchomej bazy na wodzie rzeczywiście wydaje się najbardziej sensowny.

- Co może oznaczać, że tracimy czas - zauważył Kurt. - Mogą być jeszcze w tym rejonie.

- Niestety, na tym statku nie ma wsparcia powietrznego. Austin przechylił głowę w zamyśleniu.

- Kapitan Dawe mówił, że na platformę ma wrócić helikopter. Chodźmy zobaczyć, czy przyleciał.

Popił proszek przeciwbólowy resztką kawy i wyszedł pierwszy z mesy. Na mostku powitał ich Lange. Austin pożyczył lornetkę i skierował ją na platformę wiertniczą. Zobaczył tam helikopter.

- Ma pan tu dobry punkt obserwacyjny, kapitanie. Widział pan może, w którą stronę odlecieli napastnicy?

- Niestety, nie. Wszystko stało się bardzo szybko. - Aż poczerwieniał z gniewu na to wspomnienie.

- Co pan wie o filipińskich załogantach, którzy współpracowali z bandytami? - zapytał Austin.

- Przed zamustrowaniem zostali sprawdzeni zgodnie z normalną procedurą. W ich kartotekach nie było nic podejrzanego.

- Wchodząc na pokład, mogli mieć fałszywe dokumenty - zasugerował Joe. - Mogli je ukraść prawdziwym marynarzom albo ich zabić, żeby zdobyć papiery.

- W takim wypadku musielibyśmy dodać do listy przestępstw owej bandy dwa zabójstwa - powiedział Austin.

Kapitan zaklął cicho po niemiecku.

- Wiecie, czasami, kiedy stoję tu na górze i prowadzę ten wielki statek przez ocean, czuję się jak król Neptun. - Pokręcił głową. - A potem zdarza się coś takiego jak dziś, i człowiek widzi, jaki naprawdę jest bezsilny. O wiele bardziej wolę mieć do czynienia z morzem niż z potworami ludzkiego gatunku.

Austin dobrze wiedział z własnego doświadczenia, o czym mówi Lange, ale musieli odłożyć dysputę filozoficzną na kiedy indziej.

- Mógłby się pan skontaktować z platformą wiertniczą? - Wyjaśnił kapitanowi, co on i Zavala chcą zrobić.

Lange natychmiast skontaktował się drogą radiową z szefami Great Northern. Ci najpierw się wahali, czy przysłać helikopter, w końcu się zgodzili, kiedy usłyszeli, że to prośba człowieka, który uratował platformę i jej personel przed katastrofą.

Po dwudziestu minutach z Great Northern uniósł się śmigłowiec i pokonał krótki dystans do kontenerowca. Wylądował na szerokim pokładzie dziobowym. Austin i Zavala przebiegli pod wirującymi rotorami. Moment później maszyna była w powietrzu. Ledwo zdążyli wyregulować interkomy, pilot zapytał:

- Dokąd lecimy, panowie?

Bandyci mieli dużą przewagę czasową, co oznaczało, że nie będzie ich nigdzie w pobliżu statku. Austin poprosił pilota nazwiskiem Riley, żeby przeleciał pięć mil morskich w dowolnym kierunku, a potem zszedł nisko i zataczał coraz większe kręgi wokół kontenerowca.

Riley uniósł kciuk i wziął kurs na zachód z szybkością około stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Czego szukamy?

- Czegoś na tyle dużego, żeby zmieściły się na tym dwa helikoptery - odparł Austin.

Riley znów uniósł kciuk.

- Wszystko jasne.

Kilka minut później przechylił śmigłowiec w skrócie i zatoczył pierwszy krąg. Mgła się rozwiła i widoczność wzrosła do trzech mil morskich. Zobaczyli flotyllę kutrów rybackich i wielkie bryły lodu. Niewykluczone, że któraś z nich to Moby Berg. Jedyнным dużym statkiem był jakiś frachtowiec. Miał zbyt mały pokład, żeby zmieściły się na nim dwa helikoptery, poza tym wyrastały tam żurawie, co uniemożliwiłoby start i lądowanie.

Austin poprosił pilota, żeby zatoczył jeszcze dwa kręgi. Kiedy robili drugi, zauważyli na tle lśniącego oceanu sylwetę wielkiego statku.

- Rudowiec - powiedział Zavala.

Śmigłowiec zmniejszył pułap do kilkudziesięciu metrów i zrównał się ze statkiem. Na długim pokładzie między wysokim dziobem i wielopoziomową nadbudową rufową były równo rozmieszczone prostokątne luki ładunkowe.

- I co pan o tym myśli? - zapytał Kurt pilota.

- Na tym pokładzie helikopter usiadłby bez problemu - stwierdził Riley. - Jak na lotniskowcu.



Zawała się z tym zgodził.

- A w ładowniach byłoby sporo miejsca, gdyby ktoś chciał tam coś ukryć.

- Musieliby tylko zmodyfikować parę rzeczy - dodał Riley. - Prosta sprawa.

Austin chciał poznać nazwę rudowca i śmigłowiec przemieścił się nad kilwater statku. Na pawęży widniał wielki biały napis „Sea King”, a obok logo w kształcie głowy byka. Rudowiec był zarejestrowany w Nikozji na Cyprze.

Austin zobaczył wystarczająco dużo.

- Wracamy.

Helikopter zakręcił i statek zniknął w lekkiej mgle.

Kiedy cichł hałas rotorów, człowiek o jasnych oczach stojący na mostku cały czas miał w polu widzenia odlatującą maszynę, dopóki nie zmalowała do wielkości komara. Adriano z kwaśnym uśmiechem opuścił lornetkę. Śmigłowiec był wcześniej tak blisko, że zabójca widział wyraźnie twarz w oknie kokpitu.

Myśliwy stał się zwierzyną.

Gdy helikopter z platformy wiertniczej zbliżył się do kontenerowca, ukazał się kuter patrolowy straży przybrzeżnej, zakotwiczony niedaleko statku. Pilot posadził śmigłowiec na pokładzie „Ocean Adventure’a”. Kiedy Austin i Zawała wysiedli z maszyny, czekał na nich kapitan Lange, który poinformował, iż straż przybrzeżna przysłała ekipę dochodzeniową, żeby zacząć przesłuchiwać świadków.

Kurt trzymał się na nogach tylko siłą woli. Czuł się fatalnie, bolała go klatka piersiowa i w żadnym razie nie miał ochoty teraz zeznawać. Wolałby się porządnie wyspać, był wykończony.

Porucznik z ekipy dochodzeniowej, który prowadził przesłuchania w sali rekreacyjnej, sprawiał wrażenie rzeczowego i kompetentnego. Rozmawiał z Austinem i zamierzał przepytac resztę załogi. Kurt musiał się skrzywić z bólu niejednym razem, bo porucznik zasugerował, żeby opatrzone mu porządnie ranę w szpitalu. Kapitan przystał na to, mówiąc, że helikopter z platformy wiertniczej może go rano zabrać z powrotem na ląd.

Carina zapytała, czy mogłaby z nim polecieć, bo chce być następnego wieczoru na jakimś przyjęciu w Waszyngtonie; powiedziała, iż nie obawia się o swój ładunek, skoro statek będzie eskortowany przez kuter straży przybrzeżnej. Zawała też chciał wrócić do domu, żeby się przygotować do podróży do Stambułu. Austin skontaktował się z kapitanem Dawe'em i uprzedził, że będą musieli odłożyć polowanie na Moby Berga.

- Szkoda. - Dawe zmartwił się. - Ale przy następnym spotkaniu opowiem wam trochę nowych kawałów - dodał na pocieszenie.

- Nie mogę się tego doczekać - odparł Austin.

Viktor Baltazar słuchał w milczeniu raportu Adriana o nieudanym napadzie na kontenerowiec. Przy każdym szczególe udaremnionej kradzieży fenickiego posągu coraz bardziej zalewała go krew. Choć jedyną zewnętrzną oznaką jego gniewu było pulsowanie żyły na czole, w środku kipiał z wściekłości. Kiedy Adriano powiedział, że rudowiec śledził helikopterem ten sam siwy mężczyzna, który przeszkodził mu w zdobyciu posągu, Baltazar nie wytrzymał.

- Wystarczy - warknął.

Zamknął dłoń w koleczej rękawicy na telefonie komórkowym i zaciskał grube palce jak imadło, dopóki nie poczuł z satysfakcją, że zgniata plastik i metal. Rzucił zmiażdżony aparat stajennemu, który trzymał wodze wielkiego ogiera. Wziął z rąk czekającego giermka stalowy hełm i włożył go na głowę, chronioną wywatowaną czapką.

Mocno zbudowany Baltazar, ubrany od stóp do głów w lśniącą zbroję, przypominał robota z filmu science fiction. Ale był o wiele zwinniejszy od jakiegokolwiek metalowego potwora. Nawet w zbroi o wadze prawie trzydziestu dwóch kilogramów bez trudu podciągał się na siodło z wysokim tylnym łękiem, ulokowane na grzbiecie kasztana.

Giermek podał Baltazarowi drewnianą kopię o długości ponad czterech i pół metra. Miała stalowy, ale tępy grot, zamiast ostrego, i służyła do walki turniejowej, nie na polu bitwy. Mimo to w rękach jeźdźca na rozpędzonym, dużym i silnym koniu belgijskim mogła być zabójczą bronią. Kasztan wyhodowany przez Baltazara pochodził w prostej linii od wspaniałych wierzchowców bojowych, znanych w średniowieczu jako *destriers*. Był dwukrotnie większy od zwykłego konia wierzchowego i nawet bez pancerza ochronnego ważył ponad tonę.

Baltazar oparł kopię na grubym, wygiętym w łuk karku zwierzęcia. Giermek wręczył mu białą tarczę, zwężającą się ku dołowi, na której widniała czarna głowa byka. Ten sam motyw zdobił tunikę Baltazara i czaprak kasztana.

Mężczyzna pochylił się do przodu i spojrzał przez *ocularium*, wąską poziomą szczelinę w hełmie. Na lewo od Baltazara ciągnął się niski, solidny płot. Przy jego przeciwległym końcu, po drugiej stronie, stał jeździec, też w zbroi, na równie wielkim koniu. Był to przeciwnik, którego Baltazar wybrał spośród swoich najemników. Mocno zbudowany mężczyzna dobrze jeździł konno i, podobnie jak sparring partner zawodowego boksera, zwykle przegrywał starcia. Za odniesione kontuzje dostawał dodatkowe pieniądze. Baltazar obchodził się z nim delikatnie, ale nie z litości, po prostu nie chciał zawracać sobie głowy szkoleniem nowego rycerza do turniejów. Jednak po fiasku operacji na morzu był w morderczym nastroju.

Miażdżył nic nie podejrzewającego przeciwnika wściekłym wzrokiem. Powstrzymał się od wyładowania złości na Adrianie. Młody Hiszpan, którego uratował od zarzutu zabójstwa, wiernie mu służył. Potężny i silny, osobisty egzekutor Baltazara był na swój sposób delikatny. Groźby czy połajanki wywołałyby u niego zniechęcenie, mogące doprowadzić do tego, że wpadłby

w autodestrukcyjny i kłopotliwy szal zabijania.

Baltazar, zaciskając zęby, chwycił mocno kopię. Herold w jarmarcznym średniowiecznym kostiumie zadał w trąbkę, dając sygnał do szarży. Jeździec uniósł kopię i dźgnął konia w boki długimi złotymi ostrogami.

Masywne zwierzę ruszyło w zwoźniczo wolnym tempie. Spokojny chód utrzymywał jeźdźca w siodle, skąd mógł lepiej wycelować kopię. Obaj przeciwnicy mieli drzewce skierowane w lewo pod kątem trzydziestu stopni, głowy pół metra od płotu, prawe ręce metr od niego. Uniesione tarcze stanowiły ochronę lewych dłoni.

Konie przyspieszyły z tętentem kopyt i jeźdźcy starli się w środkowym punkcie płotu. Pierwszy uderzył przeciwnik Baltazara, trafiając kopią w jego pancerz. Żłobkowany napierśnik był tak pomyślany, żeby grot ześlizgiwał się po nim dla zmniejszenia impetu, ale drzewce pękło, zanim zostało skierowane w bok. Baltazar dosięgnął celu sekundę później; ugodził przeciwnika w lewe ramię.

Jego kopia wytrzymała; mimo tępego końca uderzyła tamtego jak taran. Siła pędzącego konia i jeźdźca, skoncentrowana w jednym punkcie, wyrzuciła z siodła mężczyznę, który runął na ziemię z hałasem lawiny złomu.

Baltazar obrócił konia, cisnął kopię na bok i, zsunąwszy się z kasztana, dobył miecza. Przeciwnik leżał na plecach, wygięty pod nienaturalnym kątem. Baltazar zignorował jego jęki bólu, stanął nad nim w rozkroku i uniósł oburącz miecz. Ostrze celowało w dół. Napawał się przez moment zwycięstwem, potem wbił miecz w ziemię tuż obok szyi leżącego.

Prychnął z odrazą, zostawił miecz w ziemi i pomaszerował do namiotu oznaczonego głową byka. Ekipa medyczna, która czekała w pobliżu, pobiegła zająć się kontuzjowanym jeźdźcem.

Giermek pomógł zdjąć zbroję rycerzowi, który miał pod kolczugą warstwę ochronną kevlaru. Przeciwnik nosił bardziej tradycyjny, wywatowany strój z bawełny, słabo go chroniący. Baltazar zawsze lubił mieć przewagę. W jego kopii był metalowy rdzeń, żeby się nie złamała, tak jak broń przeciwnika.

Baltazar wsiadł, nie zdejmując kolczugi, do czerwonego kabrioletu bentley GTC i odjechał. W ciągu niecałych pięciu sekund rozpędził samochód z dwunastocylindrowym silnikiem i dwiema turbosprężarkami do stu kilometrów na godzinę. Choć auto mogło rozwinąć ponad trzykrotnie większą prędkość, utrzymywał połowę szybkości maksymalnej. Pokonał drogą parę kilometrów, potem skręcił na podjazd, który prowadził obok wypielęgnowanych trawników do wielkiej willi w hiszpańskim stylu, zbudowanej z jasnego kamienia.

Zaparkował bentleya przed rezydencją i poszedł do drzwi. W tak dużym domu powinien być spory personel, ale zatrudniał tylko jednego człowieka, zaufanego służącego i doskonałego kucharza w jednej osobie. Baltazar zajmował niewiele pokoi. Jeśli potrzebował ludzi do prac domowych, wzywał tych ze swojej prywatnej armii. Mieszkali w pobliskich koszarach i patrolowali teren rozległej posiadłości.

Służący czekał na niego w progu. Był mistrzem wschodnich sztuk walki i wysoko wykwalifikowanym, uzbrojonym agentem ochrony osobistej. Baltazar skierował się w stronę krytego basenu o wymiarach olimpijskich. Rozebrał się do naga i przepłynął osiemset metrów. Potem wymoczył się w gorącej kąpieli, żeby „wyparowała” z niego złość. Po wyjściu z wanny włożył białą szatę z kapturem, podobną do habitu zakonnika.

Nawet w tym stroju wyglądał imponująco. Taki ubiór mógł zamaskować muskularne ramiona

i nogi, ale nie szerokie bary. Jego głowa wydawała się wyrzeźbiona z granitu, który za sprawą jakiegoś cudu alchemii przeobrażono w ludzkie ciało.

Wydał służącemu polecenie, żeby mu nie przeszkadzano, i zamknął się w galerii portretów. Na ścianach wielkiej sali wisały podobizny jego przodków. Nalał sobie kieliszek koniaku, zamieszał płyn w szkle i wypił łyk. Odstawił koniakówkę na bok i podszedł do XVIII-wiecznego portretu olejnego młodej kobiety, który wisiał obok dużego kamiennego kominka. Przysunął twarz do obrazu tak blisko, że oczy jego i kobiety się spotkały, i oparł dłonie na rzeźbionej boazerii po obu stronach portretu.

Sensory ulokowane za oczami kobiety i skanery ukryte w boazerii porównały jego siatkówki oraz linie papilarne z wzorcami w komputerowej bazie danych. Rozległ się cichy trzask, część ściany się rozstąpiła, odsłaniając schody.

Baltazar zszedł po stopniach do stalowych drzwi z elektronicznym zamkiem szyfrowym. Za progiem było pomieszczenie z hermetycznie zamkniętymi oszklonymi szafkami, gdzie automatycznie regulowana temperatura i wilgotność w ich wnętrzach chroniły setki grubych tomów poukładanych według dat.

Księgi zawierały historię rodu Baltazara, obejmując ponad dwa tysiące lat. Kroniki podawały, że protoplaści wywodzą się z Palestyny, ale zrzędzeniem losu przenieśli się na Cypr i tam doskonale prosperowali jako budowniczowie statków, dostarczając je uczestnikom czwartej wyprawy krzyżowej. Mieli swój udział w zakończonym krwawo splądrowaniu Konstantynopola, skąd zabrali tyle złota, ile mogli zmieścić na swoich statkach.

Po krucjacie związali się z krzyżowcami. Trafili do zachodniej Europy, gdzie przyłączyli się do pewnej wspólnoty, która za zrabowane złoto stworzyła podwaliny imperium wydobywczego. Od czasu opuszczenia Cypru rejestrowali wszystkie narodziny, zgony i małżeństwa, interesy i zatargi. Każdy czyn, nawet najbardziej żenujący, haniebny czy karygodny, był szczegółowo opisany między okładkami tomów z wytłaczanymi złoceniami.

Baltazar przeczytał każdą księgę od deski do deski. Dzieje jego rodu w okresie wypraw krzyżowych rozbudziły w nim zainteresowanie walką konną na kopie i innymi atrybutami rycerstwa. Dostęp do kronik umożliwiał wbudowany w ścianę komputer z ekranem dotykowym.

Pośrodku pomieszczenia stał kamienny posąg. Wyrzeźbiony mężczyzna miał wyciągnięte i lekko opuszczone ręce, zwrócone dłońmi do góry, jakby czekał, aż coś zostanie mu dane. Usta na okrągłej, brodatej twarzy wykrzywiał niemal pożądlivy uśmiech, z boków głowy wyrastały dwa rogi. Bóg Baal zajmował szczególne miejsce, bo od jego imienia pochodziło nazwisko Baltazar. Ród od początku swojego istnienia zabiegał o względy Baala i prosił, by strzegł jego bogactw.

Posąg, używany do składania ofiar z ludzi, stał kiedyś na krawędzi dołu, gdzie buchał ogień. Kamienne stopy były wciąż poczerniałe od dymu i żaru. W ciężkich czasach kapłani Baala kładli na jego pochylonych przedramionach niemowlęta, które się staczały w płomienie. Teraz, zamiast ognia, przed posągiem znajdował się ołtarz, a na nim stał kuferek z ciemnego drewna, ozdobiony tuzinami drogich kamieni.

Baltazar uniósł wieko i wydobył prostą drewnianą szkatułkę. Wyjął ze środka kilka arkuszy pergaminu i rozpostarł je na ołtarzu. Ojciec zapoznał go z zawartością małej skrzynki, kiedy jeszcze mieszkali w Europie. Tekst opisywał historię rodu przed ucieczką na Cypr. Ale dopiero, gdy Baltazar był starszy i studiował język aramejski, mógł poznać mroczne tajemnice, które doprowadziły do emigracji jego przodków.

Kiedy teraz czytał instrukcje swojego protoplasty, czuł na barkach ciężar stuleci. Po chwili schował ostrożnie pergamin do podwójnej skrytki i zamknął wieko.

Podniósł niemal bezbarwne oczy i napotkał kamienne spojrzenie Baala. Miał wrażenie, że starożytny bóg widzi jego duszę, że z posągu przepływa do ciała moc. Wchłaniał ją całym sobą niczym spragniony pielgrzym wodę, dopóki nie poczuł, że wypełnia go totalnie.

Cofnął się do drzwi, potem odwrócił i wspiał po schodach do swojego gabinetu. Wciąż wstrząśnięty tym, czego doznał, dopił brandy, żeby się uspokoić. Sięgnął do telefonu i wybrał numer. Sygnał dotarł do Adriana przez szereg połączeń, zabezpieczających rozmówcę przed namierzeniem.

Baltazar potrzebował szczegółów udaremnionej kradzieży na morzu. Chciał znać tożsamość człowieka, który pokrzyżował mu plany. Przysiągł sobie, że ktokolwiek to jest, spotka go taki sam los jak setki innych wrogów Baltazarów: długa i bolesna śmierć

Jak na supertajną instytucję rządową, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego jest zadziwiająco dobrze widoczna dla całego świata. Kwatera główna NSA znajduje się w Fort Meade w stanie Maryland, między Baltimore a Waszyngtonem. Mieści się w dwóch wysokich biurowcach z granatowego szkła, które wyglądają tak, jakby stworzył je kubista w ponurym nastroju.

To iluzja. Wieżowce są tylko częścią rozległego kompleksu, gdzie podziemne pomieszczenia operacyjne zajmują podobno powierzchnię czterech hektarów. NSA to największy pracodawca matematyków w Stanach Zjednoczonych, a być może na świecie. Wśród około dwudziestotysięcznego personelu agencji są też najlepsi kryptografowie w kraju.

Angela Worth, asystentka bibliotekarki w Amerykańskim Towarzystwie Filozoficznym, minęła samochodem kompleks NSA i skręciła na parking Narodowego Muzeum Kryptograficznego. Wstała wcześniej rano, zadzwoniła do pracy, mówiąc, że jest chora, i wyjechała z Filadelfii na południe. Teraz znalazła wolne miejsce parkingowe, wzięła z siedzenia pasażera stary neseser i skierowała się w stronę frontowych drzwi muzeum.

Zapytała recepcjonistkę w holu, czy mogłaby się widzieć z D. Groverem Harrisem. Kilka minut później podszedł do niej młody kudłaty chudzielec w dżinsach. Uścisnął jej dłoń.

- Cześć, Angelo - powiedział z nieśmiałym uśmiechem. - Miło z twojej strony, że przejechałaś taki kawał drogi.

- Nie ma sprawy, Deeg. Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas. Angela poznała Deega na zjeździe fanów łamigłówek. Szybko się zaprzyjaźnili - oboje mieli kręcka na punkcie swojego hobby. Deeg był miły, przystojny i niesamowicie inteligentny. I podobnie jak Angela, pracował na niskim stanowisku. Zaprowadził ją do zagraconego pokoiku biurowego i poprosił, żeby usiadła. Urzędował w klitce niewiele większej od szafy w ścianie, co potwierdzało, że jest na samym dole drabiny służbowej.

Harris usadowił się za biurkiem tak zawalonym papierami, że każdy kompetentny inspektor ochrony przeciwpożarowej uznałby to za stan zagrożenia.

- Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, byłaś bardzo podekscytowana. Co jest grane?

Angela otworzyła neseser, wyjęła kopię materiału Jeffersona i podała bez słowa Harrisowi. Przerzucił kartki. Na spodzie pliku natrafił na karton z otworami. Uniósł go do światła, potem przyłożył do jednej ze stron.

- To chyba nie jest szablon do szyfrowania, co?

- Miałam nadzieję, że ty mi powiesz. Jesteś ekspertem od kodów i szyfrów.

- Zaledwie początkującym ekspertem po kursach w narodowej szkole kryptograficznej.

- Mnie to w zupełności wystarczy - zapewniła Angela. Szkoła NSA kształciła pracowników wszystkich agencji rządowych w zakresie analiz kryptograficznych.

- Nie ceń się tak nisko. Ty to wychwyciłaś - odparł Harris. - Co możesz mi o tym powiedzieć?

- Myślę, że to wylądowało w niewłaściwym miejscu. Powinno być trafić do dokumentów Jeffersona.

Harris wyprostował się na krześle.

- Thomasa Jeffersona?

- Mhm. Poznałam jego pismo. Porównałam papiery z Deklaracją Niepodległości, a poza tym w prawym dolnym rogu strony tytułowej są małe inicjały T. J.

Harris uniósł kartkę do oczu i gwizdnął bezgłośnie.

- Jefferson. To by miało sens. Angela odetchnęła z ulgą.

- Cieszę się, że to słyszę z twoich ust. Bałam się, że marnuję twój czas.

- Ależ skąd! - Harris pokręcił głową. - Większość ludzi nie wie, że Jefferson był znakomitym kryptografem. Używał szyfrów do korespondencji z Jamesem Madisonem i innymi osobistościami. Zaczął być w tym biegły, kiedy przebywał jako poseł we Francji. - Wstał zza biurka. - Chodź, coś ci pokażę.

Zaprowadził Angelę do sali ekspozycyjnej i stanął przed gablotą, w której znajdował się brązowy drewniany cylinder osadzony na osi. Miał pięć centymetrów średnicy, ponad dwadzieścia centymetrów długości i składał się z wielu krążków. Na ich krawędziach widniały litery.

- Znalaziono go w jakimś domu niedaleko Monticello - mówił Harris. - Uważamy, że to szyfr kołowy, który Jefferson wynalazł, będąc sekretarzem stanu w Waszyngtonie. Pisziesz wiadomość i obracasz krążki, żeby pomieszać litery. Adresat odczytuje treść za pomocą takiego samego urządzenia.

- Wygląda jak coś z Kodu Leonarda da Vinci.

Harris zachichotał.

- Stary Leonardo byłby zafascynowany ewolucją szyfru kołowego. Przeszli do następnej gabloty z kilkoma eksponatami przypominającymi maszyny do pisania.

Przeczytała informację.

- Maszyny szyfrujące Enigma! - wykrzyknęła z podnieceniem. - Słyszałam o nich.

- Jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic II wojny światowej. Ludzie zabiliby, żeby zdobyć takie urządzenie. To właściwie rozwinięcie wynalazku Jeffersona. Wyprzedzał swoją epokę.

- Szkoda, że nie możemy skorzystać z któregoś eksponatu, żeby rozszyfrować nasz tekst. - Angela westchnęła.

- Może nie musimy - odparł Harris.

Wrócili do jego pokoju. Harris znów usadowił się za biurkiem, wyciągnął na krześle i złączył końce palców.

- Skąd się wzięło twoje zainteresowanie kodami i szyframi? - zapytał.

- Jestem dobra z matmy. Rozwiązuję krzyżówki i od dziecka lubię akrostychy. Zamiłowanie do łamigłówek skłoniło mnie do czytania książek na ten temat. Tak się dowiedziałam o szablonach do szyfrowania i zainteresowaniu Jeffersona kryptografią.

- Tak samo odpowiedziałyby mi połowa kryptografów na świecie. - Harris pokiwał głową. - Właśnie te zainteresowania pozwoliły ci wyczuć w tym materiale ukrytą treść.

Angela wzruszyła ramionami.

- Dostrzegłam w nim coś dziwnego.

- „Coś dziwnego” to jest to, czym NSA stale się zajmuje. Jefferson czułby się w tej agencji jak w domu.

- A jak do tego pasuje szyfr kołowy?

- Nijak. Jefferson oszczędził w końcu od tej metody. Przypuszczam, że użył szablonu tylko do stworzenia steganogramu, chcąc ukryć to, że rozprawa o karczochach zawiera tajną wiadomość. Zapisałby ją w otworach i zbudował wokół nich zdania.

- Składnia w tym tekście jest koturnowa, a w niektórych wierszach po prostu dziwaczna.

- Masz rację. Przyjmijmy, że Jefferson użył tego jako dodatkowej warstwy maskującej. Najpierw będziemy musieli wypisać litery w otworach szablonu.

Angela wyjęła z nesesera notes i podała Harrisowi.

- Już to zrobiłam.

Przyjrzał się rzędom liter pozornie bez związku.

- Super! Zaoszczędzimy mnóstwo czasu.

- Od czego zaczniemy?

- Od okresu sprzed mniej więcej dwóch tysięcy lat.

- Słucham?!

- Juliusz Cezar użył szyfru substytutowego, żeby przekazać wiadomość Cynceronowi, który prowadził wojnę w Galii. Po prostu zastąpił greckie litery rzymskimi. Później ulepszył ten system. Na bazie alfabetu w otwartym tekście tworzył alfabet szyfrowy, przenosząc litery o trzy miejsca w dół. Jeśli przyłożysz jeden alfabet do drugiego, możesz zamienić litery w pierwszym rzędzie na te w drugim.

- I tu tak jest?

- Niezupełnie. Arabowie odkryli, że jeśli ustalisz częstotliwość pojawiania się jakiejś litery w języku pisanym, będziesz mogła odczytać szyfr substytutowy. Maria Stuart została ścięta, kiedy łamacze kodów królowej Elżbiety przechwycili wiadomości przekazywane w czasie spisku Babingtona. Jefferson opracował wersję systemu nazywanego metodą Vigenere'a.

- Która jest rozwinięciem szyfru substytutowego Cezara.

- Zgadza się. Tworzysz jakiś zbiór alfabetów szyfrowych, podstawiając tyle samo liter za każdą. Grupujesz je w rzędach, by powstał blok Vigenere'a. Potem na górze bloku piszesz słowo klucz i powtarzasz je ileś tam razy. Litery w słowie kluczu pomagają ci zlokalizować twoje zakodowane litery. To coś takiego jak nanoszenie punktów na wykres.

- Czyli że litery w twoim otwartym tekście zostaną zastąpione innymi.

- Na tym polega urok tego systemu. Zapobiega wykorzystaniu tabel częstotliwości występowania liter.

Harris odwrócił się do komputera i zaczął szybko pisać. Po kilku minutach miał na monitorze kolumny liter, które tworzyły kształt prostokąta.

- Widzisz tu standardowy blok Vigenere'a. Jest tylko jeden problem. Nie znamy słowa klucza.

- Może weźmiemy „karczoch”? Harris roześmiał się.

- „Skradziony list”, jak tamten Poego, całkowicie na widoku? „Karczoch” to było słowo klucz do odczytywania szyfru, którym Jefferson i Meriwether Lewis porozumiewali się w czasie ekspedycji do Luizjany.

Kilkakrotnie napisał słowo „karczoch” wzdłuż górnej krawędzi prostokąta i spróbował odczytać zaszyfrowaną wiadomość przy użyciu szablonu. Zmienił liczbę pojedynczą na mnogą i pokręcił głową.

- Może to byłoby zbyt oczywiste - powiedziała Angela. Wypróbowali „Adams”, „Waszyngton”,



„Franklin” i „niepodległość”. Bez skutku.

- Możemy na tym spędzić cały dzień. - Angela westchnęła.

- Albo kilkadziesiąt lat. Słowo klucz nawet nie musi mieć sensu.

- Więc nie ma sposobu na złamanie szyfru Vigenere’a?

- Każdy szyfr można złamać. Z tym poradził sobie w XIX wieku facet nazwiskiem Babbage, geniusz uważany za ojca komputera. Opracował system szukania ciągów liter. Kiedy już je miał, znalazł słowo klucz. Coś takiego przekracza moje umiejętności. Na szczęście, jesteśmy rzut beretem od najlepszych łamaczy szyfrów na świecie.

- Znasz kogoś w NSA?

- Zadzwonię do mojego nauczyciela.

Profesor miał wykład, więc Harris zostawił wiadomość. Za zgodą Angeli skopiował materiał. Wcześniej był tak skoncentrowany na tekście, że nie zwracał uwagi na rysunek.

Teraz przyglądał się falistym liniom i znakom X.

- To następna tajemnica. Najpierw myślałam, że to rozkład ogrodu. - Powiedziała mu, co znalazła na stronie internetowej poświęconej językom starożytnym.

- Fascynujące, ale skupmy się na razie na wiadomości w głównym tekście.

Angela schowała oryginały z powrotem do nesesera, Harris miał kopie papierów. Odprowadzając ją do drzwi, obiecał, że da znać, czego się dowiedział.

Dwie godziny później zadzwonił profesor. Harris mówił o problemie z szyfrem, a kiedy wymienił nazwisko Jeffersona, wykładowca przerwał mu i kazał natychmiast przyjść.

Profesor Pieter DeVries, który czekał na Harrisa po drugiej stronie punktu kontrolnego, niemal zawlókł go do swojego gabinetu, żeby jak najszybciej obejrzeć dokumenty.

Był typowym przykładem błyskotliwego, ale roztargnionego matematyka. Nawet w lecie nosił tweedowe garnitury i miał zwyczaj w zamyśleniu, czyli prawie stale, szarpać siwą bródkę w stylu Van Dycka.

Przestudiował materiał o karczochach.

- Mówisz, że przywiozła ci to pewna młoda dama z Towarzystwa Filozoficznego?

- Zgadza się. Pracuje w ich bibliotece naukowej.

- Pewnie nie przyjrzałbym się temu bliżej, gdyby nie szablon. - Angela pozwoliła Harrisowi go zatrzymać. DeVries wziął karton z otworami, popatrzył na niego z pogardą i odłożył go na bok. - Nie chce mi się wierzyć, że Jefferson używał czegoś tak prymitywnego.

- Nie jestem do końca przekonany, że zaszyfrował w tym materiale jakąś wiadomość - powiedział Harris.

- Jest jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć - stwierdził profesor.

Zeskanował do komputera kolumny liter i przez kilka minut wystukiwał coś na klawiaturze. Litery na ekranie układały się raz tak, raz inaczej, wreszcie utworzyły słowo.

ORZEL.

Harris spojrział zmrużonymi oczami na monitor i pokręcił głową.

- Powinniśmy byli się tego domyślić. Tak się nazywał ulubiony koń Jeffersona.

DeVries uśmiechnął się.

- Babbage sprzedałby duszę diabłu za komputer o dziesięciokrotnie mniejszej mocy obliczeniowej niż ten. - Wpisał na ekran słowo klucz i wydał komputerowi polecenie, by przy użyciu

tego wyrazu rozszyfrował zeskanowaną wcześniej wiadomość.

Ukazał się otwarty tekst listu, który Jefferson napisał do Lewisa w roku 1809.

Harris pochylił się nad ramieniem profesora.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedział. - To jakiś obłąd. - Wziął kartkę z dziwnym rysunkiem. - Angela uważa, że to fenickie słowa.

- To się zgadza z tym, co źródło Jeffersona na Oksfordzie twierdzi w swoim liście.

Harris poczuł się nagle bardzo zmęczony.

- Czuję, że natknęliśmy się na coś - dużego.

- A z drugiej strony, to może być tylko żart, wytwór bujnej fantazji.

- Naprawdę pan w to wierzy?

- Nie. Myślę, że dokument jest autentyczny. Jego treść to już inna sprawa.

- Co z tym zrobimy?

Profesor szarpnął bródkę tak mocno, że chyba tylko cudem jej nie wyrwał.

- Musimy być bardzo ostrożni.

Na P Street, gdzie w historycznym XIX-wiecznym Boardman House mieściła się ambasada Iraku, panował duży ruch. Przed dwupiętrowym budynkiem w romańskim stylu blisko Dupont Circle przesuwał się rząd limuzyn i luksusowych samochodów. Kiedy się zatrzymywały co pewien czas, wysiadali z nich mężczyźni w smokingach i kobiety w wieczorowych sukniach.

Odźwierny przywołał gestem taksówkę, żeby zajęła miejsce odjeżdżającej limuzyny z korpusu dyplomatycznego, i otworzył drzwi pasażera. Ukazała się gibka postać Cariny Mechadi w czarnobrazowej aksamitnej sukni do kostek, która pasowała kolorem do jej długich czarnych włosów upiętych w kok. Dekolt odsłaniał akurat tyle, że wyglądała stosownie, a jednocześnie seksownie. Haftowany biały szal na ramionach podkreślał jej śniadą cerę.

Podziękowała odźwiernemu takim uśmiechem, że mężczyźni w średnim wieku niebezpiecznie skoczyło tętno i skierowała się za innymi gośćmi do łukowego wejścia od frontu. Młody pracownik ambasady zerknął na jej zaproszenie ze złoconymi brzegami i sprawdził nazwisko na liście.

- Witamy w ambasadzie Republiki Irackiej, panno Mechadi. Dziękujemy za przybycie na nasze przyjęcie.

- To ja dziękuję za zaproszenie - odpowiedziała. - Bardzo się cieszę, że tu jestem.

W holu znajdowało się już sporo osób i prowadzono ożywione rozmowy. Carina rozejrzała się wokół niezdecydowana, czy zostać tu, czy przejść dalej. Czowała na sobie ciekawskie spojrzenia, zwłaszcza panowie taksowali ją wzrokiem bezceremonialnie.

Miała w sobie coś, co przyciągało uwagę. Kobiety jakby wyczuły jej magnetyzm i odruchowo wzięły pod rękę swoich partnerów. Odetchnęła wyraźnie dopiero wtedy, gdy z tłumu wyłonił się wysoki mężczyzna w średnim wieku i podszedł do niej.

Stuknął obcasami i skłonił się z galanterią.

- Carina Mechadi, Anioł Antyków, o ile się nie mylę.

Tak nazwał Carinę anonimowy autor w nagłówku artykułu opublikowanego w magazynie „Smithsonian”. Uśmiechnęła się uprzejmie i pokierowała dalszą rozmową.

- Nigdy mi się nie podobał ten opis, panie...

- Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłem się. Anthony Saxon. I najmocniej przepraszam, jeśli panią uraziłem. - Miał lekki brytyjski akcent, którego uczono kiedyś w ekskluzywnych prywatnych liceach amerykańskich.

- Nic się nie stało. - Wyciągnęła rękę. - Jak pan mnie rozpoznał?

- Pani zdjęcie pojawiło się w kilku czasopismach. To wielka przyjemność móc panią poznać osobiście. - Pocałował ją w rękę.

W dobrze skrojonym smokingu dystyngowany i mówiący barokowym językiem Saxon przypominał ambasadora z przełomu wieku. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i był chudy jak szczapa. Posiwiiałe, gęste rude włosy, które tworzyły demoniczny klin nad krzaczastymi brwiami,

zaczęsywał prosto do tyłu. Górną wargę zdobił cienki wąsik noszony w latach czterdziestych ubiegłego stulecia przez amantów filmowych i żigolaków, pustynna opalenizna dodawała twarzy uroku.

- Jest pan z waszyngtońskiego korpusu dyplomatycznego?

- Niestety, daleko mi do tego. Jestem z wyboru poszukiwaczem przygód, z potrzeby pisarzem i filmowcem. Może pani czytała moją ostatnią książkę „W poszukiwaniu królowej”? - zapytał z nutą nadziei w głosie.

- Niestety, nie - odparła, ale nie chcąc ranić uczuć autora, dodała szybko: - Dużo podróżuję.

- Delikatna szczerość. - Saxon znów stuknął obcasami. - To nieważne, czy pani słyszała o mnie, ponieważ ja dużo słyszałem o pani, zwłaszcza w związku z odzyskaniem antyków skradzionych z muzeum w Bagdadzie.

- Jest pan bardzo uprzejmy. - Rozejrzała się. - Może pan wie, gdzie mogłabym znaleźć Viktora Baltazara?

Saxon zmarszczył brwi.

- Baltazar ma zaraz wystąpienie w głównej sali recepcyjnej. Z przyjemnością wskażę pani drogę. Służę ramieniem.

Carina uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Zachowuje się pan jak dżentelmen z epoki wiktoriańskiej - powiedziała, biorąc go pod rękę.

- Osobiście uważam, że bardziej z elżbietańskiej. Miecze i sonety. Ale dziękuję za komplement.

Zaprowadził ją przez tłum do sali ozdobionej rdzawoczerwonozłotymi draperiami. Podium w głębi otaczały reflektory, kamery i mikrofony. Na ścianie za podwyższeniem wisiało powiększone zdjęcie Irackiego Muzeum Narodowego. Przed podium stały rzędy wyściełanych krzeseł.

Saxon skierował się do małej dwuosobowej kanapy pod boczną ścianą. Wyjaśnił konspiracyjnym szeptem, że z tego miejsca dobrze widać wchodzących gości i można łatwo uciec, gdyby przemówienia trwały zbyt długo.

Carina dostrzegła kilku niższych urzędników Departamentu Stanu, polityków i dziennikarzy. Zauważyła też sporo znajomych osób ze środowiska naukowego, zajmujących się zabytkami Bliskiego Wschodu. Poczowała podniecenie, gdy do sali wszedł profesor Nasir.

Wstała i pomachała do niego. Profesor uśmiechnął się, idąc w jej stronę.

- Panno Mechadi, jakże się cieszę, że panią widzę!

- Miałam nadzieję, że pan tu będzie, profesorze. - Odwróciła się do Saxona. - Profesor Jassim Nasir. Profesorze, to pan Anthony Saxon.

Saxon się wyprostował. Górował nad Irakijczykiem jak wieża.

- Jestem zaszczycony, że mogę pana poznać, profesorze. Dużo słyszałem o pańskiej pracy w muzeum.

Nasir rozpromienił się.

- Proszę nam wybaczyć - zwróciła się Carina do Saxona. - Profesor Nasir i ja mamy sobie dużo do opowiedzenia. Nie widzieliśmy się całe lata.

- Naturalnie. - Saxon jednym ruchem porwał z mijającej ich tacy dwie szampanki i wręczył jedną Carinie. - Proszę dać mi znać, gdybym mógł być jeszcze pomocny.

Nasir popatrzył, jak Saxon toruje sobie drogę przez tłum.

- Niewiele osób poza Irakiem wie o moim istnieniu - powiedział. Był najwyraźniej pod wrażeniem. - Jak długo pani zna pana Saxona?

- Może pięć minut. Czatował na mnie w zasadzce przy drzwiach. Ale ważniejsze jest to, jak długo się nie widzieliśmy. Co najmniej trzy lata.

- Pamiętam nasze ostatnie spotkanie w muzeum w Bagdadzie. Straszne czasy.

- Przepraszam, że kontaktowałam się z panem tak rzadko.

- Zrobiliśmy porządki i dzięki takim ludziom jak pani odzyskujemy kolejne eksponaty. Napływają pieniądze, ale mamy ogromne wydatki. Sytuacja w kraju wciąż jest daleka od normalności i raczej nieprędko przed naszymi frontowymi drzwiami zatrzymają się autokary pełne turystów.

- Tym bardziej to przyjęcie musi być dla was obiecujące.

- O, tak - ożywił się. - Byłem podekscytowany, kiedy pani zadzwoniła do mnie z wiadomością, że odzyskała dużą część artefaktów. Pomysł zorganizowania wystawy objazdowej jest wprost genialny. Nie spodziewałem się, że spotkam tutaj tylu moich znakomitych kolegów. Oto jedna z tych osób. Pamięta pani doktor Shalawę?

Tęga kobieta, która właśnie zajmowała miejsce na podium, należała do grona czołowych asyrologów. Była ubrana w tradycyjną muzułmańską szatę do kostek, na głowie miała chustę. Odchrząknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę zebranych, i kiedy zapadła cisza, przedstawiła się.

- Chciałabym podziękować ambasadzie za to przyjęcie i naszym gościom za wsparcie finansowe i moralne. Hojność naszego pierwszego mówcy jest przykładem zaangażowania, które odgrywa zasadniczą rolę w przywracaniu naszemu muzeum pozycji jednej z ważnych instytucji kulturalnych świata. Mam zaszczyt oddać głos Viktorowi Baltazarowi, prezesowi fundacji, wspierającej nasze muzeum narodowe.

Kiedy doktor Shalawa zainicjowała oklaski, z miejsca w pierwszym rzędzie wstał mężczyzna, wszedł na podium i uściśnął jej dłoń.

Carina nie miała pojęcia, jak wygląda Baltazar; z powodzeniem dbał o to, by jego zdjęcia nie trafiły do obiegu publicznego. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale zaskoczył ją widok potężnie zbudowanego mężczyzny w smokingu szytym na miarę. Głowa Baltazara przypominała jej łeb mastyfa. Kiedy spotkali się wzrokiem, marsową minę zastąpił ciepły uśmiech, spojrzenie jasnych oczu zdawało się docierać do każdej osoby w sali.

Gdy gromkie brawa w końcu umilkły, przemówił głębokim, melodyjnym głosem:

- To ja jestem zaszczycony, że mogę wystąpić przed tym czcigodnym gronem. Wszyscy dokładacie starań, by odzyskać eksponaty skradzione z Irackiego Muzeum Narodowego w Bagdadzie.

Przeczekał następne oklaski i kontynuował:

- Moja fundacja jest tylko jednym ogniwem w łańcuchu. Dzięki wam wciąż odnajduje się wiele artefaktów. Muzeum ponownie uruchamia pracownie konserwatorskie, szkoli personel i tworzy bazę danych. Dodatkowe fundusze zapewni wystawa objazdowa, sponsorowana przez Fundację Baltazara. Żałuję, iż muszę już opuścić przyjęcie i nie będę mógł podziękować każdemu z osobna, ale mam nadzieję na dalszą współpracę z wami w tej szlachetnej sprawie.

Posłał zebrany pocałunek, zszedł z podwyższenia i skierował się do drzwi. Carina pobiegła za nim i złapała go w holu.

- Przepraszam, panie Baltazar. Wiem, że pan się śpieszy, ale czy mógłby mi pan poświęcić minutę?

Baltazar uśmiechnął się szeroko.

- Byłbym nieuprzejmy, a także głupi, gdybym odmówił takiej pięknej kobiecie, panno...

- To bardzo miłe z pańskiej strony. Nazywam się Carina Mechadi.

Baltazar milczał chwilę, marszcząc brwi.

- Panna Mechadi! Co za wspianiała niespodzianka. Na podstawie tego, co słyszałem o pani niezłomnym uporze, wyobrażałem sobie panią jako niską, tęgą kobietę w średnim wieku, może nawet z wąsami. - Przesunął palcem wskazującym po górnej wardze.

- Przykro mi, że jest pan rozczarowany - odparła Carina.

- Ależ skąd, z wyjątkiem tego, że muszę już iść. Czym mogę pani służyć?

- Chciałam podziękować panu i pańskiej fundacji za wspieranie moich wysiłków.

- Nie ma za co. Teraz żałuję, że nie poznałem pani wcześniej i że mogliśmy się kontaktować tylko przez pośredników. Moje interesy i działalność charytatywna są bardzo absorbujące.

- Doskonale to rozumiem.

- Ulżyło mi. Jest pani dobrym detektywem. Szkoliła się pani w policji?

- Byłam dziennikarką. Robiłam reportaże o kradzieżach włoskich dzieł sztuki, które trafiały do europejskich i amerykańskich muzeów. Im więcej się dowiadywałam o udziale instytucji naukowych i muzeów w nielegalnym handlu, tym bardziej mnie to gniewało. W końcu zaczęłam poszukiwać skradzionych przedmiotów, zamiast o nich pisać.

- Domyślam się, że pani praca jest niebezpieczna. Słyszałem od Benoira o tym napadzie i próbie kradzieży pewnego artefaktu. Oburzające! To cud, że nic się pani nie stało.

Skinęła głową.

- Nie rozmawialibyśmy teraz, gdyby nie Kurt Austin.

- Chyba nie znam tego nazwiska.

- Pan Austin pracuje w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Nie lubi rozgłosu, ale to on uratował mi życie, statek i dawno zaginione irackie artefakty. Jeden z napastników go postrzelił. Dzięki Bogu, nie śmiertelnie.

- To musi być niezwykle człowiek. Jak się znalazł na pokładzie tamtego statku?

- Przez przypadek. Płynął w pobliżu innym statkiem i usłyszał SOS.

- Niewiarygodne. Chciałbym go kiedyś poznać, żeby mu podziękować.

- Chętnie go panu przedstawię.

- Jestem zdumiony, że udało się pani odzyskać tak wiele irackich antyków. Jak pani to zrobiła?

Carina pomyślała o niezliczonych informatorach, z którymi podtrzymywała znajomość, o łapówkach wręczanych szerokim gestem i o niechętnych urzędnikach państwowych, których cisnęła bez litości, dopóki nie spełnili jej żądań tylko po to, żeby się jej pozbyć.

Wzruszyła ramionami.

- Długo by opowiadać. Wiele moich sukcesów to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności. Mam korzenie w Europie i Afryce, co mi ułatwia nawiązywanie kontaktów na obu kontynentach.

- Mówi pani: w Afryce? Czy pani ojciec nie był Włochem? Skinęła głową.

- Mój dziadek też. Służył w armii Mussoliniego podczas inwazji na Etiopię. Tam poznał moją babkę. Moja matka wiedziała o swoim ojcu tylko to, że był Włochem. Kiedy przeniosła się do Włoch, gdzie się urodziłam, nadała swojemu panięńskiemu nazwisku Mekada włoskie brzmienie.

- Mekada? Piękne nazwisko.

- Dziękuję. O ile wiem, nie jest w Etiopii rzadkością.

Milczeli chwilę.

- Jakie ma pani plany na najbliższą przyszłość?

- Zamierzam zająć się organizacją wystawy objazdowej. Artefakty są strzeżone w Smithsonian

Institution. Będę dostarczała informacji o pochodzeniu i historii eksponatów. Mam umówione spotkania z ludźmi, którzy zaoferowali pomoc. Jutro jadę do Wirginii zobaczyć się z reporterem „National Geographic” Jonem Bensonem, który był obecny przy wykopaniu posągu znanego jako Żeglarz. Może pan wpadnie obejrzeć tę figurę i resztę kolekcji?

- Świetny pomysł. Muszę przyznać, że jestem raczej nowicjuszem w dziedzinie archeologii, ale mam kilka przedmiotów, zaznaczam, że wszystkie zdobyłem legalnie i bardzo chciałbym je pani pokazać przy lunchu lub kolacji.

- Chętnie skorzystam.

- Doskonale. Proszę zadzwonić do fundacji, kiedy będzie pani wolna. Znają mój rozkład zajęć.

Uścisnęli sobie dłonie. Baltazar przystanął, życząc dobrej nocy ambasadorowi i kilku innym pracownikom placówki dyplomatycznej, a Carina zamierzała już wracać do sali recepcyjnej, gdy natknęła się na Saxona. Uśmiechał się speszony.

- Widziałem, że pani gawędziła z Baltazarem.

- Zależało mi na rozmowie z nim, dlatego tu przyszedłem. Jest czarujący.

- Zna pani pochodzenie pieniędzy, które rozdaje?

- Wiem tylko, że ma kopalnie.

- Zgadza się. Stoi na czele kartelu wydobywczego, który skupia największe kopalnie złota na świecie. Baltazar to dość kontrowersyjna postać. Jego spółki są oskarżane o niszczenie środowiska i wykorzystywanie biednej ludności jako taniej siły roboczej w kilku krajach. Mało kto wie, że jest też właścicielem jednej z największych na świecie prywatnych agencji ochrony. Najemnicy do wynajęcia.

Carina natrafiła na informacje przedstawiające Baltazara w niekorzystnym świetle, kiedy badała przeszłość biznesmena, ale tak jej zależało na pomocy fundacji, że je zlekceważyła.

- Dla mnie liczy się to, że jest bardzo hojny dla irackiego muzeum.

- Rozumiem. Krew na pieniądzech jest nieważna, gdy chodzi o wyższy cel, i tak dalej.

W oczach Cariny błysnął gniew.

- Nie potrzebuję wykładu z etyki.

Saxon poczuł żar jej słów.

- To prawda. Znów muszę panią najmocniej przeprosić. Właściwie to chciałem z panią porozmawiać o odzyskanych antykach, a konkretnie o posągu nazywanym Żeglarz.

Pomyślała, że Saxon podsłuchiwał jej rozmowę z Baltazarem, ale uświadomiła sobie, że znajdował się poza zasięgiem głosu.

- Słyszał pan o nim?

- Wiem, że jest z brązu, prawie naturalnej wielkości i został wykopany kilkadziesiąt lat temu w Syrii. Przedstawia żeglarza i jest uważany za fenicki, ale są co do tego wątpliwości, dlatego był przechowywany w podziemiach bagdadzkiego muzeum. Tkwił tam przez lata, dopóki go nie ukradziono w 2003 roku podczas amerykańskiej inwazji. Zaginął po nim wszelki ślad i dopiero pani odnalazła go niedawno razem z innymi skradzionymi antykami.

- Nie do wiary! Skąd pan tyle wie o posągu?

- Szukałem tego tajemniczego gościa, odkąd usłyszałem o nim po raz pierwszy podczas moich badań nad Salomonem. Omal nie wpadł mi w ręce w Kairze, ale ubiegła mnie pani. Nawiasem mówiąc, gratuluję.

- Dlaczego tak pana interesuje ten artefakt?

Saxon uniósł dłoń.

- Aha! Gdyby pani czytała moje książki, nie musiałaby zadawać tego pytania.

- Umieszczę pańskie książki na liście moich lektur. - Carina nie kryła irytacji powściągliwością Saxona.

- Nie pożałuje pani - zapewnił z szerokim uśmiechem.

Carina miała dosyć jego samozadowolenia.

- Wybacz pan, ale...

- Wybaczam. Tylko niech pani pamięta o moim ostrzeżeniu. Proszę uważać na Baltazara.

Zignorowała komentarz i poszła porozmawiać z profesorem Nasirem. Saxon patrzył za nią, uśmiechając się, ale w oczach miał niepokój.

Kiedy Baltazar wyszedł z ambasady Iraku, przy krawężniku zatrzymał się czarny mercedes. Kierowca wysiadł, odepchnął ramieniem odźwiernego i otworzył drzwi samochodu. Odźwierny służył kiedyś w marines i nie był strachliwy. Wściekły, że stracił napiwek, chciał zaprotestować, ale potężnie zbudowany kierowca posłał mu tak groźne spojrzenie, że się nie odezwał. Chwilę później limuzyna ruszyła z piskiem opon.

- Dobry wieczór panu - powiedział do Baltazara kierowca. - Przyjęcie się udało?

- Owszem, Adriano. Tak bardzo, że prawie zapomniałem o porażce u wybrzeży Nowej Fundlandii.

- Bardzo przepraszam. Nie mam żadnego usprawiedliwienia.

- Może jedno ci podsunę, Adriano. Nazywa się Kurt Austin. Pracuje w NUMA. To on udaremnił kradzież.

- Skąd znał nasze plany?

- Nie znał, był akurat w pobliżu. Niefortunny zbieg okoliczności, pechowy dla ciebie. Ten Austin jest dość odważny i ma szczęście. Twój strzał tylko go lekko zranił.

Adriano przypomniał sobie, jak Austin mignął mu w celowniku, a potem w kokpicie helikoptera, śledzącego rudowiec.

- Chciałbym sobie porozmawiać z panem Austinem.

- Nie dziwię ci się. - Baltazar zachichotał złośliwie. - Ale musimy się zająć ważniejszymi sprawami. Dowiedziałem się, że pewien fotograf z „National Geographic” ma zdjęcia, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. Chcę, żebyś je zdobył.

- Mam się pozbyć faceta?

- Tylko jeśli to będzie konieczne. I upozoruj wypadek. Ale wolałbym, żebyś po prostu zabrał mu zdjęcia.

- A co z tą kobietą?

Baltazar zastanowił się. Potrafił zgasić ludzkie życie, kiedy tylko chciał, ale Cariną zainteresował się w sposób szczególny.

- Zostawimy ją przy życiu do czasu, aż przestanie być potrzebna. Chcę znać dokładnie jej przeszłość.

- Więc mogę zająć się Austinem? Mamy coś do załatwienia między sobą.

Baltazar westchnął ciężko. Okrucieństwo mu nie przeszkadzało. Był klasycznym psychopata, a więc osobnikiem niezdolnym do empatii. Uważał, że ludzie istnieją po to, żeby ich wykorzystywać, a potem eliminować. Ale słowa podwładnego, od którego wymaga się tylko posłuszeństwa,



oznaczały, że myśli samodzielnie. Jednocześnie Baltazar rozumiał, że Adriano czuje potrzebę zemsty. On też miał z Austinem rachunki do wyrównania.

- Najpierw chcę sprawdzić, co on wie, a potem się za niego wezmiesz. Obiecuję.

Osilek zamknął oczy i poruszył grubymi palcami.

- Potem... - powtórzył, jakby rozkoszował się tym słowem.

Profesor DeVries wciąż analizował dokumenty Jeffersona, gdy czekał w recepcji Wydziału Bliskowschodniego Departamentu Stanu. Czytał każdy wiersz tekstu i nie znajdował żadnych nielogiczności.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę dzwiczącego telefonu wewnętrznego i zamieniła kilka słów z osobą na drugim końcu linii.

- Pan Evans zaprasza do siebie, profesorze DeVries - powiedziała z uśmiechem. - Trzecie drzwi na prawo.

- Dziękuję. - DeVries wsunął materiały do nesesera, wetknął go pod pachę i poszedł korytarzem. Zapukał lekko, potem otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Czekał na niego wysoki, szczupły, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o pociągłej twarzy. Uścisnął mu dłoń.

- Dzień dobry, profesorze DeVries. Joshua Evans. Jestem analitykiem w naszym wydziale. Proszę siadać.

DeVries usiadł.

- Dziękuję, że pan mnie przyjął.

Evans usadowił swoją chudą postać za biurkiem. Wzorowy porządek na blacie wskazywał na kompulsywną osobowość.

- Nie co dzień składa mi wizytę ktoś z NSA. Zwykle trzymacie się z dala od innych. Co pana do nas sprowadza?

- Jak już mówiłem przez telefon, jestem kryptografem w naszej agencji. Natrafiłem na informację, która może zainteresować wasz wydział. Przyszedłem z tym prosto do was, zamiast korzystać z kanałów NSA. To delikatna sprawa.

- Zaciekawia mnie pan.

Profesor otworzył neseser i wręczył rozmówcy teczkę z kopiami oryginalnych dokumentów Jeffersona oraz ich rozszyfrowaną wersją. Wyjaśnił krótko, co zawiera materiał i skąd go ma.

- Coś takiego - powiedział Evans lekkim tonem, który sugerował, że właśnie wysłuchał jakiejś bajki Babci Gąski. Popatrzył na workowaty tweedowy garnitur profesora i jego bródkę w stylu Van Dycka. - Nadal nie bardzo rozumiem, dlaczego pan to przyniósł do wydziału bliskowschodniego.

Profesor rozłożył ręce.

- Fenicja leżała w regionie, którym się zajmujecie.

- Fenicja - powtórzył Evans ze słabym uśmiechem.

- Zgadza się. Była jednym z największych imperiów morskich wszechczasów. Rozciągała się do wybrzeży Hiszpanii i poza Słupy Heraklesa.

Evans wyciągnął się na krześle i założył ręce za głowę.

- Może tak było, doktorze DeVries, ale Fenicja już nie istnieje.

- Jednak potomkowie Fenicjan nadal zamieszkują Liban i Syrię.

- O ile się orientuję, Fenicja, w przeciwieństwie do tych dwóch krajów, nie była nigdy członkiem ONZ-tu. - Evans zachichotał pobłaźliwie.

DeVries przywołał na twarz szeroki uśmiech. Miał duże doświadczenie w pokonywaniu biurokratycznych przeszkód i wiedział, że będzie musiał stawić czoło zadowolonym z siebie urzędnikom, takim jak Evans.

- Jestem matematykiem, nie dyplomata, tak jak pan - pochlebił mu trochę - ale uważam, że kiedy chodzi o taki zapalny region, wszystko, co może wstrząsnąć głęboko zakorzenionymi wierzeniami, powinno być traktowane poważnie.

- Przepraszam, jeśli odnosi pan wrażenie, że to lekceważę. Ale karczochy? Tajne szyfry? Dawno zaginione dokumenty Jeffersona? Musi pan przyznać, że ta historia brzmi jak wytwór czyjejs fantazji.

DeVries zaśmiał się krótko.

- Ma pan rację.

- A poza tym skąd mamy wiedzieć, że cokolwiek w tym wszystkim jest prawdą?

- Nie możemy potwierdzić autentyczności materiału, ale przekład rozszyfrowanej wiadomości jest dokładny. Fakt, że dokumenty, które pan trzyma, sporządził trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych i twórca Deklaracji Niepodległości, nadaje im pewną wagę.

Evans uniósł papiery, jakby leżały na szali.

- Jest pan pewien, że to wyszło spod ręki Jeffersona?

- Taka jest opinia grafologów NSA. Nie ma zatem wątpliwości, że to jego pismo.

Na twarzy Evansa pojawił się wyraz konsternacji. DeVries widywał takie same spanikowane miny u biurokratów, których proszono o zrobienie czegoś, co wykraczało poza zakres ich rutynowych czynności. Najgorszy koszmar Evansa stał się rzeczywistością, musiał bowiem podjąć decyzję. Profesor rzucił mu linę ratunkową.

- Zdaję sobie sprawę, że materiał, który panu przyniosłem, budzi wątpliwości. Dlatego liczyłem na pomoc Departamentu Stanu. Może mógłby pan powiedzieć swojemu przełożonemu o naszej rozmowie?

Zrzucenie odpowiedzialności na kogoś innego było strategią, którą Evans potrafił zrozumieć. Na twarzy młodego człowieka od razu pojawiła się ulga.

- Pójdę z tym do mojego szefa Hanka Douglasa. Kieruje w naszym wydziale sprawami kultury. Skontaktuję się z panem po rozmowie z nim.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony. - DeVries uśmiechnął się. - Mógłby pan porozumieć się z panem Douglasem teraz, żebym więcej nie zawracał panu głowy?

Evans, widząc, że DeVries nie zamierza wstać, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer wewnętrzny Douglasa; miał nadzieję, że go nie zastanie, ale się rozczarował, szef był u siebie.

- Cześć, Hank, mówi Evans. Masz chwilę?

Douglas odpowiedział, że została mu godzina do następnego spotkania, i zaprosił go do swojego gabinetu.

- Okej - odparł Evans, wyłączył się i zwrócił do DeVriesa: - Hank jest teraz zajęty. Powiedział, żebym wpadł do niego po południu.

DeVries wstał i wyciągnął rękę.

- Dziękuję panu. Gdyby pan kiedykolwiek potrzebował czegoś od NSA, postaramy się być równie pomocni jak pan. Zadzwoń do pana pod koniec dnia.

Po wyjściu profesora Evans wpatrywał się przez chwilę w zamknięte drzwi, potem westchnął

i wziął dokumenty Jeffersona. Zrzucenie odpowiedzialności na kogoś innego wiązało się z pewnym ryzykiem. Kiedy wychodził z pokoju, pomyślał, że będzie musiał podrzucić to kukułcze jajo bardzo ostrożnie.

Douglas był sympatycznym Afroamerykaninem po pięćdziesiątce. Łysy krąg na czubku głowy nadawał mu wygląd mnicha z tonsurą. Podczas studiów na Uniwersytecie Howarda, gdzie jako przedmiot kierunkowy wybrał historię, wyróżniał się bardzo dobrymi wynikami w nauce. Na półkach w jego gabinecie stały książki opisujące dzieje homo sapiens od czasów człowieka z Cro-Magnon.

Należał do najbardziej szanowanych ludzi w wydziale. Zdolności dyplomatyczne wspierał wiedzą praktyczną gdyż spędził kilka lat na Bliskim Wschodzie. Był ekspertem w dziedzinie religii i polityki tego regionu, często splecionych ze sobą, znał hebrajski i arabski.

Evans znalazł sposób na zachowanie twarzy: drwinę. Kiedy wchodził do gabinetu Douglasa, wydał policzki.

- Nie uwierzysz, jaką wizytę miałem przed chwilą.

Powtórzył szefowi rozmowę z DeVriesem, starając się przedstawić siebie jako ofiarę natarczywości jakiegoś stukniętego profesora. Douglas wysłuchał go uważnie, wziął dokumenty i studiował je w skupieniu przez kilka minut.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem opowieść twojego profesora - powiedział, gdy skończył ostatnią stronę. - Kryptograf z NSA odszyfrował tajną korespondencję między Thomasem Jeffersonem i Meriwetherem Lewisem. Materiał sugeruje, że Fenicjanie docierali do Ameryki Północnej.

Evans roześmiał się.

- Przepraszam, że zabieram ci czas. Sądziłem, że ubawi cię ta historia.

Douglas nawet się nie uśmiechnął. Wziął kopię planu ogrodu z karczochami i popatrzył na obce słowa. Potem jeszcze raz przeczytał ich przekłady, które tak dawno temu zrobił profesor zaprzyjaźniony z Jeffersonem. Wymówił głośno pierwsze słowo:

- Ofir.

- Widziałem. Co to znaczy?

- To nazwa legendarnej krainy, gdzie były kopalnie króla Salomona.

- Zawsze myślałem, że to wytwór czyjejś fantazji - powiedział Evans.

- Być może. Ale faktem jest, że Salomon zgromadził w ciągu swojego życia wielkie ilości złota, którego pochodzenie zawsze było zagadką.

- Z twoich słów i tego materiału wynika, że zdaniem Jeffersona, Ofir leżał w Ameryce Północnej. Czy to nie szaleństwo?

Douglas nie odpowiedział. Przeczytał drugi przekład:

- Relikwia.

- Następne szaleństwo. Co to niby ma znaczyć?

- Nie wiem. Największa relikwia związana z Salomonem to Arka Przymierza.

- Mówisz, że biblijny przedmiot Jeffersona to Arka?

- Niekoniecznie. Tą relikwią mogła być skarpeta Salomona. - Douglas zaczął się bawić długopisem. - Boże, w takich chwilach jak ta żałuję, że nie mogę zapalić fajki.

- Co jest, Hank? Jefferson czy nie, ta historia z Arką wygląda na jakąś bajkę. W tym wszystkim nie ma zapewne słowa prawdy.

- Nieważne, czy to prawda czy nie. Chodzi o symbole.

- Nie rozumiem. Co to za wielka sprawa?

- Z którejkolwiek strony by na to spojrzeć, jest problem. Pamiętasz, co się wydarzyło na Świętej Skale w roku 1969, a potem w 1982?

- Jasne. Jakiś australijski fanatyk religijny podpalił meczet, a później aresztowano jakąś grupę wyznaniową, która planowała wysadzić go w powietrze.

- I co by było, gdyby im się udało go zburzyć, żeby zrobić na wzgórzu miejsce dla trzeciej świątyni Salomona?

- Mogłoby to wywołać jakąś ostrą reakcję. Delikatnie mówiąc.

- Teraz wyobraź sobie, jaka byłaby ta reakcja, gdyby odkrycie relikwii Salomona wykorzystano jako pretekst do budowy nowej świątyni i okazałoby się, że ten przedmiot jest w Stanach Zjednoczonych.

- Biorąc pod uwagę paranoję w tamtej części świata, niektórzy ludzie uznaliby to za kolejny spisek Ameryki przeciwko islamowi.

- Zgadza się. Stany Zjednoczone oskarżono by o to, że chcą usunąć muzułmanów ze Świętej Skąły. W kampanii przeciwko nam wzięłby udział każdy ekstremista każdego wyznania.

- Cholera! - Evans pokręcił głową. - To niebezpieczny materiał!

- Wybuchowy.

Evans zbladł.

- I co z tym zrobimy?

- Musimy z tym pójść do sekretarza stanu. Kto jeszcze wie o tych dokumentach Jeffersona?

- Profesor DeVries i jego student z muzeum NSA. Jest jeszcze ta badaczka z Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego. Ludzie z NSA potrafią milczeć.

- W Waszyngtonie niczego nie da się zachować w tajemnicy dłużej niż przez sześć miesięcy - powiedział Douglas. - Musimy pomyśleć, jak podważyć wiarygodność tej historii, żeby nasz kraj mógł wszystkiemu przekonująco zaprzeczyć, kiedy sprawa wyjdzie na jaw.

- Jak to zrobimy? NSA twierdzi, że materiał jest autentyczny.

- NSA jest tajną organizacją. Może powiedzieć, że nigdy nie słyszała o tych dokumentach. Proponuję obalić podstawowe założenie. Wysunąć tezę, że żaden fenicki statek nie zdołałby dotrzeć ze wschodniej części Morza Śródziemnego do Ameryki Północnej, bo nie pozwalały na to ówczesna technika i umiejętności żeglarskie.

- Wiemy na pewno, że tak było?

- Nie. Ktoś będzie musiał nam pomóc uzasadnić ten argument.

- Może Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych? Mają ekspertów, bazę danych i potrafią być dyskretni. Mam tam kilka kontaktów.

Douglas skinął głową.

- Zajmij się tym. Zorganizuję spotkanie z podsekretarzem. Wróc tu za godzinę.

Po wyjściu Evansa sięgnął do szuflady biurka, z której wyjął fajkę oraz kapciuch z tytoniem. Choć w biurze obowiązywał zakaz palenia, nabił fajkę. Siedząc wygodnie, otoczony kłębamii aromatycznego dymu, rozmyślał.

To wszystko wydawało się niewiarygodne. Może rzeczywiście, jak podejrzewał Evans, chodziło o żart. Sięgnął po dokumenty Jeffersona i tym razem przeczytał każde słowo.

Jak wielu Afroamerykanów, Douglas miał ambiwalentny stosunek do Thomasa Jeffersona. Uznawał geniusz tego człowieka, ale trudno było mu się pogodzić z faktem, że Jefferson miał

niewolników. Kiedy czytał powtórnie materiał, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że znalazł w autorze bratnią duszę. Choć korespondencja Jeffersona z Lewisem ukazywała go jako opanowanego i kompetentnego, nie ulegało wątpliwości, że tego człowieka trawił niepokój.

Ręka Douglasa, w której trzymał kartki, lekko drżała.

Niebezpieczeństwo chaosu w dzisiejszym świecie było dużo większe, niż Jefferson potrafiłby sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Austin siedział w swoim domowym gabinecie i tropił morskich rabusiów, napadających na kontenerowiec. Latający dywan, który niósł Kurta nad wirtualnym morzem, był systemem tworzenia obrazu satelitarnego, zarządzanym przez NUMA. Bliźniaczy system NUMASat, opracowany przez naukowców i techników agencji, stale przekazywał widok oceanów świata. Satelity krążyły po orbitach w odległości sześciuset czterdziestu kilometrów od Ziemi, ich kamery i sensory przesyłały informacje z każdego punktu globu.

Transmitowały obrazy optyczne lub - w podczerwieni - temperatury powierzchni wody, prądów, fitoplanktonu, chlorofilu, pokrywy chmur oraz dane meteorologiczne i inne ważne parametry. Z systemu mógł bezpłatnie korzystać każdy użytkownik komputera, co często robili naukowcy i nie-naukowcy na całym świecie.

Kurt siedział przed dwudziestoczerocalowym monitorem, był swobodnie ubrany w hawajską koszulę, szorty i sandały. Popił parę aspiryn piwem, nacisnął Enter i na ekranie pojawił się obraz satelitarny poszarpanego wybrzeża Nowej Fundlandii.

- Okej, Joe - powiedział do telefonu głośnomówiącego. - Patrzę na Saint John's i cyple na wschodzie.

- Dobra. - Zawała widział to samo na monitorze komputera w swoim biurze w NUMA. - Zrobię zbliżenie.

Na ekranie Austina pojawił się połyskujący, niebieskawo-biały prostokąt, nałożony na część Atlantyku. Zawała powiększył czworobok. Ukazały się czarne punkciki, które urosły, przybierając długie, smukłe kształty statków. Czas i data w górnym lewym rogu ekranu wskazywały, że zdjęcie zostało zrobione kilka dni wcześniej.

- Jak duże zbliżenie możesz zrobić? - zapytał Kurt.

- Wybierz cel.

Austin naprowadził kursor na jeden z punktów i kliknął myszą. Miał wrażenie, że kamera pędzi do celu. Ekran wypełniły setki spadających ryb. Kamera cofnęła się i pokazała ładownię oraz pokład pełnomorskiego kutra rybackiego, pełen bomów i wciągarek.

- Jestem pod wrażeniem.

- Yeager wykorzystał możliwości Max i wpompował trochę hormonów w normalną funkcję poszukiwawczą NUMASat. Mówi, że możesz teraz zobaczyć kolor oczu pchły piaskowej.

Hiram Yeager był geniuszem komputerowym NUMA i dyrektorem rozległego centrum informatycznego agencji, które nazwał Max. Jego królestwo zajmowało całe dziesiąte piętro zielonego, szklanego wieżowca NUMA nad Potomakiem.

- One mają niebieskie oczy - powiedział Kurt.

- Naprawdę?

- Żartuję. Ale jeszcze nie widziałem takiej dobrej rozdzielczości.

- Zanim Yeager podrasował system, mogliśmy mieć maksymalnie metr kwadratowy w czerni i bieli oraz cztery metry w kolorze. Sprowadził to do jednego metra kwadratowego w kolorze. To, co widzisz na ekranie, zostało wzmocnione przez informacje nadchodzące z innych satelitów, także systemów wojskowych i wywiadowczych.

- I wszystko dzieje się legalnie i zgodnie z prawem. - Austin uśmiechnął się krzywo.

- Większość. Yeager uważa to za odwet, bo wojsko mocno eksploatuje NUMASat. Dogadali się, że będą wyłączać obraz w czasie trwania operacji wojskowych. Powiedziałem mu, że nie chcę o niczym wiedzieć, a on na to, że nie ma sprawy.

- Nie mamy prawa go krytykować. Zespół Specjalny NUMA działał czasem poza kontrolą rządu.

- Zlokalizowałeś nasz przyjazny rudowiec?

- Patrz! - odparł Zavała.

Obraz oddalił się wolno, statki znów zmalały do wielkości punktów. Joe obrysował cel prostokątem. Austin kliknął myszą i na ekranie ukazał się duży statek. Kurt wpatrywał się w niego.

- Taki sam rudowiec widzieliśmy z helikoptera - powiedział. - Z dziwnym logo na kadłubie, głową byka.

- Sprawdziłem ten statek. Należy do firmy o nazwie PeaceCo. Ich strona internetowa podaje, że są konsultantami w sprawach utrzymania pokoju i stabilizacji.

Austin zachichotał.

- Nowy żargon najemników.

- Nie ukrywają, że przerobili rudowiec na pływającą bazę operacyjną. Twierdzą, że ich siły powietrznodesantowe mogą dotrzeć do każdego miejsca na świecie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Gwarantują, że ten statek dostarczy cały oddział w ciągu trzech tygodni.

- Kto stoi za PeaceCo?

- Trudno powiedzieć. Zarząd firmy składa się z emerytowanych amerykańskich i brytyjskich wojskowych. Właściciel ukrywa się za podstawionymi spółkami zarejestrowanymi w kilku krajach. Yeager też pracuje nad rozwikłaniem tej sprawy.

- To jest jakiś ślad, ale jako dowodu potrzebujemy dymiącej spluwy.

- Do cholery, Kurt, mamy naładowaną haubicę! Zmontowałem album z archiwów zaczynający się krótko przed napadem na kontenerowiec. Zdjęcia były robione z przerwami, więc nie pokazują każdej minuty.

Obrazy zmieniały się na ekranie, zatrzymanie-akcja niczym na starym filmie. Ludzie kręcili się wokół luku załadunkowego. Pokrywa się odsuwała, dopóki nie odsłoniła ciemnego kwadratu ładowni. Z wnętrza statku uniosła się do góry platforma jak na lotniskowcu. Stały na niej obok siebie dwa helikoptery, do których wsiedli mężczyźni i maszyny wystartowały.

- I kto mówi, że podróże w czasie są niemożliwe? - odezwał się Austin. - To precyzuje, kiedy wyruszyliśmy.

- Zaraz zobaczysz kontenerowiec.

Ukazał się pokład „Ocean Adventure’a”. Na kontenerach, jakby za sprawą magii, pojawiły się helikoptery, z maszyn wysypali się ludzie. Kilka kolejnych klatek niewiele się różniło od siebie, dopóki kamera satelity nie uchwyciła jednego śmigłowca wiszącego w powietrzu nad spienionym kręgiem na oceanie, gdzie spadł drugi helikopter. Zavała wrócił do rudowca. Nadleciał samotny śmigłowiec i wylądował na platformie. Z maszyny wysiedli ludzie, helikopter opuszczono do ładowni statku i pokrywa zasłoniła otwór. Jeden z mężczyzn, wyższy od pozostałych, mógł być tym,



który postrzelił Austina, ale stał tyłem do kamery.

- To ich demaskuje - powiedział Kurt. - Gdzie jest teraz ten statek?

- Ustaliłem, że kilka dni przed napadem wypłynął z Nowego Jorku, przypuszczalnie w rejs do Hiszpanii. Trochę zmienił kierunek, mniej więcej w czasie napadu, potem wrócił na kurs przez Atlantyk. Mogę przesłać ten materiał straży przybrzeżnej jednym ruchem palca.

- Kuszące. Ale nasz rudowiec jest na wodach międzynarodowych i nawet gdyby straż przybrzeżna teraz wkroczyła, zgarnęlibyśmy co najwyżej pionki, a ja chcę dopaść mózg napadu na kontenerowiec.

- Będę dalej węszył. A przy okazji, jak się czujesz?

- Jestem trochę zesztywniały, ale ten wypadek czegoś mnie nauczył.

- Że powinieneś unikać facetów ze spluwami?

- Nie. Że powinienem się szybciej ruszać. Daj mi znać, jeśli do czegoś się dokopiesz przed wyjazdem do Stambułu. - Austin usłyszał pukanie. - Muszę iść otworzyć drzwi. Ktoś przyszedł.

- Będziesz miał towarzystwo?

- Bardzo miłe. *Ciao*. Włoskie słowo oświeciło Zawalę.

- *Ciao*? Hej...

- *Buona notte*, Joe - powiedział Austin. Odłożył słuchawkę i uśmiechając się, podszedł do frontowych drzwi.

Carina Mechadi czekała na schodach. Uniosła do góry butelkę wina.

- Chyba mam tu rezerwację na dzisiejszy wieczór.

- Pani stolik jest przygotowany i czeka, signorina Mechadi.

- Mówiłeś, że bym się nie stroiła, więc ubrałam się zgodnie z twoim życzeniem.

Carina włożyła dzinsy z kwiatową aplikacją i turkusową bluzkę bez rękawów. Strój maksymalnie uwypuklał jej kobiece krągłości.

- Królowa nie mogłaby wybrać modniejszej kreacji - odparł Austin.

- Dziękuję - mruknęła, patrząc na Austina z uznaniem. Białe szorty podkreślały opaleniznę na jego muskularnych nogach, szerokie bary napinały jedwabną koszulę w kwiaty. - Ty też wyglądasz szalowo w tej koszuli.

- Dzięki. Elvis Presley nosił taką samą w filmie Błękitne Hawaje. Wejdz.

Przestąpiła próg domu i rozejrzała się. Wygodne meble z ciemnego drewna, w stylu kolonialnym, kontrastowały z białymi ścianami, ozdobionymi oryginalnymi obrazami lokalnych malarzy, które Austin kolekcjonował. Zauważyła stare mapy morskie i narzędzia używane do budowy statków, zdjęcie żagłówki Austina i model jego ślizgacza wyścigowego.

- Myślałam, że zobaczę na ścianach stare kotwice i wypchanego miecznika, może jakiś stary hełm nurka i modele statków w butelkach.

Wybuchnął śmiechem.

- Pijałem margaritę w barze dla nurków w Key West, który tak wyglądał.

- Wiesz, o co mi chodzi. - Carina uśmiechnęła się. - Pracujesz w czołowej światowej agencji oceanograficznej, więc spodziewałam się zobaczyć więcej dowodów twojej miłości do morza.

- Przypuszczam, że wystrój twojego mieszkania w Paryżu nie powiedziałby obcemu wiele o tym, czym się zajmujesz.

- Mam kilka kopii klasycznych dzieł sztuki, ale reszta jest tradycyjna. - Carina urwała. - Rozumiem cię. Trzeba gdzieś odpoczywać od pracy.

- Nie zamierzam się przenieść do Kansas, ale morze to wymagająca kochanka. Dlatego starzy

kapitanowie zwykle budowali domy w głębi lądu.

- W każdym razie ładnie tu.

- Zdjęcie mojej rezydencji nie zakwalifikowałoby się na rozkładówkę w „Architectural Digest”, ale to wspaniałe zacisze lądowe dla starego wilka morskiego na czas między kolejnymi zadaniami. Kiedy kupiłem ten budynek, był w ruinie, ale odpowiadało mi, że jest nad rzeką i blisko Langley.

Ostatnie słowo wzbudziło zainteresowanie Cariny.

- Pracowałeś w CIA?

- W wywiadzie podwodnym. Głównie szpiegowaliśmy Rosjan. Kiedy skończyła się zimna wojna, zamknęliśmy sklepik. Przeszedłem do NUMA, gdzie jestem inżynierem.

Wbrew zaprzeczeniu Austina o miłości do morza świadczyły powieści przygodowe Josepha Conrada i Hermana Melville’a, które zapełniały półki na ścianach wraz z tuzinami książek naukowych i historycznych o tematyce morskiej. Najbardziej zniszczone były dzieła filozoficzne. Carina wyciągnęła mocno zużyty tom.

- Arystoteles. Raczej trudna lektura - stwierdziła.

- Studiuję rozprawy wielkich filozofów, żeby potem ich cytować i robić wrażenie mądrzejszego, niż jestem.

- Chyba nie tylko dlatego. Po tych książkach widać, że często do nich zaglądasz.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza. Użyję analogii do żeglugi: mądrość zawarta na tych stronach trzyma mnie jak kotwica, kiedy dryfuję w kierunku wód wieloznaczności.

Carina pomyślała o kontraście między ciepłem Austina a jego zimną krwią, z jaką zlikwidował bandziora. Włożyła książkę na miejsce.

- Ale w pistoletach nad kominkiem nie ma nic wieloznacznego.

- Odkryłaś moją słabość do kolekcjonerstwa. Zebrałem już dwieście par pistoletów pojedynkowych, które trzymam w sejfie ogniotrwałym. Fascynuje mnie ich historia, jak również mistrzostwo i technologia wykonania; intryguje to, co mówią o roli szczęśliwego trafu w kolejach naszego losu.

- Jesteś fatalistą?

- Realistą. Wiem, że nie można zawsze liczyć na szczęście. - Austin uśmiechnął się. - Ale można liczyć na kolację. Pewnie jesteś głodna.

- Nawet gdybym nie była, te wspaniałe zapachy dochodzące z twojej kuchni kazałyby mi uwierzyć, że umieram z głodu. - Wręczyła Kurtowi butelkę wina.

- Barolo - powiedział. - Otworzę, żeby pooddychało. Zjemy na powietrzu.

Kiedy zajął się winem, Carina wyszła na taras. Stół oświetlały lampy olejne, z kolorowymi szklami, co stwarzało niemal uroczysty nastrój. Wzdłuż Potomacu błyszczały światła, od rzeki niósł się lekki zapach, ale nie był nieprzyjemny. Kurt włączył nagranie ze swojej bogatej kolekcji utworów jazzowych, z dwóch głośników Bose popłynęły ciche dźwięki pianina Oscara Petersona.

Przyniósł dwa schłodzone kieliszki Prosecco i wypili musujące wino włoskie do *prosciutto di Parma* na melonie *kasaba*. Austin przeprosił na chwilę i wrócił z talerzami *fettuccine* w sosie śmietanowo-maślanym. Carina omal nie zemdląła, kiedy udekorował dania białymi truflami.

- Dobry Boże! Gdzie znalazłeś w Stanach takie trufle?

- Nigdzie. Kolega z NUMA jeździ stale do Włoch.

Pochłonęła *fettuccine*, potem kotlet cielecy saute z sałatką pieczarkowo-serową i wróciła do białych truflif. Wypili butelkę wina. Carina zwolniła tempo dopiero przy dolce, deserze. Kiedy

zabrała się do jedzenia lodów czereśniowych Cherry Garcia firmy Ben&Jeny, po raz dziesiąty w czasie kolacji powtórzyła słowo *magnifico*.

- Do swoich licznych umiejętności możesz dodać mistrzowskie opanowanie sztuki kulinarnej - wyraziła szczere uznanie.

- *Grazie*. - Austin był zaskoczony apetytem Cariny, ale nie *in minus*. Zamiłowanie do jedzenia często świadczy o upodobaniach do innych rzeczy. Zakończyli posiłek małymi mrożonymi kieliszkami likieru *limoncello*.

Stuknęli się nimi w toaście.

- Jak to się stało, że przypadła ci w udziale opieka nad starym posągiem płynącym do Ameryki? - zapytał Kurt.

- To długa historia.

- Mam czas. I drugą butelkę *limoncello*.

Roześmiała się cicho i popatrzyła na rzekę, żeby zebrać myśli.

- Urodziłam się w Sienie. Mojego ojca, lekarza i archeologa amatora, fascynowali Etruskowie.

- To zrozumiałe. Byli tajemniczym ludem.

- Niestety, ich sztuka cieszyła się dużym popytem. W dzieciństwie widziałam miejsce splądrowane przez *tombaroli*, złodziei okradających grobowce; na ziemi leżało ramię z czystego marmuru. Studiowałam na Uniwersytecie Mediolańskim, potem w Londyńskiej Szkole Ekonomicznej i zostałam dziennikarką a zainteresowanie antykami na nowo rozbudziły badania, które prowadziłam, żeby napisać dla pewnego magazynu artykuł o roli muzeów i antykwariuszy w kradzieży dzieł sztuki. Nie mogłam zapomnieć widoku tamtego marmurowego ramienia. Podjęłam pracę w UNESCO i zostałam śledczą. Okradanie jakiegoś kraju z jego dziedzictwa kulturalnego to jedna z najgorszych rzeczy, jakie można robić. Chciałam stawić czoło szabrownictwu.

- Niełatwe zadanie.

- Szybko się o tym przekonałam. Nielegalny handel antykami to trzeci najbardziej dochodowy interes po przemyśle narkotyków i sprzedaży broni. ONZ próbuje z tym walczyć, wydając rezolucje i zawierając traktaty, ale to trudna sprawa. Nie można powstrzymać sprzedaży każdej pieczęci czy tablicy.

- Ale ty odnosisz duże sukcesy.

- Współpracuję z wieloma międzynarodowymi agencjami, takimi jak Interpol, i z rządami różnych krajów. Staram się wytropić cenne przedmioty, głównie przez antykwariaty, domy aukcyjne i muzea.

- I dlatego byłaś w Iraku?

Kiwnęła głową.

- Kilka tygodni przed inwazją dowiedzieliśmy się, że nieuczciwi handlarze są w kontakcie z pozbawionymi skrupułów antykwariuszami i dyplomatami - zbierali zamówienia na określone artefakty. Złodzieje czekali na miejscu, gotowi do działania, jak tylko Gwardia Republikańska opuści muzeum.

- A jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Żeglarz?

- Nawet nie wiedziałam, że istnieje. Nie było go w spisie artefaktów, które starałam się odzyskać za pośrednictwem podejrzanego handlarza imieniem Ali. Został zamordowany, co nie jest żadną stratą dla świata, ale wiedział, gdzie są tamte przedmioty. Wyjechałam stamtąd po ostrzeżeniu, że mam być porwana jako zakładniczka. Niedługo potem skontaktowała się ze mną Fundacja Baltazara.

- Ta organizacja sponsoruje twoją wystawę objazdową?

- Pan Baltazar jest bogatym człowiekiem, którym wstrząsnęło szabrownictwo w Iraku. Poznałam go osobiście dopiero wczoraj na przyjęciu. Jego fundacja sfinansowała poszukiwania artefaktów, które wymknęły mi się w Bagdadzie. Niedawno dostałam cynk od mojego informatora w Egipcie, że irackie antyki będą do sprzedania w Kairze. Poleciałam tam i kupiłam je. Wśród nich był Żeglarz.

- Co wiesz o tym posągu?

- Musiał być zabrany z muzeum razem z innymi łupami. Profesor Nasir, dyrektor muzeum, pamięta, że posąg przechowywano w podziemiach. Uważa go za ciekawostkę.

- W jakim sensie?

- Postać wygląda na fenickiego żeglarza, ale trzyma kompas. Podobno nie ma dowodów na to, że Fenicjanie znali kompas.

- Zgadza się. Jego wynalezienie przypisuje się Chińczykom.

- Profesor Nasir przypuszcza, że to może być kopia towaru, którym handlowali Fenicjanie. Coś w rodzaju posążków sprzedawanych jako pamiątki w Egipcie czy Grecji.

- Czy twój przyjaciel profesor wie, gdzie znaleziono ten posąg?

- W południowo-wschodniej Syrii podczas badań prowadzonych w latach siedemdziesiątych na terenie dawnej hetyckiej osady wokół Czarnej Góry. Trafił do Bagdadu, ale tam zakwestionowano jego autentyczność. Rozmawiałam z fotoreporterem z „National Geographic”, który był na tamtym stanowisku archeologicznym.

- Dziwne. Posąg stał tyle lat w podziemiach muzeum i nagle zainteresowali się nim złodzieje, a potem piraci.

- Wiedziało o nim bardzo niewiele osób, dlatego byłam zaskoczona, kiedy na przyjęciu w ambasadzie Iraku wspomniał o nim pan Saxon.

Na dźwięk tego nazwiska Austin nastawił uszu.

- Chyba nie Anthony Saxon?

- On. Wyglądało na to, że dużo wie o posągu. Znasz go?

- Czytałem jego książki i byłem na wykładzie, który prowadził. Jest poszukiwaczem przygód i pisarzem o niekonwencjonalnym spojrzeniu na historię. Większość naukowców nie zgadza się z nim.

- Mógł mieć coś wspólnego z napadem na statek?

- Trudno jest mi to sobie wyobrazić. Ale warto sprawdzić, dlaczego tak go interesuje ten posąg. Chętnie zobaczyłbym Żeglarza.

- Pokazuję go bardzo niewielu wybranym osobom. Jest w magazynie Smithsonian Institution w Marylandzie. Chciałbyś się tam wybrać jutro rano?

- Nie ma takiej siły, która by mnie powstrzymała.

Dopła *limoncello*.

- To był cudowny wieczór.

- Wydaje mi się, że słyszę w twoim głosie „ale”.

Roześmiała się.

- Przepraszam. Z przyjemnością bym została, ale mam dużo pracy w związku z wystawą objazdową.

- Mimo że jestem kompletnie załamany, rozumiem. Zobaczymy się jutro.

Coś jej przyszło do głowy:

- Zamierzam się umówić na spotkanie z tym fotoreporterem z „National Geographic”. Mieszka

w Wirginii. Chciałbyś ze mną pojechać?

- Oficjalnie jestem na zwolnieniu lekarskim, ale wyjazd na wieś wyszedłby mi na zdrowie.

Wstała od stołu.

- Bardzo ci dziękuję, Kurt. Za wszystko.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Carino. - Odprowadzając ją do samochodu, spodziewał się zwyczajowych europejskich cmoknięć w oba policzki, co nastąpiło. Ale pocałowała go również długo i namiętnie w usta. Uśmiechnęła się przez ramię, wsiadła do samochodu i odjechała.

Austin patrzył, jak tylne światła wozu znikają na końcu podjazdu, potem wrócił do domu i wyszedł na taras, żeby sprzątnąć kieliszki. Zgasił lampy i zerknął przypadkiem w stronę rzeki. Na tle odbicia nocnego nieba w zmarszczonej wodzie odcinała się jakaś sylwetka. Austin znał każdy centymetr brzegu rzeki i był pewien, że to nie drzewo ani krzak.

Pogwizdując jakąś melodię, zaniósł kieliszki do domu, odstawił tacę na bok i podszedł do zamkniętej szafki, gdzie trzymał swojego bowena. Zrobiony na zamówienie samopowtarzalny rewolwer Colt był jednym z kilku modeli Bowena, które miał w swojej kolekcji, oprócz pistoletów pojedynkowych.

Naładował broń, wziął latarkę, po czym zszedł z salonu na parter, gdzie stały jego wyścigowy skul i mniejszy ślizgacz. Odsunął drzwi na dobrze naoliwionych rolkach i wyszedł na pochylnię do wodowania łodzi.

Zaczekał, aż wzrok się przyzwyczai do ciemności, i ruszył wzdłuż domu przez trawnik, gdzie Zavala zastał go przy przestrzeliwaniu nowych pistoletów pojedynkowych. Zatrzymał się i popatrzył na brzeg rzeki, tam gdzie rosły dwa duże drzewa. Postać zniknęła. Zrezygnował z poszukiwań na własną rękę, zawrócił do domu, wspiął się po schodach, zadzwonił na policję i zameldował o podejrzanym osobniku.

Radiowóz przyjechał dokładnie po ośmiu minutach i do drzwi zapukali dwaj funkcjonariusze. Gdy we trzech przeszukiwali dokładnie teren wokół domu, Kurt znalazł odcisk buta w błocie blisko rzeki, co pomogło mu przekonać policjantów, że nie miał przywidzenia. Obiecali, że później sprawdzą jeszcze raz, czy nikt się nie kręci w pobliżu.

Austin upewnił się, że zaryglował wszystkie drzwi i włączył alarm przeciwwłamaniowy. Zamiast pójść do sypialni w wieżycze, wyciągnął się w ubraniu na kanapie w salonie. Mimo że był pewien, iż człowiek obserwujący jego dom już się wyniósł, trzymał bowena pod ręką.

Następnego ranka Austin wstał wcześnie, włożył szorty i T-shirt, wsunął nogi w sandały i poszedł nad rzekę. Przyklęknął obok śladu buta w błocie, który był jeszcze widoczny, potem porównał go ze swoją stopą. Wielki facet.

Stał przez chwilę zamyślony i patrzył na rzekę, mrużąc oczy przed srebrzystym blaskiem słońca, odbijającym się od powierzchni wody. Niewiele mógł teraz zrobić; podglądacz Wielka Stopa dawno zniknął. Wzruszył ramionami i skierował się w stronę domu. Nie byłby taki beztroski, gdyby zerknął w górę i zobaczył mały nadajnik z cienką anteną, przymocowany do gałęzi dębu.

Wziął szybko prysznic, zmienił ubranie na luźne spodnie i koszulkę polo, wlał do kubka termicznego ulubioną jamajską kawę i po chwili siedział już za kierownicą turkusowego dżipa cherokee z floty samochodowej NUMA, jadąc w kierunku podmiejskich okolic Marylandu.

Zjawił się w kompleksie magazynowym Smithsonian Institution pół godziny przed umówionym spotkaniem z Cariną. Chciał w samotności obejrzeć posąg, który wywołał takie zamieszanie. Ochroniarz przy drzwiach sprawdził jego nazwisko na liście przypiętej do clipboardu i wpuścił go do hali z blachy falistej, gdzie przez całą jej długość biegły rzędy półek z oznaczonymi tekturowymi pudłami, w których trzymano nadmiar eksponatów z ogromnych zbiorów instytucji.

Szczupły mężczyzna manipulował przy aparacie fotograficznym na trójnogu, ustawionym obok posągu z brązu. Spojrzał ponad wizjerem i zmarszczył czoło.

Austin wyciągnął rękę.

- Anthony Saxon, o ile się nie mylę. Mężczyzna uniósł krzaczaste brwi.

- Znamy się?

- Nazywam się Kurt Austin. Pracuję w NUMA. Kilka lat temu byłem na pańskim wykładzie o zaginionych miastach. W Klubie Badaczy. Rozpoznałem pana dzięki zdjęciu na obwolucie pańskiej ostatniej książki „W poszukiwaniu królowej”.

Pochmurna mina Saxona zniknęła. Potrząsnął dłonią Austina jak dźwignią pompy.

- Kurt Austin. To pan odnalazł Krzysztofa Kolumba. Jestem zaszczycony, że mogę pana poznać.

- Należałem po prostu do zespołu, który zastał starego Krzycha przy drzemce - odparł Austin skromnie.

- Niemniej jednak odkrycie przez pana mumii Kolumba na fenickim statku w grobowcu Majów stało się naukowym dowodem prekolumbijskich kontaktów w Nowym Świecie.

- Wiele osób wciąż nie przyjmuje tego do wiadomości.

- To Filistyni! Ja opieram moje teorie na pańskim odkryciu. Co pan sądzi o mojej książce?

- Zajmująca i pouczająca. Koncepcje są bardzo oryginalne.

Saxon parsknął.

- Kiedy ludzie nazywają sformułowane przeze mnie teorie oryginalnymi, często uważają je za zwariowane. Porównują moje książki do tych o UFO, okaleczaniu krów i kosmitach.

- Wcale nie uważam, że książka jest zwariowana. Pańska teoria, że Fenicjanie przepływali Pacyfik i podróżowali po półkuli zachodniej, jest fascynująca. Ale dodanie do tego królowej Saby wzbudza kontrowersje. Twierdzi pan, że ona jest kluczem do rozwiązania zagadki Ofiru.

- W zapisach historycznych przez wieki umieszczano wzmianki o królowej. Od lat podążam jej tropem.

- To nie byłby pierwszy przypadek *cherchez la femme*! Szkoda, że przypadkowy pożar zniszczył pańską replikę fenickiego statku, zanim zdążył pan dowieść swojej teorii.

W oczach Saxona błysnął gniew.

- To nie był przypadkowy pożar.

- Nie rozumiem.

- Ktoś podpalił mój statek. Ale to już przeszłość. - Na twarz Saxona powrócił czarujący uśmiech.

- Zrezygnowałem z pomysłu przepłynięcia Pacyfiku. To zbyt kosztowne i skomplikowane. Próbuje zorganizować skromniejszą ekspedycję. Chciałbym pożeglować z Libanu do obu Ameryk i wrócić przez Hiszpanię. Taką trasę być może pokonywał kiedyś okręt „Tarszisz”.

- Nie nazwałbym skromną podróży transatlantyckiej w obie strony, ale życzę powodzenia.

- Dzięki. Co pana tu sprowadza? Austin wskazał ruchem głowy posąg.

- Panna Mechadi zaproponowała, żebym wpadł zobaczyć tego dżentelmena. A pana?

- Dowiedziałem się z moich źródeł w Smithsonian Institution, że staruszek jest w mieście.

Pomyślałem, że się przywitam.

Sądząc po sprzęcie fotograficznym wysokiej klasy, zainteresowanie Saxona posągiem nie było powierzchowne. Austin dotknął metalowego ramienia Żeglarza.

- Panna Mechadi mówiła mi, że pan dużo wie o tym posągu. Ile on ma lat?

Saxon odwrócił się do Żeglarza.

- Ponad dwa tysiące.

Austin przyjrzał się z zaciekawieniem ciemnozielonemu posągowi, przez który omal nie zginęły setki ludzi. Figura miała metr osiemdziesiąt wysokości i lewą stopę w sandale wysuniętą lekko do przodu. Mężczyzna z brązu był ubrany w wymyślnie haftowany kilt, przewiązany w pasie szeroką szarfą. Prawe ramię okrywała zwierzęca skóra, a spod stożkowej czapki wystawały pasma włosów. Przymknięte powieki i spokojny uśmiech na brodatej twarzy przywodziły na myśl Buddę.

Prawą ręką trzymał na wysokości pasa coś, co przypominało pudełko. Lewa dłoń, uniesiona i lekko zaciśnięta, kojarzyła się z Hamletem kontemplującym czaszkę Yoricka. U stóp postaci leżał zwinięty w kłębek chudy kot z małą głową. Rzeźbiarz sprytnie wykorzystał nogi zwierzęcia do zapewnienia posągowi większej stabilności.

- Gdyby mi nie powiedziano, że to Fenicjanin - odezwał się Austin - nie rozpoznałbym, z jakiego okresu i z jakiej kultury pochodzi.

- Fenicka sztuka nie ma określonego stylu. Fenicjanie byli zbyt zajęci handlem, żeby stworzyć własne wielkie dzieła sztuki. Wyrabiali towary na sprzedaż, a w sztuce naśladowali kraje, gdzie mieli rynki zbytu. Postura tej postaci jest egipska; głowa syryjska, niemal orientalna; naturalny układ fałd kiltu zapożyczono od Greków. Wielkość jest niezwykła. Fenickie posągi z brązu były małe.

- Kot też jest niezwykły.

- Fenicjanie zabierali na statki koty, żeby łapały szczury, i na handel. Preferowali rude pasiaste kocury.

Austin przyjrzał się uważnie pudełkowatemu przedmiotowi w prawej ręce postaci. Miał około

piętnastu centymetrów szerokości. Okrągła część na wierzchu była zagłębiona na mniej więcej centymetr. W okręgu widniała ośmioramienna gwiazda, z jednym ramieniem większym od pozostałych. Gwiazdę przecinała gruba linia, zwężona na obu końcach w szpic.

Saxon zauważył skupioną minę Austina.

- Interesujące, prawda?

- Carina wspominała o paradoksie z tym kompasem. Chińczycy przypuszczalnie wynaleźli kompas setki lat po złotym okresie fenickiego handlu.

- Tak się powszechnie uważa. A co pan o tym myśli?

- Nie mam wyrobionego zdania - odparł Austin. - Imperium Fenicjan rozciągało się poza wybrzeża Morza Śródziemnego. Musieli być stale w kontakcie ze swoimi koloniami, a więc odbywać długie rejsy po otwartym morzu. Z Tyru do zachodniego krańca Morza Śródziemnego jest ponad dwa tysiące mil morskich. Pokonywanie takich odległości wymagało dużych umiejętności żeglarskich, dobrych map i przyrządów nawigacyjnych.

- Brawo! Nie mam żadnych wątpliwości, że ci dociekliwi, pomysłowi ludzie znali osobliwe właściwości magnetytu. Mieli taką wiedzę techniczną, że z pewnością potrafili zamontować namagnesowaną igłę na róży wiatrów. *Voilà!* Jest kompas.

- Więc pana zdaniem posąg to autentyk?

- Przypuszczam, że wykonano go około roku 850 przed naszą erą, w okresie największego rozkwitu imperium fenickiego.

- Igła kompasu zdaje się wskazywać wschód i zachód.

Saxon uniósł brwi.

- Co jeszcze pan widzi?

Austin przyjrzał się uważnie twarzy z brązu. Nos wyglądał jak po uderzeniu młotem kowalskim. Poza tym zniekształceniem całość stanowiła dość dobrą podobiznę jakiegoś młodego człowieka z brodą. Ten niby uśmiech można by też określić jako grymas. Oczy były zmrużone. Austin stanął za posągiem i przyjrzał się uważnie uniesionej ręce.

- Chyba patrzy na słońce, jakby kierował statkiem.

Saxon zachichotał.

- Pan jest przerażający, przyjacielu.

Obiektów aparatu fotograficznego celował w środkową część posągu, gdzie na szarfie powtarzał się motyw poziomej linii z literami Z na obu końcach, zwróconymi ku sobie.

- Ten wzór jest w pańskiej książce.

Austina zaprzętały szczegóły i nie zauważył zaskoczony miny Saxona.

- Zgadza się. Według mnie symbolizuje okręt „Tarszisz”.

- Podobne motywy znalazł pan w Ameryce Południowej i Ziemi Świętej.

W szarych oczach Saxona pojawił się podejrzany błysk.

- Po prostu jak twierdzą moi krytycy, przypadek.

- To Filistyni. - Austin wpatrywał się w medalion na szyi postaci. Były na nim wygrawerowane końska głowa i palma z odsłoniętymi korzeniami.

- To też widziałem w pańskiej książce.

- Koń symbolizuje Fenicję, a drzewo jej kolonię.

Kurt przesunął palcami po kilku wybrzuszeniach pod palmą jak człowiek czytający alfabet Braille'a. W zadaniu pytania przeszkodził mu kobiecy głos.



- Jak pan tu wszedł?

W drzwiach stała Carina z wyrazem niedowierzania na twarzy. Saxon próbował skontrolować jej groźne spojrzenie uśmiechem.

- Nie dziwię się, że jest pani zła. I proszę nie winić ochroniarza. Pokazałem mu legitymację Klubu Badaczy. Jest autentyczna.

- Nie obchodzi mnie, czy ma pan ją wytatuowaną na *derriere*, na tyłku - wypaliła Carina. - Skąd pan wiedział, że posąg jest tutaj?

- Mam źródła, które znają moje zainteresowania. Podeszła do aparatu fotograficznego na trójnogu.

- Zdjęcia posągu będą w książce sprzedawanej podczas wystawy objazdowej. Nie ma pan pozwolenia na fotografowanie Żeglarza.

Saxon spojrział ponad ramieniem Cariny i wyraz jego twarzy całkowicie się zmienił. Szeroki uśmiech zniknął. Odstłonił zęby jak wściekły pitbul i warknął jedno słowo:

- Baltazar.

Do magazynu wmaszerował potentat górniczy, a za nim młody człowiek ze skórzanym neseserem. Baltazar podszedł do Cariny.

- Miło mi znów panią widzieć. - Wyciągnął rękę do Saxona. - Viktor Baltazar. Chyba jeszcze nie miałem przyjemności.

Saxon nie podał mu ręki.

- Tony Saxon. Chciał pan kupić statek, który zbudowałem, żeby przepłynąć Pacyfik.

- A, tak - odparł Baltazar niezrażony afrontem. - Zamierzałem go oddać do muzeum. Słyszałem, że spłonął. Wielka szkoda.

Saxon odwrócił się do Cariny.

- Proszę wybaczyć. Mam nadzieję, że będzie pani pamiętać o naszej rozmowie w ambasadzie.

Złożył trójnog aparatu fotograficznego i wziął sprzęt na ramię. Wyszedł z magazynu, rzucając Baltazarowi gniewne spojrzenie. Carina pokręciła głową.

- Przepraszam, jeśli zareagowałam za ostro. Ale to najbardziej irytujący człowiek, jakiego znam. Nieważne. Kurt, przedstawiam ci pana Viktora Baltazara, założyciela i prezesa fundacji, która sponsoruje wystawę objazdową.

- Bardzo mi miło pana poznać, panie Austin. Wiem od panny Mechadi, jak wielka jest pańska zasługa w udaremnieniu kradzieży artefaktów. Dziękuję panu za uratowanie tej niezwyklej młodej damy i kolekcji antyków.

- Carina mówiła mi o hojności pańskiej fundacji - powiedział Austin.

Baltazar zbył to machnięciem ręki i skupił uwagę na posągu.

- Nareszcie. Żeglarz. Jest naprawdę niezwykły. Podjęła pani słuszną decyzję, żeby uczynić z niego główną atrakcję wystawy.

- To był naturalny wybór - odparła Carina. - Nawet z uszkodzoną twarzą jest pełen godności i inteligencji. I wygląda tajemniczo.

Baltazar przytaknął i odwrócił się do Austina.

- Co pan sądzi o naszym niemyim przyjacielu?

Austin pomyślał o swojej rozmowie z Saxonem.

- Może byłby bardziej gadatliwy, gdybyśmy mogli mu zadać odpowiednie pytania.

Baltazar posłał mu dziwne spojrzenie i wrócił do oględzin posągu. Obszedł Żeglarza dookoła,

badając wzrokiem każdy centymetr kwadratowy brązu.

- Czy widział go już jakiś ekspert? - zapytał Carinę.

- Jeszcze nie. Na razie zostanie przetransportowany do Smithsonian Institution i przygotowany do wystawy.

- Z powodu tamtej próby kradzieży obawiam się trochę o jego bezpieczeństwo - mówił Baltazar.

- Samowolna wizyta pana Saxona potwierdza, że ochrona nie jest wystarczająca. Posąg może paść łupem złodziei, zwłaszcza w czasie transportu z magazynu do instytutu. Dlatego pozwoliłem sobie zamówić na dziś furgon z firmy przewozowej, która zapewni Żeglarzowi bezpieczeństwo. Powinni tu niedługo być. Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Carina zastanowiła się. Coraz więcej osób wiedziało, gdzie jest Żeglarz, i to już stwarzało zagrożenie.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała. - Chętnie skorzystam z tej możliwości.

- Doskonale. Zatem załatwione. Wiem, że jest jeszcze wcześniej, ale proponuję uczcić nasz sukces toastem.

Baltazar dał znak służącemu, który położył przyniesiony neseser na półce i odchylił wieko. W środku była butelka moeta. Młody człowiek otworzył ją, napełnił trzy szampanki i podał wszystkim.

Stuknęli się kieliszkami. Baltazar wznosił toast.

- Za Żeglarza.

Kurt obserwował dyskretnie dobroczyńcę Cariny. Mężczyzna wyglądał jak wyrzeźbiony w kamieniu. Pod ciemnografitowym garniturem w prążki miał potężne ciało zapaśnika, a mimo szerokich barów głowa na grubej szyi wydawała się za duża do jego postaci.

Baltazar był nieświadomy tego, że Austin mu się przygląda, bo całą uwagę skupiał na Carinie, nie mógł oderwać od niej oczu, śledził każdy jej ruch. Kurt wyczuwał wrogość za jego ciepłym uśmiechem. Miał wrażenie, że Baltazar jest zainteresowany Cariną i niechętnie patrzy na jego przyjaźń z piękną Włoszką.

Służący zbierał kieliszki, a oni znów zajęli się posiłkiem i nikt nie zauważył, że młody człowiek wsunął kieliszek Cariny do plastikowej torebki, którą schował do nesesera, potem podszedł do swojego chlebodawcy i szepnął mu coś do ucha. Baltazar zerknął na zegarek, po czym oświadczył, że czas na niego.

Carina odprowadziła szacownego gościa do drzwi. Kiedy wróciła, przeprosiła Kurta, że skraca jego wizytę, ale musi przygotować posąg do transportu. Umówili się, że będą w kontakcie telefonicznym i wybiorą się razem do Wirginii na umówione spotkanie z fotoreporterem z „National Geographic”.

Obok dżipa Austina był zaparkowany czarny yukon z ciemnymi szybami. Rzuciwszy okiem na tablicę rejestracyjną, Kurt nie miał wątpliwości, że to samochód rządowy. Wiedział już, że na pewno się nie myli, gdy z Yukona wysiadł tylnymi drzwiami facet w granatowym garniturze i okularach przeciwsłonecznych, który błysnął mu przed nosem swoją odznaką.

Przytrzymał otwarte drzwi i oznajmił:

- Ktoś chce z panem porozmawiać.

Austin nie lubił, kiedy rozkazują mu obcy. Uśmiechnął się.

- Jeśli nie zabierzesz mi sprzed oczu tej zabawkowej odznaki, to za chwilę ją zjesz.

Spodziewał się wrogiej reakcji, tymczasem mężczyzna się roześmiał i zwrócił do kogoś w yukonie:

- Miałaś rację. Twój kumpel to twardziel.

Z wnętrza SUV-a dobiegł donośny rechot. Człowiek, którego głosu Kurt dawno nie słyszał, zawołał:

- Nie podchodź za blisko, bo cię ugryzie!

Austin zajrzał do samochodu. Za kierownicą siedział wielki facet z cygarem w zębach i szerokim uśmiechem na okrągłej twarzy.

- Cholera, powinienem był się domyślić, że to ty, Flagg. Co cię tu przygnało z Langley?

- Ludzie na bardzo wysokich stołkach kazali mi cię zgarnąć. Wskakuj. Mój kolega Jake pojedzie za nami twoją służbową bryką.

Austin rzucił drugiemu mężczyźnie kluczyki do dżipa i wsiadł do yukona. Kiedy był w CIA, pracował z Johnem Flaggiem nad wieloma sprawami, ale nie widział dawnego kolegi od lat. Ten Indianin z Martha's Vineyard, pochodzący z plemienia Wampanoag, działał za kulisami jako spec od rozwiązywania problemów i rzadko się ujawniał.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Austin.

Flagg roześmiał się.

- Ty popłyniesz łodzią.

Samochód z firmy transportowej zjawił się przed magazynem Smithsonian Institution dwadzieścia minut po odjeździe Austina yukonem. Carina odetchnęła z ulgą, kiedy nieoznakowany furgon podjechał tyłem do hali. Widziała przecież na własne oczy pomysłowość i determinację ludzi, którzy napadli na statek.

Tylne drzwi samochodu otworzyły się i zeskoczyli dwaj mężczyźni w szarych kombinezonach i czapkach baseballowych. Jeden opuścił na dół platformę załadowniczą, drugi wyciągnął z furgonu wózek oraz dużą drewnianą skrzynię. Kierowca wysiadł z kabiny i podszedł do tyłu samochodu z czwartym mężczyzną.

- Panna Mechadi, jak się domyślam - powiedział z przeciągłym południowym akcentem. - Nazywam się Ridley. Jestem szefem tego stada goryli. Przepraszam za spóźnienie.

Był muskularnym blondynem, ostrzyżonym na jeża. On i jego ludzie mieli pistolety w kaburach przy pasach i małe radia przypięte do kieszeni.

- Nic się nie stało - odparła Carina. - Właśnie skończyłam pakowanie posągu do transportu.

Poprowadziła go do magazynu. Ridley zachichotał, kiedy zobaczył rzeźbę opatuloną od stóp do głów i związaną sznurem.

- O kurczę! Wygląda jak wielka parówka. Carina uśmiechnęła się; porównanie było trafne.

- Ten posąg ma ponad dwa tysiące lat. Jest już uszkodzony, więc zrobiłam, co mogłam, żeby go zabezpieczyć.

- Wcale się pani nie dziwię. Będziemy na niego uważać. Gwizdnął ostro na palcach i do magazynu weszli jego ludzie; postawili drewnianą skrzynię na wózku, dodatkowo ją wymościłi, po czym opuścili do wnętrza posąg na pasach, żeby móc go utrzymać, i wytoczyli wózek z hali. Platforma załadownicza uniosła go do poziomu podłogi furgonu i mężczyźni wepchnęli ładunek do środka.

Dwaj wspięli się do tyłu samochodu; jeden wyjął z ukrycia karabin i usiadł na skrzyni, jakby ochraniał dyliżans, drugi zamknął drzwi i Carina usłyszała, że zaryglował je od wewnątrz. Kierowca zajął swoje miejsce, a Ridley podszedł do Cariny z clipboardem.

- Poproszę panią o podpisanie tego formularza, żeby wszystko było legalnie.

Złożyła podpis na dole dokumentu i oddała clipboard Ridleyowi.

- Tam stoi mój samochód - powiedziała. - Pojadę za wami.

- Nie ma potrzeby. Wiemy, dokąd jechać. Wszystko załatwimy, a pani może się zająć swoimi sprawami.

- To jest moja sprawa - odparła stanowczo.

Spojrzenie Ridleya stwardniało, kiedy patrzył, jak Carina idzie do swojego auta. Zaklął pod nosem i wsiadł do kabiny. Porozmawiał chwilę przez telefon komórkowy i się wyłączył. Rzucił przez ramię do kierowcy:

- Ruszaj!

Furgon wyjechał z kompleksu magazynowego na drogę, Carina ruszyła za nim. Jechali przez podmiejskie okolice Marylandu. Carinę powoli opuszczało napięcie. Ridley i jego ludzie wydawali się kompetentni i skuteczni, przypominali oddział wojskowy. Choć nie lubiła broni palnej, uspokajał ją fakt, że ci mężczyźni są uzbrojeni. W przeciwieństwie do bezbronnej załogi kontenerowca byłiby w stanie podjąć walkę.

Carina знаła Waszyngton, ale otaczające go „sypialnie” tworzyły oszalamiający labirynt komercyjno-rezydencyjny. Furgon mijał centra handlowe, stacje benzynowe i osiedla. Spodziewała się, że w końcu skręcą na obwodnicę Beltway lub inną autostradę prowadzącą do Dystryktu Kolumbii, i była zaskoczona, kiedy zatrzymali się przed jakimś marketem.

Ridley wysiadł i podszedł do jej samochodu.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak. Jakiś problem?

Skinął głową.

- Podali przez radio, że na autostradzie do miasta jest straszne zamieszanie. Przewróciła się ciężarówka i korek ma kilka kilometrów. Chcemy się dostać do Waszyngtonu boczną drogą. Pojedziemy trochę na okrągło, więc pomyślałem, że lepiej panią uprzedzę.

- Dziękuję. Będę się trzymać blisko was.

Ridley poszedł wolno z powrotem, jakby miał mnóstwo czasu, i wsiadł do kabiny. Furgon wyjechał z parkingu, Carina tuż za nim. Nie słyszała żadnych informacji o wypadku drogowym ani korku, ale może była zamyślona. Wyłączyła radio i skoncentrowała się na tym, żeby nie zostać z tyłu.

Furgon skręcił w podrzędną drogę, wzdłuż której ciągnęły się nieprzerwanie pasażer handlowe i fast foody. Na trasie panował duży ruch i samochody zatrzymywały się co jakieś sto metrów na światłach. Po kilku kilometrach ciągłego stawania i ruszania Carina odetchnęła, kiedy furgon zasygnalizował kierunkowskazem skręt w prawo.

Przestała czuć ulgę, gdy się pojawiły zapuszczone bloki mieszkalne i zaniedbane sklepy, które wyglądały tak, jakby powstały w latach wielkiego kryzysu. Na każdej ścianie widniały graffiti, w rynsztokach wały się śmiecie. Ponurzy ludzie sprawiali wrażenie naćpanych i prawdopodobnie byli, biorąc pod uwagę otoczenie.

Po kilku minutach znaleźli się w okolicy przypominającej strefę wojenną. Tu, gdzie kiedyś najwyraźniej tętniło życie, pozostały tylko opuszczone pawilony handlowe, nieczynne warsztaty samochodowe i zamknięte na kłódkę ceglane magazyny. Na pustych parkingach rosły chwasty i leżały papiery nawiane przez wiatr.

Carina, sfrustrowana, że nie ma łączności z furgonem, nacisnęła klakson. Ridley wystawił przez okno muskularne ramię i pomachał, ale furgon nawet nie zwolnił. Szukała wzrokiem szerokiego odcinka jezdni, gdzie mogłaby się z nim zrównać, gdy nagle furgon wjechał na zrujnowany parking przed jakąś walącą się restauracją. Na wyblakłym szyldzie od frontu ledwo można było odczytać słowo „Pizza”.

Carina spodziewała się, że Ridley podejdzie do niej i powie, że się zgubili. Kiedy się nie pojawił, wpadła w złość. Zacisnęła ręce na kierownicy, jakby chciała ją wyrwać. Furgon po prostu stał. Zastanawiała się, czy nie wysiąść, ale gdy zerknęła wokół, przeszły ją dreszcz, to miejsce było odrażające.

Sięgnęła do przycisku blokady drzwi. W tym momencie zza starego śmietnika wyłonił się jakiś

mężczyzna i usiadł na tylnym siedzeniu.

- Cześć - powiedział cicho chropawym głosem.

Carina spojrzała w lusterko wsteczne. Patrzyły na nią okrągłe oczy człowieka o dziecinnej twarzy. Rozpoznała napastnika, którego widniała na statku, kiedy leżała związana w kontenerze. Ogarnął ją strach, ale miała jeszcze tyle przytomności umysłu, że chwyciła za klamkę. Poczowała zimno na szyi i usłyszała cichy syk. Straciła przytomność.

Mężczyzna wysiadł z samochodu i podszedł do tyłu furgonu. Gdy zastukał do drzwi, natychmiast się otworzyły. Dwaj ludzie w środku nie stawiali żadnego oporu, kiedy wspiął się do ładowni i obejrzał drewnianą skrzynię. Powiedział coś do swojego radia. Po chwili zza zrujnowanej pizzerii wyjechał furgon z napisem „Szybkie dostawy”. Prędko przeładowano do niego posąg, zaś do pierwszego furgonu przeniesiono cztery bezwładne ciała.

Mężczyzna o twarzy dziecka wrócił do Cariny i patrzył na nią. Pomyślał, że wygląda pięknie i spokojnie. Zgiął palce, które mogły w ułamku sekundy zatrzymać bicie jej serca, zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Zapanował nad swoim morderczym instynktem i wsiadł do tyłu pierwszego furgonu. Oba wozy dostawcze wyjechały z parkingu.

Yukon zatrzymał się na parkingu portu rzeczno na brzegu Potomacu. Kurt wysiadł. Drugi agent zaparkował dżipa NUMA, rzucił Austinowi kluczyki i wsiadł do SUV-a.

Flagg wychylił się przez okno.

- Musimy się czasem umówić na lunch w Langley. Pozanudzamy Jake'a opowieściami o zimnej wojnie.

Austin pokręcił głową.

- Byliśmy wtedy głupi.

- Ale mieliśmy cholerny fart. - Flagg roześmiał się, wrzucił bieg i odjechał.

Austin ruszył wzdłuż rzędu łodzi. Wokół kręciło się niewiele osób, nad rzeką panował spokój. Przystanął, żeby obejrzeć stary jacht motorowy.

Drewniana łódź z białym kadłubem miała około piętnastu metrów długości, od wypolerowanych mahoniowych wykończeń bił oślepiający blask. Na kadłubie widniała nazwa „Lovely Lady”. Na leżaku siedział mężczyzna i czytał „Washington Post”. Zobaczył Austina, odłożył gazetę i wstał.

- I co pan o niej myśli? - zapytał.

Austin lubił klasyczne jachty i ich dyskretną atmosferę luksusu, tak odmienną od krzykliwej ekstrawagancji niektórych współczesnych statków przycumowanych w porcie.

- Jej nazwa mówi wszystko.

- W istocie.

- Wiem, że to nieuprzejme pytać o wiek damy, ale jestem ciekaw, ile ma lat.

- Niech pan się nie martwi, że pan obrazi tę dziewczynę, przyjacielu. Ona wie, że jest taka piękna jak w dniu swoich narodzin w roku 1931.

Kurt powiódł wzrokiem po smukłych liniach łodzi.

- Domyślam się, że to dzieło stoczni jachtowej Stephens w Kalifornii.

Mężczyzna uniósł brwi.

- Zgadł pan. Zbudowano ją dla jednego z mniej znanych Vanderbiltów. Chce pan wejść na pokład i przyjrzeć się jej bliżej, panie Austin?

Kurt uśmiechnął się szeroko. Flagg nieprzypadkowo wysadził go w pobliżu tej łodzi. Wspiął się po krótkim trapię na pokład i uścisnął dłoń mężczyźnie, który przedstawił się jako Elwood Nickerson.

Wysoki i żylasty Nickerson miał sylwetkę tenisisty i niewiele zmarszczek na opalanej twarzy. Mógł być po sześćdziesiątce lub siedemdziesiątce. Nosił znoszone, jasnobrązowe płócienne szorty, stare buty żeglarskie i T-shirt z napisem „Georgetown University”, który nadawał się już na szmatę. Krótko przystrzyżone siwe włosy, wypielęgnowane paznokcie i akcent absolwenta prywatnego liceum wskazywały, że nie jest portowym menelem.

Przyjrzał się Austinowi szarymi oczami.

- Miło mi pana poznać. Dziękuję, że pan wpadł, i przepraszam za formę zaproszenia. Zaproponowałbym panu rum Barbancourt z lodem, ale chyba jest jeszcze za wcześnie.

Nickerson wiedział, co pija Austin. Albo myszkował w jego barku, albo miał dostęp do rządowych akt personalnych.

- Nigdy nie jest za wcześnie na dobry rum, ale zadowolę się szklanką wody i wyjaśnieniem - powiedział Austin.

- Woda może być natychmiast. Wyjaśnienie potrwa trochę dłużej.

- Mam czas.

Nickerson zawołał do kapitana jachtu, że mogą odpływać. Kapitan uruchomił silniki, jego zastępca odcumował łódź. Kiedy odbili od brzegu i skierowali się w dół rzeki, Nickerson zaprowadził Kurta do przestronnej kabiny, gdzie centralne miejsce zajmował prostokątny mahoniowy stół, który lśnił jak lustro.

Poprosił, żeby usiadł przy stole, potem wyjął z lodówki butelkę wody źródlanej i nalał Austinowi szklanekę.

- Kieruję Wydziałem Bliskowschodnim Departamentu Stanu, gdzie jestem człowiekiem od wszystkiego - zaczął. - Ta wycieczka ma błogosławieństwo mojego szefa, sekretarza stanu. Uznał, że lepiej będzie, jeśli na razie nie zaangażuje się w to osobiście.

- Sprawdzał pan moje akta personalne, co wskazuje na wyższą kategorię wtajemniczenia, niż mają ludzie zajmujący się polityką zagraniczną.

Nickerson przytaknął.

- Kiedy przedstawiliśmy tę sprawę w Białym Domu, wiceprezydent Sandecker zasugerował, żebyśmy zwrócili się do pańskiego szefa, dyrektora Pitta. Powiedział, żeby podrzucić to panu.

- To bardzo szlachetne z jego strony - odparł Austin. Cały Pitt, pomyślał. Dirk lubi, kiedy decyzje podejmują ci, których najprawdopodobniej dotkną ich konsekwencje.

Nickerson wyczuł ironię w głosie Austina.

- Pan Pitt wykazał zrozumienie dla naszych potrzeb. Wysoko ocenia pańskie umiejętności. Sprawdziłem pańską przeszłość z własnej inicjatywy. Mam opinię ostrożnego.

- I na pewno tajemniczego.

- Z pańskich akt wynika, że nie ma pan cierpliwości do rozmów towarzyskich. Zatem przejdę od razu do rzeczy. Dwa dni temu złożył nam wizytę Pieter DeVries z NSA. Jest jednym z najlepszych kryptoanalityków na świecie. Przyniósł nam zaskakującą informację.

Przez następnych dwadzieścia minut Nickerson opowiadał szczegółowo o odkryciu w Amerykańskim Towarzystwie Filozoficznym dokumentów Jeffersona i rozszyfrowaniu zawartej w nich tajnej wiadomości.

Kiedy skończył, czekał na reakcję Austina.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem - powiedział Kurt. - Jakaś badaczka w organizacji założonej przez Bena Franklina natknęła się na dawno zaginioną zaszyfrowaną korespondencję między Thomasem Jeffersonem i Meriwetherem Lewisem. Jefferson napisał do Lewisa, że jego zdaniem Fenicjanie odwiedzali Amerykę Północną i ukryli w kopalni złota Salomona jakąś relikwię. Lewis odpisał Jeffersonowi, że przyjedzie się z nim zobaczyć, i zginął w drodze.

Nickerson westchnął głęboko.

- Wiem. To brzmi jak wytwór czyjejś fantazji.

- A co ta fantastyczna historia ma wspólnego z NUMA?



- Proszę o cierpliwość. Zaraz się pan dowie. - Wręczył mu gruby notes z luźnymi kartkami. - To są kopie dokumentów Jeffersona i rozszyfrowanych wiadomości. Źródło informacji zostało ustalone.
- Austin otworzył notes i popatrzył na zwarte, staranne pismo Jeffersona. Przerzucił kilka stron.
- Jest pan pewien autentyczności materiału?
  - Papiery są prawdziwe, a ich wartość historyczną trzeba dopiero określić.
  - Mimo wszystko cała sprawa pozwala snuć różne przypuszczenia - odparł Austin. - Orientuje się pan, o jaką relikwię może chodzić?
  - Niektórzy analitycy, znający dokumenty, wymieniają Arkę Przymierza. A co pan sądzi?
  - Istnieje duże prawdopodobieństwo, iż skrzynia została zniszczona po zdobyciu Jerozolimy przez Babilończyków. Słyszałem też wersję, że jest zasypana w jakiejś afrykańskiej kopalni. Etiopczycy twierdzą, że znajduje się u nich, ale mało kto ją widział. Tak czy inaczej, odkrycie będzie historyczną bombą.
  - Ma pan rację. Do dziś z Arki prawdopodobnie zostały tylko drzazgi. Wiemy, że to, co ukryto w Ameryce Północnej, bardzo niepokoiło Jeffersona.
  - Pan też wydaje się mocno zaniepokojony.
  - Jestem. Pańska metafora z bombą jest, niestety, bardzo trafna.
  - Obawia się pan łowców skarbów?
  - Nie. Obawiamy się pożogi, która może się zacząć na Bliskim Wschodzie i ogarnąć Europę, Azję i Amerykę Północną.

Austin postukał w okładkę notesu.

- Dlaczego to miałyby wywołać pożogę?
- Odkrycie zostałoby uznane przez pewne ugrupowania za sygnał do budowy trzeciej świątyni Salomona, by umieścić tam relikwię. Budowa nowej świątyni wymagałaby zburzenia meczetu na Świętej Skale, trzeciego najświętszego miejsca islamu. Sama pogłoska o znalezieniu tego materiału mogłaby wywołać gwałtowną reakcję muzułmanów na całym świecie. Wiadomość o tym odkryciu w Ameryce Północnej uznaliby za spisek Stanów Zjednoczonych. Oskarżyliby nas o zainicjowanie kampanii antyislamskiej w celu zniszczenia tego, co jest dla nich święte. Wszystkie poprzednie konflikty na Bliskim Wschodzie byłyby w porównaniu z tym dziecinną igraszka.

- Czy nie martwimy się na zapas? Nawet pan nie wie, o jaką relikwię chodzi.
- To nieważne. Chodzi o percepcję. Przed laty narodziny czerwonej jałówki w Izraelu niektórzy uznali za początek łańcucha zdarzeń, które doprowadzą do końca świata. A była to tylko zakrwawiona krowa, na litość boską.

Zastanowił się nad słowami Nickersona.

- Dlaczego jest pan tak zaniepokojony akurat teraz?
- Zbyt wiele osób wie już o tym materiale. Możemy się starać, żeby nie doszło do byle przecieków, jednak wcześniej czy później sprawa wyjdzie na jaw. Na wypadek wstrząsu, Departament Stanu opracuje strategię złagodzenia go środkami dyplomatycznymi, ale musimy poczynić też inne kroki.

Austin wiedział z doświadczenia, że w rządzie jest więcej przecieków niż w spróchniałej łodzi.

- Jak mogę pomóc?

Nickerson uśmiechnął się.

- Teraz rozumiem, dlaczego Dirk Pitt zostawił tę sprawę panu. Naszą najlepszą obroną jest prawda. Musimy się dowiedzieć, co Fenicjanie przywieźli do naszych brzegów. Jeśli to Arka

Przymierza, ukryjemy ją na tysiąc lat, jeśli nie, zdemontujemy tę historię, zakładając, że w ogóle wyjdzie na jaw.

- Łatwiej byłoby znaleźć igłę w stogu siana. NUMA zajmuje się badaniem oceanów. Czy nie powinien pan zaangażować do tego agencji wywiadowczych działających na lądzie?

- Próbowaliśmy. Ale mamy za mało informacji. Tylko NUMA może nam pomóc. Chcielibyśmy się skoncentrować raczej na statku i jego rejsie niż na artefakcie. Chociażby dlatego, że odkrył pan grobowiec Kolumba, nadaje się pan idealnie do pokierowania tą sprawą.

Austin zmrużył oczy.

- Gdyby udało nam się odtworzyć trasę rejsu, zawężilibyśmy obszar poszukiwań. To jest myśl.

- Mam nadzieję, że to więcej niż myśl.

- Możemy spróbować. Chodzi o rejs, który się odbył tysiące lat temu. Porozmawiam z moim kolegą Paulem Troutem. Jest ekspertem w dziedzinie symulacji komputerowej. Może zdoła zrekonstruować tamtą podróż.

Nickerson wyglądał tak, jakby z jego wąskich ramion zdjęto wielki ciężar.

- Dziękuję panu. Powiem kapitanowi, żeby zawrócił.

Austin zadumał się nad ich rozmową. Coś w osobie Nickersona nie dawało mu spokoju. Człowiek z Departamentu Stanu wydawał się szczery, ale zbyt gładko wszystko wyjaśniał, był trochę za chytry. Może przebiegłość była narzędziem przetrwania na wyższych szczeblach rządowych. Na razie postanowił odsunąć wątpliwości - ale pamiętać o nich - i skoncentrować się na aktualnym problemie.

Znowu Fenicjanie.

Miał wrażenie, że spotyka tych starożytnych żeglarzy na każdym kroku. Zaczął układać plan. Zadzwoni do Trouta i poleci mu zająć się tą sprawą. Tony Saxon byłby zachwycony, gdyby wiedział, że prawdziwości jego dziwacznych teorii na temat prekolumbijskich kontaktów w obu Amerykach może dowieść kryzys międzynarodowy. Austin chciał jeszcze raz obejrzeć Żeglarza, ale tym razem w obecności swojego eksperta.

Zaczęła wibrować komórka w jego kieszeni. Otworzył ją i zgłosił się.

- Kurt Austin.

- Mówi sierżant Colby z waszyngtońskiej policji - powiedział męski głos. - Znaleźliśmy pańskie nazwisko w portfelu niejakiej Cariny Mechadi.

Austinowi pulsowały mięśnie szczęki, gdy słuchał szczegółowej relacji podoficera w monotonicznym, eufemistycznym języku, typowym dla gliniarzy.

- Będę tam za pół godziny - powiedział i wszedł do sterówki. Kiedy przynagłał kapitana, żeby wycisnął z silników „Lovely Lady” maksymalną moc, Nickerson rozmawiał w kabinie przez telefon.

- Austin się zgodził - mówił. - Weźmie to zadanie.

- Wiem o nim tyle, że byłbym zaskoczony, gdyby odmówił - odparł głos na drugim końcu linii.

- Myślisz, że się uda?

- Lepiej, żeby tak było. Zawiadomię pozostałych - odpowiedział mężczyzna i rozłączył się.

Nickerson odłożył słuchawkę i wpatrzył się w przestrzeń. Tajemnica trzech tysiącleci mogła być ujawniona za jego życia. Kości zostały rzucone. Podeszedł do barku, wyjął butelkę i szklankę. Do diabła z zaleceniami lekarza, pomyślał, nalewając sobie solidną porcję brandy.

Sierżant Colby czekał na Austina w dyżurce pielęgniarek na oddziale pomocy doraźnej Szpitala Uniwersytetu Georgetown, rozmawiając z mężczyzną w zielonym stroju lekarskim. Zauważył nadchodzącego szybkim krokiem mężczyznę i domyślił się, że to on zasypał go pytaniami przez telefon.

- Pan Austin?

- Dziękuję, że pan zadzwonił, sierżancie. Co z panną Mechadi?

- Całkiem dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności. Nasz radiowóz patrolował rejon przypominający strefę wojenną i znalazł ją w jej samochodzie leżącą na kierownicy.

- Czy ktoś wie, co się stało? Policjant pokręcił głową.

- Mówiła od rzeczy, kiedy odzyskała przytomność. Właśnie rozmawiałem z obecnym tu doktorem Sidem o wynikach badania lekarskiego.

Stojący obok lekarz nazwiskiem Siddhartha „Sid” Choudary był rezydującym anestezjologiem, którego wezwano na konsultację.

- Badanie krwi pańskiej znajomej wykazało, że podano jej tiopental sodu; albo przez nos, albo przez skórę. Musiała stracić przytomność w ciągu kilku sekund.

- Nie podejrzewamy napadu rabunkowego - wtrącił Colby. - W jej portfelu były pieniądze, dowód tożsamości i pański numer telefonu. Nasza ekipa dochodzeniowa zbada samochód, ale szczerze mówiąc, nie nastąpi to szybko. Pierwszeństwo mają zabójstwa, a w kostnicy jest już kolejka.

- Chciałbym zobaczyć pannę Mechadi - powiedział Austin.

Lekarz skinął głową.

- Jest już całkowicie przytomna. Poczuje się dobrze, kiedy ten środek zniknie z jej krwiobiegu. To mniej więcej coś takiego jak wypić jedno martini za dużo. Lekki kac, zawroty głowy i nudności. Wypiszemy ją, jak tylko będzie w stanie chodzić. Przyda jej się pomoc. Niech na razie nie prowadzi samochodu. Trzecie drzwi na prawo.

Austin podziękował im obu i ruszył korytarzem.

- Nie podchodziłbym za blisko - ostrzegł policjant. - Jest wściekła.

Carina siedziała na brzegu łóżka i próbowała włożyć but. Najwyraźniej źle widziała i miała trudności z koordynacją ruchów. Złość wyładowywała na swojej stopie.

Austin przystanął w drzwiach.

- Pomóc?

Groźną minę Cariny zastąpił szeroki uśmiech. No, mruknęła triumfalnie, gdy wreszcie włożyła but. Spróbowała wstać, ale ugięły się pod nią nogi i osuwała się na podłogę, kiedy Austin wszedł do sali. Podniósł ją i położył na łóżku.

- *Grazie*. Czuję się tak, jakbym wypila za dużo wina.

- Lekarz powiedział, że narkotyk niedługo przestanie działać.

- Narkotyk? O czym on mówi? Nie brałam żadnego narkotyku.

- On wie. Straciłaś przytomność po środku znieczulającym. Albo wciągnęłaś go nosem, albo dostałaś zastrzyk. Co się stało?

W jej oczach pojawił się strach.

- Widziałam napastnika z kontenerowca. Wielkiego mężczyznę z twarzą złego dziecka.

- Lepiej zacznij od początku - doradził Austin.

- Dobry pomysł. Pomóż mi usiąść.

Objął Carinę w pasie i delikatnie uniósł do pozycji pionowej. Potem nalał jej szklanek wody. Siedziała na brzegu łóżka, piła i opowiadała.

- Przyjechali transportowcy po Żeglarza. Szef ekipy nazywał się Ridley, tak powiedział. Jechałam za furgonem moim samochodem, krążyliśmy ulicami, potem furgon skręcił do jakiejś strasznej dzielnicy i się zatrzymał. Pamiętam zrujnowaną knajpkę ze starym szyldem pizzerii. Otworzyły się nagle tylne drzwi i zobaczyłam tamtego napastnika w lusterku wstecznym.

Austin przypomniał sobie ślad wielkiego buta nad rzeką blisko swojego domu.

- Mów dalej.

- Usłyszałam syk. Potem obudziłam się tu. - Coś jej zaświtało: - Oni zabrali posąg, muszę jak najszybciej powiadomić policję. - Wstała i oparła się o łóżko. - Jeszcze mi się kręci w głowie.

Austin pocałował ją w czoło.

- Ja porozmawiam z policjantem. Odpoczywaj.

Colby kończył rozmawiać przez telefon, kiedy podszedł do niego Austin i zapytał:

- Mówiła panu o furgonie i zniknięciu posągu?

- Tak. Myślałem, że majaczy. Właśnie dzwoniłem na posterunek. Furgon odpowiadający podanemu przez nią opisowi zjechał z autostrady i zapalił się; znaleźli w nim cztery zwęglone ciała. Nie nadają się do identyfikacji.

- Nie natrafili na ślad posągu z brązu?

- Nie. Przy tak wysokiej temperaturze ognia posąg mógł się stopić. Austin podziękował Colby'emu i wrócił do Cariny. Nie powiedział jej o ciałach w spalonym furgonie.

Zerknęła na zegar ścienny.

- Muszę się stąd ruszyć. Jestem umówiona z Jonem Bensonem, tym fotoreporterem z „National Geographic”, o którym ci mówiłam.

- Kiedy masz się z nim spotkać?

- Za niecałą godzinę. - Podała Kurtowi adres. - Zdążymy?

- Jeśli zaraz wyruszymy. Ale to zależy od twojego samopoczucia.

- Dobrze się czuję. - Wstała, zrobiła kilka kroków i zachwiała się. - Jednak przydałaby mi się pomocna dłoń.

Austin wziął ją pod rękę i poprowadził korytarzem. Colby zostawił w dyżurce pielęgniarek kartkę do Cariny z prośbą o telefon, kiedy będzie mógł ją przesłuchać. Szybko odzyskiwała siły i wypisała się ze szpitala na własne żądanie. Mimo nalegań pielęgniarki nie chciała pojechać do holu na wózku inwalidzkim. Kiedy wychodziła frontowymi drzwiami, tylko lekko się zataczała.

W czasie jazdy do Wirginii Carina próbowała się dodzwonić do fotoreportera. Nikt nie odbierał telefonu. Przypuszczała, że Benson po prostu wyszedł i będzie w domu o umówionej godzinie.

Dobrze jej robiło świeże wiejskie powietrze, które wpadało przez otwarte okno samochodu. Zadzwoiła do Baltazara, żeby mu powiedzieć o kradzieży, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Carina zostawiła wiadomość.

- Jak myślisz, Saxon chyba nie ma z tym nic wspólnego? - zapytała po chwili zastanowienia.

- Nie wydaje mi się. To nie ten typ. Liczyłbym nawet na jego pomoc. Moglibyśmy wykorzystać zdjęcia Żeglarza, które zrobił w magazynie do nagłośnienia kradzieży posągu.

Carina pogrzebała w torebce i znalazła wizytówkę Saxona - dał jej na przyjęciu w ambasadzie Iraku. Zadzwoiła pod numer zapisany na odwrocie. Zgłosił się hotel Willard i recepcjonista powiedział, że pan Saxon już się wymeldował. Carina przekazała tę informację Kurtowi z uśmiechem samozadowolenia.

Dziesięć minut później Austin skręcił z szosy w długą drogę gruntową i dojechał do niskiego, oszalowanego domu farmerskiego. Zaparkowali obok zakurzonego pikapa i weszli na frontowy ganek. Nikt nie zareagował na kilkakrotne pukanie do drzwi. Zajrzeli do stodoły i wrócili na ganek. Drzwi nie były zaryglowane, Kurt pchnął je i Carina wetknęła głowę do środka.

- Panie Benson?! - zawołała.

W głębi domu rozległ się cichy jęk. Austin przestąpił próg i doszedł korytarzem do przytulnego salonu; wziął pogrzebacz, który zauważył przy kominku. Na końcu korytarza znajdowało się studio i tam leżał na podłodze mężczyzna.

Carina przyklękła obok niego. Miał na głowie ranę, skóra wokół niej była sina, krwawienie już ustało.

Pokój wyglądał jak po huraganie. Szuflady szafek na akta były otwarte, monitor komputera roztrzaskany, na podłodze walały się zdjęcia. Ocalały tylko okładki „National Geographic” wiszące na ścianach. Austin zadzwonił pod 911 i sprawdził resztę domu. Nikogo nie znalazł.

Kiedy wrócił do studia, Benson siedział pod ścianą z otwartymi oczami i sprawiał wrażenie całkowicie przytomnego. Carina delikatnie przykładła mu do głowy ręcznik wypełniony kostkami lodu. Starła mu z ust ślinę.

Fotoreporter był krępyim mężczyzną w średnim wieku. Cera ogorzała mu od słońca i wiatru w egzotycznych miejscach, gdzie pracował. Siwe włosy związane w kucyk sięgały pleców. Miał na sobie dżinsy, T-shirt i kamizelkę z kieszeniami na filmy, co wydawało się anachronizmem w epoce fotografii cyfrowej.

Austin przykucnął obok niego.

- Jak się pan czuje?

- Jak kupa gówna - stwierdził Benson. - A jak wyglądam?

- Jak kupa gówna - odpowiedział Austin.

Benson zdobył się na słaby uśmiech.

- Skurwiele. Czekali na mnie, kiedy wróciłem ze spaceru na spotkanie z kobietą z ONZ-u. To pani?

- Tak. Nazywam się Carina Mechadi. Jestem śledczą z UNESCO. To pan Austin. Pracuje w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

W szarych oczach Bensaona pojawił się błysk.

- Lata temu robiłem reportaże o obu waszych firmach.

- Co się stało po pańskim powrocie ze spaceru? - zapytał Austin.

- Zobaczyłem od frontu samochód. Czarnego SUV-a z wirgińską rejestracją. Nigdy nie zamykam

drzwi na klucz. Robili mi w domu rewizję. - Benson się skrzywił. - Na wypadek, gdybym znów zemdłał, przekażcie glinom, że tych facetów było czterech. Wszyscy zamaskowani i uzbrojeni. Jeden był naprawdę wielki. Wyglądał mi na szefa.

Austin i Carina wymienili spojrzenia.

- Coś mówił?

- Chciał wszystkie moje negatywy. Powiedziałem mu, żeby spadał. Walnął mnie lufą spluwy w głowę. Chyba powinienem być mu wdzięczny, że mnie nie zastrzelił. Udawałem trupa. Widziałem, jak on i jego kumple przeszukiwali szafki z negatywami. Władowali wszystko do plastikowych worków na śmiecie. Zabrali mojego laptopa?

Austin rozejrzał się.

- Wygląda, że wyczyścili to miejsce.

- Domyślili się, że mam kopie. Każde zdjęcie, jakie kiedykolwiek zrobiłem, było na kompakcie. Dwadzieścia pięć lat pracy. - Benson zachichotał. - Palanty. Byli tak zajęci dawaniem mi wycisku, iż nie pomyśleli, że mogę mieć zapasowe kopie. O co im chodziło, do cholery?

- Podejrzewamy, że szukali pańskich zdjęć wykopalisk archeologicznych w Syrii - powiedziała Carina.

Benson zmarszczył brwi.

- Pamiętam. Fotograf pamięta każde zdjęcie, które zrobił. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi rok. Reportaż. Było tam gorąco jak w piekle.

- Moglibyśmy pożyczyć zapasowy kompakt? - zapytał Austin.

- To pomoże w złapaniu skurwieli?

- Niewykluczone. - Kurt uniósł koszulę, żeby pokazać Bensonowi opatrunek na żebrach. - Nie tylko pan ma z nimi rachunki do wyrównania.

Benson wytrzeszczył oczy.

- Chyba naprawdę pana nie lubią. - Uśmiechnął się. - Idźcie do stodoły. Trzecia przegroda na prawo. Jest tam stalowa kłapa pod sianem. Klucz wisi w kuchni, ma etykietkę „Tylne wyjście”.

- Wtedy w Syrii wykopano duży posąg - przypomniała Carina. - Nazwano go Żeglarz.

- Zgadza się. Człowiek w szpiczastej czapce. Wyglądał jak Indianin w sklepie z cygarami. Nie wiem, co się z nim stało. - Benson przewrócił oczami, jakby miał zemdleć, ale wziął się w garść. - Przyjrzyjcie się temu, co jest na kominku w salonie.

Austin znalazł w kuchni klucz do schowka z płytą kompaktową i poszedł do salonu. Na gzymsie kominka leżały kawałki skał i stały figurki, które Benson zapewne przywoził z licznych podróży. Jeden z posążków przykuł uwagę Kurta. Wziął do ręki miniaturkę Żeglarza o wysokości około dziesięciu centymetrów.

Żwir na podjeździe zachrząścił pod oponami i przed domem zatrzymała się karetka pogotowia z błyskającymi czerwono-niebieskimi światłami. Austin wsunął figurkę do kieszeni i wyszedł na spotkanie technikom doraźnej pomocy medycznej. Przyjechało ich dwoje, młody mężczyzna i kobieta. Austin zaprowadził ich do studia.

Kobieta popatrzyła na bałagan.

- Co tu się stało?

- Napadnięto fotoreportera i zdemolowano mu studio - wyjaśniła Carina.

Kiedy kobieta badała Bersona, jej kolega wezwał policję. Po sprawdzeniu narzędzi

wewnętrznych uszkodzonego i założeniu mu opatrunku technicy medyczni położyli go na noszach i załadowali do karetki. Powiedzieli, że Benson będzie przez jakiś czas obolały, ale dzięki doskonałej kondycji fizycznej powinien szybko wrócić do formy.

Austin i Carina zdecydowali, że zaczekają na policję. Natychmiast po odjeździe karetki poszli do stodoły. Kiedy odsunęli na bok siano w trzeciej przegrodzie, zobaczyli metalową pokrywę, którą Austin odryglował i otworzył. Krótkie schody prowadziły w dół do klimatyzowanego pomieszczenia wielkości szafy w ścianie. Na rzędach szuflad widniały nalepki z latami. Kurt znalazł płytę kompaktową oznaczoną napisem „Wykopaliska w Syrii, 1972”.

Wsunął ją do kieszeni i wrócili przed dom, czekając na radiowóz, który przyjechał po kilku minutach. Zza kierownicy wysiadł chudy mundurowy, podszedł do nich powolnym, niedbałym krokiem i przedstawił się jako szeryf Becker. Zapisał ich nazwiska w notesie.

- Załoga karetki zgłosiła napad na pana Bensona.

- Powiedział nam, że go zaatakowano - relacjonowała Carina. - Wrócił ze spaceru i zastał w domu czterech mężczyzn. Próbował im przeszkodzić w kradzieży zdjęć i został uderzony pistoletem.

Szeryf pokręcił głową.

- Wiem, że jest znanym fotoreporterem „Geographic”, ale nigdy bym nie przypuszczał, że ktoś włamie się do niego w biały dzień, żeby ukraść zdjęcia. - Zamilkł na chwilę, próbując dopasować do tej sytuacji tę egzotyczną kobietę i jej muskularnego towarzysza. - Mogę spytać, jaką państwo mieli sprawę do Bensona?

- Pracuję w NUMA - wyjaśnił Austin - a panna Mechadi w ONZ-cie. Tropi złodziei antyków. Pan Benson sfotografował przed laty pewien zaginiony artefakt i mieliśmy nadzieję, że pomoże nam go odzyskać.

- Myśli pan, że tamto ma coś wspólnego z jego pobiciem?

Becker był sprytniejszy, niż się wydawał. Obserwował uważnie ich reakcje.

- Nie wiem - odparł szczerze Austin.

Szeryf wyglądał na zadowolonego z wyjaśnień.

- Możecie mi państwo pokazać, gdzie znaleźliście pana Bensona? Gdy weszli do studia, gwizdnął cicho na widok bałaganu.

- Dotykali państwo czegoś?

- Nie - powiedział Austin. - Ale czy to zrobiłoby jakąś różnicę?

Szeryf zachichotał.

- Ściągnę tu ekipę dochodzeniową. - Zanotował ich dane personalne i uprzedził, że mogą zostać wezwani na przesłuchanie.

Austin wyjechał samochodem na szosę.

- Nie byłeś z nim całkiem szczerzy - zauważyła Carina.

- Opowieść o napadzie na statek i kradzieży posągu mogłaby skomplikować sprawę. Podobnie jak fakt, że wspólnym mianownikiem jest Żeglarz.

Wyciągnęła się na siedzeniu i zamknęła oczy.

- Czuję się odpowiedzialna za to wszystko.

- Nie rób sobie wyrzutów. Jedynymi winnymi są tamci bandyci. Kto oprócz nas wiedział o zdjęciach Bensona?

- Mówiłam o nich tylko panu Baltazarowi. Chyba nie myślisz...

- Następny wspólny mianownik.

Carina zagłębiła się w siedzenie i wpatrzyła w przestrzeń. Po kilku minutach rozmyślań zmobilizowała się.

- Dobra. Co dalej?

Austin wyjął z kieszeni płytę kompaktową i jej wręczył.

- Obejrzymy wykopaliska archeologiczne.



Kiedy Austin zaparkował dżipa na zarezerwowanym miejscu w podziemnym garażu, Carina zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. W krwiobiegu krążyły jeszcze zapewne śladowe ilości narkotyku, bo zasnęła wkrótce po wyjeździe z farmy Bensona. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był pofałdowany krajobraz Wirginii. Rozejrzała się zdumiona.

- Gdzie jesteśmy?

- W legowisku króla Neptuna - odparł z pokerową miną Austin. Wsiadł z samochodu i otworzył drzwi od strony pasażera. Delikatnie ujął Carinę pod ramię i poprowadził do najbliższej windy, która zawiozła ich na parter. Drzwi się rozsunęły i wyszli z kabiny do holu, będącego największą atrakcją imponującego, trzydziestopiętrowego wieżowca NUMA z przyciemnionego zielonego szkła w Arlington.

Carina rozejrzała się po atrium z wodospadami, akwariami i wielkim globusem na środku marmurowej podłogi w kolorze morskiej zieleni. Wokół panował duży ruch, głównie za sprawą turystów z aparatami fotograficznymi.

- Tu jest cudownie! - była zachwycona.

- Witaj w kwaterze głównej Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych - powiedział z dumą Austin. - W tym budynku pracuje ponad dwa tysiące naukowców i inżynierów morskich. Ci ludzie wspierają trzy tysiące innych osób w terenie, łącznie z załogami statków NUMA na wszystkich oceanach świata.

Obróciła się w miejscu jak baletnica.

- Mogłabym tu zostać cały dzień.

- Nie ty pierwsza tak mówisz. Ale teraz przejdziemy od wzniosłości do śmieszności.

Wrócili do windy, która szybko i cicho uniosła ich na inny poziom. Wyszli na korytarz wyłożony grubym dywanem i doszli do nieoznakowanych drzwi. Austin gestem zaprosił Carinę do swojego biura.

Skromny narożny gabinet stanowił przeciwieństwo rozległej panoramicznej przestrzeni, która witała gości wchodzących frontowymi drzwiami do siedziby NUMA. Handlowiec z agencji nieruchomości opisałby to pomieszczenie jako wygodne i przytulne. Na podłodze leżał ciemnozielony dywan, umeblowanie składało się z dwóch foteli, szafki na akta i małej kanapy. Niski regał wypełniały głównie książki z dziedziny inżynierii morskiej i filozofii.

Powierzchnię biurka można by podać w centymetrach kwadratowych, nie w arach, jak w większości waszyngtońskich urzędów. Na ścianie wisiały fotografie Austina w towarzystwie starszego mężczyzny o surowej męskiej urodzie, który mógłby uchodzić za bliźniaka Kurta, ale był bez wątpienia jego ojcem, i zdjęcia różnych statków badawczych NUMA. Z niewielkiego pokoju Austin miał wspaniały widok na rzekę Potomac i Waszyngton.

- Moja dekoratorka wewnątrz jest na urlopie - usprawiedliwił się. Wyjął z małej lodówki dwie

butelki wody źródlanej, podał jedną Carinie i wskazał jej fotel. Sam usiadł za biurkiem i uniół swoją butelkę.

- Na zdrowie.

- *Sante!* - powtórzyła i rozejrzała się wokoło. - Nie widzę tu żadnej śmieszności. Ten pokój jest po prostu funkcjonalny i bezpretensjonalny.

- Dzięki. Mam z kimś wspólną sekretarkę, która przyjmuje dla mnie wiadomości. Dużo podróżuję i rzadko tu bywam. Właściwie tylko w wyjątkowych sytuacjach, takich jak ta.

Wyjął z kieszeni płytę kompaktową ze zdjęciami i wsunął ją do komputera na biurku. Na ekranie pojawiło się logo „National Geographic” i tytuł reportażu: „W poszukiwaniu śladów zapomnianej cywilizacji”. Artykuł opisywał wykopaliska na terenie dawnej osady hetyckiej. Kurt wywołał wszystkie zdjęcia na płycie. Ekran natychmiast wypełniły równe rzędy małych prostokątów.

Benson zrobił setki zdjęć. Austin ustawił pokaz slajdów na trzysekundowe odstępy i obrócił monitor tak, żeby Carina widziała fotografie.

Po kilku minutach wskazała na ekran.

- Jest!

Zdjęcie pokazywało kilku ubrudzonych ziemią robotników z łopatami, stojących na krawędzi dołu. Towarzyszył im szef, tęgi Europejczyk w kasku tropikalnym, czystych szortach i koszuli. Z ziemi na dnie dołu wystawał stożkowy kształt.

Kurt wyświetlił dwa tuziny następnych zdjęć, które pokazywały odkopywanie głowy posągu. Gdy odsłonięto ramiona, robotnicy przeciągnęli liny pod jego pachami i wydobyli go z dołu, później oczyścili z ziemi. Benson zrobił kilka zbliżeń twarzy ze zmiażdżonym nosem oraz ujęcia z przodu, z tyłu i z obu boków.

- To rzeczywiście wygląda na nasz posąg - stwierdziła Carina. - Niestety, mamy tylko to. Fotografie. Jesteśmy w ślepych zaułku.

Austin wyjął z kieszeni figurkę, którą zabrał z gzymsu kominka w salonie Bensona. Postawił ją na stole przed Cariną.

- Może nie.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- To miniatuurka Żeglarza. Skąd ją masz?

- Wziąłem z domu Bensona.

Uniosła figurkę.

- Ktoś musiał ją zrobić według oryginału. - Zmarszczyła brwi. - Z tego, co wiemy, posąg przetransportowano z Syrii do Bagdadu i schowano. Kiedy mogła być zrobiona ta kopia?

Sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Zapytajmy tego, kto wie.

Dowiedział się w informacji, jaki szpital jest najbliżej farmy Bensona, i wybrał numer, a recepcjonistka połączyła go z salą pacjenta. Przełączył telefon na głośnik. Benson wymamrotał „halo”, ale ożywił się, usłyszawszy nazwisko Austina. Powiedział, że dochodzi już do siebie i na szczęście nie ma żadnych złamań.

- Wyjdę stąd za parę dni. Wiadomo coś o tamtych skurwielach?

- Nic pewnego. Jesteśmy ciekawi, skąd pan ma stojącą nad kominkiem miniatuurkę posągu, który pan sfotografował na wykopaliskach w Syrii. Czy ktoś zrobił tam jego kopię?

- Nie. Tamten posąg od razu zabrano. Może ktoś wzorował się na tym drugim.

Austin i Carina nie zrozumieli. Wymienili spojrzenia.

- Na jakim drugim? Jest tylko jeden Żeglarz.

- Przepraszam. Miałem o tym wspomnieć, ale wie pan, w jakim znajdowałem się stanie, kiedy do mnie przyjechaliście. Były dwa posągi. Facet z Niemiec, który kierował wykopaliskami w Syrii, powiedział, że mogły strzec wejścia do jakiejś ważnej budowli albo grobowca. Zrobiłem kilka zdjęć tamtego drugiego, ale wtedy jeszcze niecyfrowych. Upał zniszczył film.

- Co się stało z drugim posągiem? - spytał Austin.

- Nie wiem. Pojechałem gdzie indziej. „Geographic” chciał mieć zdjęcia egzotycznych kobiet z nagimi piersiami, więc wysłali mnie na Samoa. Parę lat temu robiłem w Stambule reportaż o imperium osmańskim. Zobaczyłem tę figurkę na targu. Facet, który mi ją sprzedał, zdarł ze mnie skórę, ale kupiłem posążek.

- Pamięta pan, gdzie?

- Na takim krytym bazarze. W sklepie były stopy tych figurek. Cholera. Środek przeciwbólowy przestaje działać. Muszę wezwać pielęgniarkę. Niech pan da mi znać, kiedy znajdzie bandziorów, którzy mnie tak urządzili.

- Jasne. - Podziękował Bensonowi, życzył mu powrotu do zdrowia i rozłączył się.

Carina siedziała jak na szpilkach.

- Drugi posąg! Musimy go znaleźć.

Austin zobaczył w wyobraźni rozległy Sztambuł. Pamiętał to miasto sprzed kilku lat, kiedy wykonywał zadanie na Morzu Czarnym. Wiedział, że kryty bazar jest oszałamiającym labiryntem handlowym o powierzchni paru hektarów. Przypomniawszy sobie plany Zavalii w związku z jego subvetwą.

- Ekipa NUMA wybiera się do Sztambułu, żeby pomóc zbadać starożytny port. Joe Zavala mógłby się rozejrzeć po bazarze.

- A potem co? - Carina nie była zachwycona pomysłem. - Jeśli znajdzie sprzedawcę, to co dalej? My będziemy tu, a on tam. Co nam to da?

Miała rację.

- Sprawdzę, czy jest miejsce w samolocie - powiedział Austin.

- Dwa miejsca - poprawiła i uciszyła go gestem. - Mogę dużo pomóc. Znam w Stambule kogoś, kto działa na rynku antyków. - Wzruszyła ramionami. - To przemytnik, ale szmugluje mało cenne artefakty. Korzystałam kilka razy z jego usług, żeby wytropić grube ryby. Zna wszystkich nieuczciwych handlarzy w Stambule. Może nam oszczędzić czasu. Ale będzie rozmawiał tylko ze mną.

Austin nie od razu podjął decyzję. Byłoby przyjemnie mieć do towarzystwa piękną Włoszkę, ale brał też pod uwagę inne sprawy, które nie miały nic wspólnego z męskim libido. Obawiał się, że jeśli zostawi Carinę samą, nie będzie bezpieczna. Prześladowały ją kłopoty. Czułby się lepiej, mając dziewczynę na oku. Jej informator mógł im ułatwić zadanie. Carinie udało się odnaleźć Żeglarza, innym nie.

Upierała się, że powinna z nim polecieć. Zasypywała go argumentami, dopóki nie położył palca na ustach. Zadzwoił do Zavalii i spytał, czy zmieści w samolocie dwoje dodatkowych pasażerów. Gdy się rozłączył, spojrzał na Carinę, która chłonęła każde słowo.

- Pakuj się - powiedział. - Lecimy dziś o ósmej wieczorem. Odwiozę cię do hotelu i przyjadę po ciebie o piątej.

Wychyliła się do przodu i pocałowała go tak długo i namiętnie, że przeszedł go prąd.

- Szybciej będzie, jeśli wezmę taksówkę. Będę na ciebie czekała. Kilka sekund później zniknęła za drzwiami i Austin słyszał jej ciche kroki w korytarzu. Zerknął na zegarek. Zawsze miał w pogotowiu spakowany worek marynarski. Wystarczy go tylko wziąć i może ruszać.

W drodze do domu zadzwonił z samochodu do swojej sekretarki i powiedział jej, że wyjeżdża na kilka dni. Potem zatelefonował do Elwoda Nickersona z taką samą informacją, nie wdając się w szczegóły. Głupio by się czuł, mówiąc podsekretarzowi stanu, że kluczem do zażegnania międzynarodowego kryzysu jest figurka wielkości małej lalki osiem tysięcy kilometrów od Waszyngtonu.

- Dziś jest ten dzień - powiedział z pełnym przekonaniem Paul Trout.

Stał na szeroko rozstawionych nogach w pontonie i podawał sprzęt wędkarski swojej żonie Gamay, która była na pokładzie ich sześciopółmetrowej motorówki. Włożyła wędkę do stojaka i zasłoniła dłonią usta, jakby ziewała.

- Tę samą męską przechwałkę słyszałam w tym samym miejscu wczoraj i przedwczoraj.

Trout przeszedł na łódź zaskakująco zgrabnie, jak na mężczyznę o budowie zawodowego koszykarza. Choć miał ponad dwa metry wzrostu, poruszał się z kocią zwinnością, nabytą przez lata spędzone na kutrach przy ojcu rybaka. Wcisnął przycisk rozrusznika na konsoli sterowniczej i silnik ożył z gardłowym pomrukiem, wypuszczając obłok niebieskich spalin.

- To żadna przechwałka. Jeśli się pochodzi ze starej rybackiej rodziny z Cape Cod, która przez dziesięciolecia łowiła tony ryb, to raz na jakiś czas można mieć od tego dzień wolny. - Wysunął przed siebie nos jak pies tropiciel. - Ten stary okoń czeka, żebym go wyciągnął.

Gamay odcumowała motorówkę.

- Teraz wiem, dlaczego rybacy mają opinię opowiadaczy bajek. Paul przesunął lekko dźwignię przepustnicy i skierował wolno łódź przez staw Eel Pond w stronę zwodzonego mostu Water Street. Minęli bar z tarasem wychodzącym na wodę.

- Czuję zimne piwo. - Trout cmoknął.

- Podnieśmy stawkę - zaproponowała Gamay. - Przegrany dodatkowo stawia kolację.

- Dobra - przystał bez wahania. - Smażone małże smakują wspaniale z piwem.

Łódź przepłynęła wolno pod zwodzonym mostem i wydostała się na wody portu. Zostawiła za sobą terminal promowy w Martha's Vineyard i statek badawczy „Atlantis”, który stał przycumowany do nabrzeża Instytutu Oceanograficznego Woods Hole o światowej sławie, gdzie Trout zainteresował się oceanografią, kiedy był jeszcze chłopcem.

Gdy wyszli z portu, Paul zwiększył obroty silnika. Dziób motorówki uniósł się i Trout wziął kurs na Wyspy Królowej Elżbiety, archipelag położony na południowy zachód od Cape Cod. Gamay krzątała się na pokładzie i przygotowywała sprzęt wędkarski.

W opinii Trouta istniało bardzo niewiele rzeczy lepszych od szybkiego ślizgu po falach ze słoną bryzą wiejącą prosto w twarz i perspektywą całodziennego wędkowania. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko tego, żeby złowić większą rybę niż Gamay. Przywykł do przyjacielskiej rywalizacji z żoną, ale był zły, że od dwóch dni ona ma więcej szczęścia.

Gamay, która się wychowywała na brzegach jeziora Michigan, dobrze sobie radziła z łodziami i wędkowaniem. Choć wyrosła na atrakcyjną kobietę, pozostało w niej coś z dawnej chłopczycy. Jej żartobliwe drwiny z pecha Trouta były sprzeczne z jego powściągliwością człowieka z Nowej Anglii. Zacisnął zęby. Niech dzisiaj lepiej będzie ten dzień, do cholery, bo inaczej nigdy tego nie zapomni.

Niedaleko niskiej wyspy Naushon skręcił w kierunku stada hałaśliwych ptaków morskich, nurkujących w poszukiwaniu pożywienia, ściganego aż do powierzchni przez większe ogniwa w łańcuchu pokarmowym. Na ekranie sonaru rybackiego pojawiały się bezkształtne żółte plamy. W powietrzu unosił się zapach ryb. Trout wyłączył silnik i łódź wyhamowała.

Gamay wręczyła mężowi wędkę i przejęła ster. Mieli taki zwyczaj, że podczas ostatniej wyprawy wygrywający ustępował pierwszeństwa przegrywającemu. Trout usadowił się na obrotowym krześle i odwinął trochę żyłki. Zaczął poruszać rytmicznie wędką, stale ją podrywając, żeby przynęta cały czas płynęła.

- Bierze! - krzyknął.

Zakręcił kołowrotkiem i wyciągnął okonia, który miał ponad osiemdziesiąt centymetrów. Po zmierzeniu ryby wrzucił ją z powrotem do wody. Gamay szybko złowiła niewiele mniejszą sztukę. Znowu wyrzucili zdobycz za burtę. Na zmianę wyciągali okonie prawie takiej samej wielkości, dopóki ławica się nie rozproszyła. Przenieśli się w inne gęsto zarybione miejsce.

Byli w ferworze wciąż nierozstrzygniętej rywalizacji, gdy Trout poczuł gwałtowne szarpnięcie żyłki, które omal nie wyrwało mu ramienia ze stawu. To musiał być nie lada okaz. Nawet nie usłyszał, że dzwięczy komórka. Gamay przyłożyła telefon do ucha i po chwili oznajmiła:

- Kurt chce z tobą rozmawiać.

Trout kręcił kołowrotkiem jak szalony. Blisko powierzchni migotało srebrzyste ciało wielkiej ryby. Cholera. Była ogromna jak wieloryb. Starał się skoncentrować.

- Powiedz mu, żeby zaczekał! - krzyknął przez ramię.

- Nie może czekać. On i Joe są w drodze do Turcji.

Do Turcji? Z tego, co wiedział, Austin i Zavala powinni być u wybrzeży Nowej Fundlandii. Zdekoncentrował się i stracił rybę, żyłka się poluzowała. Niech to szlag. Wstał, podał żonie wędkę i wziął od niej komórkę.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam - powiedział Austin.

- Nie - zapewnił Trout. Patrzył niepokieszony na koliste fale w miejscu, gdzie ostatnio widział gigantycznego okonia. - Co się urodziło, Kurt?

- Mógłbyś zrekonstruować komputerowo transatlantycki rejs pewnego statku? Wiem, że to niełatwe.

- Spróbuję - odparł Trout. - Byłyby bardzo przydatne informacje o jego szybkości, prądach morskich i warunkach pogodowych, jeśli takie dane są dostępne.

- Właściwie wiadomo bardzo mało. To fenicki statek. Przełynął Atlantyk około 900 roku przed naszą erą.

Trouta bardziej to zaintrygowało, niż zniechęciło.

- Powiedz mi coś więcej.

- Wysłałem do ciebie specjalnego kuriera. Powinien być lada chwila. Materiał wszystko ci wyjaśni. To pilne. Zadzwoń, kiedy tylko będę mógł. Cześć.

- O co chodziło? - zapytała Gamay, kiedy się rozłączył. Powtórzył jej prośbę Kurta. Musieli zakończyć wędkowanie. Trout popatrzył tęsknie na kolejne stado krążących ptaków morskich.

- Szkoda tamtej ryby, cholera. Gamay cmoknęła go w policzek.

- Widziałam ją. To był potwór. Chyba moja kolej, żeby postawić piwo.

Przesyłka od Austina była oparta o frontowe drzwi dwustuletniego domu z szerokim dachem

i widokiem na okrągły staw w Cape Cod. Trout wychowywał się tu, w odległości krótkiego spaceru od Instytutu Oceanograficznego, gdzie naukowcy zachęcali go do zaspokajania chłopięcej ciekawości i poznawania morza.

Siedzieli z Gamay w kuchni przy stole, jedli kanapki z szynką i serem, które przygotowali sobie na piknikowy lunch, i studiowali dokumenty Jeffersona. Gamay podniosła wzrok znad lektury i zdmuchnęła z twarzy kosmyk ciemnorudych włosów.

- To niewiarygodne!

Trout pociągnął z puszek łyk piwa Buzzards Bay.

- Zastanawiam się, co możemy zrobić. Moje doświadczenie w robieniu symulacji komputerowych ogranicza się właściwie do geologii morskiej. Ty przerzuciłaś się z archeologii morskiej na biologię morską. Może razem udałoby się nam coś zwojować, ale chyba niewiele. Będziemy potrzebować pomocy.

Gamay się uśmiechnęła, odsłaniając wąską przerwę między górnymi zębami, która u niej wyglądała interesująco.

- Wczoraj wieczorem słyszeliśmy pewną plotkę, pamiętasz?

Trout przypomniał sobie żarty bywalców lokalnego baru na temat jego współzawodnictwa z Gamay. Ktoś wymienił znajome nazwisko. Strzelił palcami.

- Charlie Summers jest w mieście.

Gamay podała Paulowi komórkę. Zadzwoił na nabrzeże, gdzie cumował statek badawczy, został połączony z Summersem, który pracował nad doposażeniem „Atlantisa”, i przedstawił mu problem.

- To o wiele ciekawsze niż moja robota tu - powiedział Summers. - Możecie do mnie wpaść teraz?

Kilka minut później Troutowie weszli na nabrzeże. Uściskał ich serdecznie krępy mężczyzna z kwadratową szczęką i przerzedzonymi jasnymi włosami.

Summers był znanym konstruktorem statków, specjalizującym się w jednostkach badawczych i szkoleniowych. Często konsultowano z nim projekty luksusowych jachtów, robił też - ekspertyzy dotyczące stabilności dużych żaglowców.

Mrugnął do Gamay.

- Myślałem, że dziś wędkujecie.

- Wieści o naszej rywalizacji szybko się rozchodzą. - Trout się uśmiechnął wymuszenie.

- Całe miasto o tym mówi. Wiesz, jakimi plotkarzami są rybacy i naukowcy.

- Paul prawie mnie dziś pokonał - oznajmiła Gamay.

Summers wybuchnął śmiechem.

- Tylko mi nie mów, że uciekła mu ryba. - Wytarł łzy z oczu. - O co chodzi z tymi Fenicjanami?

Trout wykorzystał okazję, żeby zmienić temat.

- Dziś rano dostaliśmy telefon z NUMA. Ktoś bada prekolumbijskie kontakty i potrzebuje pomocy przy rekonstrukcji pewnego rejsu. Dostajemy mnóstwo dziwnych próśb.

- Ta wcale nie jest dziwna. Czytałem o budowie statków przez Fenicjan. Patrząc na sprawę z technicznego punktu widzenia, nie ma żadnych wątpliwości, że potrafili dotrzeć prawie wszędzie.

- Więc możesz nam pomóc wyznaczyć kurs? - wtrąciła Gamay. Summers pokręcił głową.

- To będzie trudne. Fenicjanie nie zostawili po sobie żadnych map morskich. Strzegli swojej wiedzy o morzu z narażeniem życia. - Widząc jej rozczarowanie, dodał: - Ale możemy spróbować. Zbudujemy statek.

Poprowadził ich do ceglanego budynku, gdzie miał swoje tymczasowe biuro. Usiadł przy komputerze i usunął z ekranu monitora schematyczny plan „Atlantisa”.

- A więc zbudujemy wirtualny statek - stwierdził Trout.

Summers roześmiał się.

- Takie są najlepsze. Nigdy nie toną i nie musisz się martwić, że wybuchnie bunt na pokładzie. -

Otworzył jakiś plik i na ekranie pojawił się statek z ożaglowaniem rejowym.

- To fenicki statek? - zapytała Gamay.

- Jeden z typów, skopiowany z waz, rzeźb, modeli i monet. Wczesna konstrukcja. Miał kil, zaokrąglony kadłub, wiosła i wysokie miejsce dla sternika.

- Szukamy jednostki pełnomorskiej - zaznaczył Trout. Summers odchylił się na krześle do tyłu.

- Fenicjanie modyfikowali swoje statki zależnie od potrzeb. Odbywali rejsy wzdłuż wybrzeży z postojami na noc i długie podróże bez przerw. Wykorzystam oprogramowanie napisane dla konstruktorów prowadzących badania w Portugalii oraz Wyższej Szkole Rolniczej i Mechaniczno-Technicznej w Teksasie. Opracowali metodologię sprawdzania i oceny żeglowności statków, kiedy nie są dostępne ich plany. Celem było stworzenie zrozumiałego obrazu. Wzięli na warsztat portugalskie *naus*, statki handlowe, które kursowały z Europy wokół Afryki do Indii i z powrotem. Patrzcie.

Pochylił się do przodu i kliknął myszą. Na ekranie pojawił się komputerowy obraz trójmasztowca.

- Wygląda jak statek widmo - powiedziała Gamay.

- To dopiero początek. Wprowadzili do komputera dane odkrytego wraka. Korzystając z tego oprogramowania, odtworzyli olinowanie, ożaglowanie i drzewce. To jeden z tamtych obrazów. Rekonstrukcja kadłuba pozwoliła im hipotetycznie określić, jak statek zachowywał się na morzu w różnych warunkach pogodowych. Kiedy mieli model matematyczny, mogli go przetestować w tunelu aerodynamicznym.

- I ty możesz zrobić to samo z fenickim statkiem? - zaciekawiał się Trout.

- Bez problemu. Wykorzystamy trzy znane fenickie wraki znalezione w zachodniej części Morza Śródziemnego i u wybrzeży Izraela. Stały pionowo i doskonale się zachowały w zimnej wodzie. Użyliśmy jasona, tego samego zdalnie sterowanego pojazdu, który sfotografował „Titanica”, do zrobienia fotomozaiki. Wprowadziłem wszystkie dane do mojego komputera.

Ekran wypełniły rysunki o wyglądzie planów dla budowniczego statków. Pokazywały statek z góry, z boku i z przodu.

- Z tych planów wynika, że statek ma zaledwie siedemnaście metrów długości - zauważył Paul.

- To składanka izraelskich wraków. Trochę go wydłużę. Oprogramowanie będzie samo dodawać różne elementy konstrukcyjne, których przybywałoby wraz ze wzrostem wielkości statku.

Ukazał się trójwymiarowy szkielet. Przestrzenie między wręgami i innymi częściami konstrukcji zaczęły się wypełniać. Pojawiły się pokłady, wiosła, olinowanie, żagiel i taran, w końcu rzeźbiona głowa konia na dziobie.

- *Voila!* Okręt „Tarszisz”.

- Wspaniały - zachwyciła się Gamay. - Zgrabny i funkcjonalny.

- O ile się orientuję, miałby około sześćdziesięciu metrów długości - ocenił Charlie. - Mógłby dopłynąć wszędzie.

- Wracamy do punktu wyjścia - stwierdził Trout. - Jak ustalimy jego trasę transatlantycką?



Summers zacisnął wargi.

- Chyba tak samo jak tamci faceci, którzy zajmowali się *nau*. Potrzebne będą informacje o wiatrach, prądach morskich, warunkach pogodowych, przypuszczalnej szybkości statku, prawdopodobnym wyborze kursu przez nawigatora, odpowiednio do konstrukcji jednostki, i relacje w źródłach historycznych.

- Czekaj nas mnóstwo pracy. - Gamay westchnęła ciężko.

Charlie zerknął na zegarek.

- Mnie też. Chcą, żeby „Atlantis” był gotowy do rejsu za trzy dni.

Troutowie podziękowali Summersowi i poszli z powrotem główną ulicą Woods Hole.

- Od czego twoim zdaniem powinniśmy zacząć? - zapytała Gamay.

- Trudno powiedzieć. Kurt dostarczył nam tylko strzępy informacji. Nie będzie zachwycony, ale wątpię, żebyśmy ruszyli z miejsca z tym, co mamy. Może trzeba podejść do sprawy inaczej.

Jak wiele par małżeńskich, Paul i Gamay potrafili odgadywać wzajemnie swoje myśli. Dzięki pracy w Zespole Specjalnym NUMA, gdzie umiejętność porozumienia się bez słów podczas wykonywania jakiegoś zadania mogła zadecydować o życiu lub śmierci, doprowadzili tę sztukę do perfekcji.

- Też tak uważam - zgodziła się Gamay. - Każda podróż morska zaczyna się na lądzie. Przejrzyjmy jeszcze raz dokumenty Jeffersona. Może coś przeoczyliśmy.

W domu usiedli przy stole kuchennym, każde przeczytało połowę materiału, potem się wymienili. Skończyli prawie jednocześnie. Gamay odłożyła papiery.

- Coś cię zaintrygowało?

- Śmierć Meriwethera Lewisa. Zginął, kiedy jechał do Jeffersona, żeby mu powiedzieć, co odkrył.

- Ja też zwróciłam na to uwagę. - Przerzuciła kartki przed sobą. - Miał materialny dowód, który chciał pokazać Jeffersonowi. Proponuję, żebyśmy spróbowali ustalić, co się z tym stało.

- To może być równie trudne jak rekonstrukcja rejsu Fenicjan - zauważył Trout.

- Jest coś, co może nam pomóc - odparła Gamay. - Jefferson był prezesem Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii. Wysłał tam Lewisa, żeby miał przygotowanie naukowe do ich badań historycznych. Kiedy Lewis był w Filadelfii, Jefferson opracował dla nich szyfr.

Trout zamrugnął dużymi piwnymi oczami, co było ledwo zauważalną oznaką podniecenia, i podjął wątek.

- Jefferson napisał do członków Towarzystwa, żeby ich poinformować o swoich badaniach nad językiem Indian i kradzieży jego papierów. Skontaktował się z naukowcem z Towarzystwa, a ten zidentyfikował słowa na welinowej mapie jako fenickie. W Towarzystwie natrafiono na materiał o karczochach.

- To jest lepsze niż poznanie Kevina Bacona. - Gamay przejrzała dokumenty i znalazła numer telefonu Towarzystwa Filozoficznego oraz nazwisko badaczki, która odkryła papiery. Zadzwoiła do Angeli Worth, przedstawiła się i umówiła z nią na następny dzień.

Kiedy się rozłączyła, Paul uśmiechnął się.

- Zdajesz sobie sprawę, że to koniec naszych wakacji?

- I dobrze - odparła Gamay. - Wędkowanie zaczęło mnie nudzić. Jej mąż ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Mnie też.



Osiągająca szybkość podróżną ponad ośmiuset kilometrów na godzinę turkusowa cessna Citation X po krótkim postoju na tankowanie w Paryżu doleciała do Stambułu w trzy godziny. Wylądowała w Międzynarodowym Porcie Lotniczym imienia Kemala Atatürka i pokołowała daleko od głównego terminalu. Sześcioro pasażerów przeszło przez specjalną bramkę zarezerwowaną dla VIP-ów i zostało uprzejmie przepuszczonych przez cło.

Subvetta przyleciała wcześniej specjalnym samolotem transportowym NUMA i stała w magazynie na lotnisku. Zawała chciał obejrzeć pojazd podwodny, żeby sprawdzić, jak zniósł podróż. Powiedział Austinowi, że zorganizuje przewiezienie subvetty na teren wykopalisk i przyjedzie tam taksówką.

Czekały na nich dwie furgonetki. Jedna zabrała bagaż do hotelu, druga pojechała prosto na wykopaliska. Naukowcy NUMA chcieli tam dotrzeć jak najszybciej. Zespołem kierował doświadczony archeolog morski Martin Hanley.

Podczas lotu nad Atlantykiem wyjaśnił przyczynę pośpiechu. Odbył wstępną podróż do Stambułu, żeby zobaczyć port zbudowany w czasach, gdy miasto nazywano jeszcze Konstantynopolem. Port odkryto w Yenikapi po europejskiej stronie wąskiej cieśniny Bosfor, kiedy usuwano budy mieszkalne dzikich lokatorów, żeby oczyścić teren pod budowę nowego dworca kolejowego. Miejsce nazwano Portem Teodozjusza.

Wykopaliska archeologiczne mogły opóźnić budowę tunelu, który miał połączyć europejską i azjatycką część miasta. Hanley i tureccy archeolodzy obawiali się, że podczas pośpiesznego rozkopywania terenu zostaną przeoczone ważne znaleziska. Wrócił do Waszyngtonu, żeby zebrać zespół.

Amerykańskich naukowców powitali serdecznie ich tureccy koledzy. Na błotnistym terenie pracowano w systemie zmianowym przez całą dobę.

- Na pewno nie chcecie się przyłączyć? - zapytał Hanley. - Znaleźli już kościół, osiem statków, buty, kotwice, liny i fragment starych murów obronnych. Kto wie, jakie jeszcze skarby odkryją?

- Dzięki. Może po zwiedzeniu miasta.

Austin zatrzymał taksówkę. Pojechali Kennedy Caddesi, ruchliwą arterią, która biegnie wzdłuż Bosforu. Długi rząd statków towarowych czekał na przepłynięcie przez wąskie gardło między Morzem Czarnym a Śródziemnym. Kurt odwrócił się do Cariny.

- Jak długo znasz twojego tureckiego łącznika?

- Około roku. Cemil pomógł mi odzyskać pewne anatolijskie skarby skradzione z pałacu Topkapi. Kiedyś był przemytnikiem, ale twierdzi, że nie szmuglował broni ani narkotyków, tylko papierosy i inne towary, na które są wysokie cła.

- Ma powiązania z turecką mafią?

Roześmiała się.

- Pytałam go o to. Mówił, że w Turcji wszyscy są w mafii. Przeniknął do niej dla mnie, ale jest...

- Carinie przez moment brakowało angielskiego słowa. - Jak wy to mówicie? Tajemniczy.

- Domyśliłem się. Jesteś pewna, że wyznaczył ci spotkanie przy „kobiecie z kamiennymi oczami odwróconej do góry nogami”?

- Tak. Lubi mówić zagadkami. Czasami można od tego oszaleć. Austin poprosił kierowcę, żeby zawiózł ich do Sultanahmet. Wysiedli z taksówki i przecięli zatłoczoną ulicę.

- O ile się nie mylę, twój przyjaciel jest dokładnie pod nami - powiedział Austin.

- Widzę, że nie tylko on mówi zagadkami.

Podszedł do kiosku i kupił dwa bilety do cysterny bazyliki. Schodząc po schodach, poczuli przyjemny powiew. Chłodne, wilgotne powietrze było jak balsam po miejskim upale.

Znaleźli się w dużym, słabo oświetlonym podziemiu, które przypominało wnętrze pałacu. W mętnej zielonej wodzie na podłodze śmigają ryby. Między rzędami kolumn biegną podwyższone chodniki z desek. Głosy odbijały się echem jak w grocie, w tle grała muzyka klasyczna. Z tuzinów różnych miejsc dochodziły odgłosy kapania wody.

- Cysterny w Stambule zbudowali Rzymianie, żeby zaopatrywać w wodę pałace - powiedział Austin. - Bizantyjczycy odkryli je, kiedy ludzie zaczęli łowić ryby przez dziury w podłogach swoich domów. Kamienna dama jest tam.

Doszli do końca chodnika i zeszli na platformę. Dwie grube kolumny spoczywały na rzeźbionych bazach przedstawiających oblicza Meduzy. Jedna twarz leżała na boku, druga do góry nogami. Posuwający się rzędem turyści przystawali, by zrobić zdjęcia, i szli dalej.

W końcu została tylko jedna osoba, mężczyzna w średnim wieku, który przyszedł wcześniej od nich. Miał aparat fotograficzny, ale go nie używał. Jak wielu Turków, był ubrany w ciemne luźne spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami bez krawata. Mimo słabego światła w cysternie nosił okulary przeciwsłoneczne w lotniczym stylu.

- Jak pani myśli, dlaczego Rzymianie ułożyli te głowy w takich dziwnych pozycjach? - zagadnęła Carinę. Mówił po angielsku z lekkim akcentem.

Carina przyjrzała się rzeźbom.

- Może dla żartu. Jedna twarz widzi taki świat, jaki powinien być, druga taki, jaki jest. Do góry nogami.

- Doskonale - pochwalił mężczyzna. - *Signorita Mechadi?*

- Cemil?

- Do usług - odparł z uśmiechem. - A to z pewnością pani przyjaciel, pan Austin.

Amerykanin i Turek uścisnęli sobie dłonie. Wiedząc od Cariny, że Cemil działa w przestępczym podziemiu, Kurt się spodziewał jakiegoś ciemnego typu. Tymczasem mężczyzna wyglądał jak czyjś ukochany wujek.

- Miło jest mi panią poznać po tylu naszych kontaktach, seniora Mechadi. Jak mogę pomóc?

- Szukamy pewnego posągu, który stanowi parę z innym, skradzionym z Irackiego Muzeum Narodowego.

Cemil zerknął na nową grupę turystów i zaproponował spacer. Kiedy szli między rzędami kolumn, powiedział:

- Przez Stambuł stale przechodzi towar z Bagdadu. To obniża ceny. Ma pani zdjęcie?

Austin podał mu figurkę Żeglarza.

- To miniatuurka. Posąg jest prawie wielkości człowieka. Cemil wyjął podświetlaną lupę,

obejrzał figurkę i zachichotał.

- Mam nadzieję, że nie przepłaciliście za ten artefakt.

- Poznajesz go? - zapytała Carina.

- O, tak. Chodźmy.

Cemil poprowadził ich do wyjścia. Na zewnątrz prażyło i oślepiało słońce. Po krótkiej jeździe tramwajem wysiedli przy wielkim bazarze, gąszczu setek sklepów, restauracji i kawiarni. Niegdyś to miejsce zajmowały składy towarów transportowanych karawanami, nazywane han. Uprzejmi, ale natarczywi sprzedawcy czatowali na turystów, żeby nakłonić ich do wydania lir tureckich.

Weszli Bramą Carsikapi i zapuścili się w labirynt gorących, niewietrzonych uliczek pod dachem. Cemil skręcał, jakby miał w głowie radar. Doprowadził ich do małego sklepu w sercu bazaru i zatrzymał się.

- Merhaba - powiedział do mężczyzny po sześćdziesiątce, który siedział przed sklepem, pił herbatę i czytał turecką gazetę. Sklepikarz uśmiechnął się szeroko. Odłożył gazetę, wstał z krzesła i mocno potrząsnął dłonią Cemila.

- Merhaba.

- To Mehmet - wyjaśnił Cemil. - Mój stary przyjaciel.

Mehmet przyniósł dla gości wygodne poduszki do siedzenia i nalał wszystkim herbaty. Zaczął gawędzić z Cemilem po turecku. Po kilku minutach rozmowy Cemil poprosił Austina o figurkę i podał ją Mehmetowi. Sklepikarz obejrzał miniaturkę Żeglarza i energicznie pokiwał głową szerokimi gestami rąk zapraszając wszystkich do sklepu. Półki i podłogę zapełniały dywany, biżuteria, puszki herbaty, szale, ceramika i czerwone fezy. Podszedł do półki z ceramiką i postawił figurkę obok czterech identycznych.

Cemil przetłumaczył słowa przyjaciela.

- Mehmet mówi, że może dać wam na to zniżkę. Te posążki kosztują normalnie po osiem lir za sztukę, ale weźmie od was po pięć, jeśli kupicie więcej niż jeden.

- Czy Mehmet pamięta, jak kilka lat temu sprzedał taką figurkę pewnemu amerykańskiemu fotografowi? - zapytał Austin.

Cemil przetłumaczył pytanie i odpowiedź.

- Mehmet jest Turkiem. Pamięta wszystko, co kiedykolwiek sprzedał. Przypomina sobie tamtego fotografa. Zwłaszcza, że te posążki wolno schodzą. Ale jest stary i ostatnio zawodzi go pamięć.

- Może to mu ją odświeży - odparł Kurt. - Wezmę wszystkie figurki. Mehmet rozpromienił się. Starannie zawinął każdy posążek w bibułę, włożył do plastikowej torebki i wręczył ją Carinie.

- Spytaj, czy twój przyjaciel może nam zdradzić pochodzenie tych figurek? - poprosiła Carina.

Mehmet wyjaśnił, że kupił je na południu, gdzie mieszka jego matka. Mówi klientom sklepu, że to posążki eunuchów strzegących haremu. Ich wykonanie mogłoby być lepsze i szczegóły są kiepsko odwzorowane, ale lubi starego człowieka, który je wyrabia. Ilekroć odwiedza swoją starzejącą się matkę, a jest u niej co miesiąc, bierze partię figurek. Rzemieślnik sprzedaje te posążki w opuszczonej wiosce.

- Gdzie? - zainteresował się Austin.

- To miejsce nazywa się Kayakoy - mówił Cemil. - Leży niedaleko miasta Fethiye. Do chwili podpisania traktatu lozańskiego w 1923 roku wioska należała do Greków. Potem Grecy wrócili do swojego kraju, a mieszkający w Grecji Turcy przyjechali do Anatolii. Opuścili wioskę po dużym trzęsieniu ziemi. Teraz to atrakcja turystyczna.

Austin chciał poznać nazwisko rzemieślnika. Mehmet odparł, że na pewno sobie przypomni, ale zaproponował, żeby najpierw on i piękna pani rozejrzeli się po sklepie. Kurt zrozumiał. Kupił szal dla Cariny i fez dla siebie, mimo że żaden szanujący się Turek nie pokazałby się w tym cylindrycznym nakryciu głowy.

Pożegnali się z Mehmetem i skorzystali z propozycji Cemila, żeby zjeść lunch w przyjemnie zacienionym ogródku restauracyjnym w sąsiedztwie Hagia Sophia. Kiedy czekali na potrawy, Cemil powiedział:

- Przykro mi, że przebyliście taki kawał drogi na próżno.

- Ja nie żałuję - zaprotestowała Carina. - Miałam okazję poznać cię osobiście i podziękować za wszystko, co zrobiłeś. I musisz wiedzieć, jeszcze tu nie skończyliśmy.

- Ale widzieliście, że te figurki są tylko pamiątkami dla turystów. Austin ustawił posążki rzędem na stoliku.

- Jak daleko jest wieś, skąd pochodzą?

- Leży na Turkusowym Wybrzeżu. Około ośmiuset kilometrów stąd. Chcecie przedłużyć swój pobyt w Turcji?

Kurt podniósł jedną z figurek.

- Chciałbym porozmawiać z rzemieślnikiem, który je wyrabia.

- Ja też - przytaknęła Carina. - Możliwe, że widział oryginał naturalnej wielkości.

- Ten posąg musi być bardzo cenny.

- Może tak, a może nie - odparł Austin. Cemil wstał od stolika.

- Rozumiem potrzebę zachowania dyskrecji. Polećcie samolotem, lot trwa około godziny, do Dalyran. Stamtąd jest całkiem niezła droga do Kayakoy. Przepraszam, muszę już iść, ale gdybym mógł się jeszcze na coś przydać, dajcie mi znać, mam w Stambule dużo różnych kontaktów.

Kilka minut po odejściu Cemila Austin i Carina zatrzymali taksówkę i wrócili do hotelu. Recepcjonista znalazł dwa miejsca w porannym samolocie do Dalyran i załatwił wypożyczenie samochodu. Kiedy stali w holu hotelowym, Carina zapytała:

- Co dalej, panie przewodniku?

Kurt nad czymś się zastanawiał.

- Chyba można zejść z utartego szlaku.

Pojechali taksówką na wykopaliska archeologiczne. Austin spytał Hanleya, czy nie potrzebuje ochotników, a ten przydzielił ich do przesiewania gliny. Carinie zdawało się nie przeszkadzać to, że jest cała w błocie. Podskakiwała jak podekscytowana uczennica, ilekroć znaleźli jakąś monetę lub kawałek ceramiki.

Pracowali do późnej nocy, dopóki po ekipę NUMA nie przyjechała furgonetka, która zabrała ich do hotelu. Kiedy szli przez hol do windy, byli tak zmęczeni, że ledwo zauważyli dwóch mężczyzn, siedzących w wygodnych fotelach; wydawali się pochłonięci lekturą magazynów ilustrowanych. Kurt i Carina nie wiedzieli, że dwie pary oczu śledzą znad gazety każdy ich krok.

Austin zjechał wypożyczonym renault z autostrady na Turkusowym Wybrzeżu na drogę, która wiała się jak wąż. Przez kilka kilometrów mijali pola uprawne i senne wioski. Kiedy pokonali kolejny zakręt, zobaczyli ruiny na wzgórzu.

Kurt zaparkował obok skupiska budynków. Opuszczona wioska stała się atrakcją turystyczną pod zarządem państwa. Sprzedawca biletów pobrał od nich skromną opłatę, wskazał kierunek zwiedzania i podszedł do samochodu z dwoma mężczyznami w środku, który zatrzymał się przy renault.

Wąska ścieżka pięła się w górę obok restauracji na świeżym powietrzu, sklepu z pamiątkami i kilku straganów. Po kilku minutach wędrówki zobaczyli wioskę w całej okazałości.

W prażącym słońcu stały setki domów bez dachów, od ścian odpadał tynk, odsłaniając nagie mury. Kilka budynków okupowali dzicy lokatorzy, ich obecność potwierdzało rozwieszane na sznurkach pranie. Poza tym jedyną oznaką życia był kozioł z satanicznym pyskiem, pasący się z zadowoleniem w zachwaszczonym ogrodzie.

- Trudno uwierzyć, że kiedyś tętniło tu życie - powiedziała Carina. - Ludzie uprawiali miłość. Kobiety krzyczały przy porodzie. Ojcowie chwalili się swoimi potomkami. Dzieci świętowały urodziny i chrzciny. Żałobnicy chowali zmarłych.

Kurt słuchał jej jednym uchem. Jakies trzydzieści metrów za nimi na ścieżce przystanęli dwaj mężczyźni, młodzi, niewiele po dwudziestce. Jeden fotografował kozła. Obaj byli ubrani w czarne spodnie i białe koszule z krótkimi rękawami. Mieli grube, muskularne ramiona, czapki z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne, zasłaniające twarze.

Carina szła przed nim. Austin dogonił ją, kiedy przecinała dziedziniec opuszczonego kościoła i kierowała się w stronę starego człowieka, który siedział na murze w cieniu drzewa. Obok niego stały rzędem ozdobne miski i talerze, najwyraźniej na sprzedaż.

Kurt pozdrowił go i zapytał, czy jest przyjacielem Mehmeta, Salimem.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Mehmet brać moje wyroby na kryty bazar.

- Tak, wiemy - potwierdziła Carina. - Powiedział nam, gdzie pana znaleźć.

Salim przypominał Pabla Picassa, jak wielu mężczyzn, w pewnym wieku, z rejonu Morza Śródziemnego. Skórę na policzkach i łysej głowie miał spaloną na brąz, twarz gładką jak buzia dziecka. Spojrzenie dużych ciemnych oczu koloru rodzyneków skrzyło się humorem i była w nim mądrość. Wskazał swoje wyroby.

- Mehmet mówić wam o moje pamiątki?

Kurt wyjął z kieszeni miniaturkę Żeglarza.

- Szukamy czegoś takiego.

- Aaa... - Salim rozpromienił się. - Eunuch. - Wykonał poziomy ruch, jakby przecinał coś nożem.

- Ja przestać je robić. Nikt nie kupować.

Kurt starannie rozważył następne pytanie.

- Czy ten eunuch ma dziadka?

Salim zrobił zdumioną minę, potem roześmiał się. Zatoczył ramionami szerokie łuki, jakby opisywał wielki krąg.

- *Büyük*. Duży eunuch.

- Zgadza się. *Büyük*. Gdzie?

- W grobowiec Licja. Wy rozumieć?

Austin zauważył wcześniej dziwne grobowce licyjskie, wykute wysoko w skalnych ścianach. Wejścia zdobiły kolumny i trójkątne frontony jak w greckich lub rzymskich świątyniach.

Salim wytłumaczył łamaną angielszczyzną, że zawsze interesował się sztuką. W młodości wędrował po okolicy z blokiem rysunkowym i węglem w poszukiwaniu tematów. Kiedyś natknął się na licyjski grobowiec, wykuty w ścianie urwiska nad morzem, nieznanym ludziom z jego wioski. Był zarośnięty i dlatego niewidoczny. Salim wszedł do środka i odkrył w grocie posąg, który narysował. Kiedy potem zastanawiał się, co wyrzeźbić w glinie, sięgnął po swój rysunek.

- Gdzie jest teraz ten posąg? - zapytała Carina z rosnącym podnieceniem. Salim wskazał w dół.

- Trzęsienie ziemi. Klif osunął się do morza.

Carina była wyraźnie zawiedziona, ale Kurt nie ustępował. Rozłożył przed Salimem mapę wybrzeża i poprosił starego człowieka, żeby wskazał lokalizację grobowca. Salim postukał palcem w mapę.

Nagle Carina chwyciła Austina za ramię.

- Kurt, tamci mężczyźni byli ostatniej nocy w hotelu.

Turcy stali na skraju dziedzińca i patrzyli na nich. Austin przypomniał sobie, że widział tych dwóch ludzi w holu. Nie przyjechali do wioski przypadkowo.

- Masz rację - powiedział.

Wyjął z kieszeni garść lir i położył banknoty obok Salima. Biorąc ceramiczny talerz, podziękował staremu człowiekowi za informacje, objął Carinę w pasie i kazał jej iść swobodnym krokiem do kościoła.

Wprowadził ją do pustego wnętrza, kierując do otworu okiennego bez szyb i ramy. Wyjrzał zza framugi drzwi i zobaczył, że mężczyźni rozmawiają z Salimem. Stary człowiek wskazał kościół. Turcy, już nie spacerkiem, tylko szybkim marszem, ruszyli w kierunku budowli.

Austin kazał Carinie wyjść przez otwór okienny w przeciwległej ścianie, podążył za nią i wspięli się żwirową ścieżką na wzgórze z widokiem na kościół.

Carina ukryła się w kapliczce na szczycie, Kurt rozpląszczył się na ziemi. Mężczyźni się rozdzielili, okrążając kościół. Spotkali się ponownie i przez chwilę żywo dyskutowali. Potem znów się rozstali i zapuścili między opuszczone domy.

Kurt pomógł wyjść Carinie z kapliczki i sprowadził ją na dół po drugiej stronie wzgórza. Dostrzegli, że między nimi a główną drogą porusza się coś czarnego. Jeden z mężczyzn obszedł wzniesienie i chodził od domu do domu. Austin wepchnął Carinę w jakieś drzwi.

Wciąż trzymał talerz kupiony od Salima. Wszedł z ukrycia, chwycił talerz jak frisbee i puścił nad pobliskimi domami. Rozległ się odgłos tłuczonej ceramiki i tupot stóp biegnących po żwirze.

Austin i Carina skręcili w główną ulicę wioski i wrócili kamienistą ścieżką do drogi. Trzymając się pobocza, przeszli około pół kilometra z powrotem do wejścia na teren wsi.

Skierowali się do samochodu i zobaczyli, że auto dwóch Turków jest zaparkowane tuż obok



renault. Austin kazał Carinie zaczekać i poszedł do baru przekąskowego. Wrócił po chwili z korkociągiem w rękę.

- To nie pora na picie wina. - Carina miała kwaśną minę.
- Też tak uważam. - Kurt otarł pot z czoła. - Lepsze byłoby zimne piwo.

Poprosił Carinę, żeby czuwała. Przykucnął między dwoma samochodami, jakby zawiązywał sznurowadło, i wbił korkociąg w oponę auta Turków. Wkręcał go, dopóki nie poczuł na rękę podmuchu powietrza przesiąkniętego zapachem gumy. Dla pewności zniszczył też zawór.

- Co ty robisz? - Patrzyła na niego ze zdumieniem.
- Zostawiam naszym przyjaciołom wiadomość - odparł Austin z chytrym uśmiechem.

Siadł za kierownicą renault, uruchomił silnik i wypadł na drogę, mieląc kołami.

Jechał jak na wyścigu Grand Prix. Carina prowadziła go według mapy do Fethiye, nadmorskiego kurortu i miasta targowego. Skierowali się prosto do portu. Poszli nabrzeżem obok szerokich drewnianych statków turystycznych, które zabierały na całodniowe wycieczki amatorów wędkowania i nurkowania z akwalungiem.

Austin zatrzymał się przy zacumowanym drewnianym jachcie motorowym o długości około czternastu metrów. Z tablicy informacyjnej wynikało, że „Iztuzu” - po turecku żółw - można wynajmować na godziny lub na cały dzień.

Kurt wszedł po krótkim trapie na pokład.

- Halo! - zawołał.

Z kabiny wyłonił się mężczyzna po czterdziestce.

- Kapitan Mustafa - przedstawił się z przyjaznym uśmiechem. - Chce pan wynająć moją łajbę?

„Iztuzu” nie był nowy, ale dobrze utrzymany. Metal nie nosił śladów rdzy, wypolerowane drewno lśniło, liny były starannie zwinięte. Austin uznał, że Mustafa jest znającym swój fach marynarzem. To, że jeszcze stoi w porcie, sugerowało, że chętnie zarobi. Kurt wyjął mapę, którą wcześniej rozłożył przed Salimem, i wskazał wybrzeże.

- Może pan nas zabrać tu, kapitanie? Chcielibyśmy trochę ponurkować z rurką.
- Oczywiście. Znam wszystkie dobre miejsca. Kiedy?
- Teraz.

Austin zgodził się zapłacić tyle, ile zażądał Mustafa, i przywołał gestem Carinę na pokład. Kapitan odcumował statek, odbił od molo i wycelował dziób w zatokę. „Iztuzu” popłynął wzdłuż nieregularnej linii brzegowej. Minęli kompleksy wypoczynkowe, latarnię morską i luksusowe wille na wzgórzach. W końcu wszelkie oznaki ludzkiej obecności zniknęły.

Mustafa skierował jacht do zatoczki w kształcie półksiężyca i wyłączył silnik. Rzucił kotwicę, potem wygrzebał dwa sfatygowane komplety do nurkowania: rurki, maski i płetwy.

- Chcecie popływać?

Kurt patrzył zmrużonymi oczami w górę na część klifu, gdzie odsłonięta skała przypominała otwartą ranę.

- Może później. Chciałbym zejść na ląd.

Mustafa wzruszył ramionami i odłożył na bok sprzęt do nurkowania. Wywiesił za burtę drabinę i przyciągnął ponton. Austin chwycił za wiosła, pokonał niewielką odległość do brzegu i wciągnął łódź pneumatyczną na kamienistą plażę. Niecałe cztery metry od granicy wody teren wznosił się stromo. Łapiąc się pni drzew i krzaków, Kurt wspinał się na wysokość około czterdziestu pięciu metrów powyżej laguny.

Stała na skalnej półce, która wystawała z klifu jak brew neandertalczyka. Od ściany oderwała się kiedyś bryła o szerokości około trzydziestu metrów, tak równo, jakby została odcięta gigantycznym dłutem. Austin się domyślił, że klif osłabiło wykucie grobowca w połączeniu z istnieniem naturalnych uskoków i gwałtowne trzęsienie ziemi spowodowało jego osunięcie. U podnóża urwiska i w wodzie leżały wielkie głazy.

Zastanawiał się, czy posąg mógł przetrwać zawalenie się klifu. Pomachał do Cariny, która obserwowała jego wspinaczkę, i zaczął schodzić na dół. Pocił się z gorąca i wysiłku, ciało oraz ubranie pokrywała warstwa kurzu. Zanurkował w morzu, żeby splukać z siebie pył. Mustafę już dawno przestało dziwić zachowanie zagranicznych turystów. Uruchomił silnik i wziął kurs z powrotem na port.

Austin wyjął z chłodziarki dwie butelki tureckiego piwa, otworzył, jedną podał Carinie.

- I co? - zapytała.

Kurt pociągnął duży łyk i zszedł, aż zimny napój spłynął mu w dół gardła.

- Jeśli, tak jak twierdzi Salim, posąg był w grobowcu, kiedy nastąpiło trzęsienie ziemi, to leży teraz pod tonami skały. Nawet jeśli go znajdziemy, może być całkowicie zniszczony.

- Więc wszystko na nic?

- Wcale nie. Chciałbym tu wrócić i przyjrzeć się temu bliżej. Powiedział Mustafie, że chce wynająć statek na następny dzień.

- Możemy tu przyjść jutro? - zwrócił się do kapitana. - Chciałbym trochę ponurkować.

- Oczywiście - odparł Mustafa. - Jesteście naukowcami?

Kurt pokazał mu legitymację służbową NUMA. Kapitan nigdy nie słyszał o agencji, ale to, że Austin nosi przy sobie specjalny dokument, już zrobiło na nim wrażenie. Był zadowolony, że ma pracę. Wcześniej powiedział właścicielom jachtu, że jeśli wkrótce nie dadzą mu kogoś do pomocy, odejdzie. Austin wyjął z plecaka telefon satelitarny i wybrał numer Zawali. Joe czekał na wykopaliskach w porcie, aż Hanley pozwoli mu wypróbować subvetę.

- Będziesz musiał powiedzieć Hanleyowi, że twój pojazd podwodny jest potrzebny gdzie indziej - oznajmił Austin.

Wyjaśnił Zawali, gdzie jest, i wyrecytował listę zakupów. Joe przyrzekł, że jeśli uda mu się uporać z logistyką, przyleci do Dalyran nazajutrz rano.

Statek dobił do nabrzeża o zmierzchu. Austin poprosił Mustafę, żeby mu polecił jakiś cichy hotel. Kapitan zaproponował miejsce oddalone o dwadzieścia minut jazdy samochodem, na końcu krętej drogi, która wiała się między zalesionymi wzgórzami w pobliżu Fethiye. Recepcjonista poinformował, że zwykle trzeba mieć rezerwację, ale został mu jeszcze jeden wolny pokój z małżeńskim łóżkiem. Austin zapytał Carinę, czy wolałaby, żeby poszukał innego hotelu.

- Jestem wykończona - powiedziała. - Jeszcze odczuwam zmianę czasu. Zostańmy tu.

Zjedli kolację - wzięli kebab z ryżem - w cichej restauracji hotelowej, skąd mieli piękny widok na morze. Światła Fethiye błyszczały w oddali jak naszyjnik z diamentów.

- Nie cierpię psuć romantycznego nastroju poważnymi rozmowami - odezwał się Austin - ale powinniśmy przedyskutować pewne kwestie. Przede wszystkim, jak tamci faceci wytropili nas w opuszczonej wiosce?

Carinę jakby poraził prąd.

- Baltazar!

Austin uśmiechnął się lekko.

- Mówiłaś, że twój dobroczyńca jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Musi być w to zamieszany. Tylko jemu mówiłam o Bensonie. Baltazar zorganizował transport posągu. Saxon ostrzegł mnie przed nim.

- Wiedzieliśmy to wszystko wcześniej. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Poruszyła się niespokojnie na krześle.

- Przed naszym wyjazdem ze Stambułu zadzwoniłam do przedstawiciela Baltazara i powiedziałam mu, dokąd i po co się wybieramy. Tak przewidywała umowa, co wcale mnie nie dziwiło. On sfinansował poszukiwania eksponatów skradzionych w Bagdadzie. - Nagle uświadomiła sobie implikację swoich słów. - Wielki Boże! Baltazar od początku chciał zdobyć posąg. Ale dlaczego?

- Zastanówmy się - odparł Austin. - Załóżmy, że to on stał za kradzieżą. Po co miałby nam przeszkadzać w tropieniu bliźniaczego posągu?

- Z jakiejś przyczyny najwyraźniej nie chce, żeby ktoś go zobaczył.

- Może jutro dowiemy się, dlaczego. - Zerknął na zegarek. - Na pewno odpowiada ci wspólny pokój? Nie znamy się zbyt długo.

Carina wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- Czuję się tak, jakbym znała cię od zawsze, panie Austin. Idziemy spać?

Pojechali windą na swoje piętro. W pokoju Austin wyszedł na balkon, żeby Carina mogła się przebrać. Patrzył na światła odbijające się w morzu, gdy podeszła i objęła go w pasie. Poczł ciepło jej ciała. Kiedy się odwrócił, pocałowała go lekko. Była w długiej, białej bawełnianej koszuli nocnej, ale prosty strój ledwo maskował jej zgrabną figurę.

- Co z twoim zmęczeniem z powodu zmiany czasu? - zapytał Kurt.

Objęła go za szyję.

- Właśnie mi przeszło - odpowiedziała cichym, spokojnym głosem.

Austin obudził się z głębokiego snu i chwycił dzwoniącą komórkę, która leżała na nocnym stoliku. Wstał i owinął muskularne ciało narzutą, upodabiając się do rzymskiego senatora. Widok włosów Cariny rozrzuconych na poduszce wywołał uśmiech na jego opalonej twarzy. Wyszedł na balkon i przyłożył telefon do ucha.

- Orzeł wylądował na lotnisku w Dalyran - oznajmił Zavała. - Przyczepa z subvetta jest wylądowana z samolotu i gotowa do drogi.

- Dobra robota, Joe. Spotkamy się za półtorej godziny. Wy tłumaczył Zawali, jak trafić do miejsca wodowania.

- Mogę nie zdążyć, Kurt. Stoję przy drodze i rozglądam się za samochodem do holowania przyczepy. Na lotnisku można wypożyczyć tylko małe auta osobowe. Muszę iść. Chyba widzę coś odpowiedniego.

Ani przez chwilę nie wątpił, że Zavała sobie poradzi. Ten Amerykanin meksykańskiego pochodzenia miał talent do załatwiania rzeczy niemożliwych.

Z łazienki dobiegł szum wody. Carinę obudził telefon i wstała cicho z łóżka. Usłyszał, jak śpiewa pod prysznicem.

- Potrzebuję kogoś do umycia mi pleców! - zawołała.

Kurtowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Prowizoryczna toga poszybowwała w powietrzu. Po prysznicu wytarli się nawzajem ręcznikiem i ubrali. On włożył jasnobrązowe szorty i klasyczną hawajską koszulę, Carina wrzuciła na czarne bikini luźną żółtą sukienkę. Zamówili do pokoju śniadanie złożone z bułek, jajek na twardo oraz kawy, zjedli i pojechali do portu.

Austin był szczery z kapitanem Mustafą. Zanim się rozstali poprzedniego wieczoru, powiedział mu, że on i Carina szukają antycznego artefaktu bez pozwolenia tureckiego rządu. Dodał, że nie zamierzają zatrzymać tego przedmiotu, jeśli go znajdą, ale chce, żeby kapitan wiedział, w co się pakuje. Z drugiej strony, Mustafa miał dostać dobrą zapłatę za dodatkowe ryzyko.

Kapitan odparł, że nie obchodzą go rządowe przepisy. Austin wynajął statek. Mustafa zabierze pasażerów, dokąd chcą. Co będą tam robić, to ich sprawa.

Kiedy powiedział kapitanowi, że jest mu potrzebne odludne miejsce z pochylnią do wodowania, Mustafa opisał mu opuszczoną stocznię jachtową, która zbankrutowała, znajdującą się po drugiej stronie zatoki na wprost portu. Carina miała popłynąć z kapitanem i spotkać się tam z Austinem.

Do stoczni prowadziła nierówna droga gruntowa. Austin przeszedł między drewnianymi szkieletami niedokończonych jachtów i obejrzał pochylnię. Krawędzie czarnej powierzchni skorodowały, ale reszta była w stosunkowo dobrym stanie.

Joe spóźnił się piętnaście minut. Kurt czekał przy drodze i zastanawiał się, czy zaradność przyjaciela nie została poddana ciężkiej próbie. Na odgłos silnika nastawił ucha. Zbliżał się do niego tuman kurzu i pierza. Ciężarówka podskakiwała na wybojach, biegi zgrzytały w proteście, silnik

rządził dychawicznie. Samochód zahamował z poślizgiem w kłębach dymu z rury wydechowej, przy wtórze rozgdakanych kurczaków zamkniętych w chwiejących się klatkach, ustawionych w stosy za kabiną.

Zavala wysiadł i przedstawił kierowcę, muskularnego Turka z gęstym zarostem, który szczerzył w uśmiechu złote zęby.

- Cześć, Kurt. To mój kumpel Ahmed.

Austin uściśnął kierowcy dłoń i podszedł do tyłu ciężarówki. Pojazd podwodny był przykryty zieloną plastikową plandeką i przymocowany linami. Zavala po prostu przywiązał przyczepę do starego haka holowniczego samochodu.

- Musiałem wykombinować jakąś prowizorkę - wyjaśnił, patrząc z dumą na swoje dzieło. - Niezły patent, co?

Austin przewrócił oczami.

- Super. - Wyobraził sobie, jakie zagrożenie stwarza „wynałazek” Zavali na ostrych zakrętach nadmorskiej drogi. Zastanawiał się, jak zareagowałiby księgowi NUMA, gdyby wiedzieli, że pojazd podwodny za miliony dolarów podróżuje na linie za tylnym zderzakiem ciężarówki z kurczakami.

Ahmed cofnął przyczepę na pochylnię. Napędzane rolki zsunęły platformę do wodowania, zamontowaną na dwóch długich pływakach, z przyczepy do morza.

Zjawił się Mustafa z Cariną. Rzucił Zavali linę holowniczą, której wolny koniec Joe przywiązał do platformy. Austin wręczył kierowcy ciężarówki plik tureckich lir i podziękował za pomoc.

Zanim Ahmed odjechał z kurczakami, wepchnął przyczepę w kąt stoczni. Kurt i Joe dowiosłowali skifem do statku Mustafy i kapitan natychmiast ruszył w drogę. „Iztuzu” wypłynął z portu na zatokę, ciągnąc za sobą pojazd podwodny.

Wokół ubywało kutrów rybackich i statków wycieczkowych, w końcu pozostało tylko kilka żagli w oddali. Na zadaszonym pokładzie rufowym, przy mocnej kawie Austin opowiedział Zavali o ucieczce z opuszczonej wioski i pierwszym rejsie z Mustafą.

- Mnóstwo działań w ciągu jednego dnia - stwierdził Joe.

- Tajemnica polega na dobrym wykorzystaniu czasu - odparł Austin.

„Iztuzu” zwolnił, gdy zbliżył się do szarobrazowego pasa odsłoniętej skały, gdzie klif runął do morza. Kapitan rzucił kotwicę niedaleko podnóża urwiska. Austin i Zavala dopłynęli skifem do platformy unoszącej się na wodzie, wspięli się na nią i ściągnęli plandekę.

Kurt przesunął wzrokiem po lśniącym fiberglasowym kadłubie pojazdu podwodnego. Zavala skopiował każdy szczegół swojej corvetty, z wyjątkiem koloru, i wprowadził modyfikacje umożliwiające żeglugę pod wodą.

Austin pokręcił z podziwem głową.

- Wygląda, jakby właśnie zjechał z taśmy montażowej w fabryce Chevy, Joe. Może zrobisz mi pięciominutowe szkolenie z wodowania?

- Wystarczy jednodominutowe. Platforma do wodowania, wylawiania i transportu, w skrócie PWWT, ma własny napęd. Z prawej burty jest sterowanie zewnętrzne. Zalewasz pływaki. Kiedy platforma jest na głębokości zanurzeniowej, wypompowujesz wodę, żeby uzyskać neutralną pływalność. Naszą pozycję regulujesz pędnikami PWWT. Zwalniasz zaciski zabezpieczające. Startujesz. Możesz zostać pod wodą albo wynurzyć platformę.

- A co z wylawianiem?

- Robi się to samo w odwrotnej kolejności. Wracasz jak samolotem na lotniskowiec.

Zabezpieczasz pojazd i wypływasz na górę.

- Jesteś geniuszem - powiedział Kurt. - Może trochę stukniętym, ale jednak.

- Dzięki za zaufanie. Obawiałem się, że ten projekt może być uznany za lekkomyślne marnowanie środków NUMA.

- To niezupełnie „Alvin” - Austin miał na myśli przysadzisty pojazd podwodny, który nurkował do „Titanica” - ale Pitt na pewno go zaaprobuje. - Dyrektor NUMA Dirk Pitt był namiętym kolekcjonerem zabytkowych samochodów. - Wypróbujmy najnowszy nabytek floty podwodnej NUMA.

Powiosłowali z powrotem do „Iztuzu”. Na jachcie włożyli skafandry płetwonurków. Austin poprosił wcześniej Zavalę, żeby przywiózł ze sobą sprzęt do łączności podwodnej. Komunikatory Ocean Technology Systems były przymocowane do pasków masek oddechowych.

Mustafa dostarczył ich skifem do platformy z pojazdem podwodnym. Weszli na pokład i włożyli akwalungi. Zavala usiadł za kierownicą subvetty. Zmodyfikował fotele, żeby zmieściły się butle z powietrzem. Austin zajął miejsce na składanym siedzeniu, wbudowanym w prawą burtę PWWT. Wcisnął przycisk na panelu sterowniczym, żeby włączyć pompy zasilane z akumulatorów. Pływaki napełniły się wodą i platforma z pojazdem zanurzyła się wolno pod powierzchnię.

Na głębokości dwunastu metrów Kurt odwrócił kierunek działania pomp, żeby ustabilizować platformę w zawisie. Innymi sterownikami zwolnił zaciski mocujące pojazd podwodny do PWWT. Rozbłysły reflektory subvetty. Z warkotem pędników pionowych pojazd uniósł się z platformy i zawisnął nad nią.

Austin odepchnął się od platformy i ulokował w pozycji siedzącej powyżej pojazdu. Wypuścił powietrze z kamizelki ratunkowej, opadając wolno na fotel pasażera. Zavala wygospodarował w kokpicie dodatkową przestrzeń na stopy w płetwach. Ponieważ nie dałoby się w nich naciskać pedałów, sterowniki pędników umieścił na kierownicy.

Obrócił pojazd przodem do lądu. Dwa snopy światła z mocnych reflektorów oświetliły rumowisko skalne, które zsunęło się na dno pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Jedne odłamki miały wielkość główki kapusty, inne były większe od subvetty.

- Twój Żeglarz musiałby być twardym hontre, żeby wyjść z tego cało - zauważył Joe. - Zostałby zgnieciony do wielkości puszki po piwie.

- Ten stary facet nie przetrwałby trzech tysięcy lat, gdyby był mięczakiem - odparł Austin.

W słuchawkach rozległ się gardłowy chichot Zavali.

- Nie mam argumentów przeciwko nieuzasadnionemu optymizmowi. Co to jest kilkaset tysięcy ton kamienia? Skąd zaczniemy poszukiwania twojego twardogłowego przyjaciela?

Parę metrów od podnóża osuwiska leżał płaski fragment skały wielkości i kształtu stołu bankietowego.

- Od tej płyty. Daj w prawo i wznos się ku powierzchni, pływając równolegle tam i z powrotem. Potem zrobimy to samo po lewej stronie tego odłamka. Wypatruj kolumn, portyku albo trójkątnego zwieńczenia. Wszystkiego, co wygląda na dzieło człowieka.

Zavala poprowadził subvette wzdłuż podnóża osuwiska. Sprzed pojazdu pierzchały w popłochu ławice ryb. Na końcu rumowiska skalnego zawrócił zgrabnie w górę. Posuwał się tam i z powrotem, jakby kosił trawnik.

Zatrzymywał się od czasu do czasu na widok jakiegoś obiecującego obiektu i obracał pojazd tak, żeby oświetlić reflektorami cel.

Kiedy zbliżyli się do powierzchni, ciemnobłękitna woda zmieniła barwę na zieloną.

Pojazd znów zanurkował i popłynął wzdłuż podnóża osuwiska w lewo. Austin zobaczył na dnie przedmiot zagrzebany w mule. Wystawała tylko jego zakrzywiona krawędź. Poprosił Zavalę, żeby zdmuchnął pędnikami warstwę pokrywającą obiekt. Tej techniki używali powszechnie poszukiwacze skarbów do odsłaniania zagrzebanych wraków. Chmury osadu w końcu opadły i ukazał się cylindryczny kształt kamiennej kolumny.

- Spróbuj podejść tutaj prosto do góry - powiedział Kurt.

Joe zawęził obszar poszukiwań i pojazd wzniósł się ku powierzchni. Światło reflektorów padło na trójkątne zwieńczenie, spoczywające pod kątem na kawałkach kolumn. Austin wpatrzył się w mrok. Odepchnął się od fotela pasażera i podpłynął do otworu o wyglądzie groty. Poświecił w głąb latarką wodoszczelną.

Po chwili Zavalę usłyszał jego śmiech.

- Hej, Joe, nie masz jakiegoś kocięgo przysmaku?

- Mówienie od rzeczy to objaw narkozy azotowej, przyjacielu.

- Nie mam choroby kesonowej. Patrzę na fenickiego kota z brązu.

- Znalezliście go! - wykrzyknęła uradowana Carina, która słuchała rozmowy.

Austin omiótł światłem latarki wnętrze groty. Posąg leżał na wznak jak nieboszczyk w trumnie. Grota miała około trzech metrów długości i szerokości oraz metr lub półtora wysokości. Kurt wcisnął się do środka. Stożkowa czapka postaci była wgnieciona, ramiona odłamane. W przeciwieństwie do oryginalnego Żeglarza, ten miał nietknięty nos.

Austin się wycofał, po czym zgiął kciuk i palec wskazujący w uniwersalnym sygnale „okej”.

- Jest w dobrym stanie, jak na zgniecioną puszkę po piwie. Wyciągnijmy go.

- W schowku z lewej strony są lina i worki pneumatyczne - powiedział Zavalę.

Kurt popłynął do platformy i wyciągnął ze skrytki zwój nylonowej liny. Przywiązał jeden koniec do tylnego zderzaka subvetty, potem przymocował do holu cztery worki pneumatyczne. Wrócił i przywiązał drugi koniec liny do podstawy posągu.

Napełnił worki powietrzem ze swojej butli i dał znak Zawali. Joe włączył pędniki. Lina napięła się jak struna i posąg przesunął się kawałek.

Austin przeciągnął kantem dłoni po gardle i popłynął z powrotem do groty. Kot z brązu u stóp postaci zaczepił o występ skalny na sklepieniu.

Austin wcisnął się obok posągu do otworu. Butle jego akwalungu zazgrzytały o skałę. Ledwo mógł się obrócić. Naparł na posąg i powiedział Zawali, żeby ciągnął.

Postać z brązu pokonała kilka centymetrów i znów znieruchomiała. Poszarpany kikut lewego ramienia zawadził o kamienny fronton. Zavalę przestał ciągnąć. Austin podważył nożem ramię posągu i je uwolnił.

Przy następnej próbie posąg ruszył naprzód. Kurt przeprowadził go przez otwór, opierając się nogami o tylną ścianę groty. Postać z brązu wyłoniła się wolno ze swojego więzienia, ale kiedy on chciał zrobić to samo, okazało się, że ma unieruchomioną prawą stopę. Fragment ściany groty runął i przygniótł mu płetwę.

Kiedy Austin sięgnął za siebie i przeciął nożem pasek płetwy, ze sklepienia groty posypał się grad kamyków. Uderzały go boleśnie w nogi i odbijały się od głowy z taką siłą, że dzwonił zębami. Sięgnął przed siebie i chwycił się głowy posągu. Zdążył w ostatniej chwili.

Pojazd podwodny wyciągnął Austina i Żeglarza z groty tuż przed zawaleniem się sklepienia.

Widząc, że przyjaciel jest wolny, Zavala zwiększył obroty pędników. Otwór groty zniknął pod rumowiskiem skalnym.

Austin trzymał się za głowę w miejscu, gdzie uderzył go kamień wielkości pięści.

- Kurt, nic ci się nie stało?

- Szkoda, że nie mam czaszki z brązu.

Austin zignorował ból i podpłynął do posągu. Żeglarz wisiał pod kątem, utrzymywany w wodzie częściowo przez worki pneumatyczne. Zavala podnosił pojazd, dopóki posąg nie znalazł się powyżej platformy. Kurt skierował Żeglarza w stronę jej części rufowej i odczepił linę od subvetty. Worki pneumatyczne przejęły cały ciężar opadającego posągu i uchroniły PWWT przed zatonięciem.

Kurt usadowił się przy sterownikach i przygotował do uniesienia platformy bliżej powierzchni, ale zanim dotknął panelu, złowił uchem wycie silnika, spotęgowane przez wodę.

- Carina! - zawołał przez komunikator. - Widzisz jakieś łodzie?

- Jedną. Pruje prosto na nas!

- Słuchaj uważnie. - Austin starał się mówić spokojnie. - Powiedz Mustafie, żeby natychmiast podniósł kotwicę i odpłynął stąd.

- Nie możemy was zostawić - zaprotestowała Carina.

- Nic nam się nie stanie. Ruszajcie.

Napięcie w głosie Kurta było wyraźne. Przekazała polecenie kapitanowi „Iztuzu”. Austin usłyszał przytłumioną odpowiedź Mustafy, którą po chwili zagłuszyły krzyki. Potem rozległ się terkot broni automatycznej.

Na linii zapadła cisza.

Austin popłynął z powrotem do subvetty.

- Zgaś światła - rozkazał.

Obawiał się o los Cariny, ale on i Zavala wiedzieli, że lepiej nie reagować za szybko. Jednocześnie bezczynność była im obca.

- Co dalej? - zapytał Joe.

- Podejdz do góry. Przyjrzymy się nieproszonym gościom.

Zavala uniósł długi dziób pojazdu i ustawił minimalną moc pędników. Austin zobaczył na powierzchni, obok sylwetki statku Mustafy, mniejszy kształt. Pokazał Zavalowi, żeby się zatrzymał. Włączył się komunikator. Znow mieli kontakt z „Iztuzu”.

- Jak leci, panowie? - zapytał ktoś z przeciągłym południowym akcentem. - Widzę wasze bąble powietrza. Może się przyłączycie do imprezy?

- Nie przyjmuję zaproszeń od obcych - odparł Austin. - Kto mówi?

- Przyjaciel panny Mechadi. Dajcie spokój. W końcu zabraknie wam tlenu.

Zavala odpiął od swojej kamizelki ratunkowej małą tabliczkę i narysował na niej znak zapytania.

Austin zastanowił się. Wiedział, że jeśli posłuchają obcego, będą martwi.

Wziął od Zavalii tabliczkę i odpisał dużymi drukowanymi literami: „Moby Dick”?

Zavala pomyślał chwilę. Sugestia przyjaciela najwyraźniej przyprawiła go o ból żołądka. Wyciągnął poprzedni tekst i napisał: AU!

Kurt odpisał: „Propozycje?”

Joe pokręcił głową i nagryzmolił: „Trzymaj się, ahabie”.

Odłożył tabliczkę i opuścił subvetę na dno. Obrócił ją i wycelował dziób w górę pod ostrym kątem. Pojazd zaczął się wznosić z warkotem pędników, z każdym metrem nabierając prędkości.



Zawała i Austin wparli się mocno w fotele.

Chwilę przed tym, zanim subvetta zaczęła się wznosić, Carina zobaczyła, że motorówka okrążyła łódź i pędzi z uniesionym wysoko dziobem w kierunku statku Mustafy, odbijając się od grzbietów fal jak „kaczka” puszczona płaskim kamieniem na wodzie.

Przekazała kapitanowi, że Austin polecił im natychmiast odpłynąć. Za późno. Szybka łódź dotarła do nich. Skręciła sekundy przed kolizją i sternik przymknął przepustnicę potężnego silnika. Motorówka uderzyła bokiem w burtę jachtu Mustafy metr od miejsca, gdzie stała Carina.

Jeden z mężczyzn na łodzi wystrzelił w powietrze serię z pistoletu maszynowego. Carina upuściła mikrofon na pokład.

Napadło ich czterech intruzów. Wszyscy nosili oliwkowe mundury i mieli automaty z krótkimi lufami. Oczy ukrywali za lotniczymi okularami przeciwsłonecznymi, na ich twarze rzucały cień runda miękkich kapeluszy w stylu wojskowym. Widać było tylko zaciśnięte wargi.

Trzej mężczyźni przeskoczyli nad relingiem na statek Mustafy. Ostatni z nich zdjął kapelusz i odsłonił blond włosy, ostrzyżone na jeża. Carina rozpoznała Ridleya, który nadzorował kradzież Żeglarza. Uśmiechnął się szeroko.

- Witam, panno Mechadi.

Czuła, jak wzbiera w niej wściekłość.

- Co pan tu robi? - rzuciła ostro.

- Usłyszałem, że jest pani w okolicy. Pomyślałem, że wpadnę z chłopakami z przyjacielską wizytą.

- Niech pan przestanie traktować mnie jak głupią i mówić z tym fałszywym prostackim akcentem - wycedziła Carina. - Gdzie jest mój posąg?

Wciąż szczerząc zęby, Ridley podszedł do relingu i popatrzył obojętnie na pęcherze powietrza wypływające na powierzchnię.

- Ktoś nurkuje, panno Mechadi?

- Jeśli pan taki ciekawy, to niech pan skoczy do wody i sam zobaczy.

Traciła panowanie nad sobą, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Mam lepszy pomysł - powiedział Ridley. Podniósł z pokładu mikrofon, włączył go i zagadał do Austina.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy zobaczył, że na powierzchni przybywa pęcherzy powietrza. Odczepił od pasa granat ręczny i uniósł go jak miotacz na meczu baseballowym, gotowy do rzutu. Carina spróbowała wyrwać mu mikrofon, ale zdzielił ją na odlew w twarz, rozcinając usta. Na widok takiej gwałtownej reakcji Ridleya jego kompani wybuchnęli śmiechem i za późno zobaczyli turkusowy błysk w morzu.

Pojazd podwodny przebił powierzchnię niczym wyskakujący do góry wieloryb. Jego przedni zderzak uderzył w motorówkę z siłą tarana.

Łódź uniosła się i przechyliła. Sternik krzyknął przeraźliwie i poszybował w powietrze, wymachując rękami. Wpadł do wody, zanurzył się i wypłynął, wzywając pomocy. Broń wysliznęła mu się z dłoni.

Po staranowaniu motorówki pojazd podwodny odbił się od niej i Zavała musiał walczyć o utrzymanie kontroli nad nim.

Austin zobaczył machające nogi, które pieniały wodę na powierzchni, i jakiś przedmiot opadający w dół. Wydostał się z kokpitu i chwycił tonący pistolet maszynowy.

Opuścił się z powrotem do pojazdu i pokazał ruchem kciuka powierzchnię.

Ridley był zawodowym żołnierzem. Doszedł szybko do siebie i wskazał postać w wodzie.

- Wyciągnijcie tego idiotę! - warknął.

Jego ludzie zawiesili automaty na ramionach i rzucili koledze koło ratunkowe. Ridley ścisnął w dłoni granat, gotów wypuścić go z ręki za burtę jak bombę głębinową. Obserwował wodę swoimi zimnymi oczami, gdy usłyszał dźwięk, który brzmiał jak klakson samochodowy. Odwrócił głowę i zrobił gwałtowny wdech.

- Jezu!

W kierunku statku Mustafy mknął po wodzie turkusowy odkryty chevrolet corvette z wgiętym przednim zderzakiem. Zavała siedział za kierownicą, Austin opierał pistolet maszynowy na ramie przedniej szyby i strzelał krótkimi seriami na postrach.

Ludzie Ridleya ściągnęli z ramion automaty, upuścili je na pokład i podnieśli ręce do góry, zostawiając kompana w wodzie własnemu losowi. Ich przywódca też się w końcu poddał.

Kapitan Mustafa pomógł Carinie wstać. Austina na chwilę zdekoncentrował widok krwi na jej twarzy. Tymczasem Ridley złączył dłonie nad głową, wyszarpnął zawleczkę i odchylił do tyłu ramię, żeby rzucić granatem w nadpływający pojazd.

Kurt przeniósł wzrok z powrotem na niego i zagiął palec na spuście. Zawahał się w obawie, że tamten upuści granat na pokład. Mustafa też zauważył, że Ridley wyciągnął zawleczkę. Kiedy najemnik wziął zamach i przyjął postawę do rzutu, kapitan chwycił ze stojaka bosak i walnął go ciężkim drewnianym drągiem w nadgarstek. Granat wypadł Ridleyowi z dłoni, odbił się od relingu i potoczył po pokładzie.

Mustafa zareagował z szybkością błyskawicy, złapał granat i wyrzucił za burtę.

Ridley zawył z bólu i wściekłości. Sięgnął lewą ręką do pasa po następny granat. Broń Austina zaterkotała i pierś najemnika podziurawiły pociski. Runął tyłem do morza w momencie eksplozji granatu. Rozbryzgi opryskały pokład.

Austin skierował lufę na dwóch pozostałych intruzów.

- Do wody - rozkazał.

Strzelił serią w zadaszenie, strzępy płótna opadły w dół jak konfetti. Ludzie Ridleya wyskoczyli za burtę i dołączyli do swojego kompana, który wcześniej wypadł z motorówki. Austin znów nacisnął spust i posiekał pociskami wodę centymetry od najemników.

Patrzył, jak żalosna trójka płynie do lądu, potem gramoli się na brzeg i znika wśród drzew. Wpakował serię w przechyloną łódź, potem zajął się Cariną.

Mustafa zrobił jej prowizoryczny kompres z kostek lodu zawiniętych w ścierkę do wycierania naczyń, który przykładła sobie do twarzy. Kurt zobaczył, że nie jest ciężko ranna, i dał broń kapitanowi z komentarzem, żeby najpierw strzelał, a potem zadawał pytania.

Zavała doprowadził subvette do burty jachtu motorowego i Austin wszedł na pokład. Pojazd

podwodny zniknął pod powierzchnią i opuścił się ku swojej platformie transportowej. Kurt podpłynął do konsoli sterowniczej, Zavala posadził subvette na platformie i zaciski się zaryglowały. Austin uruchomił pompy, żeby usunąć wodę z pływaków.

Platforma, przechylona na rufę pod ciężarem posągu, wynurzyła się niedaleko jachtu motorowego. Mustafa wręczył Carinie broń i zbliżył się swoim statkiem do platformy. Rzucił linę holowniczą Austinowi i Zawali, a ci przyczepili ją, potem opuścili się do wody i dopłynęli żabką do jachtu.

Po wejściu z powrotem na pokład Zavala zdjął piankowy skafander i zerknął w kierunku zalesionego brzegu.

- Skąd się tu wzięli tamci faceci?

Austin sięgnął po swoją koszulę i wyjął z kieszeni komórkę.

- Mogli namierzyć sygnał telefoniczny. Lepiej już nie ryzykować.

Odrzucił aparat najdalej jak mógł, do wody. Potem podziękował Mustafie za szybką akcję z bosakiem i przeprosił za narażenie na niebezpieczeństwo oraz zniszczenia na jachcie. Turek odparł, że nie ma o czym mówić, ale zapytał, czy mógłby na dziś zakończyć pracę i dostać zapłatę. Austin wręczył mu pokaźną sumkę.

- Jeszcze jedna przysługa. Potrzebne jest nam jakieś spokojne miejsce na uboczu.

- Nie ma sprawy. - Kapitan wetknął banknoty do kieszeni. - Znam takie kilka kilometrów stąd.

Niecałe pół godziny później Mustafa skierował statek do cichej zatoczki i rzucił kotwicę za wysuniętym przyładkiem. Powiedział, że miejscowi żeglarze nie wpływają tutaj, obawiają się bowiem podwodnych skał.

Zavala usiadł na dziobie z pistoletem maszynowym na kolanach. Carina wzięła torbę z przyborami konserwatorskimi, które kupiła dzień wcześniej, i wsiadła z Austinem do skifa. Dowiosłowali do platformy pojazdu podwodnego i weszli na nią.

Carina pochyliła się nad posągiem.

- Czuję się winna, że zakłócam mu spokój po tylu latach - powiedziała czule.

- Pewnie się cieszy, że dotrzymuje mu towarzystwa piękna kobieta - skomentował Austin. - Zobacz, jak się uśmiecha.

Usunęła szczotką uschniętą roślinność morską, która przyłgnęła do ust człowieka z brązu. Twarz młodego brodatego mężczyzny miała mocno zarysowany nos i podbródek. Podobnie jak oryginalny Żeglarz, ten też nosił na szyi wisior z wygrawerowaną końską głową i palmą, kilt wokół pasa, a na nogach sandały. Brak ramion stwarzał groteskowe wrażenie, że to ofiara wypadku.

Carina otworzyła torbę, wyjęła dwie gąbki i podała jedną Austinowi. Oczyszczili razem każdy centymetr kwadratowy posągu. Carina wzięła pędzel, kawałek etaminy i słoik lateksu w płynie. Naniosiła kilka warstw lepkiej cieczy na twarz, naszyjnik z wisiosem i inne części Żeglarza, potem usztywniła lateks tkaniną. Kiedy wszystko wyschło, zdjęła formy z posągu, oznaczyła flamastrem i umieściła ostrożnie w torbie.

- Gotowe.

- A co z kotem? - zainteresował się Kurt. - Był członkiem załogi.

- Masz rację. - Uśmiechnęła się i naniosiła lateks na bok tułowia i częściowo odwróconą głowę zwierzęcia.

Po wyschnięciu formy, zdjęła ją. Skończyła, ale ociągała się z odejściem.

- Co z nim zrobimy? - zapytała.

- Nie możemy go zabrać - stwierdził Austin. - Jest za ciężki do transportu bez specjalistycznego sprzętu, a przewóz lądem byłby dużym problemem. Władze tureckie nie są pobłażliwe w stosunku do cudzoziemców kradnących antyki z tego kraju.

Carina miała w oczach wyraz smutku. Ucałowała Żeglarza w oba policzki. Poklepała go po czole z brązu i poszła do skifa. Po powrocie na statek Kurt zapytał Mustafę o głębokość wody w zatoczce. Zdaniem Turka mogło być około piętnastu do osiemnastu metrów.

Austin i Zavala powiosłowali z powrotem do platformy, zaparli się plecami o konsolę sterowniczą i popchnęli posąg nogami. Zachwiał się na krawędzi. Po ostatnim pchnięciu wypadł za burłę, pogrążył się w głębinach, jakby chętnie wracał do morza, i szybko zniknął z widoku.

Tysiące kilometrów od tureckich wód bliźniak Żeglarza obracał się wolno na okrągłym postumencie o wysokości około trzydziestu centymetrów i rzucał błyski jak zagniewane bóstwo, w blasku baterii reflektorów, który powodował polaryzację światła na powierzchni brązu.

Na wielkim ekranie ściennym obracał się biały jak duch trójwymiarowy obraz rentgenowski posągu. Postać antycznego żeglarza otaczał zestaw elektronicznych sond.

Przed monitorem siedzieli w skórzanych fotelach trzech mężczyźni. Miejsce w środku zajmował Baltazar. Z prawej strony miał doktora Morrisa Graya, specjalistę od tomografii komputerowej, z lewej doktora Johna Defoe, autorytet w dziedzinie historii i sztuki fenickiej. Baltazar zatrudnił obu naukowców w nadziei, że posąg zostanie w końcu odnaleziony.

Gray wycelował w ekran wskaźnik laserowy.

- Technika rentgenowska, której tu używamy, jest podobna do tomografii komputerowej stosowanej w szpitalach. Robimy zdjęcia wycinków obiektu. Komputer tworzy z nich trójwymiarowy obraz.

Baltazar siedział rozwalony w fotelu, grube palce miał splecione razem, wzrok utkwiony w bladym obrazie wyświetlanym na granatowym tle. Czekał na tę chwilę od lat.

- I co nam mówi pańska magiczna latarnia, doktorze? - mruknął.

Gray uśmiechnął się lekko i przesunął czerwony punkt wskaźnika laserowego na jedno z kilku pól wzdłuż prawej krawędzi monitora.

- Wszystkie pola pokazują dane zebrane przez sondy. Tu jest wyświetlony skład metalu, z którego zrobiono posąg. Brąz jest standardowy, dziewięćdziesiąt procent miedzi i dziesięć cyny. W pozostałych polach mamy jego grubość, wytrzymałość na rozciąganie i inne nieistotne informacje.

- Co to są te ciemne miejsca na posągu? - zapytał Baltazar.

- Posąg odlano metodą traconego wosku - wyjaśnił Defoe. - Artysta zrobił glinianą formę, pokrył ją woskiem i na to znów dał glinę. Na zdjęciach rentgenowskich widać kanały i wyloty wywiercone w wierzchniej skorupie, by wosk i gaz miały ujście i żeby można było wlać do środka roztopiony metal. Posąg zmontowano z części, więc mamy tu również punkty nitowania i ślady po młotku.

- Bardzo interesujące - odparł Baltazar. - Ale co jest wewnątrz posągu?

- Zdjęcia rentgenowskie pokazują, że za powłoką z brązu nic nie ma, pusta przestrzeń - odpowiedział Gray.

- A co z powłoką zewnętrzną?

- To wygląda dużo bardziej obiecująco. - Gray wyjął z kieszeni marynarki płaskiego pilota i wycelował w ekran. Upiorna postać zniknęła. Zastąpiło ją zbliżenie twarzy posągu. - Oddaję głos doktorowi Defoe.

Naukowiec zmrużył oczy i popatrzył przez okrągłe okulary na ekran.

- Uszkodzenie utrudnia ocenę wieku tego mężczyzny, ale sądząc po muskularnym ciele, jest

zapewne po dwudziestce.

- Wiecznie młody - powiedział z sentymentalnym westchnieniem Baltazar, co rzadko mu się zdarzało.

- Stożkowa czapka przypomina te, które widuje się u namalowanych lub wyrzeźbionych żeglarzy fenickich. Zastanawiają mnie włosy i broda. Fryzura sugeruje, że to ktoś z wyższych sfer, jednak nosi kilt i sandały zwykłego marynarza.

- Niech pan mówi dalej - zachęcił Baltazar. Mimo rosnącego podniecenia wyraz jego twarzy nie zmienił się dostrzegalnie.

Obraz przeszedł w zbliżenie wisiora na szyi mężczyzny z brązu.

- Ten motyw jest kopią wzoru na fenickiej monecie - wyjaśnił Defoe. - Koń symbolizuje Fenicję, a palma wyrwana z korzeniami na prawo od niego oznacza kolonię. I tu sprawa zaczyna być intrygująca.

Czerwony punkt wskaźnika laserowego spoczął na półokrągłej powierzchni poniżej głowy konia i palmy, gdzie biegł poziomy rząd jakichś esów-floresów.

- Runy? - rzucił Baltazar.

- Tak powszechnie uważano, natrafiając na monety z podobnymi zawijasami. Ale ani jeden nie pasował do żadnego znanego pisma fenickiego. Te znaki przez lata były zagadką. Potem geolog Mark McMenamin z Mount Holyoke College przedstawił nową zaskakującą teorię. Wprowadził te symbole do komputera i wzmocnił obraz, co ja też zaraz zrobię.

Znaki na ekranie stały się ostrzejsze i mniej abstrakcyjne.

- Ten wzór wygląda znajomo - stwierdził Baltazar.

- Może to będzie pomocne. - Z kształtów na ekranie wyodrębniły się znajome zarysy kontynentów.

Baltazar pochylił się do przodu.

- Nie do wiary. To kontynenty!

- Do takiego wniosku doszedł McMenamin, a geolog potrafi rozpoznać lądy. Można tu rozróżnić kwadratowy kształt Półwyspu Iberyjskiego, odchylonego pod kątem w dół od Europy, który wraz z Afryką Północną zamyka Morze Śródziemne. Na prawo jest Azja. Tamte mniejsze symbole na zachód od Europy mogą być Wyspami Brytyjskimi. Ląd na lewo to Ameryka Północna. Wydaje się, że brakuje Ameryki Południowej lub jest połączona z kontynentem północnoamerykańskim. Obraz wzmocniony komputerowo można różnie interpretować. Ale jeśli McMenamin ma rację, ten wisior pokazuje zasięg fenickiej kolonizacji.

Baltazar uśmiechnął się szeroko.

- Mapa świata, cholera.

- I to nie byle jaka. Wspomniane przeze mnie złote monety bito około roku 300 p.n.e. Brąz, z którego zrobiono posąg, ma około trzech tysięcy lat, toteż widzimy tu najstarszą znaną mapę świata. Co ważniejsze, świadczy ona o tym, że do Nowego Świata podróżowano już w roku 900 p.n.e., kiedy wykonano ten posąg.

Baltazar poczuł, jak puls mu przyśpiesza.

- Chcę się przyjrzeć bliżej Ameryce Północnej.

Powiększony symbol, który się pojawił na ekranie, wyglądał jak opasły kaktus *saguaro*. Z szerokiego pnia wyrastały w górę dwa grube odgałęzienia.

Baltazar parsknął.

- Musi pan przyznać, że trzeba mieć bardzo dużo wyobraźni, żeby zobaczyć w tej bezkształtnej plamie kontynent północnoamerykański.

- Może to będzie pomocne - odparł Defoe. Na symbol nałożył się zarys Ameryki Północnej. - Pień to główna część kontynentu. Na lewo jest Alaska, na prawo Nowa Fundlandia.

- Są jakieś dowody na to, że w tamtych czasach istniały szlaki handlowe między wschodnią i zachodnią półkulą?

- Nie, ale nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę tajemniczość Fenicjan oraz fakt, iż żeglowano według odczytów astronomicznych, które można było zapamiętać. Jeśli jednak spojrzymy na kompas w rękę Żeglarza - Defoe wcisnął przycisk na pilocie - możemy wydedukować, że odbywano wtedy podróże ze wschodu na zachód i z powrotem. Pozycja posągu w stosunku do punktu północy na różnicy wiatrów wskazuje, że ten mężczyzna patrzy na zachód.

- W kierunku obu Ameryk - uściślił Baltazar.

- Zgadza się.

- Może pan ustalić miejsce lądowania Fenicjan?

Defoe pokręcił głową.

- Mapa świata na tym posągu jest odpowiednikiem tych, które widuje pan w prospektach linii lotniczych. Informują pasażerów, ale są zupełnie nieprzydatne dla pilota samolotu.

- Blisko brzegu Fenicjanie potrzebowaliby bardziej szczegółowych map nawigacyjnych - zauważył Baltazar.

- Owszem. Na morzu mapy ogólne miałyby ograniczoną wartość. Potrzebowaliby przybrzeżnego pilota, który pokazałby im lokalizację punktów orientacyjnych, żeby mogli sprawdzać swoją pozycję. Blisko brzegu ważniejsze niż odległość byłyby kierunki.

- Jest jakiś dowód na to, że korzystali z pomocy pilota? Defoe znów pokręcił głową.

- Nie znalazłem nic na temat określania przez nich pozycji. Ale natrafiłem na coś innego.

Obraz na ekranie znów się zmienił.

- Ten symbol powtarza się na szarfie, którą jest przepasany kilt naszego żeglarza.

- Wygląda trochę jak statek - powiedział Baltazar. - Widać coś w rodzaju dziobu i rufy.

- Ten symbol jest mi znany. Przypominam sobie, że widziałem go w jakiejś książce Anthony'ego Saxona. To archeolog i badacz amator, który przedstawia różne dziwaczne teorie.

- Wiem, kto to jest - uciął lodowatym tonem Baltazar.

- Showman uprawiający autoreklame, ale niejedno w życiu widział. Twierdzi, że to symbol okrętu „Tarszisz”. Znalazł na to przykłady w obu Amerykach i na Bliskim Wschodzie, co dowodzi istnienia kontaktów.

- Nie interesują mnie nieprzemyślane teorie głupców - warknął Baltazar. - Czy coś na tym posągu wskazuje miejsce lądowania Fenicjan w Ameryce Północnej?

- I tak, i nie.

Baltazar zmiażdżył naukowca wzrokiem.

- Jestem bardzo zajęty człowiekiem, doktorze Defoe. Płacę panu mnóstwo pieniędzy za ekspertyzę. Niech pan nie marnuje mojego czasu na zagadki.

Defoe z niepokojem zdał sobie sprawę, że ogląda Baltazara to tylko maska, za którą kryje się niebezpieczny osobnik.

- Przepraszam. Pokażę panu, o co mi chodzi. - Nacisnął przycisk na pilocie i na ekranie wyświetliła się niewyraźna siatka krzywych linii. - Uważamy, że to mapa topograficzna.



- Gdzie na posągu pan ją znalazł?

Obiektyw kamery cofnął się, żeby pokazać kota, który tworzył część podstawy Żeglarza.

- Chce pan powiedzieć, że potrzebne mi informacje zostały zapisane na boku kota?

- To nie jest wcale takie dziwne. Egipcjanie czcili koty, a Fenicjanie wzorowali się na nich w sprawach wiary.

- Co pokazało wzmocnienie komputerowe?

- To jest wzmocnienie komputerowe.

- Nic nie widzę.

- Tylko tyle mogliśmy zrobić. Większa część powierzchni uległa zniszczeniu. Został jedynie ten mały fragment, który ma pan przed sobą. Umieścimy w końcowym raporcie to, czego się dowiedzieliśmy, ale praktycznie rzecz biorąc, wszelkie informacje wyryte w metalu zniknęły na zawsze.

- Muszę się z tym zgodzić - przytaknął doktor Gray. - Żadna technologia na świecie nie odtworzy tego, czego tam brakuje.

Jeśli nie tu, to gdzie indziej, pomyślał Baltazar.

- Wspomniał pan o metodzie traconego wosku. Można by jej użyć do zrobienia kopii posągu?

- Nie byłoby z tym problemu, gdyby rzeźbiarz wybrał proces pośredni, w którym wosk formuje się wokół precyzyjnie wykonanego rdzenia.

Baltazar popatrzył na nieprzydatny obraz na ekranie, potem wstał z fotela.

- Dziękuję panom. Służący odprowadzi panów do wyjścia.

Kiedy naukowcy wyszli, Baltazar zaczął spacerować tam i z powrotem przed posągiem. Stracił mnóstwo czasu, żeby zdobyć bezużyteczną bryłę metalu. Zastygły uśmiech na twarzy z brązu zdawał się z niego drwić. Baltazar wiedział od Benoira o wyprawie Cariny do Turcji w poszukiwaniu kopii posągu i oczywiście kazał swoim ludziom ją przechwycić. Nie zwykł zostawiać cokolwiek przypadkowi. Poza tym uważał, że posiadanie oryginału da mu przewagę.

Ponure rozmyślania przerwał mu dźwięk telefonu. Rozmówca dzwonił ze Sztambułu. Baltazar wysłuchał raportu o nieudanym ataku. Powiedział mężczyźnie na drugim końcu linii, że jego rozkazy nadal obowiązują, i trzasnął słuchawką.

Austin miał więcej żyć niż kot.

Kot.

Spojrzał gniewnie na stworzenie z brązu u stóp Żeglarza. Podniósł wzrok i zamiast uszkodzonego oblicza starożytnego Fenicjanina zobaczył w wyobraźni twarz Austina.

Podszedł do maczugi, wiszącej na ścianie wśród innych średniowiecznych narzędzi śmierci. Wyjął broń z uchwytu i pozwolił, by kolczasta kula zawisła na końcu łańcucha. Potem wszedł między słupki kamery, uniósł rękojeść maczugi powyżej ramienia i zamachnął się.

Kula na łańcuchu opadła łukiem w dół, trafiła w posąg i odbiła się. Uderzenie wywołało dźwięk podobny do fałszywego brzmienia gongu. Po ciosie tą zabójczą bronią z człowieka zostałyaby krwawa miazga. Kula zrobiła sporo wgłęć w piersi posągu, ale spokojny uśmiech nie zniknął.

Baltazar zaklął soczyście, odrzucił maczugę na bok i wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

Troutowie minęli energicznym krokiem kolejkę turystów czekających na zwiedzenie z przewodnikiem, skręcili w boczną ulicę i oddalając się od tłoku wokół Independence Hall, poszli w kierunku siedziby Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego; mieściło się ono w solidnym, piętrowym budynku z cegły, który stał frontem do cichego parku.

Angela Worth siedziała przy swoim stanowisku pracy w rogu czytelnicy. Spojrzała w górę i uniosła brwi. W jej stronę szła rzucająca się w oczy para, która nie sprawiała wrażenia dwójki zwykłych badaczy.

Mężczyzna miał około dwóch metrów wzrostu, był w spodniach khaki z kantem, niebieskozielonej lnianej marynarce i jasnozielonej koszuli. Całość zdobiła muszka w odpowiednio dobranym kolorze. Towarzysząca mu wysoka kobieta wyglądała jak triathlonistka prosto ze stron „Vogue’a”. Na jej wysportowanym ciele marszczyło się lekko oliwkowe jedwabne spodnie i wydawała się bardziej płynąć niż iść.

Kobieta zatrzymała się przed biurkiem Angeli i wyciągnęła rękę.

- Panna Worth? Nazywam się Gamay Morgan-Trout. To jest mój mąż Paul.

Angela nie kryła zaskoczenia, ale zebrawszy się w sobie, wstała, żeby uścisnąć parze dłonie.

- Jesteście państwo z NUMA i dzwoniście wczoraj, tak?

- Zgadza się - powiedział Paul. - Dzięki, że zechciała się pani spotkać z nami. Mamy nadzieję, że się nie narzucamy.

- Ależ nie. Jak mogę państwu pomóc?

- O ile nam wiadomo, to pani znalazła dawno zaginione dokumenty Jeffersona - zaczęła Gamay.

- Owszem. Skąd państwo o tym wiedzą?

- Po rozszyfrowaniu materiału przez NSA Departament Stanu skontaktował się z NUMA.

Angela próbowała się dodzwonić do swojego przyjaciela w muzeum kryptograficznym NSA. Deeg nie odpowiadał na jej telefony.

- Departament Stanu?

- Zgadza się. - Gamay kiwnęła głową.

- Nie rozumiem. Dlaczego tym się nie interesują?

- Orientuje się pani, co jest w tych dokumentach?

- Próbowałam je rozszyfrować. Jestem tylko amatorką. Dałam je przyjacielowi w NSA. Co się dzieje?

Troutowie wymienili spojrzenia.

- Można tu gdzieś porozmawiać na osobności? - spytała Gamay.

- Tak, oczywiście, w moim pokoju.

Biuro Angeli było małe, ale dobrze zorganizowane. Usiadła za biurkiem i wskazała Troutom krzesła. Paul otworzył skórzany neseser i wyjął teczkę z aktami. Położył ją na biurku.

- To nasza jedyna kopia, więc będziemy musieli streścić pani jej zawartość - uprzedził. - Z materiału znalezionej przez panią wynika, że Jefferson i Meriwether Lewis uważali, iż prawie trzy tysiące lat temu fenicki statek przepłynął Atlantyk i przywiózł do Ameryki Północnej jakąś relikwię, być może przedmiot znany z Biblii. Departament Stanu obawia się, że ta historia, bez względu na to, czy jest prawdziwa czy nie, mogłaby wywołać wzburzenie na Bliskim Wschodzie.

Angela słuchała jak zauroczona, gdy Paul i Gamay opowiadali na zmianę, co jest w dokumentach. Kręciło jej się w głowie, język zdawał się przyrośnięty do podniebienia. Miała szkliste oczy jak ofiara szoku.

- Czy pani dobrze się czuje? - Gamay patrzyła na nią z niepokojem. Angela odchrząknęła.

- Nie, nic mi nie jest. Chyba. - Wzięła się w garść.

Gamay mówiła dalej:

- Uświadomiliśmy sobie, że tylko do tego stopnia możemy zgłębić tajemnicę tamtej podróży. Wydaje nam się, że Amerykańskie Towarzystwo Filozoficzne jest ogniwem łączącym wiele wątków owej historii. Jefferson był tu prezesem, Lewis studiował tu przed swoją wielką wyprawą. Członek Towarzystwa poinformował Jeffersona, że na welinie są fenickie słowa. Powiązania można by mnożyć i mnożyć.

- Nie jestem tym zaskoczona - powiedziała Angela. - Wiele osób nawet nie wie o istnieniu tej organizacji. Proszę pomyśleć o historii Towarzystwa. Założył je Franklin. Członkami byli Jerzy Waszyngton, John Adams, Alexander Hamilton, Thomas Paine, Benjamin Rush i John Marshall. Miało światowy zasięg. Weźmy Lafayette'a, von Steubena czy Kościuszkę. Później byli Thomas Edison, Robert Frost, George Marshall, Linus Pauling. Kobiety też. Margaret Mead, Elizabeth Agassiz. W tej bibliotece są miliony dokumentów i dzieł, łącznie z oryginałem „Philosophiae naturalis principia mathematica” Newtona, „O powstawaniu gatunków” Darwina i opisami eksperymentów Franklina. To po prostu zapiera dech.

- Wielkość zbioru to zarazem błogosławieństwo i przekleństwo - skomentował Paul. - Szukamy igły w intelektualnym stogu siana ogromnych rozmiarów.

- Nasz system katalogowania nie ma sobie równych. Niech pan mi tylko wskaże właściwy kierunek.

- Meriwether Lewis - podsunęła Gamay. - Według materiału o karczochach miał ważną informację, którą chciał przekazać Jeffersonowi.

- Po naszej rozmowie telefonicznej wyciągnęłam trochę dokumentów dotyczących Lewisa. Wokół jego śmierci jest mnóstwo kontrowersji. Jedni uważają, że popełnił samobójstwo, inni twierdzą, że został zamordowany.

- To pasuje do atmosfery tajemniczości otaczającej dokumenty Jeffersona - powiedział Paul. - Od czego zaczniemy?

Angela otworzyła akta.

- Lewis już w dzieciństwie był sprytny, odważny i przedsiębiorczy. Wstąpił do wojska i w wieku dwudziestu trzech lat awansował na kapitana. Kiedy miał dwadzieścia siedem lat, został prywatnym sekretarzem Jeffersona, który uznał go za zdecydowanego, ambitnego i inteligentnego. Trzy lata później wybrał go na kierownika jednej z największych ekspedycji w historii. W ramach przygotowań do wyprawy wysłał go na studia do Towarzystwa Filozoficznego.

- Tu mógł czerpać wiedzę - zauważył Paul.

Angela skinęła głową.

- Członkowie Towarzystwa uczyli go botaniki, astronomii, geografii i innych przedmiotów. Bardzo go chwalili. Jego wyprawa zakończyła się wielkim sukcesem.

- Co się z nim działo potem? - zapytała Gamay.

- Popełnił chyba największy błąd w swoim życiu. W roku 1807 przyjął nominację na gubernatora Luizjany.

- Błąd? - zdziwił się Paul. - Mogłoby się wydawać, że był wręcz stworzony do takiej pracy.

- Lewis bardziej się nadawał do wędrówek przez dzikie obszary. W Saint Louis, granicznej placówce, roilo się od niebezpiecznych ludzi, oszustów i łowców fortun. Musiał się zajmować znowami, zatargami i spiskami. Jego asystent stale kopał pod nim dołki. Ale Lewis przetrwał na stanowisku gubernatora dwa i pół roku, do swojej śmierci.

- Nieźle, biorąc pod uwagę skalę trudności - powiedział Paul.

- Praca trzymała go w jednym miejscu i ograniczała - mówiła Angela. - Ale według większości źródeł radził sobie całkiem dobrze.

- Jakie okoliczności doprowadziły do tego, że podjął decyzję o podróży do Waszyngtonu? - zapytała Gamay.

- Lewis repatriował wodza Mandanów. Przekroczył budżet o pięćset dolarów i rząd federalny odrzucił jego roszczenie. Krążyły pogłoski o skandalu z handlem ziemią. Lewis oznajmił, że jest w trudnej sytuacji finansowej i musi wrócić do Waszyngtonu, żeby odzyskać dobre imię. Chciał też dostarczyć jakieś ważne dokumenty.

- Niech pani nam opowie o tej podróży, która zakończyła się jego śmiercią - poprosiła Gamay.

- W tej całej sprawie jest mnóstwo sprzeczności i niekonsekwencji - odparła Angela.

- W jakim sensie? - dociekała Gamay.

Angela podsunęła jej przez biurko mapę.

- Lewis wyruszył z Saint Louis pod koniec sierpnia 1809 roku. Jechał wzdłuż rzeki Missisipi i piętnastego września dotarł do fortu Pickering w Tennessee. Był wyczerpany z powodu upału i być może nabawił się malarii. Podobno w czasie podróży popadł w depresję i próbował popełnić samobójstwo. Inna pogłoska mówi, że cały czas ostro pił ze starymi towarzyszami broni. To zabawne, bo w forcie nie miał żadnych przyjaciół z wojska.

- Czy w tych plotkach jest jakaś część prawdy?

- To są relacje z drugiej ręki. Lewis napisał w forcie list do prezydenta Madisona. Z treści wynika, że myślał całkiem trzeźwo. Zawiadamia Madisona, że miał kłopoty zdrowotne, ale już czuje się dużo lepiej i planuje dalszą podróż lądem przez Tennessee i Wirginię. Informuje, że wiezie oryginały dokumentów ze swojej wyprawy do wybrzeża Pacyfiku i nie chce, żeby wpadły w ręce Brytyjczyków, po których należy się spodziewać wypowiedzenia wojny.

- Co było dalej? - spytał Paul.

- Po dwutygodniowym pobycie w forcie - ciągnęła Angela - Lewis znów ruszył w drogę. Wiózł dwa kufry z dokumentacją swojej ekspedycji do Pacyfiku, były w nich między innymi papiery prywatne i urzędowe, osobiste zapiski. Dzienniki wyprawy są w szesnastu notatnikach oprawionych w czerwoną skórę marokańską.

- Chyba byłoby mu trudno taszczyć taki bagaż samemu - zauważył Paul.

- To byłoby raczej niemożliwe. Dlatego skorzystał z dodatkowego konia niejakiego Jamesa Neelly'ego, byłego agenta od spraw Indian, a konkretnie plemienia Czikasawów. Dwudziestego dziewiątego września Lewis wyjechał z fortu w towarzystwie swojego służącego Perni, pewnego

niewolnika i Neelly'ego.

- Niezbyt imponujący orszak, jak na gubernatora - stwierdziła Gamay.

- Też tak uważam - zgodziła się Angela. - Zwłaszcza na tle legendy o dawno zaginionej kopalni złota Lewisa.

- Akcja się komplikuje - powiedział Paul. - Niech pani nam opowie o tej kopalni.

- Lewis odkrył ją podobno podczas swojej wyprawy do Pacyfiku. Ujawnił to kilku przyjaciołom i przypuszczalnie zostawił opis kopalni, żeby po jego śmierci złoto mogło służyć krajowi. Jestem pewna, że ta historia była powszechnie znana. I wzdłuż szlaku przez Natchez Trace wiadano, że gubernator będzie tamtędy przejeżdżał.

- Lewis był w poważnym niebezpieczeństwie. - Gamay pokiwała głową.

- Na pewno każdy bandyta myślał o tym, jak zdobyć jego mapę - przytaknęła Angela.

- Czy Lewis nie zdawał sobie sprawy z ryzyka? - zapytała Gamay.

- Wiedział, czym grozi podróż przez dzikie tereny. Stawiał wcześniej czoło różnym niebezpieczeństwom i być może uważał, że sobie poradzi.

- Albo dotarcie do Waszyngtonu uznał za tak ważne, że postanowił zaryzykować - podsunęła Gamay.

- Może niebezpieczeństwo było bliżej, niż przypuszczał - dorzucił Paul. - W osobie Neelly'ego.

- Dochodzimy do kolejnej sprzeczności - kontynuowała Angela. - Neelly twierdził później, że Lewis popadł w obłąd, a jednak grupa pokonała w ciągu trzech dni dwieście czterdzieści kilometrów.

- Dobre tempo, jak na obłąkanego - wtrącił Paul.

Angela skinęła głową.

- Komendanta fortu Pickering niepokoiły meldunki, że Neelly nakłania Lewisa do picia. Hiszpański służący Lewisa, Pernia, też podsuwał swojemu panu alkohol. Potem Neelly zgubił dwa konie i powiedział Lewisowi, żeby jechał dalej z dwoma służącymi, a on poszuka zaginionych zwierząt.

Gamay roześmiała się.

- Skoro Lewis był obłąkany, to dlaczego Neelly pozwolił mu jechać dalej ze służącymi?

- Dobre pytanie - odparła Angela. - Ale się rozdzielili i Lewis pojechał z Pernią i swoim służącym niewolnikiem do Grinder's Stand\*.

- Ta nazwa kojarzy mi się z miejscem, gdzie robią kanapki z podłużnej bułki - powiedział Paul.

- Lewis wyszedłby na tym lepiej, gdyby to rzeczywiście było stoisko z kanapkami - ciągnęła Angela. - Grinder's Stand składało się z dwóch chat. Mieszkała tam pani Grinder ze swoimi dziećmi i paroma niewolnikami. Jej mąż przebywał wtedy poza domem. Lewis ulokował się w jednej z chat, jego dwaj służący w stajni. Pani Grinder zeznała, że około trzeciej nad ranem usłyszała dwa strzały z pistoletu i że Lewis postrzelił się w głowę i w pierś. Ciężko ranny dotarł do jej chaty, poprosił o wodę do picia, wzywał pomocy i zmarł kilka godzin później. Neelly zjawił się następnego dnia.

- Sprytnie pomyślane - stwierdziła Gamay.

- Bardzo. Porozmawiał z panią Grinder i służącymi, a po tygodniu napisał do Jeffersona, że Lewis popełnił samobójstwo z powodu swoich problemów z rządem.

- Połowa ludzi w tym kraju byłaby martwa, gdyby rozumowali w ten sposób. Ta sprawa śmierdzi - powiedział Paul.

- Zgadza się - przytaknęła Angela. - Lewis przez całe życie miał do czynienia z bronią palną.

A jednak, kiedy próbował wpakować sobie kulę w głowę, tylko się drasnął. Wziął skałkówkę z długą lufą i strzelił sobie w pierś.

- Wygląda na to, że ktoś go zabił w ciemnej chacie. - Paul raczej nie miał wątpliwości. - Co wiemy o Neellym?

- Został zwolniony ze stanowiska agenta od spraw Indian po problemach z Czikasawami. Komendant fortu Pickering nazwał go kłamcą i złodziejem. Neelly twierdził, że pożyczył Lewisowi pieniądze, choć ten miał przy sobie sto dwadzieścia dolarów w gotówce, które zniknęły po jego śmierci. Neelly utrzymywał też, że pistolety Lewisa należą do niego.

- A co z Pernią? - zapytała Gamay.

- Był albo Hiszpanem, albo Francuzem. Pojawił się znikąd, żeby odbyć podróż z Lewisem. Neelly wysłał go później do Jeffersona z koniem Lewisa. Obiecał, że potem wyśle kufry rodzinie, co najwyraźniej zrobił. Pernia pojechał się zobaczyć z matką Lewisa, która uznała, że ma on coś wspólnego ze śmiercią syna.

- Przeprowadzono jakieś śledztwo?

- Jedynym naocznym świadkiem była pani Grinder i w końcu podała trzy różne wersje wydarzeń. Sąsiedzi podejrzewali jej męża, ale sprawę zakończyło oświadczenie Jeffersona, że Lewis popełnił samobójstwo.

- Mówiła pani chyba, że Jefferson poległ całkowicie na relacji Neelly'ego? - przypomniał Paul.

- Dlatego to jest takie dziwne. Jefferson obwieścił światu, że Lewis był w młodości hipochondrykiem, ale wtedy jeszcze go nie znał. Twierdził, że Lewis cierpiał na depresję, a jednak powierzył mu kierowanie wyprawą do Pacyfiku. Utrzymywał, że depresja powróciła, kiedy Lewis został gubernatorem, ale nie ma na to żadnego dowodu. Na podstawie pogłoski powiedział, że Lewis zachowywał się u Grindarów jak obłąkany. To nie pasuje do rozsądnego człowieka, za jakiego uważa się Jeffersona.

- Postawię wszystko na jedną kartę - odezwał się stanowczym tonem Paul. - Jefferson użył historii o samobójstwie jako przykrywki. Wiedział, że to było zabójstwo, ale nie mógł nic zrobić i chciał odzyskać dokumenty, które miał dla niego Lewis.

- Możliwe. Po latach Jefferson powiedział, że Lewis został zamordowany. Jest jeszcze inna legenda, o młodym niewolniku. Dożył dziewięćdziesięciu pięciu lat i wyznał na łożu śmierci, że to było zabójstwo, ale nie wymienił żadnych nazwisk.

- Więc mamy trzech ewentualnych sprawców - podsumował Paul. - Neelly'ego, Grindera lub Pernię. Ale mogli to zrobić razem. Najbardziej podejrzany jest Pernia. Miał motyw, bo Lewis był mu winien pieniądze. I okazję. Jest jeszcze inna możliwość. Jeden z nich lub wszyscy trzej pracowali dla kogoś.

- Lewis wiozł do Monticello coś ważnego - oświadczyła Gamay. - Przyjmijmy założenie, że ktoś go zabił, żeby mu przeszkodzić w wypełnieniu misji. Skoncentrujmy się na losie dokumentów, które miał dostarczyć Jeffersonowi.

- Gdyby wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo, nie wiozłby tych papierów osobiście - zauważył Paul.

- Trafiłeś! - przyznała Gamay.

- Dzięki, ale w co?

- Lewis powierzył komuś dostarczenie papierów. Kogo najmniej by podejrzewano o to, że ma przy sobie coś cennego?

- Młodego niewolnika. - Angela roześmiała się.

- Dobry jestem, cholera - ucieszył się Paul. - Niewolnik na pewno musiałby pomóc Perni zawieźć kufry do Monticello. Miałby okazję przekazać przesyłkę Jeffersonowi.

- O co chodzi z tymi niewolnikami i Monticello?

Szefowa Angeli, Helen Woolsey, zobaczyła zgromadzenie w jej pokoju. Stała w drzwiach z szerokim sztucznym uśmiechem na twarzy. Angela szybko wstała.

- O, cześć, Helen. Rozmawiamy o tym, że Jefferson miał niewolników, choć mówił, że wszyscy ludzie są równi.

- Fascynujące. Nie przedstawiś mi swoich znajomych?

- Przepraszam. To Paul i Gamay Troutowie. To moja szefowa, Helen Woolsey.

Uścisnęli sobie dłonie. Woolsey zerknęła na wyraźnie oznaczoną teczkę z dokumentami Jeffersona na biurku.

- To ten sam materiał, który mi niedawno przyniosłaś, Angelo? Gamay sięgnęła po teczkę, położyła ją sobie na kolanach i oparła na niej rękę.

- To nasz materiał - powiedziała z naciskiem. - Poprosiliśmy Angelę o pomoc w ustaleniu pewnych faktów z życia Meriwethera Lewisa.

- Gamay i ja pracujemy w NUMA - wyjaśnił Paul, uważając, że półprawda jest lepsza niż całkowite kłamstwo. - Prowadzimy badania historyczne na temat znaczenia Pacyfiku dla Stanów Zjednoczonych. Pomyśleliśmy, że zaczniemy od Lewisa, który kierował pierwszą wyprawą do oceanu.

Woolsey skinęła głową.

- Trafiliście pod właściwy adres.

- Angela bardzo nam pomogła - wtrąciła Gamay.

Woolsey oświadczyła, iż ona również jest gotowa służyć pomocą, i żeby dać jej znać, gdyby mogła się na coś przydać.

Gamay popatrzyła za nią, kiedy szła przez czytelnię.

- Zimna ryba.

Angela roześmiała się.

- Ja ją nazywam Mądrała, ale to określenie bardziej mi się podoba. - Spoważniała. - Coś kombinuje. Dałam jej kopię materiału Jeffersona kilka dni temu. Obiecała zawiadomić zarząd, ale o ile wiem, nic nie zrobiła w tej sprawie.

- Od razu zwróciła uwagę na te papiery. Angela zebrała dokumenty dotyczące Lewisa.

- Poszukam czegoś o tym niewolniku. Moglibyście wpaść za parę godzin, kiedy Mądrała już nie będzie tu węszyć?

- Bardzo chętnie - odparł Paul.

Angela patrzyła na nich, kiedy wychodzili. Wstąpiła w nią nowa energia. Zamknęła teczkę Lewisa w swoim biurku i wróciła do rutynowych zajęć. Woolsey jeszcze raz pojawiła się w czytelnii. Najwyraźniej sprawdzała, czy Troutowie już poszli. Kiedy się wyniosła, Angela usiadła do komputera.

Kilkoma stuknięciami w klawiaturę cofnęła czas do roku 1809.

Zavala skończył dokładne oględziny subvetty i zszedł z przyczepy uśmiechnięty. Austin uznał minę przyjaciela za dobry znak. W drodze powrotnej do opuszczonej stoczni jachtowej Joe starał się nie tracić humoru, ale nie potrafił ukryć smutku w oczach z powodu uszkodzenia własnego dzieła.

- Zbudowałem ją jak czołg - powiedział teraz - więc szkielet nie ucierpiał i układ napędowy jest w porządku, ale reflektory się skrzywiły i niektóre sensory są do wymiany. Do mojego powrotu do Stanów będzie wyłączona z akcji.

Austin położył mu rękę na ramieniu.

- Odniosła rany w walce o słuszną sprawę. Gdyby nie ona, bylibyśmy teraz sztywni. Zawsze możesz zbudować nową, a tę oddać do muzeum samochodów Cusslera. Wygląda na to, że mamy transport.

Do stoczni wjechał holownik drogowy. Kurt poprosił wcześniej Mustafę, żeby zorganizował coś odpowiedniejszego niż ciężarówka z kurczakami do zaholowania przyczepy z pojazdem podwodnym na lotnisko. Kapitan wykonał kilka telefonów i znalazł chętnego do tej roboty. Kiedy kierowca łączył holownik z przyczepą, Austin jeszcze raz podziękował Mustafie za pomoc. Zavala odjechał holownikiem, Austin i Carina wsiedli do ich wypożyczonego samochodu i pojechali za przyczepą nadmorską szosą do portu lotniczego w Dalyran.

Oboje zabrali się z Zavalą samolotem transportowym do Stambułu. Na lotnisku się rozstali. Zavalę czekały długie przygotowania pojazdu podwodnego do podróży do Stanów i chciał przenocować blisko portu lotniczego. Austin i Carina wrócili do hotelu, w którym spędzili pierwszą noc w Stambule. Wzięli jeden pokój.

Następnego ranka Austin pojechał taksówką na teren wykopalisk archeologicznych nad Bosforem i zszedł na dół po prowizorycznej drewnianej pochylni dla taczek. Potem minął setki robotników, którzy rozkopywali odsłonięte dno morskie kilofami i łopatami.

Hanley klęczał na stwardniałym błocie i oglądał skorupy ceramiczne. Wstał i wyciągnął brudną rękę.

- Miło znów cię widzieć, Kurt. Gotowy do powrotu w muł Marmary?

- Będę musiał to odłożyć - odparł Austin i popatrzył na krzątanie wokół. - Chyba wszystko idzie dobrze?

Hanley poczerwieniał z podniecenia.

- To najbardziej fantastyczne wykopaliska, w jakich kiedykolwiek brałem udział.

- Mam nadzieję, że znajdziesz chwilę, żeby mi wyświadczyć drobną przysługę - powiedział Kurt.

- Jestem ci coś winien za pracę na ochotnika. Carinie też. A przy okazji, gdzie ona się podziewa?

- Odświeża się. Jestem z nią umówiony na lunch.

- Pozdrów ją ode mnie. Co mogę dla ciebie zrobić?



Austin sięgnął do brezentowej torby, którą pożyczył od kapitana Mustafy, i wyjął lateksowe formy drugiego Żeglarza.

- Mógłbyś zrobić z tego gipsowe odlewy?

Hanley uniósł jedną formę pod kątem, żeby zobaczyć relief.

- Bez problemu. Będą suche za parę godzin.

- Wpadniemy tu po lunchu.

Hanley wziął torbę i jej zawartość.

- A gdzie Joe?

- Dogląda swojej nowej zabawki. Pojazd podwodny trochę ucierpiał podczas nurkowania i prawdopodobnie do niczego ci się nie przyda.

- Wielka szkoda. Pomógłby nam zbadać teren wykopalisk, choć jak widzisz, większość tej przestrzeni jest sucha.

Austin powtórzył, że wróci po lunchu. Złapał taksówkę i powiedział kierowcy, żeby go zawiózł do pałacu Topkapi, rozległego kompleksu budynków, dziedzińców, pawilonów i parków, który dominuje na cyplu Seraglio, pagórkowatym wzniesieniu na styku Złotego Rogu, morza Marmara i Bosforu. Przez czterysta lat, w złotym okresie imperium osmańskiego, w Topkapi mieszkali sułtanowie i ich świty.

Tereny pałacowe przekształcono w muzeum. Austin wszedł między dwiema wieżami do parku ocienionego liściastymi drzewami, gdzie roiło się od turystów ze wszystkich stron świata. Minął skarbiec z fortuną w drogocennych klejnotach i doszedł do restauracji Konyali.

Carina siedziała przy stoliku na dziedzińcu i patrzyła na mieniącą się w słońcu wodę. Zamiast swobodnego ubrania, które nosiła na Turkusowym Wybrzeżu, włożyła długą rudobrunatną sukienkę, podkreślającą cynamonowokremowy odcień jej cery. Austin był w luźnych jasnobrązowych spodniach i zamienił standardową hawajską koszulę w krzykliwych barwach na bardziej konserwatywne ciemnozielone polo. Przysunął krzesło.

- To dopiero jest lokalizacja. Sułtanowie wybrali dobre miejsce na swoją siedzibę.

Carina powitała go promiennym uśmiechem.

- Cudowne!

- Ceny są astronomiczne, choć jedzenie nie jest na pięciogwiazdkowym poziomie, a obsługa jak w kafeterii. Ale mają tu najlepszy widok w Stambule. Sałatka lub kebab powinny ci smakować.

Kurt zaproponował, że będzie pełnić honory gospodarza. Przyniósł do stolika dwie porcje sałaty z ogórkiem i zieloną papryką oraz dwie lemoniady.

Carina spróbowała sałaty.

- Znasz się na rzeczy. Czy jest jakieś miejsce, gdzie jeszcze nie byłeś?

- Dużo podróżuję służbowo.

- Czym się właściwie zajmujesz?

- Jak już mówiłem, jestem inżynierem.

Uniosła kształtne brwi.

- NUMA jest znana na świecie z tego, że bada oceany. Ale ty i Joe większość czasu spędzacie na walce ze złymi facetami i ratowaniu kobiet w niebezpieczeństwie, wielkie dzięki.

- Miło to słyszeć. - Kurt uśmiechnął się. - Kieruję też Zespołem Specjalnym NUMA. Oprócz Joeego, w tej grupie są jeszcze dwie osoby, które zgłębiają różne tajemnice na morzu, pod nim i nad nim.

- A jak ta tajemnica ma się do twoich poprzednich doświadczeń? Austin spojrział na długi rząd statków towarowych, ciągnący się w dal.

- Patrząc obiektywnie na to, co się dzieje, powiedziałbym, że mamy do czynienia z przypadkiem, kiedy ktoś czegoś chce i jest gotów zniszczyć wszystkich i wszystko na swojej drodze, żeby osiągnąć cel. Subiektywnie, obawiam się, że chodzi o coś więcej.

- Co masz na myśli?

- Kiedy dużo przebywasz pod wodą, zyskujesz szósty zmysł. To on mi podpowiada, że za tym, co widzimy, coś się kryje. Za przemocą czai się zło.

Carina uśmiechnęła się nerwowo.

- Jakby nie wystarczyło to, co jest. Co teraz zrobimy?

- Będziemy się cieszyć lunchem, widokiem i słońcem, a potem pojedziemy obejrzyć gipsowe odlewy, które robi dla nas Hanley.

- Myślisz, że one coś nam powiedzą?

- Mam taką nadzieję. Ktoś nie chciał, żebyśmy znaleźli drugi posąg. Chyba działaliśmy w Turcji tyle, ile mogliśmy. Jutro do Stanów wraca samolot NUMA. Możemy się przegrupować w domu. Chciałbym się przyjrzeć bliżej Baltazarowi.

- A ja muszę odzyskać eksponaty z wystawy objazdowej. Kurt - Carina zniżyła nagle głos - nie odwracaj się. Przy stoliku za tobą siedzi chyba jeden z tamtych facetów, którzy nas zaatakowali na wodzie.

- Może po prostu jesteś przewrażliwiona.

Wstał, obszedł Carinę i stanął za nią. Położył dłonie na oparciu jej krzesła i przyjrzał się szybko innym gościom. Siedzący samotnie mężczyzna zauważył, że Austin patrzy w jego kierunku i uniósł gazetę, jakby ją czytał.

- Masz rację. Sprawdźę, co on kombinuje.

Carina obserwowała z niepokojem, jak podchodzi do stolika mężczyzny. Spojrział na niego ponad gazetą.

- A kuku!

Tamten opuścił gazetę i wykrzywił twarz w grymasie złości.

- Musimy się przestać spotykać w ten sposób - powiedział Austin. - Nie wiem nawet, jak się nazywasz.

- Buck. Nie będziesz musiał tego długo pamiętać. Jesteś już trupem, Austin.

- Jak się wydostaliście z lasu?

- Wezwaliśmy posiłki.

Kurt przyjrzał się muskularnej sylwetce i wojskowej fryzurze na jeża.

- Amerykański akcent. Zielone Berety czy Delta Force?

- Ani jedno, ani drugie, cwaniaczkę. Navy SEAL. - Uśmiechnął się z dumą.

- To dlatego tak dobrze pływasz. SEAL to elitarna jednostka. Za co cię wywalili?

Austin strzelił w ciemno, ale musiał trafić w dziesiątkę, bo uśmiech zniknął.

- Za przesadną brutalność.

- Dla kogo teraz pracujesz?

- Dla kogoś, kto chce twojej śmierci.

- Przykro mi, że nie mogę zadowolić twojego szefa.

Mężczyzna zachichotał nieprzyjemnie.

- Chcą, żebyś cierpiał, ale ja to załatwię szybko. Jestem ci coś winien. Kiedy zabiłeś Ridleya, zostałem dowódcą oddziału. Rozejrzyj się.

Austin powiódł wzrokiem po dziedzińcu. Zauważył pozostałych mężczyzn, których ostatnio widział płynących do brzegu. Jeden opierał się o ścianę, drugi siedział przy stoliku. Patrzyli na Austina, jakby chcieli go pożreć.

- Widzę, że wzięłaś ze sobą resztę tureckiej drużyny pływackiej.

- Chodź z nami. Ułatwisz nam sprawę z twoją panią.

- Ją też zabijecie szybko i bez bólu?

Buck pokręcił głową.

- Mój szef ma wobec niej inne plany.

- Miło się z tobą gawędzi, Buck, ale muszę uprzedzić pannę Mechadi, że jesteśmy w beznadziejnej sytuacji.

Austin wrócił do swojego stolika. Carina, spięta, patrzyła na niego wyczekująco.

- Masz dobre oko - pochwalił. - Są tu wszyscy trzej. Mnie chcą wykończyć, ale ty jesteś im potrzebna żywa.

- O Boże! I co zrobimy?

- Tu nic nam nie grozi. Za dużo ludzi. Chodźmy na spacer.

Austin skierował Carinę w stronę bramy pałacowej. Ich prześladowcy trzymali się jakieś trzydzieści metrów za nimi. Austin wysilił pamięć, próbując sobie przypomnieć rozkład Topkapi i terenów pałacowych, żeby znaleźć jakąś kryjówkę, gdzie byliby chwilowo bezpieczni.

Wpadł na pewien pomysł. Nie zdołaliby uciec, ale mogliby zyskać na czasie.

Carina zauważyła na jego twarzy lekki uśmiech i pomyślała, że zwariował.

- Co ci chodzi po głowie?

- To nie pora na pytania. Po prostu rób dokładnie to, co ci będę mówił.

Zawsze się czuła kobietą niezależną i nie znosiła, kiedy ktoś próbował jej rozkazywać, ale jak dotąd Kurt zawsze potrafił wyciągnąć ich z tarapatów. Pociągnął ją lekko za ramię i przyspieszyła, żeby dotrzymać mu kroku.

Austin przeprowadził ją przez tłumy z aparatami fotograficznymi i kamerami, okupujące dziedziniec przed skarbcem. Dali nura za róg eleganckiego, wolno stojącego budynku z marmuru, gdzie kiedyś mieściła się sułtańska biblioteka, i zaczęli biec. Wypadli przez ozdobną Bramę Szczęścia na inny rozległy dziedziniec. Austin skierował Carinę w prawo. Przemknęli przez otwartą komnatę, gdzie kiedyś spotykali się sułtańscy wezyrowie. Kurt nie odrywał wzroku od długiego rzędu kolumnad i wejścia do haremu.

Mieli szczęście! Pracownik sprawdzający bilety poszedł akurat na papierosa.

Prawie nie zwalniając, przebiegli przez nie pilnowaną bramkę do drzwi. Nie były zaryglowane. Austin otworzył je, popchnął Carinę naprzód, wszedł za nią do sułtańskiego haremu i zamknął drzwi.

- Co dalej? - zapytała, ledwo dysząc po biegu. Kurt znów czuł ból w ranie. Położył rękę na żebrach.

- Powiem ci, kiedy tylko coś wymyślę.

W czasach otomańskich, gdy w haremie Topkapi roiło się od zawoalowanych piękności, nieproszonego gościa, który wszedłby do zakazanych stref, powitałyby ostre jak brzytwa bułaty w rękach afrykańskich eunuchów, strzegących pałacu.

Kiedy Austin i Carina znaleźli się na długim dziedzińcu, młody przystojny przewodnik przerwał swoją przemowę i przeszył ich lodowatym, ostrym spojrzeniem.

- Tak? - zagadnął.

Austin uśmiechnął się rozbijająco.

- Przepraszamy za spóźnienie.

Przewodnik zmarszczył brwi. Zwiedzanie haremów odbywało się według precyzyjnego harmonogramu. Nikt z kasy biletowej nie zadzwonił z informacją, że będą dwie dodatkowe osoby.

Mężczyzna włączył swoje radio, żeby wezwać ochronę.

Carina podeszła do niego, przywołując na twarz swój najbardziej zniewalający uśmiech. Poszperała w torebce i wyjęła banknot stulirowy.

- Możemy się panu odwdziżyć od razu czy później? Przewodnik się uśmiechnął i przypiął radio z powrotem do pasa.

- Zwyczajowo turyści robią to po zwiedzaniu, ale tylko wówczas, gdy są zadowoleni - zastrzegł.

- Na pewno będę zadowolona. - Carina zatrzepotała długimi rękami. Przewodnik odchrząknął i odwrócił się z powrotem do około dwudziestopięciosobowej grupy Turków i cudzoziemców z różnych krajów, stłoczonej wokół niego.

- W pewnym okresie w haremie mieszkało ponad tysiąc konkubin, niewolnic i żon sułtana oraz jego matka - mówił. - Było tu ponad czterysta pokoi. To miejsce przypominało małe miasto. Na lewo są kwatery czarnych eunuchów i głównego eunucha, którzy strzegli haremów.

Pozostałe drzwi prowadzą do kwater skarbnika imperium i szambelana. Zaraz wejdziemy tamtymi drzwiami do środka i zobaczymy, jak mieszkali eunuchowie.

Powtórzył to samo po turecku, po czym ruszył na czele grupy do sypialni strażników niczym Szczurołap z Hameln.

Austin zatrzymywał Carinę z tyłu, dopóki nie zostali sami na dziedzińcu. Przyglądał się drzwiom, szukając drogi ucieczki. Nacisnął jedną z klamek. Drzwi nie były zaryglowane. Miał nadzieję, że zgubią pościg w ogromnym labiryncie kwater i dziedzińców.

- Kurt - odezwała się Carina.

Brama wjazdowa się otworzyła i na dziedziniec wszedł Buck ze swoimi twardzielami. Kazał im się rozdzielić i ruszyli we trzech w kierunku swoich ofiar.

Z kwater mieszkalnych eunuchów wysypała się na dziedziniec grupa turystów z przewodnikiem i utworzyła żywą barierę. Austin i Carina wmieszali się w tłum, gdy zwiedzający wychodzili drzwiami w westybulu na końcu dziedzińca.

Kurt obejrzał się przez ramię. Buck i jego ludzie przepychali się między turystami.

- Co robimy? - szepnęła Carina.

- Na razie cieszymy się zwiedzaniem, a kiedy powiem, pobiegniemy.

- Dokąd?

- Jeszcze nad tym pracuję.

Carina wymamrotała coś po włosku. Austin nie potrzebował tłumacza, wiedział, że zakłęła. Uznał jej złość za dobry znak - nie poddała się rozpacz.

Przewodnik poprowadził grupę przez komnatę z kwadratową kopułą. Zatrzymywał się co kilka minut, by wygłosić przemowę po turecku i angielsku, potem pokazać na zewnątrz, gdzie mieszkały konkubiny, gdzie się uczyły dzieci i gdzie przygotowywano żywność dla rozległego kompleksu.

Austin zerkał na drzwi i korytarze, które dawałyby możliwość ucieczki. Nie mieli szans się odłączyć od grupy. Z każdym postojem Buck i jego ludzie byli coraz bliżej.

Wyobrażał sobie rozwój wypadków: trzej mężczyźni wkroczą i odizolują go od tłumu. Dwaj spróbują go wykończyć nożami, trzeci porwie Carinę.

Buck i jego kumple służyli kiedyś w siłach specjalnych. Musieli być wyszkoleni w walce na noże i zabijaniu. Czyjaś ręka zasłoni mu usta, żeby nie krzyknął. Dostanie szybkie dźgnięcie między żebra. Zanim turyści się zorientują, że doszło do zabójstwa, wyzionie ducha. W powstałym zamieszaniu Buck i jego kompani znikną bez śladu.

Jeśli miał zadziałać, powinien zrobić to prędko.

Grupa weszła do wielkiej komnaty wyłożonej dywanami. Ściany zdobiła XVII-wieczna, niebiesko-biała glazura. Na podwyższeniu pod złożonym baldachimem, wspartym na czterech kolumnach, stała szeroka kanapa obita złotym brokatem. Pomieszczenie urządzone w barokowym i rokokowym stylu. Przez witrażowe okna pod kopułą sączyło się światło.

Przewodnik wyjaśnił, że to sala tronowa. W jednym końcu komnaty było drugie podwyższenie, gdzie siedziały konkubiny, żony i matka sułtana, gdy omawiano sprawy wagi państwowej lub słuchano muzyki i oglądano występy tancerek.

Tłum zaczął się rozchodzić i żywa bariera odgradzająca Austina i Carinę od Bucka i jego ludzi przestawała istnieć. Kiedy grupa się rozproszyła, Austin stanął oko w oko z trzema mężczyznami. Dzieliło ich tylko paru turystów.

Teraz albo nigdy.

Szepnął do Cariny, żeby mu zaufała, wziął ją za rękę i przysunął się do przewodnika.

- Czy moglibyśmy zrezygnować z reszty zwiedzania? - zapytał. - Moja żona źle się czuje. Jest w ciąży.

Przewodnik spojrzał na szczupłą figurę Cariny.

- W ciąży?

- Tak - odpowiedziała ze skromnym uśmiechem, spuszczać oczy.

- To dopiero trzeci miesiąc.

Dotknęła rozpostartymi palcami płaskiego brzucha. Przewodnik się zaczerwienił i wskazał szybko jakieś drzwi.

- Mogą państwo wyjść tamtędy. Podziękowali i ruszyli do wyjścia.

- Proszę zaczekać! - zawołał przewodnik i uniósł do ust krótkofalówkę. - Wezwę kogoś z ochrony, żeby państwa odprowadził.

Porozmawiał przez radio. Strażnik miał przyjść za kilka minut i przewodnik powiedział im, żeby

do tego czasu zostali z grupą.

Buck zobaczył, że Austin rozmawia z przewodnikiem, a kiedy ten wyjął krótkofalówkę i z kimś się kontaktował, bandzior pomyślał, że Austin poprosił o wezwanie pomocy.

- Wkraczamy - powiedział do swoich ludzi.

Austin prowadził Carinę z jednej części komnaty do drugiej, starając się oddalić od prześladowców. Wiedział, że na otwartej przestrzeni zabawa w chowanego nic nie da.

Kiedy trzej mężczyźni zbliżali się do nich, widział już morderczy błysk w oczach Bucka. Były komandos sięgnął pod marynarkę.

Gdy do sali tronowej wszedł krępy ochroniarz, przewodnik wskazał mu Kurta i Carinę. Wtedy Austin zagrał swoją kartą atutową.

Wycelował oskarżycielsko palec w Bucka i jego kompanów, rycząc na całe gardło:

- PKK! PKK!

Skrót od słów Partiya Kerkeren Kerdistan oznaczał Kurdyjską Partię Robotniczą, marksistowsko-leninowską organizację partyzancką, walczącą o niepodległość Kurdystanu, którego część leży w południowo-wschodniej Turcji. PKK rozpoczęła kampanię przemocy przeciwko tureckim władzom w roku 1978, atakując obiekty rządowe i rejony turystyczne; zabili od tamtej pory tysiące ludzi.

Życzliwa mina strażnika zniknęła. Sięgnął do kabury przy pasie po rewolwer. W Turcji okrzyk „PKK!” jest tym samym, czym chluśnięcie benzyną na otwarty ogień. Ochroniarz wyciągnął broń.

Zauważył nóż w dłoni Bucka. Trzymając oburącz rewolwer, krzyknął po turecku. Buck się odwrócił i zobaczył wylot lufy, wycelowanej w jego pierś. Nóż upadł z hałasem na podłogę, gdy Buck podniósł ręce do góry.

Jeden z jego ludzi mierzył do strażnika z pistoletu. Kurt walnął go barkiem w brzuch jak taranem, broń poszybowała w powietrzu, i gdy runęli na podłogę, Austin wyłączył przeciwnika z akcji krótkim ciosem w szczękę.

Sala tronowa opustoszała. Przewodnik dał nura do wyjścia i wzywał przez radio posiłki.

Buck wsunął rękę pod marynarkę i wyciągnął pistolet. Popelnił fatalny błąd. Ochroniarz w średnim wieku miał za sobą długą służbę w armii tureckiej. Choć już przytył, nie zapomniał, jak go wyszkolono. Austin zerwał się na nogi, wskazał Bucka i znów wrzasnął:

- PKK!

Strażnik się obrócił, wycelował spokojnie w Bucka i nacisnął spust. Pocisk trafił mężczyznę w pierś i odrzucił go do tyłu na sułtańską kanapę.

Carina skamieniała ze strachu; Austin pociągnął ją za rękę i rzucili się do wyjścia. Pobiegli korytarzem na oślep, skręcając kilka razy, aż znaleźli się w małym pokoju z drzwiami w rogu. Prowadziły na zalany słońcem taras.

Stali tam dwaj mężczyźni, którzy ścigali ich w opuszczonej wiosce. Austin zasłonił Carinę sobą. Kiedy ruszyli w jego kierunku, drzwi haremu otworzyły się gwałtownie i wypadli z nich ludzie Bucka z bronią w rękach. Zamrugali w jasnym słońcu i nie zauważyli, że Turcy sięgnęli pod marynarki po pistolety z tłumikami. Obaj jednocześnie nacisnęli spusty i ludzie Bucka osunęli się na ziemię.

Jeden Turek wycelował w drzwi haremu, drugi wziął Austina za ramię.

- Chodźmy - powiedział. - Jesteśmy po waszej stronie. Klepnął go przyjaźnie w plecy i puścił oko do Cariny.

Jego towarzysz osłaniał tyły. Rozmawiał przez komórkę i stale zerkał za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi.

Kiedy weszli na teren dla zwiedzających, Turcy schowali broń, następnie poprowadzili Austina i Carinę przez labirynt budynków z rozległymi dziedzińcami do bramy pałacu. Przy krawężniku czekał srebrny mercedes z pracującym silnikiem. Turek, który szedł pierwszy, otworzył drzwi po stronie pasażera.

Gdy Austin i Carina wsiadali, zobaczyli, że nie są sami.

Ich stary znajomy, Cemil, uśmiechnął się i wydał cicho rozkaz kierowcy. Samochód ruszył sprzed kompleksu pałacowego, włączając się do ruchu.

- To twoi ludzie? - zapytała zaskoczona Carina.

- Bez obaw. Nie mają żalu o to, że pani przyjaciel zniszczył im oponę. Sami byli sobie winni. Kazałem im was pilnować, ale podeszli za blisko.

- Zapłacę za nową oponę - zaproponował Austin.

Cemil zachichotał. Wyjaśnił, że Turek nie może odmówić.

- Przepraszam, jeśli moi ludzie was wystraszyli.

Wy tłumaczył, że po ich spotkaniu w cysternach usłyszał niepokojące wieści. W mieście pojawili się najemnicy, wyglądający na niebezpiecznych ludzi. Wjechali do kraju nieuzbrojeni, żeby nie zwracać na siebie uwagi, i kupili broń od miejscowego handlarza, znajomego Cemila. Co więcej, przyjechali tego samego dnia, co Carina i Austin, i zamieszkali w tym samym hotelu.

Kazał dwóm swoim ludziom mieć na oku zaprzyjaźnioną z nim parę. Kiedy tamci zgubili trop w opuszczonej wiosce, wrócili do Stambułu i wzięli pod obserwację hotel, spodziewając się, że Austin i Carina zjawią się po swój bagaż. Śledzili Austina od terenu wykopalisk do Topkapi, ale zniknął im z widoku, gdy wraz z Cariną dał nura do haremu.

Carina pocałowała mocno Cemila w policzek.

- Jak możemy ci się odwdziżyć?

- Jest jeden sposób. Podjąłem złą decyzję w interesach i ściągnąłem na siebie uwagę władz międzynarodowych. Moglibyście za mnie poręczyć, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

- Umowa stoi - odparła Carina bez wahania.

Wesoły nastrój Cemila zniknął.

- Hotel, w którym się zatrzymaliście, nie jest już bezpieczny. Moi ludzie zabiorą wasz bagaż i ulokują was na noc w pewnym zajeździe, gdzie nic wam nie zagrazi. Mam w Turcji mnóstwo przyjaciół, ale ludzi jest łatwo kupić i sprzedać i nie mógłbym wam zapewnić całkowitego bezpieczeństwa.

- Rozumiem, że chodzi chyba o to, że tutejszy klimat przestał być zdrowy - wtrącił się Austin.

- Dobrze pan to ujął. - Cemil pokiwał głową. - Radzę wam jak najszybciej zniknąć ze Stambułu.

Kurt nie lekcewał dobrych rad, musiał jednak się zająć niedokończoną sprawą. Wysiedli z mercedesa przy terenie wykopalisk nad Bosforem i umówili się z Cemilem, że samochód zabierze ich za dwie godziny.

Hanley był w baraku, gdzie urządzono pracownię konserwatorską. Na stole leżały gipsowe odlewy w kolorze ciemnoszarym.

- Pomalowałem wypukłości i wystające powierzchnie, żeby się wyróżniały - wyjaśnił. - Fascynująca rzecz. Skąd to wzięliście?

- Wzory były wyryte na fenickim posągu - odparł Austin. - Po powrocie do domu pokażemy je ekspertowi.

Hanley pochylił się nad gipsowym odlewem kota zwiniętego wokół stóp Żeglarza.

- W domu mam trzy koty, więc zrobienie tego sprawiło mi dużą frajdę.

Austin popatrzył na kręte linie wyobrażające pręgi kota i zauważył, że tworzą wzory, które wydały mu się nieprzypadkowe. Przyjrzał się im przez szkło powiększające. Dostrzegł ledwo widoczny symbol w kształcie odwróconej litery Z. W przeciwieństwie do pozostałych, umieszczonych poziomo, ten był do góry nogami.

Podał lupę Carinie, by obejrzała dokładnie znak.

- Co to jest?

- Jeśli symbol statku, to zatopionego albo tonącego - mówił Kurt, patrząc na zawijasy. - To chyba coś więcej niż artystyczna fantazja. Mamy przed sobą mapę. Te krzywe pokazują linię brzegową z zatokami.

Pożyczył cyfrowy aparat fotograficzny na trójnogu i zrobił mnóstwo zdjęć odlewów, wgrał je do pożyczonego laptopa, po czym wysłał na adres mailowy NUMA.

Kiedy Hanley i Carina zawijali odlewy w plastikową piankę, Austin zadzwonił do Zawali na lotnisku. Umówili się na wspólny lot powrotny do Stanów następnego dnia rano. Uszkodzona subvetta została załadowana do swojego samolotu transportowego.

Mercedes, który przywiózł ich bagaże, zawiózł Austina i Carinę do małego hotelu z widokiem na Bosfor. Położyli się wcześniej spać, zbyt zmęczeni, by podziwiać panoramę za oknem, i natychmiast zasnęli. Kiedy się obudzili następnego ranka, mercedes już czekał, żeby ich zabrać na lotnisko.

Zawała powitał ich na pokładzie samolotu dzbankiem świeżej kawy.

Niecałą godzinę później citation był w powietrzu i leciał na zachód z szybkością ośmiuset kilometrów na godzinę.

- Jak było w Stambule? - zagadnął Joe, gdy maszyna szybowała nad Morzem Egejskim.

Kurt opowiedział mu o spotkaniu z Buckiem i jego kompanami w Topkapi, szaleńczej ucieczce do haremu i akcji ratunkowej ludzi Cemila.

- Do haremu?! - wykrzyknął Zawała. - Szkoda, że mnie tam nie było.

- Ja też żałuję. Mógłbyś się nam przydać, gdy wybuchła strzelanina.

- Nie to miałem na myśli. Szkoda, że mnie tam nie było, kiedy w haremie roiło się od pięknych kobiet.

Austin powinien był wiedzieć, że nie ma co liczyć na współczucie swojego przyjaciela kobieciarza.

- O ile wiem, jest tam wolny etat eunucha. Zawała ścisnął razem kolana.

- Au! Dzięki, ale nie skorzystam. Pójdę pogadać z pilotem.

Kurt parsknął śmiechem. Jego dobry humor nie trwał długo. Buck i Ridley nie żyli, ich banda została zneutralizowana, ale jeśli podejrzenia Austina co do Viktora Baltazara były słuszne, należało się spodziewać spotkań z następnymi twardzielami.

Co gorsza, zabójca o dziecinnej twarzy wciąż pozostawał na wolności.



Angela poczuła na plecach zimny dreszcz. Nie wiedziała, z jakiej przyczyny przeszły ją ciarki. Często zostawała w pracy po godzinach i nigdy się nie denerwowała z tego powodu, że jest sama. Wręcz odwrotnie - uspokajała ją mądrość wieków wokół niej.

Zdawało jej się, że usłyszała czyjś głos na zewnątrz, ale mogła się mylić. Koncentrowała się na materiale dotyczącym Meriwethera Lewisa.

Oprócz niej, w budynku przebywała tylko szefowa i być może Helen Woolsey zawołała coś na pożegnanie.

Usiadła wygodnie i odetchnęła z ulgą. Grała na zwłokę w nadziei, że Woolsey pójdzie do domu przed powrotem Troutów. Chciała rozmawiać z nimi bez świadków. Była podekscytowana. Miała bowiem im dużo do opowiedzenia.

Nastawiła ucha. Cisza. Jednak coś budziło w niej niepokój.

Wstała z krzesła, wyszła na ciemny korytarz i sięgnęła do włącznika światła. Nie zapaliło się. Pomyślała, że rano trzeba będzie zawiadomić zarządcę budynku. Ruszyła korytarzem w kierunku nikłego blasku wokół krawędzi drzwi szefowej.

Zapukała lekko, ale nie usłyszała odpowiedzi. Helen najwyraźniej zapomniała zgasić światło. Angela otworzyła drzwi, weszła i zamarła w pół kroku.

Woolsey siedziała za biurkiem z dłońmi splecionymi na podolku i głową odchyloną do tyłu jak zepsuta lalka. Miała szeroko otwarte usta i patrzyła martwymi oczami w sufit. Na bladej szyi były czerwone sińce.

Angela omal nie krzyknęła. Zasłoniła dłonią usta, hamując odruch wymiotny.

Wycofała się wolno z pokoju. Chciała instynktownie pobiec w kierunku drzwi frontowych, ale spojrzała w głąb nieoświetlonego korytarza i pierwotne poczucie zagrożenia powstrzymało ją przed ucieczką w ciemność. Zamiast do wyjścia, wystartowała sprintem w głąb budynku.

Z mroku wyłoniła się wielka postać Adriana. Zniszczył scyzorykiem włącznik światła, spodziewając się, że młoda kobieta spanikuje, co sprawi, że wpadnie prosto w jego ramiona. Ale odwróciła się i popędziła w przeciwną stronę.

Po zabiciu jej przełożonej, która pełniła funkcję Obserwatora, w Adrianie wrzała krew. Tamto poszło łatwo. Teraz cieszył się na myśl o wyzwaniu. Zabójstwo sprawiało mu dużo większą przyjemność, gdy następowało na końcu polowania.

Kiedy mijał gabinet Woolsey, zajrzał do środka, by rzucić okiem na swoje dzieło. Martwa kobieta była ostatnią z Obserwatorów, lokowanych od bardzo dawna w Towarzystwie Filozoficznym. System funkcjonował od wieków. Obserwatorzy czuwali dyskretnie w ośrodkach zdobywania wiedzy na całym świecie. Mieli tylko jedno zadanie - wszcząć alarm przy pierwszej oznace, że ktoś odkrył Tajemnicę.

Dwieście lat wcześniej inny Obserwator ostrzegł, że Jefferson jest na tropie. Tamten Obserwator

był jednym z naukowców, których Jefferson poprosił o przetłumaczenie wyrazów na welinie. Zniszczenie papierów Jeffersona miało go zniechęcić do dalszych poszukiwań, ale ustalono związek Meriwethera Lewisa z tą sprawą i musiano wysłać zabójców do Luizjany.

Woolsey nie mogła wiedzieć, że jej pierwszy telefon w roli Obserwatora uruchomi łańcuch zdarzeń, które doprowadzą do jej śmierci. Miała meldować o wszystkich poważnych zapytaniach o podróże Fenicjan do Ameryki. Przekazała posłusznie wiadomość o dokumentach Jeffersona. Zanim dostała instrukcje, żeby dać te papiery kurierowi, po materiał zgłosił się przedstawiciel Departamentu Stanu. Wściekła, zwała winę na swoją asystentkę, ale powiedziano jej, żeby nie mówiła Angeli o tym incydencie. Kiedy zadzwoniła znowu z informacją o wizycie Troutów u Angeli, przypieczętowała wyrok na siebie.

Polecono jej dopilnować, żeby Angela została w pracy po godzinach. W siedzibie Towarzystwa zjawił się Adriano, zlikwidował bibliotekarkę i bezskutecznie próbował wciągnąć w pułapkę jej asystentkę.

Szedł korytarzem i metodycznie sprawdzał każde drzwi; wszystkie pokoje były zamknięte na klucz. Dotarł do skrzyżowania korytarzy i pociągnął nosem jak węszący pies.

Cichego odgłosu zatrasku raczej nikt by nie usłyszał, ale w czasie łowów Adriano miał wyostrome zmysły. Skręcił w prawo, otworzył drzwi i wszedł do ciemnej sali.

Nie znał tego pomieszczenia, ale dobrze się orientował w rozkładzie biblioteki. Kiedy Angela natrafiła na dokumenty, wysłał tu swoich ludzi, żeby się dokładnie rozejrzeli. Uważał się za profesjonalistę i zawsze sprawdzał teren, gdzie ewentualnie wykona egzekucję.

Wiedział, że w sali są tysiące książek na wysokich regałach, ustawionych w równoległych rzędach.

Angela dała nura między dwa rzędy. Usłyszała, że ktoś otwiera i zamyka drzwi. Kierowała się do tylnego wyjścia z sali. Była pewna, że zdradzi ją walenie serca.

Adriano sięgnął do włącznika na ścianie i salę zalało światło.

Angela opadła na czworaki, dotarła do końca rzędu i skręciła w wąskie przejście między końcami regałów a ścianą.

Myśliwskie ucho Adriana uchwyciło odgłosy dłoni i kolan dotykających podłogi.

Ruszył przejściem, nie śpiesząc się. Przystawał i zaglądał między rzędy regałów. Mógłby znaleźć Angelę w ciągu paru sekund, ale chciał, by polowanie i przerażenie ofiary trwało jak najdłużej.

Po sprawdzeniu kilku rzędów zobaczył na podłodze jakiś przedmiot i wszedł między regały, żeby mu się przyjrzeć bliżej. Miał przed sobą damski pantofel. Kawalek dalej leżał drugi. Angela zdjęła je, żeby nie robić hałasu.

Adriano zachichotał cicho i zgiął palce.

- Chodź do mnie, Angelo. - Zabrzmiało to tak, jakby matka łagodnym tonem przywoływała dziecko.

Na dźwięk swojego imienia Angela zerwała się na nogi i pobiegła do wyjścia. Za nią rozległy się szybkie kroki. Czyjaś ręka chwyciła ją z tyłu za bluzkę. Wrzasnęła i się wyrwała. Adriano pozwolił jej uciec. Lubił się bawić ze swoimi ofiarami.

Dała nura między półki z książkami i przywarła plecami do regału.

Adriano skręcił w następny rząd i znad górnych krawędzi książek wychylną jego dziecinna twarz.

- Cześć - powiedział.

Angela się odwróciła i zobaczyła okrągłe niebieskie oczy. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Angela! - rozległ się nagle donośny głos kobiety.

Adriano już się szykował do ataku na intruza. Ruszył w stronę, skąd dochodziło wołanie. Zamierzał pozbyć się szybko kobiety i wrócić do Angeli.

Wyszedł zza rogu i zobaczył przy drzwiach dwie osoby - rudowłosą kobietę i mężczyznę wyższego niż on. Wydawali się przestraszeni jego widokiem, ale szybko doszli do siebie.

- Gdzie jest Angela? - zapytała kobieta.

Nie odpowiedział. Ale zza regałów dobiegł wyraźnie słyszalny szloch dziewczyny.

Para przybrała agresywną postawę, która świadczyła o tym, że nie zamierzają się wycofać. Mężczyzna ruszył w jego stronę, kobieta zaczęła go zachodzić z tyłu.

Adriano był zaskoczony, nie przywykł do stawiania mu oporu. Sytuacja się skomplikowała. Zamarkował ruch w kierunku mężczyzny, potem się odwrócił i pobiegł do wyjścia. Zgasił światło i wypadł z sali.

- Angelo, nic ci się nie stało? - zawołała Gamay. - To my, Troutowie.

- Uważajcie - ostrzegła Angela. - On mnie szuka.

W sali znów rozblysło światło.

Angela, łkając, rzuciła się ku Gamay i otoczyła ją ramionami.

Paul przeszukał szybko salę. Potem otworzył tylne drzwi i wyszedł na korytarz. Wszędzie panowała cisza i pustka. Wrócił do sali z regałami pełnymi książek.

- Tamtego typa już nie ma. Kto to był?

- Nie wiem - wykrztusiła Angela. - Zabił Helen. Potem szukał mnie. Znał moje imię.

- Drzwi frontowe stały otworem - powiedział Paul. - Zgubiliśmy się, próbując trafić do twojego pokoju, i usłyszeliśmy krzyk. Mówisz, że zabił twoją szefową?

Choć Angela nie miała ochoty wracać na miejsce zbrodni, zaprowadziła Troutów korytarzem do gabinetu Woolsey. Paul pchnął drzwi czubkiem buta i przestąpił próg pokoju. Podszedł do biurka i zbliżył ucho do szeroko otwartych ust Woolsey, ale nie usłyszał ani nie poczuł oddechu. Spodziewał się tego, gdy zobaczył kąt odchylenia jej głowy i ślady na szyi.

Wrócił na korytarz. Gamay otaczała ramieniem młodą kobietę. Spojrzała na męża i już wiedziała, co należy zrobić, zadzwoniła ze swojej komórki pod 911. Potem wyszli na zewnątrz i zaczęli przy frontowych schodach na policję.

Radiowóz przyjechał w ciągu pięciu minut. Z samochodu wysiedli dwaj filadelfijscy policjanci, porozmawiali z Troutami i Angellą, po czym wezwali wsparcie. Wyciągnęli broń, jeden wszedł do środka, drugi obchodził budynek.

Adriano wyłonił się zza drzewa w małym parku na wprost wejścia do biblioteki. W jego twarzy o miękkich rysach odbijały się niebieskie i czerwone błyski lamp na dachu radiowozu. Przyglądał się z zaciekawieniem wysokiemu mężczyźnie i rudowłosej kobiecie, którzy przeszkodzili mu w polowaniu.

Z piskiem opon zatrzymał się drugi radiowóz i wysiedli z niego dwaj następni policjanci.

Adriano cofnął się w mrok i odszedł niezauważony sprzed biblioteki. Był cierpliwy. Wiedział, gdzie mieszka Angela. Zamierzał poczekać na jej powrót do domu.

Austin na wpół drzemał, gdy wyczuł zmianę w wysokości i szybkości citationa. Otworzył oczy i wyrzwał przez okno. W dywanie świateł, rozciągającym się w dole, rozpoznał Waszyngton i gęsto zaludnione podmiejskie okolice w Wirginii.

Carina spała z głową opartą na jego barku. Poklepał ją w ramię.

- Jesteśmy w domu.

Obudziła się i ziewnęła.

- Ostatnie, co pamiętam, to start z Paryża.

- Opowiadałaś mi o swoich planach w związku z wystawą.

- Przepraszam. - Przetarła zaspane oczy. - Wrócę do mojego hotelu i porządnie się wyśpię. Jutro rano pojedę pociągiem do Nowego Jorku. Muszę porozmawiać z ludźmi w Metropolitan Museum of Art o otwarciu.

- Ruszasz w trasę bez Żeglarza?

- Nie mam wielkiego wyboru. Ale jest też dobra strona tej sytuacji. Wiadomość o kradzieży posągu może przyciągnąć więcej zwiedzających. Austin szukał słów, które nie zabrzmiałyby po ojcowsku. - W świetle ostatnich wydarzeń to chyba nie najlepszy pomysł, żebyś podróżowała sama - pocałowała go w policzek.

- Dzięki za troskę, Kurt, ale tylko kilka osób będzie znać moje plany. - Znow ziewnęła. - Myślisz, że nadal coś mi grozi?

Zacisnął wargi i uśmiechnął się lekko. Nie chciał straszyć Cariny, ale musiał ją ostrzec, że jest tak, jakby miała wymalowaną tarczę strzelniczą na plecach.

- Nasz przyjaciel Buck wyznał, że chcą cię porwać. Ludzie, dla których pracował, mają długie ręce. Przekonaliśmy się o tym w Turcji. Carina uniosła butnie podbródek.

- Nikt mnie nie zmusi do tego, żebym przez resztę życia chowała się w szafie.

- Proponuję kompromis - powiedział Austin. - Przenocuj dziś u mnie. Zamówię na kolację dużo tajskiego jedzenia. Odeśpisz różnicę czasu i jutro będziesz jak nowo narodzona.

- Z przyjemnością - zgodziła się bez wahania.

Pilot zakomunikował, że zbliżają się do portu lotniczego Dulles i będą na ziemi za piętnaście minut. Austin zerknął w bok. Po drugiej stronie przejścia Zavała spał jak zabity. Potrafiłby zasnąć na posłaniu z gwoździ i w razie potrzeby obudzić się natychmiast, by wkroczyć do akcji. Austin wyjął mu z kieszeni kurtki komórkę i zadzwonił do Troutów. Odebrał Paul. Kurt powiedział, że właśnie przyleciał z Turcji, i zapytał, czy dostała dokumenty Jeffersona.

- Przeczytaliśmy je - mówił Paul. - Zapoznaliśmy się dobrze z konstrukcją okrętu „Tarszisz”, tylko potrzebujemy więcej informacji, żeby wyznaczyć kurs. Ale musisz o czymś wiedzieć, Kurt. Dotarliśmy pewnym tropem do Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego i natknęliśmy się tam na istne wężowisko.

- Trudno jest mi sobie wyobrazić tę szacowną instytucję edukacyjną jako gniazdo żmij.

- Czasy się zmieniły. Krótko po naszej wizycie w siedzibie Towarzystwa została tam zamordowana bibliotekarka. Jej asystentkę spotkałby ten sam los, gdybyśmy nie spłoszyli zabójcy.

- Przyjrzelście mu się?

- Owszem. Wielki facet z twarzą dziecka i okrągłymi niebieskimi oczami.

- Spotkałem już tego dżentelmena. Asystentce nic się nie stało?

- Jest roztrzęsiona. Kiedy policja skończyła przesłuchanie, namówiliśmy dziewczynę do wyjazdu z Filadelfii. Chciała wstąpić do swojego mieszkania, ale przekonaliśmy ją, że powinna pojechać z nami prosto do Georgetown. Gamay pożyczyła jej trochę ubrań, które na nią pasują.

- Chciałbym ją poznać. Może jutro około siódmej?

- Przyniesiemy kawę i pączki. Ale jeszcze mi nie opowiedziałeś, jak było w Stambule.

- Turcja też ma problem z plagą węży. Do zobaczenia jutro.

Uderzenie kół samolotu w asfalt obudziło Zawalę z głębokiego snu.

Wyjrzał przez okno.

- Już jesteśmy w domu?

Kurt oddał mu komórkę.

- Przespałeś cały lot nad Atlantykiem.

Joe wydał policzki.

- Przez ciebie miałem koszmarne sny o eunuchach.

Samolot dokołował do prywatnego hangaru NUMA na uboczu. Trójka pasażerów wysiadła i ostrożnie załadowała gipsowe odlewy oraz swoje bagaże do dzipa cherokee z floty samochodowej NUMA. Austin podrzucił Zawalę do domu, potem pojechał do siebie. Po drodze odebrał zamówione potrawy tajskie.

Kolację jedli na tarasie przy jazzie progresywnym z kolekcji Austina w tle. Kiedy sączyli brandy do muzyki Johna Coltrane'a i Oscara Petersona, umówili się, że nie będą rozmawiać o tajemnicach wokół Żeglarza. Zamiast tego, opowiadali sobie o swojej pracy. Carina porównywała przygody Austina z własnymi.

Alkohol i zmęczenie wielogodzinną podróżą zrobiły swoje i Carina zaczęła drzemać. Kurt zaprowadził ją do sypialni w wiktoriańskiej wieżycy i wiedząc, że nie będzie mógł zasnąć, wrócił na dół do swojego gabinetu. Wyciągnął się w wygodnym skórzanym fotelu i wpatrzył w bursztynowy płyn w koniakówce jak w szklaną kulę. Przypominał sobie wszystkie szczegóły ostatnich wydarzeń, począwszy od sygnału SOS z platformy wiertniczej.

Miał nadzieję, że jego rozmyślania zaowocują obrazem o przejrzystości płótna Rembrandta, ale powstało z nich tylko abstrakcyjne dzieło Jacksona Pollocka. Austin wstał, podszedł do biblioteczki i znalazł książkę Anthony'ego Saxona. Usadowił się z powrotem w fotelu i zaczął czytać.

Anthony Saxon był prawdziwym poszukiwaczem przygód. Wyrąbał sobie drogę przez dżunglę, by odkryć dawno zaginione południowoamerykańskie ruiny. Omal nie zginął na pustyni z rąk członków koczowniczego plemienia. Przeszukał niezliczone tonące w kurzu grobowce i odnalazł wiele mumii. Jeśli tylko jedna dziesiąta tego, co napisał, była prawdą, to musiał być ulepiony z tej samej gliny, co tacy słynni eksploratorzy, jak Hiram Bingham, Stanley i Livingstone oraz Indiana Jones.

Kilka lat wcześniej zaplanował podróż, która mogłaby być przygodą jego życia. Zamierzał przepłynąć repliką fenickiego statku od Morza Czerwonego do wybrzeży Ameryki Północnej. Rejs przez Pacyfik dowiódłby prawdziwości jego teorii, że Ofir, legendarna kraina z kopalniami złota

króla Salomona, leżała w obu Amerykach. Ale pewnej nocy statek w tajemniczych okolicznościach spłonął do linii wodnej.

Saxon uważał, że Ofir nie był nazwą jednego miejsca, lecz szyfrem oznaczającym kilka źródeł bogactwa Salomona. Twierdził, że Salomon kazał zwodować pod kierunkiem fenickiego admirała Hiramą dwie flotyle. Jedna wyruszyła z Morza Czerwonego, druga przepłynęła przez Cieśninę Gibraltarską i pokonała Atlantyk.

Saxon natrafił w peruwiańskich ruinach na dziwny hieroglif, który pasował do podobnych znaków wyrytych na tablicach w Libanie i Syrii. Nazwał go symbolem „Tarszisz” i podejrzewał, że to może być skrót od słowa „Ofir”. W jego książce było kilka zdjęć hieroglify.

Austin im się przyjrzał.

Symbol składał się z poziomej linii i odwróconych do siebie tyłem liter Z na obu jej końcach. Wyglądał identycznie ze znakiem wyrytym na kilcie Żeglarza i boku kota z brązu.

Podróżnik wyczerpał wszystkie możliwości zbadania historii Salomona i Ofiru. Potem w rozdziale zatytułowanym „Epifania” opisał, jak wpadł na pomysł odszukania grobowca królowej Saby. Nikt nie był w bliższych stosunkach z Salomonem niż ona. Może zwierzali się sobie w łóżku. Saxon zostawił sprawę Ofiru i poszedł tropem królowej Saby.

Zajęło mu to lata. Pokonał tysiące kilometrów. Dawno nieżyjąca królowa zauroczyła go. Wierzył, że istniała naprawdę, nie była postacią fikcyjną, jak utrzymywali niektórzy eksperci; że miała ciemną skórę i zapewne pochodziła z Jemenu. Przytoczył legendę o Salomonie i królowej Saby. Zaciekawiona opowieściami o jego mądrości złożyła mu wizytę. Byli sobą urzeczeni i mieli dziecko. Władczyni wróciła w końcu do domu, by zająć się swoim państwem. Uważano, że ich syn został królem Etiopii.

Ciemnoskóra piękność powiązana z Etiopią. Austin zadumał się. Zerknął w kierunku schodów prowadzących do sypialni w wieżycze.

Godzinę później skończył ostatni rozdział i odłożył książkę. Sprawdził wszystkie drzwi, pogasił światła i wspiał się cicho po spiralnych schodach na górę. Rozebrał się, wsunął pod przykrycie, nie budząc Cariny, opiekuńczo otoczył ją ramieniem i szybko zasnął.

Wczesnym rankiem obudził go głos Cariny. Zaparzyła dzbanek kawy i rozmawiała przez telefon. Robiła rezerwację na pociąg i umawiała się z Metropolitan Museum of Art. Wzięli prysznic, ubrali się i zjedli śniadanie. Potem odwiózł Carinę na dworzec Union Station. Pocałowała go w usta i powiedziała, że wróci do Waszyngtonu wieczorem. Zadzwoni po wyjeździe pociągiem z Nowego Jorku.

Jadąc z dworca, Austin zatrzymał się przed wieżowcem NUMA. Wjechał windą z podziemnego garażu na piętnaste piętro, minął korytarz i wszedł do dużego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Wzdłuż długiej, półkolistej ściany ciągnął się rząd ekranów telewizyjnych, które wyświetlały obrazy przekazywane przez NUMASat.

Bardziej czytana część personelu NUMA nazywała ten wszystkowiedzący system „okiem Saurona”. Strażnik oka, Jack Wilmut, nie przypominał przerażającej postaci wymyślonej przez Tolkiena. Dobroduszny mężczyzna po czterdziestce nadzorował system NUMASat z za skomplikowanej konsoli na środku sali.

Po obu stronach konsoli były dwa mniejsze stanowiska komputerowe. Interpretery satelitarne odpowiadały na tuziny pytań naukowców, uniwersytetów i organizacji związanych z morzem z całego świata.

Austin zawsze się zastanawiał, dlaczego geniusze mają skłonność do noszenia dziwacznych fryzur. Einstein, Beethoven, Mark Twain. Nemezis Supermana, Lex Luthor. Brodaty guru komputerowy NUMA, Hiram Yeager. Pulchny Wilmut cesał się z dwoma przedziałkami tuż nad uszami.

Austin zaszedł go z tyłu i powiedział swoim najgrubszym basem:

- Witaj, o wszystkowiedzący Sauronie.

Wilmut obrócił się na krześle i uśmiechnął szeroko.

- Witaj, Śmiertelniku. Oczekiwałem cię.

- Oko Saurona wszystko widzi, wszystko wie.

- A gdzie tam - odparł Wilmut. - Po prostu dostałem od ciebie z Turcji maila i zdjęcia. Siadaj i mów, w czym ci mogę pomóc.

Austin klapnął na obrotowe krzesło.

- Na tych zdjęciach są gipsowe odlewy znaków na starożytnym posągu. Uważam, że te zawijasy to kontury jakiejś mapy. Prawdopodobnie części Wschodniego Wybrzeża. Jestem ciekaw, czy można by ją porównać ze zdjęciami satelitarnymi.

W odpowiedzi Wilmut kliknął myszą. W prostokącie na ekranie pojawiło się zdjęcie kota Żeglarza zrobione przez Austina. Obraz był ostrzejszy niż na oryginalnej fotografii.

- Wzmocniłem obraz - wyjaśnił Wilmut. - Usunąłem szare przestrzenie, zamazane krawędzie i różne śmiecie. Te ramki pomagają w wizualizacji.

Austin postukał palcem wskazującym w ekran.

- Ten symbol może oznaczać zatopiony statek. Problem w tym, że nie wiem, czy tamten kwadrat ma powierzchnię jednej mili, dziesięciu czy stu mil.

- To zdjęcie jest podobne do odcisku palca - mówił Wilmut. - Odciski są dopasowywane do linii papilarnych według charakterystycznych cech nazywanych detalami Galtona, punktami lub szczegółami identyfikacyjnymi. Rozpoznajesz odciski, porównując drobne szczegóły. Oto charakterystyka linii papilarnych. Wyspy. Bifurkacje. Stworzyłem algorytm, który dopasuje punkty na prymitywnej mapie do zdjęć satelitarnych. Komputer NUMASat sprawdzi wszystkie możliwości. Ale to trochę potrwa.

Austin powiedział Wilmutowi, że będzie na konferencji, ale żeby go zawiadomił, jeśli uzyska jakieś informacje. Zjechał windą na inne piętro i spotkał w korytarzu Zawalę. Weszli razem do sali konferencyjnej, gdzie na ścianach wisiały wizerunki żaglowców. Środek sali zajmował długi dębowy stół konferencyjny, który zdawał się płynąć jak statek przez morze po grubym niebieskim dywanie.

Troutowie siedzieli przy stole w towarzystwie młodej kobiety z poważną miną. Austin domyślił się, że to Angela Worth. Była nadal w lekkim szoku. W ciągu kilku godzin poznała Troutów, widziała zwłoki swojej szefowej i omal nie została zamordowana. Jeszcze nie doszła do siebie, a już znalazła się w samym sercu NUMA, agencji, o której dotąd tylko słyszała.

Potem otworzyły się drzwi i weszli dwaj mężczyźni, wyglądający jak bohaterowie powieści przygodowej. Jeden z nich był mocno zbudowany, miał przenikliwe niebieskozielone oczy i dziwnie białe włosy. Podszedł i przedstawił siebie i swojego przystojnego przyjaciela o ciemnej cerze. Angeli niemal odjęło mowę.

Usiedli przy stole i Paul wręczył im komputerowe wydruki pokazujące „Tarszisa”.

- Uważamy, że taki statek dopłynąłby do Ameryki Północnej. Nie zaszliśmy daleko, starając się odtworzyć trasę rejsu przez Atlantycką, więc spróbujemy innej drogi. Zauważyliśmy wiele

powiązań z Towarzystwem Filozoficznym i poszliśmy tym tropem. Tak poznaliśmy Angelę.

- Gratuluję znalezienia dokumentów Jeffersona. - Przyjazny uśmiech Austina sprawił, że Angelę powoli opuszczało napięcie.

- Dziękuję - odparła. - Po prostu miałam szczęście.

- Angeli jeszcze bardziej dopisało szczęście - wtrąciła Gamay. - Opowiedz Kurtowi i Joemu, co odkryłaś.

- Naszym zdaniem Meriwethera Lewisa zamordowano, żeby mu przeszkodzić w dostarczeniu ważnych informacji Thomasowi Jeffersonowi.

- Chętnie posłucham, jak pani doszła do tego wniosku - powiedział Austin.

Angela wyjęła akta ze zniszczonego skórzanego nesesera.

- Poszukałam w dokumentach informacji o niewolniku Lewisa, młodym człowieku imieniem Zeb. I znalazłam. Z akt wynika, że przyjechał do Monticello kilka tygodni po śmierci Lewisa. Możliwe, że towarzyszył mężczyźnie o nazwisku Neelly, który wybrał się do Monticello z wiadomością, że Lewis nie żyje. Neelly z pewnością potrzebował pomocy przy transporcie rzeczy Lewisa, więc wziął ze sobą niewolnika. Zastanawiałam się, co się potem mogło stać z Zebem.

- W tamtych czasach niewolnik byłby uważany za część majątku Lewisa - przypomniał Austin.

- Tak myślałam. Zostałby dostarczony wraz z resztą własności Lewisa jego rodzinie. Kierując się przeczuciem, przejrzałam ówczesną populację niewolników w Monticello. Natrafiłam na coś fascynującego.

Podala Austinowi kartkę z nazwiskami niewolników, ich płcią, wiekiem i rodzajem pracy. Popatrzył na listę i bez słowa puścił ją w obieg wokół stołu.

- Zeb jest tu wymieniony jako wolny człowiek - odezwała się Gamay. - Był przydzielony do pracy w domu.

- Jak to się stało, że zyskał wolność w wieku osiemnastu lat? - zapytał Austin.

- Może w nagrodę - podsunęła Angela.

- To ma sens - przyznał. - Jefferson mógł w ten sposób podziękować młodemu człowiekowi za wierną służbę.

- Założę się, że chłopak dostarczył Jeffersonowi materiał Lewisa - stwierdziła Gamay.

- Wie pani może, jakie były jego dalsze losy? - zwrócił się Austin do Angeli.

- Został w Monticello i zajmował wysokie stanowisko w rezydencji. Zniknął z listy personelu lata później, ale to nie koniec historii.

Wyjęła kopię starego wycinka prasowego.

Gamay przeczytała tekst.

- Nasz wolny człowiek?

- Napisano, że pracował dla prezydenta Jeffersona - przytaknęła Angela.

Gamay podała wycinek mężowi.

- To prawdziwa bomba! - wykrzyknął. - Miał ponad dziewięćdziesiąt lat i udzielił tego wywiadu krótko przed śmiercią. Zanim zmarł, stwierdził kategorycznie, że Meriwether Lewis został zamordowany.

- Jakie są szanse, że powiedział Jeffersonowi to samo? - spytał Austin.

- Przypuszczamy - mówił Paul - iż Jefferson wiedział od początku, że to było zabójstwo, ale rozpowszechniał wersję o samobójstwie, mimo że szkodziła dobrej reputacji jego starego przyjaciela.



- Jefferson nie cofał się przed krętaństwem - przypomniał Austin - ale musiał mieć ważny powód. Paul uniósł komputerowy rysunek statku.
- Chyba nie chciał, żeby się zorientowano, że wie o tym.
- Myślę, że nasz następny krok jest oczywisty - odezwała się Gamay. - Podróż do Monticello.

Musimy spróbować się dowiedzieć czegoś więcej o młodym Zebie.

Austin już miał przytaknąć, gdy przeprosił, żeby odebrać telefon. Dzwonił Wilmut.

- Udało się - oznajmił podekscytowanym tonem.
- Ustaliłeś pozycję statku?
- Lepiej, Kurt. Znalazłem sam statek.

Austin stał na pokładzie swojej jednomasztowej łodzi żaglowej i patrzył na zatokę Chesapeake. Znał ten akwen. Spenetrował niemal w całości oba brzegi siedmiometrową żaglówką o małym zanurzeniu, którą odrestaurował. Mimo dużej szerokości łódź była zaskakująco szybka i zwrotna. Mówiono, że jednomasztowiec tego typu jest zwinny jak kot. Austin uwielbiał szybkość. Niczego tak nie lubił jak pływania maksymalnie ostro na wiatr z dużym żaglem gaflowym wydętym przez bryzę.

Ale nie dziś. Zszedł z pokładu, wrócił na parking i pomógł Zawali wyładować z dzipa ich bagaż. Po spotkaniu w siedzibie NUMA zabrali trochę sprzętu i pojechali do stoczni jachtowej na południe od Annapolis. Austin zadzwonił wcześniej do jej szefa i poprosił o wypożyczenie im sześciometrowej fiberglasowej motorówki.

Zawala wziął worki marynarskie z ich akwalungami, Austin chwycił dwa plastikowe pojemniki. Zanieśli wszystko na nabrzeże i umieścili w motorówce. Odcumowali ją, wypłynęli na zatokę i skierowali się na południe. Zawala sterował, Austin patrzył na mapę nawigacyjną i przenośny odbiornik GPS.

Zatoka Chesapeake to największe estuarium w Stanach Zjednoczonych. Ma długość trzystu dwudziestu kilometrów. Ciągnie się od Havre de Grace w Marylandzie, gdzie do zatoki uchodzi rzeka Susquehanna, aż do Norfolk w Wirginii. Szerokość estuarium wynosi od około pięćdziesięciu sześciu kilometrów przy ujściu Potomacu do niecałych sześciu i pół kilometra w pobliżu Aberdeen w Marylandzie.

Joe przyjrzał się uważnie rozległej powierzchni wody, która iskrzyła się w słońcu.

- Ile wraków leży na dnie Chesapeake?! - zawołał przez hałas silnika. Kurt podniósł wzrok znad mapy.

- Według ostatnich danych około tysiąca ośmiuset. Od jakiegoś XVI-wiecznego żaglowca do kutra patrolowego straży przybrzeżnej „Cuyahoga”, który zatonął po kolizji. Ale historycy NUMA nie potrafili nic powiedzieć o naszym celu zlokalizowanym przez satelitę.

- Jaka tu jest głębokość?

- Raczej niewielka - odparł Austin. - Przeciętnie około sześciu i pół metra, choć zdarzają się miejsca, gdzie jest ponad sześćdziesiąt. - Postukał palcem w mapę. - Wygląda na to, że nasz cel zatonął w jednym z tych głębokich dołów.

Motorówka mknęła na południe po grzbietach półmetrowych fal, mijając łodzie poławiaczy ostryg i żaglówki. Na drodze wodnej Intercoastal Waterway, biegnącej środkiem Chesapeake, w obu kierunkach panował stały ruch.

Niecałą godzinę po wyjściu z portu Austin znów zerknął na odbiornik GPS i dał znak Zawali. Joe przymknął przepustnicę i skręcił w kierunku, który wskazał Kurt. Kiedy dotarli na miejsce, Austin wycelował palec w dół.

- Tutaj! - krzyknął.

Motorówka się zatrzymała i Zavala wyłączył silnik. Austin odłożył odbiornik GPS i wyrzucił za burtę kotwicę. Łódź kołysała się na falach kilkaset metrów od małej wyspy. Głębokościomierz motorówki wskazywał, że pod kadłubem jest czternaście metrów wody. Pochylili się nad zdjęciem satelitarnym, które dał im Wilmut. Słaby zarys statku był wyraźnie widoczny. Wrak powinien być dokładnie pod nimi.

Austin otworzył plastikową skrzynię i wyjął ROV-a, zdalnie sterowany pojazd podwodny, model SeaBotix, przypominający kształtem i wielkością odkurzacz. NUMA miała również ROV-y o wymiarach samochodu osobowego i Kurt mógłby wykorzystać zestaw zaawansowanych technicznie urządzeń sensorowych, ale zależało mu na szybkości. Zrezygnował z czasochłonnej detekcji magnetometrem i sonarem bocznym na rzecz poszukiwań pojazdem przeznaczonym do pływania w płytkiej wodzie, który był mały i wygodny w transporcie.

W jednym końcu jaskrawoczerwonej plastikowej obudowy mieściła się kolorowa kamera o wysokiej rozdzielczości i reflektory halogenowe. Drugi koniec zajmowała para pędników o dużej mocy. Jeden poruszał pojazdem w poziomie, drugi w pionie. Metalowe rury po obu stronach ROV-a pełniły funkcję płóz i osłon obudowy.

Zavala uniósł wieko drugiej skrzyni, w której spoczywał ośmiocalowy monitor i konsola sterownicza pojazdu. Miał duże doświadczenie w pilotowaniu ROV-ów, a pojedynczy dżojstik był łatwy w obsłudze. Połączyli pojazd i konsolę niskooporowym stumetrowym przewodem. Kurt podniósł ROV-a za uchwyt na wierzchu obudowy i opuścił do wody. Joe delikatnie wykonał pojazdem kilka manewrów, żeby wyczuć ster. Potem wprowadził ROV-a w płytkie nurkowanie w kierunku dna i uruchomił pędniki.

Pojazd szybko zszedł na głębokość dwunastu metrów. Zavala wypoziomował go i spojrzał na monitor. Na muliste dno padały dwa snopy światła reflektorów. Ani śladu wraka. Joe kilkakrotnie poprowadził ROV-a tam i z powrotem, jakby kosił trawnik. Nadal nic.

- Mam nadzieję, że nasz cel nie był czkawką NUMASat - zwrócił się do Austina, który patrzył ponad jego ramieniem na ekran.

- Nie ma mowy. Poszukaj bardziej w prawo.

Joe włączył pędnik poziomy i skierował minipojazd w bok. Pływał nim po równoległych liniach i zawracał mniej więcej co osiem metrów. Nagle halogeny ROV-a oświetliły ciemną krzywiznę wystającą z dna.

Zavala zatrzymał pojazd w zawisie.

- To jest albo żebro węża morskiego, albo wręga.

Obraz na monitorze sprawił, że Kurt uśmiechnął się szeroko.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy nasz wrak. Przypomnij mi, żebyś złożył jakiegoś hobbita w ofierze Sauronowi.

Zavala ruszył ROV-em naprzód. Ukazały się następne wręgi, które tworzyły zarys szkieletu kadłuba. Im bardziej pojazd zbliżał się do dziobu statku, tym były mniejsze.

- Drewno zachowało się całkiem dobrze, z wyjątkiem górnych końców, gdzie wydaje się zwęglone - powiedział Joe.

- To by wyjaśniało przyczynę zatonięcia statku. Spłonął.

- Na ile oceniasz jego długość?

Kurt wpatrzył się zmrużonymi oczami w ekran.

- Na jakieś czterdzieści pięć metrów. Może więcej. Co tam jest na prawo?

Zavala szybko skreślił ROV-em. Blask reflektorów wyłowił z mroku coś o wyglądzie długiego zwierzęcego pyska z drewna. Górna część łba była spalona i nie do rozpoznania.

- Przypomina mi to część dużej głowy konia na patyku.

Austinowi skoczyło tętno. Sięgnął do worka marynarskiego i wyjął wodoszczelną teczkę z przezroczystego plastiku. Przechowywał w niej komputerowy rysunek okrętu „Tarszisz”, który dostał od Troutów. Przysunął go do monitora. Koński pysk na ekranie był niemal identyczny z tym na rysunku.

- Możemy być pierwszymi ludźmi od ponad dwóch tysięcy lat, którzy patrzą na fenicki okręt „Tarszisz”, amigo.

Zavala się rozpromienił.

- Dałbym skrzynekę tequili *anejo* za to, żeby móc go zobaczyć na wodzie.

Poprowadził wolno pojazd wzdłuż lewej burty wraka. Austin zauważył ciemny okrągły kształt, leżący mniej więcej w centralnym punkcie kadłuba. Postukał palcem w ekran.

- Co to jest?

Joe ostrożnie zbliżył pojazd do tego miejsca.

Światło halogenów ROV-a padło na metalową kratę, pokrytą częściowo morską roślinnością. Obrócił pojazd i wykorzystał moc pędników do usunięcia piasku wokół obiektu.

- To hełm nurka - powiedział Austin.

- Wiem, że Fenicjanie byli pomysłowi, ale nie miałem pojęcia, że nurkowali w takich hełmach.

- Nie nurkowali. Ktoś dotarł do wraka przed nami i wygląda na to, że nadal tam jest.

Zavala zatrzymał ROV-a w zawisie tak, żeby widzieć hełm. Austin rozłożył na pokładzie swój sprzęt do nurkowania. Rozebrał się do spodenek kąpielowych i włożył neoprenowy „mokry” skafander, buty, rękawice i kaptur, potem wciągnął na stopy płetwy. Joe pomógł mu założyć pas balastowy i akwalung. Kurt sprawdził szybko sprzęt i wypróbował regulator. Opuścił maskę na oczy i zacisnął zęby na ustniku. Usiadł na krawędzi nadburcia i stoczył się tyłem do wody.

Opadł pod powierzchnię wśród pęcherzy powietrza. Czuł chłód, dopóki cienka warstwa zimnej wody między skórą a skafandrem nie ogrzała się do temperatury ciała. Wykonując silne ruchy muskularnymi nogami, popłynął w dół przez ciemniejącą toń w kierunku srebrzystozielonej poświaty halogenów ROV-a.

Znurkował prawie na pojazd, okrążył go z przodu i uniósł kciuki do obiektywu kamery. Zavala poruszył dziobem ROV-a w górę i w dół, jakby kiwnął głową. Austin pomachał do niego i odpłynął obejrzeć wręgi. Drewno rzeczywiście było zwęglone.

Odwracał się w stronę hełmu, gdy zobaczył prostokątny przedmiot, leżący w pobliżu. Podniósł go. Trzymał w rękach kamienną lub ceramiczną tabliczkę, mającą około dwudziestu centymetrów szerokości i kilka grubości. Po jednej stronie na jej powierzchni biegły wyrzeźbione linie.

Wsunął tabliczkę do torby przymocowanej do kamizelki ratunkowej i zajął się hełmem, czyszcząc jego podstawę z roślinności morskiej. Hełm był wciąż połączony z osłoną klatki piersiowej. Pokopał w mule. Wokół zewnętrznej krawędzi osłony ukazały się strzępy gnijącego płótna.

Austina przeszedł dreszcz, którego nie wywołała sama temperatura wody.

Odczepił od kamizelki ratunkowej wodoszczelną latarkę, zapalił ją i oświetlił kratę hełmu. Patrzyły na niego puste oczodoły w ludzkiej czaszce.

Zastanowił się nad następnym krokiem. Jak większość ludzi morza, miał najgłębszy szacunek dla podwodnych grobów. Nie był pewien, czy powinien zameldować władzom, co znalazł. Obawiał się,

że ciężka ręka policyjnych nurków zniszczy jakieś tajemnice, które mógł ujawnić wrak.

Otoczył hełm ramionami i wydobył ostrożnie z mułu. Czaszka wypadła dołem i wylądowała pionowo. Austina pocieszało to, że martwy nurek wciąż się szeroko uśmiecha.

Unikając wrogiego spojrzenia pustych oczodołów, wyjął z torby worek pneumatyczny, który po przywiązaniu linami do kołnierza hełmu napełnił powietrzem z butli akwalungu. Dopompował kamizelkę ratunkową, złapał hełm i wznosił się wolno ku powierzchni.

Zavala obserwował prymitywną akcję ratowniczą na monitorze ROV-a. Kiedy zobaczył wynurzoną głowę Austina, rzucił mu linę. Austin przywiązał ją do hełmu, żeby nie zatonął, podał Zavali swój akwalung, pas balastowy i płetwy, potem wspiął się po drabince na łódź.

Schylili się, chwycili linę i wciągnęli hełm na pokład.

Kurt zdjął kaptur i przyklęknął obok swojej zdobyczy.

- To stary typ. Pewnie leżał na dnie przez lata.

Zavala obejrzał złącze do węża powietrznego na hełmie, osłonę twarzy i osłony uszu. Przesunął palcami po metalowej kopule.

- Wyjątkowo dobra robota. Jest z mosiądzu i miedzi. - Spróbował podnieść hełm wraz z osłoną klatki piersiowej. - Waży na pewno ponad dwadzieścia kilogramów. Facet, który go używał, musiał być niezłym twardzielem.

- Ale to mu nie pomogło - zauważył Austin.

- Na to wygląda. - Zavala zerknął za burtę. - Ciekawe, kto to był. Kurt starł narośl i odsłonił owalną metalową tabliczkę, przynitowaną z przodu osłony klatki piersiowej. Była na niej wygrawerowana nazwa producenta: „Morse Diving Equipment Company, Boston”. Poniżej widniał numer seryjny hełmu.

- Może to nam coś powie.

Zadzwoił z komórki do działu historycznego NUMA. Przedstawił się badaczce, która powiedziała, że ma na imię Jennifer, i podał jej informacje z tabliczki na hełmie. Poprosiła jeszcze o numery na ściągaczach pasowych i obiecała, że oddzwoni, kiedy tylko coś znajdzie.

Zavala wrócił do konsoli sterowniczej ROV-a i go wynurzył. Wyciągnął kompaktowy pojazd z wody, potem Austin zwinął starannie przewód i położył na pokładzie. Wtedy zauważył swoją torbę nurka i wyjął z niej znaną tabliczkę. Pod wodą miała zielonkawoszary kolor, ale po wyschnięciu zrobiła się brązowa. Głębokość kilku przecinających się linii prostych, wrytych po jednej stronie, sięgała około trzynastu milimetrów. Podał tabliczkę Zavali.

- Leżała w pobliżu hełmu. Najpierw myślałem, że linie to granice naturalnych warstw, ale teraz wcale nie jestem pewien.

Zavala przyjrzał się tabliczce pod różnymi kątami, żeby sprawdzić odbicie światła od powierzchni.

- Linie są zbyt regularne i zbyt głębokie, żeby mogły być naturalne. Równoległe boki są idealnie równe. To zdecydowanie dzieło człowieka. Jak jest z twoją znajomością pisma fenickiego?

- Mocno zardzewiała - odparł Austin. Wziął od niego tabliczkę i schował do torby.

Obejrzelili zdjęcia, które zrobił ROV, kiedy pierwszy raz przepływał nad wrakiem, i zmienili ocenę długości statku. Po swoim nurkowaniu Austin oszacował ją na około sześćdziesiąt metrów.

- Jedno jest pewne - stwierdził Joe. - To nie była łódź wiosłowa. Zadzwiała komórka Austina.

- Chyba natrafił pan na coś naprawdę cennego - powiedziała Jennifer, badaczka z NUMA. - To

autentyczny hełm MK z dwunastoma ryglami i czterema iluminatorami, używany kiedyś przez nurków marynarki wojennej. Bostońska firma Morse produkowała wyroby z mosiądzu i zaczęła konstruować hełmy w czasie wojny secesyjnej.

- Ten wygląda na dużo nowszy - odparł Austin.

- I jest. Pochodzi z roku 1944. Model MK wytwarzano od początku XX wieku. Modernizowano go na przestrzeni lat. Był w marynarce prawdziwym wołem roboczym. Podczas II wojny światowej korzystano z niego przy wydobywaniu każdego zatopionego okrętu podwodnego.

- Czy to znaczy, że ostatni raz był w użyciu w czasie wojny?

- Niekoniecznie. Ktoś mógł go znaleźć w magazynie z nadwyżkami wojskowymi. Jeśli hełm jest w dobrym stanie, może być wart sporo pieniędzy na rynku kolekcjonerskim.

- Szkoda, że nie wiemy, kto jest jego właścicielem.

- Tego nie potrafię powiedzieć, ale sprawdziłam w archiwach marynarki, że podczas wojny używał go nurek nazwiskiem Chester Hutchins. Z dokumentów wynika, że kupił po wojnie hełm jako nadwyżkę wojskową. Mieszkał w Havre de Grace w Marylandzie.

Austin znał to miasto nad wodą, leżące niedaleko ujścia rzeki Susquehanna.

- Wiem, gdzie to jest. Dzięki. Może jego krewni nadal tam mieszkają.

- Jedna osoba na pewno. Niejaka pani Chesterowa Hutchins. Ma pan coś do pisania?

Znalazł długopis w skrzyni z częściami zapasowymi i zanotował numer telefonu na marginesie mapy nawigacyjnej. Podziękował Jennifer i powtórzył informacje Zavalii.

- To wygląda na właściwy trop - stwierdził Joe.

- Zobaczymy. - Austin wybrał numer. Telefon odebrała kobieta. Austin się zawahał; nie chciał nikogo przyprawić o atak serca. Ale nie było sposobu na delikatne przekazanie tej wiadomości.

Zapytał, czy jest spokrewniona z Chesterem Hutchinsem.

- Owszem. To znaczy, byłam. On nie żyje od wielu lat. A kto mówi?

- Nazywam się Kurt Austin. Pracuję w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Mój przyjaciel i ja nurkowaliśmy dziś do wraka w zatoce Chesapeake i znaleźliśmy hełm nurka. Ustaliliśmy, że należał do pani męża.

- Mój Boże - powiedziała. - Po tylu latach.

- Chce pani, żebyśmy go przywieźli?

- Bardzo proszę. Podam panu mój adres.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, potem Austin się rozłączył. Joe przysłuchiwał się rozmowie.

- I co?

Kurt zgiął kciuk i palec wskazujący.

- Bingo!

Carina była w siódmym niebie.

Spotkanie z dwoma organizatorami wystawy przy lunchu w kawiarnianym ogródku Metropolitan Museum of Art wypadło dużo lepiej, niż się spodziewała. Sprawy szły po jej myśli. Nareszcie.

Jej rozmówcy natychmiast zgodzili się z nią, że nagłośnienie kradzieży Żeglarza przyciągnie ludzi do muzeum. Słuchali zafascynowani, gdy opowiadała o długich poszukiwaniach posągu, próbie przechwycenia go przez złodziei i kradzieży, która im się powiodła.

Podeksytowani organizatorzy wymieniali się pomysłami i zapisywali je w elektronicznych notesach.

Zrobi się wystawę w ramach wystawy. Dla Żeglarza będzie oddzielna sala. Zawisną tam ogromne zdjęcia z „National Geographic”, pokazujące proces wykopywania posągu w Syrii. Fotosy muzeum w Iraku. Piramid w Egipcie. Kontenerowca. Smithsonian Institution. Wszystkie fragmenty układanki. Na środku stanie puste podwyższenie zarezerwowane dla posągu. To stworzy atmosferę tajemniczości.

Temat wystawy jest oczywisty: „Zaginiony”.

To będzie największy sukces muzeum. Przebój.

Kiedy Carina zjeżdżała windą w dół z kawiarni na dachu, uśmiechała się do siebie. Amerykanie. Mogą mieć swoje problemy, rywalizując gospodarczo z resztą świata, ale nie stracili umiejętności sprzedawania powietrza.

Myśl o Amerykanach przypomniła jej, że powinna zadzwonić do Kurta.

Kusiło ją, żeby obejrzeć niektóre z imponujących zbiorów muzeum, ale gdy zerknęła na zegarek, okazało się, że spotkanie przy lunchu trwało dłużej, niż się spodziewała.

Przeszła szybko przez Great Hall do głównego wejścia. Stała między wysokimi kolumnami na szczycie szerokich schodów, biegnących w dół do Piątej Alei, i wyjęła z torebki komórkę. Zaczęła wybierać numer, kiedy sobie przypomniła, że Kurt wyrzucił w Turcji swój telefon do morza.

Zadzwoniła do informacji i poprosiła o numer centrali NUMA. Była zadowolona, że telefon odebrała żywa osoba. Admirał Sandecker nie cierpiał zautomatyzowanej poczty głosowej i NUMA pozostała zapewne jedyną agencją rządową w Waszyngtonie, gdzie wciąż pracowały telefonistki.

Zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce Austina. Powiedziała, że zaraz weźmie taksówkę na dworzec Penn Station i zadzwoni z pociągu lub po przyjeździe do Waszyngtonu. Taką samą wiadomość zostawiła mu w domu. Dodała, że jeśli się nie skontaktują w czasie jej podróży, pojedzie taksówką do swojego hotelu i będzie czekać na jego telefon.

Kiedy dzwoniła, każdy jej ruch był śledzony z przedniego siedzenia taksówki korporacji Yellow Cab, zaparkowanej blisko głównego wejścia do muzeum.

Nie odrywając wzroku od swojego celu, kierowca uniósł do ust radio.

- Zabieram ją sprzed muzeum - zameldował.

Carina schowała komórkę do torebki i zeszła po schodach.

Samochód ruszył powoli naprzód i kierowca włączył podświetlenie znaku „taxi” na dachu, chcąc pokazać, że taksówka jest wolna. Precyzyjnie wyliczył czas i zatrzymał się przed Cariną w momencie, gdy doszła do krawężnika.

Nie mogła uwierzyć, że ma takie szczęście.

Otworzyła tylne drzwi i wsiadła.

- Dokąd jedziemy? - zapytał przez ramię kierowca.

- Na dworzec Penn Station.

Taksówkarz skinął głową i zamknął odsuwaną plastikową przegrodę, oddzielającą przednie siedzenie od tylnego. Samochód włączył się do gęstego ruchu na Piątej Alei. Carina popatrzyła przez okno na ulicę. Nowy Jork był jednym z jej ulubionych miast. Uwielbiała energię, kulturę i siłę tej metropolii, fascynowała ją także różnorodność spotykanych tu ludzi.

Czasami myślała ze smutkiem, że nie ma swojego „macierzystego portu”. Była dzieckiem Europy i Afryki, stała każdą nogą na innym kontynencie. Mieszkała i pracowała w Paryżu, ale więcej czasu spędzała w drodze niż na miejscu. Cieszyła się na ponowną wizytę w domu Austina. Podobał jej się ten odważny i przystojny Amerykanin. Zazdrościła mu, że potrafi zachować równowagę między podróżowaniem po świecie a przebywaniem w kraju. Postanowiła, że zapyta go, jak on to robi.

Carina poczuła nagle taki zapach, jakby do taksówki wsiadła mocno uperfumowana kobieta. Dostała zawrotów głowy. Spróbowała otworzyć okno, ale mechanizm nie działał. Zapach się nasilał, dusił ją. Przesunęła się na siedzeniu do drzwi z drugiej strony, żeby spróbować opuścić szybę, niestety ta też była zablokowana.

Coraz bardziej kręciło jej się w głowie. Wiedziała, że jeśli zaraz nie odetchnie świeżym powietrzem, zemdleje. Zastukała w przegrodę, żeby zwrócić na siebie uwagę kierowcy. Nie zareagował. Zerknęła na jego identyfikator i pomyślała, że zdjęcie nie pasuje do twarzy taksówkarza. Poczula przyspieszone bicie serca i oblała się zimnym potem.

Muszę... wysiąść.

Załomotała pięściami w plastikową ściankę. Kierowca spojrział w lusterko wsteczne. Zobaczyła jego oczy. Patrzył na nią obojętnym wzrokiem. Odbicie w lusterku zaczęło się zamazywać.

Ramiona wydawały jej się takie ciężkie, jakby były z ołowiu. Nie mogła podnieść ręki. Wyciągnęła się na tylnym siedzeniu, zamknęła oczy i straciła przytomność.

Taksówkarz znów zerknął w lusterko. Zadowolony, że Carina zemdląca, sięgnął do przełącznika na desce rozdzielczej, żeby zamknąć dopływ gazu do kabiny pasażera. Potem skręcił z Piątej Alei w kierunku rzeki Hudson.

Kilka minut później dojechał do wartowni przy bramie ogrodzonego terenu. Ochroniarz wpuścił go na lądowisko helikopterowe nad brzegiem rzeki. Obok śmigłowca z wirującymi wolno rotorami stali dwaj ludzie, z wyglądu twardziele.

Kiedy taksówkarz zaparkował przy helikopterze, mężczyźni otworzyli tylne drzwi samochodu, wyciągnęli bezwładne ciało Cariny i załadowali ją do śmigłowca.

Jeden zajął miejsce pilota, drugi usiadł obok Cariny z pojemnikiem gazu, gotowy do jej ponownego uśpienia, gdyby zaczęła się budzić.

Rotory nabrały obrotów. Helikopter szarpnął i uniósł się w powietrze. Po chwili był tylko punktem na niebie.





- Tylko tutaj jestem szczęśliwy - zacytowała Gamay z przewodnika turystycznego. - Jefferson nie ukrywał swojej miłości do Monticello.

- Dziwisz mu się? - Paul wskazał przez przednią szybę znajomy portyk i rotundę na odległym wzgórzu, wysoko ponad zielonym, pagórkowatym krajobrazem Wirginii.

Minął co najmniej rok od ostatniej wizyty Troutów w legendarnej posiadłości Jeffersona podczas jednej z ich ulubionych wypraw samochodowych bocznymi drogami, które odbywali swoim hummerem. Zwykle prowadził Paul. Gamay go pilotowała i dostarczała lokalnego kolorytu, wyszukując w stosie przewodników mało znane fakty.

- Aha! - odezwała się Angela.

Trout się skrzywił. Angela, która siedziała z tyłu, okazała się w podróży tak samo drobiazgową jak Gamay. Od wyjazdu z Georgetown tego ranka obie kobiety na zmianę wyliczały potwierdzone i niepotwierdzone wiadomości o Jeffersonie i Monticello.

- Za późno - powiedział Paul, żeby powstrzymać młodą kobietę. - Jesteśmy na miejscu.

- Ale to jest ważne - oświadczyła Angela znad grubej książki w miękkiej oprawie, zatytułowanej Życie i czasy Thomasa Jeffersona. - Znalazłam coś o materiałach Jeffersona, skradzionych w czasie ich transportu rzeką do Monticello.

Trout nastawił ucha.

- Mów.

Angela nie potrzebowała zachęty.

- Jefferson napisał do swojego znajomego, doktora Beniamina Bartona, o utracie zbiorów indiańskiego słownictwa. Barton był przyrodnikiem, członkiem Towarzystwa Filozoficznego. Jefferson nazwał kradzież „szkodą nie do naprawienia”. Przez trzydzieści lat sporządził pięćdziesiąt indiańskich słowniczków, ale odkładał ich publikację do czasu zapoznania się z tym, co zgromadził Lewis. Uważał, że niektóre indiańskie słowa są bardzo podobne do rosyjskich. Wyłowił z rzeki kilka kartek zawierających część słownictwa Indian Pani zebranego przez Lewisa i jakieś inne resztki, gdzie widzę jego odręczne pismo, ale nic nie wskazuje na to, w jakim języku.

- Ciekawe, czy zachowane słowa są podobne do tych na mapie, zidentyfikowanych jako fenickie - powiedziała Gamay.

- Możliwe - odparł Paul. - Jefferson mógł napisać do Lewisa o fenickich słowach na mapie. Lewis zauważył, że są podobne do tych, które zgromadził podczas swoich podróży, ale nie zawiadomił o tym Jeffersona.

- Dlaczego?

- Nie zorientował się, jakie mają znaczenie. Kiedy dostał list od swojego dawnego szefa, rzucił wszystko i wyruszył do Monticello z czymś, co chciał pokazać Jeffersonowi.

- To znaczy, że mapa jest dość ważna. Łączy tę całą sprawę z Fenicjanami i wskazuje lokalizację

Ofiru.

Trout pokręcił głową.

- Kusi, ale bez dodatkowych informacji jest bezużyteczna. Róża kompasowa, miara odległości, znaki orientacyjne. Takie rzeczy są nam potrzebne.

Angela otworzyła neseser, przerzuciła dokumenty Jeffersona i wyjęła stronę z zawijasami, kropkami i fenickimi słowami.

Pomachała kartką w powietrzu.

- Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że na mapie brakuje części szczegółów.

- Owszem - przytaknął Paul. - To wygląda na fragment większej całości.

- Jeśli to prawda - mówiła Gamay podekscytowana - to możliwe, że Lewis wiozł Jeffersonowi drugą połowę mapy. Przypuszczalnie znalazł kopalnię złota w czasie swojej wyprawy do Pacyfiku.

- O rany! - zawołała Angela. - To znaczy, że jeśli nasza teoria o młodym niewolniku jest prawdziwa, Jefferson wiedział, gdzie jest złoto Ofiru.

- Moment. - Paul uśmiechnął się szeroko. - Mogłaś odnieść błędne wrażenie. Gamay i ja rzucamy pomysłami, ale nie zapominamy, że jesteśmy naukowcami. Co oznacza, że opieramy się na faktach. Teraz zgadujemy na podstawie założeń nie popartych żadnymi dowodami.

Angela wyglądała na zawiedzioną. Gamay spróbowała ją pocieszyć.

- Ale musisz przyznać, Paul, że to niezmiernie interesująca sugestia, mimo tylu pytań.

- Zgadzam się, że to brzmi prawdopodobnie. Dlatego proponuję zacząć szukać odpowiedzi.

Wjechał hummerem na parking przy Bibliotece Jeffersona, imponującym półtorapiętrowym budynku z białym oszalowaniem, niecały kilometr na wschód od głównego wejścia do Monticello. Weszli do holu, podali w recepcji swoje nazwiska i poprosili o kontakt z archiwistą, z którym rozmawiali wcześniej przez telefon. Po kilku minutach zjawił się wysoki mężczyzna w jasnobrązowym garniturze i wyciągnął rękę.

- Miło mi państwa poznać - powiedział z szerokim uśmiechem. Mówił z miękkim przeciągłym akcentem z Wirginii. - Nazywam się Charles Emerson. Jason Parker, archiwista, z którym państwo rozmawiali, przekazał tę sprawę mnie. Witam w Bibliotece Jeffersona.

Emerson miał basowy głos, eleganckie maniery dżentelmena z Południa i gładką mahoniową cerę ze zmarszczkami mimicznymi tylko w kącikach oczu. Był mocno zbudowany i w dobrej formie fizycznej, ale stalowoszara siwizna sugerowała, że jest po sześćdziesiątce.

Gamay przedstawiła Paula i Angelę.

- Dziękujemy, że znalazł pan dla nas czas.

- Drobiazg. Wiem od Jasona, że pracują państwo w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Tylko Paul i ja. Panna Worth jest badaczką w Amerykańskim Towarzystwie Filozoficznym.

Emerson uniósł brwi.

- Jestem zaszczycony. Osiągnięcia NUMA są powszechnie znane, a Towarzystwo Filozoficzne to jedna z pereł wśród placówek naukowych w naszym kraju.

- Dziękuję. - Angela rozejrzała się po holu. - Wasza biblioteka też robi wrażenie.

- Jesteśmy z niej bardzo dumni - mówił Emerson. - Koszty budowy były duże, pięć i pół miliona dolarów. Otwarto ją w roku 2002. Mamy tu miejsce dla dwudziestu ośmiu tysięcy tomów, czytelnię i pomieszczenia multimedialne. Oprowadzę państwa.

Emerson pokazał im czytelnię i pracownie naukowe, potem zaprowadził ich do przestronnego

gabinetu. Poprosił gości, żeby usiedli, i usadowił się za dużym dębowym biurkiem.

- Nie bardzo wiem, jak nasza biblioteka mogłaby pomóc NUMA - zaczął. - Wirginia leży dość daleko od oceanu.

- Zauważyliśmy. - Gamay uśmiechnęła się. - Ale możecie zrobić dla nas więcej, niż się panu wydaje. Na polecenie Thomasa Jeffersona Meriwether Lewis pokierował ekspedycją do Pacyfiku.

Jeśli Emerson pomyślał, że to żadne wyjaśnienie, to nie dał tego po sobie poznać.

- Meriwether Lewis - powtórzył w zadumie. - Fascynująca postać.

Angela nie mogła się powstrzymać.

- Właściwie bardziej nas interesuje służący Lewisa. Młody człowiek nazwiskiem Zeb Moses, który był świadkiem jego śmierci.

- Jason mi mówił, że państwo pytali o Zeba przez telefon. Właśnie dlatego przekazał tę sprawę mnie. Zeb był niezwykłym człowiekiem. Urodził się jako niewolnik. Pracował w Monticello prawie całe życie. Umarł w wieku ponad dziewięćdziesięciu lat. Doczekał zniesienia niewolnictwa.

- Dużo pan o nim wie - zauważył Trout.

Emerson się uśmiechnął.

- Nic dziwnego. Jestem jego potomkiem.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności - ucieszył się Paul. - Nie mogliśmy trafić lepiej. Zapewne będzie pan umiał odpowiedzieć nam na pytanie, które nie daje nam spokoju.

- Postaram się. Słucham.

- Orientuje się pan, w jaki sposób Zeb został wolnym człowiekiem tak szybko po przyjeździe do Monticello?

Kiedy Paul się nad czymś zastanawiał, miał zwyczaj schylać lekko głowę i mrugać dużymi piwnymi oczami, jakby patrzył znad niewidocznych okularów. To zwodnicze dziwactwo czasami zaskakiwało ludzi. Emerson nie był wyjątkiem.

Jego łagodna mina na moment zniknęła. Przestał się uśmiechać i zmarszczył lekko brwi, ale szybko zapanował nad sobą. Uśmiechnął się.

- Jak wspomniałem, mój przodek był niezwykłym człowiekiem. Skąd państwo wiedzą, że w młodym wieku przestał być niewolnikiem?

- Sprawdziliśmy bazę danych Monticello - wyjaśnił Paul. - Przy nazwisku Zeba jest słowo „wolny” napisane ręką Jeffersona.

- Owszem, Jefferson dał wolność niektórym swoim niewolnikom.

- Niezbyt wielu - wtrąciła się Angela. - Miał pewne zastrzeżenia do niewolnictwa, ale nawet na waszej stronie internetowej można przeczytać, że zawsze był właścicielem co najmniej dwustu. Ponad stu sprzedał, osiemdziesięciu pięciu oddał swojej rodzinie. Uwolnił tylko ośmiu. Pięciu w swoim testamencie, trzech, w tym pańskiego przodka, jeszcze za życia.

Emerson się roześmiał.

- Proszę mi przypominać, młoda damo, żebym nie krzyżował z panią intelektualnych szabli. Ma pani całkowitą rację. Ale to dowodzi, że jednak uwolnił niewolników, choć szkoda, że tak niewielu.

- I tak wracamy do mojego pytania - odezwał się Paul. - Dlaczego Zeb został uwolniony i zatrudniony na wysokim stanowisku w rezydencji tak szybko po dołączeniu do siły roboczej w Monticello?

Emerson usiadł wygodnie i złączył końce palców.

- Nie mam pojęcia. Może państwo mają jakieś przypuszczenia? Paul odwrócił się do Angeli.

Chciał wynagrodzić młodej kobiecie to, że wcześniej musiała wysłuchać jego wykładu naukowego.

- Panna Worth to wytłumaczy.

- Naszym zdaniem - zaczęła Angela - Lewis wykonywał tajną misję, miał dostarczyć Jeffersonowi coś ważnego. Zamordowano go, żeby mu w tym przeszkodzić, ale Zeb Moses odbył podróż do Monticello i wypełnił zadanie Lewisa. Jefferson w nagrodę dał mu wolność i pracę.

- Ciekawa historia. - Emerson pokręcił głową, zachowując uprzejmy sceptycyzm. - Co takiego mógłby powierzyć Lewis młodemu Zebowi?

Gamay nie zamierzała wszystkiego ujawniać. Włączyła się, zanim Angela zdążyła odpowiedzieć.

- Uważamy, że mapę.

- Mapę czego?

- Tego nie wiemy.

- To dla mnie coś nowego - powiedział Emerson. - Zbadam to. Zaintrygowali mnie państwo. Nigdy bym nie przypuszczał, że Zeb był zamieszany w jakieś potajemne machinacje. - Zerknął na zegarek i wstał. - Proszę wybaczyć, że muszę przerwać naszą fascynującą rozmowę, ale mam spotkanie z potencjalnym ofiarodawcą.

- Doskonale to rozumiemy - odparł Paul. - Dziękujemy, że poświęcił nam pan swój czas.

- Nie ma za co.

Emerson odprowadził gości do drzwi. Ale Angela jeszcze nie skończyła.

- Byłabym zapomniała. Słyszał pan kiedykolwiek o Stowarzyszeniu Hodowców Karczochów, założonym przez Jeffersona?

Emerson zatrzymał się z ręką na gałce drzwi.

- Nie. Nigdy. Zajmował się ogrodnictwem?

Wzruszyła ramionami.

- Kto wie?

- To też będę musiał zbadać.

Stał w wejściu i obserwował, jak jego goście wsiadają do hummera i odjeżdżają. Na jego twarzy malował się głęboki niepokój.

Wrócił szybko do gabinetu, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

Odezwał się oschły męski głos:

- Witaj, Charles. Jak się miewasz?

- Bywało lepiej. Ci ludzie, którzy wczoraj dzwonili i pytali o Zeba Moseesa, właśnie wyszli z biblioteki. Małżeństwo z NUMA i młoda kobieta z Towarzystwa Filozoficznego.

- Domyślam się, że wykorzystasteś swoje wysokie umiejętności prowadzenia rozmowy, żeby się ich pozbyć.

- Uważałem, że dobrze mi poszło, dopóki ta młoda kobieta nie zapytała mnie o Stowarzyszenie Hodowców Karczochów.

Na linii przez kilka sekund panowała cisza, potem mężczyzna powiedział chłodnym tonem:

- Powinniśmy zwołać zebranie.

- Zaraz się tym zajmę.

Rozłączył się i patrzył chwilę w przestrzeń. Potem wybrał z pamięci pierwszy numer z pewnego spisu telefonów.

Kiedy czekał, aż zgłosi się pierwsza osoba, zobaczył w wyobraźni, jak rozwija się gigantyczny motek przędzy.

- Wasze wrażenia - powiedział Paul, kiedy zostawili Monticello z tyłu.
  - Miły, ale nie całkiem szczerzy - oświadczyła stanowczo Gamay.
  - Właśnie - zgodziła się Angela. - Coś ukrywa.
  - Obserwowałem jego reakcję, kiedy wspomniałaś o Stowarzyszeniu Hodowców Karczochów - mówił Paul. - Przypominał jelenia złapanego w światło reflektorów samochodu.
  - Też to zauważyłam - przytaknęła Gamay. - Pytanie Angeli zdecydowanie na niego podziało. Może powinniśmy przyjrzeć się bliżej temu stowarzyszeniu. Czy ktoś zna jakiegoś eksperta od karczochów?
  - Znam kogoś, kto pisze o nich książkę - przypomniała sobie Angela. - Zadzwoń do niego. Stocker był w domu i bardzo się ucieszył z telefonu Angeli.
  - Nic ci się nie stało? Słyszałem o tym zabójstwie w bibliotece i dzwoniłem do ciebie.
  - Jestem cała i zdrowa. Później ci wszystko opowiem. Mam pytanie. Czy przy zbieraniu materiałów do swojej książki nie natrafiłeś przypadkiem na wzmiankę o Stowarzyszeniu Hodowców Karczochów?
  - Tajnym klubie Jeffersona?
  - Właśnie. Co o tym wiesz?
  - Wzmiankę o tym znalazłem na Uniwersytecie Stanu Wirginia w artykule o tajnych stowarzyszeniach. Nie zagłębiałem się w to, bo nie wydawało mi się ważne.
  - Pamiętasz może, kto napisał ten artykuł?
  - Profesor z tego uniwersytetu. Dam ci jego nazwisko i telefon.
- Angela zapisała dane, obiecała Stockerowi, że będzie z nim w kontakcie, i powtórzyła rozmowę Troutom. Gamay nie traciła czasu i natychmiast zadzwoniła do profesora.
- Dobra wiadomość - oznajmiła. - Profesor może się z nami spotkać między wykładami, ale musimy się pośpieszyć.
- Trout wcisnął głębiej pedał gazu i szeroki pojazd nabralł szybkości.
- Następnym przystankiem, Uniwersytet Stanu Wirginia.

Wdowa po nurku wydobywającym wraki mieszkała w kwadratowym dwupiętrowym domu, który mógł być kiedyś elegancki, zanim został zaniedbany. Stara żółta farba łuszczyła się i odłaziła od ścian, okiennice zwisały krzywo na zawiasach. Wrażenie ruiny kończyło się przy świeżo skoszonym trawniku od frontu i zadbanych klombach wzdłuż muru.

Austin nacisnął dzwonek przy drzwiach wejściowych. Nie usłyszał żadnego dźwięku, więc zapukał. Nikt nie otworzył. Zastukał najgłośniejszym, jak mógł to zrobić bez rozwalenia drzwi.

- Idę! - Zza rogu domu wyłoniła się siwa kobieta i uśmiechnęła promiennie. - Przepraszam. Byłam w ogrodzie.

- Pani Hutchins?

- Proszę mi mówić Thelma.

Otrzeпаła ręce z ziemi i przywitała się z Austinem, potem z Zawalą. Miała spracowane dłonie i zaskakująco mocny uścisk. Obaj się przedstawili. Zmrużyła niebieskie oczy.

- Nie uprzedziliście mnie przez telefon, że takie z was przystojniaki. - Roześmiała się. - Zrobiłabym się na bóstwo, zamiast wyglądać jak stara brudna kwoka. Więc znaleźliście hełm Hucha.

Austin wskazał dzipa cherokee zaparkowanego przed domem.

- Jest w bagażniku.

Thelma bez wahania podeszła ścieżką do samochodu i otworzyła tylną klapę. W słońcu zalśniły mosiądz i miedź, oczyszczone z morskiej roślinności.

Pogładziła delikatnie palcami hełm.

- Zgadza się, to garnek Hucha. - Otarła łzy z oczu. - Czy on wciąż tam jest?

Austin przypomniał sobie czaszkę.

- Niestety, tak. Mamy zawiadomić straż przybrzeżną? Wydobędą jego szczątki i będzie można pochować.

- Niech stary dureń leży, gdzie jest. Zakopaliby jego kości w ziemi, a on nie zniósłby tego. Po nim miałam jeszcze dwóch mężów, Panie, świeć nad ich duszami, ale Hutch był pierwszy i najlepszy. Nie mogłabym mu tego zrobić. Chodźmy za dom. Sami odprawimy nabożeństwo żałobne.

Austin i Zawała wymienili spojrzenia. Thelma Hutchins nie była słabowitą starszą panią, jakiej się spodziewali. Wysoka kobieta trzymała się prosto i tylko trochę garbiła, co często przychodzi z wiekiem. Nie trzęsała się, lecz poruszała energicznym krokiem, kiedy prowadziła ich do zniszczonego drewnianego stołu pod wyblakłym parasolem reklamowym Cinzano. Powiedziała, że zaraz wróci.

Tył domu wyglądał jeszcze gorzej, ale w ogrodzie panował porządek. Wszędzie były kwietniki, duży warzywniak mógłby wyżywić całą armię wegetarianów. Przyczłapał labrador i polizał kolano Austina.

Thelma wyłoniła się z domu z trzema butelkami piwa i przeprosiła za kiepski gatunek.

- Jak mi podniosą zasilek, będę piła Stella Artois. Na razie muszą wystarczyć te siki. - Zerknęła na psa. - Widzę, że już poznaliście Lusha. - Nalała trochę piwa do miski i wyszczerzyła zęby w uśmiechu, kiedy labrador podbiegł i zaczął chleptać spieniony napój. Potem uniosła butelkę. - Za Hutcha. Wiedziałam, że ktoś kiedyś znajdzie tego starego pirata. Stuknęli się szkłem i pociągnęli po łyku.

- Jak dawno zginął twój mąż? - zapytał Austin.

- Mój pierwszy mąż - uściśliła. Napiła się piwa i zacisnęła wargi. - Hutch przeniósł się na tamten świat wiosną 1973. Gdzie go znaleźliście?

Austin rozłożył swoją mapę i pokazał znak X zrobiony ołówkiem.

- Cholera! - burknęła Thelma. - Daleko. Myślałam, że wrak ze skarbami leży bliżej.

- Wrak ze skarbami? - zainteresował się Zavala.

- Tak o nim mówił ten dureń. I zginął przez ten wrak.

- Możesz nam opowiedzieć, co się stało? Zapatrzyła się w dal.

- Mój mąż urodził się i wychował nad tą zatoką. W czasie II wojny światowej zaciągnął się do marynarki wojennej i został nurkiem. Cholernie dobrym, jak słyszałam. Po wojnie kupił od marynarki swój sprzęt. Pobraliśmy się i czasem nurkował na boku za forszę, żeby nie wyjść z wprawy. Ale głównie pływał kutrem rybackim i tak natknął się na ten wrak. Zahaczył o niego siecią. Od tamtej pory stale o nim myślał.

- Dlaczego? - spytał Austin.

- Hutch znał każdy wrak w okolicy. Nurkował do wielu z nich. Był historykiem amatorem. Przeprowadził dokładne badania. W archiwach nie znalazł żadnej informacji, że w tym miejscu zatonął jakiś statek.

- Nigdy ci nie powiedział, gdzie leży ten wrak? - zdziwił się Zavala.

- Mój mąż był zamknięty w sobie jak ostryga z zatoki Chesapeake i cholernie staromodny. Twierdził, że kobiety to urodzone plotkary. Miał mi powiedzieć, jak przyniesie do domu trochę złota.

- Dlaczego uważał, że na wraku jest złoto? - zapytał Austin.

- Mało kto wie, że kiedyś w tej okolicy nie brakowało kopalni złota. W Marylandzie, Wirginii, aż do Pensylwanii.

- Nic dziwnego - odparł Kurt. - Dopiero w zeszłym roku dowiedziałem się, że wokół Chesapeake były duże tereny złotonośne. W Marylandzie natrafiłem na lokal Gold Mine Cafe i okazało się, że jego nazwa pochodzi od nieczynnej kopalni złota w pobliżu.

- Twój mąż przypuszczał, że część złota załadowano na ten zatopiony statek? - zagadnął Joe.

- On wiedział, przystojniaku. - Thelma pociągnęła łańcuszek na szyi ze złotym wisiorkiem w kształcie głowy konia. - Znalazł to w czasie pierwszego nurkowania, dał mi i obiecał więcej. - Westchnęła ciężko. - Och, Hutch. Byłeś dla mnie więcej wart niż wszystkie skarby świata.

- Przykro nam, że wywołaliśmy te wspomnienia - powiedział zafrasowany Austin.

Na twarz Thelmy powrócił promienny uśmiech.

- Nie ma sprawy, Kurt. Przepraszam, że się rozkleiłam.

Zavala miał pytanie:

- Z trudem wyciągnęliśmy hełm z wody. Waży jeszcze więcej z przymocowaną do niego osłoną klatki piersiowej. Jestem ciekaw, jak twój mąż radził sobie sam z zakładaniem i zdejmowaniem stroju nurka.

- Nie robił tego sam. Kiedy natrafił na wrak, towarzyszył mu załogant nazwiskiem Tom Lowry,



więc musiał go wtajemniczyć. Tom został jego pomocnikiem. Hutch umówił się z nim, że wszystko będą dzielić na dwóch.

- Czy Tom jeszcze żyje? - zainteresował się Kurt.

- Też zginął przez ten wrak. Straż przybrzeżna podejrzewała, że Hutch wpadł pod wodę w tarapaty. Być może splątał mu się wąż powietrzny. Tom miał siłę byka, ale przypominał mi sześciopak, w którym brakuje jednego piwa, jeśli kapujecie, o co mi chodzi. Był bardzo oddany Hutchowi. Przypuszczam, że bez namysłu skoczył za burzę, też wpadł w tarapaty i utonął.

- Straż przybrzeżna powinna natrafić na kuter zakotwiczony nad wrakiem - zauważył Austin.

- Uderzył szkwał. Kuter się urwał i odpłynął. Znalezione go daleko od miejsca nurkowania, ciało Toma też. Sprzedałam kuter jednemu z przyjaciół Hutcha, za którego wyszłam później za mąż.

- Mówiłaś komuś o skarbie?

Pokręciła energicznie głową.

- Nawet straży przybrzeżnej. Przez ten pechowy wrak zginęło już dwóch ludzi. Nie chciałam, żeby jakaś kobieta w mieście została wdową tak jak ja.

- Ile razy Hutch tam nurkował? - spytał Zawała.

- Dwa. - Znów sięgnęła do łańcuszka na szyi. - Za pierwszym razem znalazł ten wisiołek. Za drugim musiał chyba wrócić pod wodę, jak wydobył tamten dzban.

Austin postawił swoje piwo.

- Jaki dzban?

- Stary, gliniany. Szarzielony, szczelnie zamknięty. Natknęłam się na niego w schowku na kutrze. Musieli go tam włożyć Hutch i Tom. Były na nim jeszcze wodorosty morskie. Za mało ważył, jak na dzban ze złotem, ale nie chciałam go otwierać. Bałam się, że wyniknie z tego jakieś nieszczęście, że jest jak puszka Pandory.

- Moglibyśmy go zobaczyć?

Thelma wyglądała na zakłopotaną.

- Szkoda, że nie przyjechaliście wcześniej. Dałam go parę dni temu jednemu facetowi, który tu wpadł. Mówił, że pisze książkę i słyszał w mieście plotki o Hutchu i jego wraku. Kiedy mu powiedziałam o dzbanie, zapytał, czy mógłby go wypożyczyć i prześwietlić rentgenem. Zgodziłam się.

- Nie nazywał się przypadkiem Saxon? - spytał Kurt.

- Zgadza się. Tony Saxon. Niczego sobie, ale nie taki przystojny jak wy. Znacie go?

- Trochę. - Austin uśmiechnął się smutno. - Mówił, gdzie się zatrzymał?

Thelma się zastanowiła.

- Nie. Mam nadzieję, że nie straciłam nic cennego. Muszę wyremontować dom.

- Chyba nie - zgodził się Kurt. - Ale został ci hełm. Jest dużo wart.

- Tyle że można będzie za to poreperować i pomalować tę starą budę?

- Może wystarczy ci jeszcze na kilka skrzynek Stella Artois - odpowiedział Austin.

Podziękował za następne piwo. Przynieśli z dzipa hełm i postawili w salonie. Austin obiecał Thelmie, że poprosi znajomego rzeczoznawcę, żeby się z nią skontaktował. Cmoknęła obu w policzek.

Już miał wsiąść do samochodu, gdy zauważył za wycieraczką przedniej szyby kawałek papieru. Wyjął go i przeczytał wiadomość napisaną długopisem:

„Kurt. Przepraszam za amfore. Będę do 18.00 w Tidewater Grill. Stawiam drinki. A.S.”

Podał kartkę Zavali. Joe rzucił na nią okiem i uśmiechnął się.

- Twój przyjaciel pisze, że stawia - podsumował krótko i wsiadł do samochodu. - Nie może być lepiej.

Austin uruchomił silnik i pojechał w kierunku wody. Wcześniej, w drodze do miasta, widział reklamę Tidewater i pamiętał, jak trafić do restauracji z widokiem na zatokę. Weszli do baru i zastali Saxona pograżonego w rozmowie o wędkarstwie z barmanem. Uśmiechnął się na widok Austina i przedstawił Zavali. Zaproponował im miejscowe piwo beczkowe. Zanieśli kufle do stolika w rogu.

Austin umiał się pogodzić z przegraną, nie czuł nigdy urazy do tego, kto był od niego lepszy. Uniósł swoje piwo w toaście.

- Gratuluję. Jak to zrobiłeś?

Saxon pociągnął z kufła łyk i starł pianę z wąsów.

- Miałem szczęście. Już dawno zamierzałem się skoncentrować na tym rejonie. Kiedy stało się tak, że ktoś podłożył ogień na mojej replice fenickiego statku, przeniosłem uwagę z zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej na wschodnie.

- Dlaczego mówisz, że to było podpalenie?

- Kilka dni przed pożarem jakiś pośrednik złożył mi ofertę kupna statku. Odpowiedziałem, że replika to projekt naukowy, i nie jest na sprzedaż. Niecały tydzień później spłonęła.

- Kto chciał ją kupić?

- Poznałeś go na prezentacji Żeglarza. Viktor Baltazar.

Austin przypomniał sobie wściekłość w oczach Saxona, kiedy Baltazar wszedł do magazynu Smithsonian Institution.

- Skąd się wzięło twoje zainteresowanie okolicą Chesapeake?

- Zawsze uważałem, że rejon zatoki mógłby być ewentualnie Ofirem, bo były tu kopalnie złota. Intrygowała mnie też Susquehanna. Przed laty w górnym biegu tej rzeki, w Mechanicsburgu w Pensylwanii, znaleziono tablice z jakimś pismem, prawdopodobnie fenickim.

- Jak trafiłeś do Thelmy Hutchins?

- Po kradzieży Żeglarza przeżywałem załamanie. Nie wiedziałem, co robić, więc przyjechałem tu i chodziłem po sklepach ze sprzętem do nurkowania i towarzystwach historycznych. Mąż Thelmy, albo raczej jego załogant, mógł komuś coś zdradzić. Wyłapywałem pogłoski o wraku ze skarbami. Usłyszałem o Thelmie i ją znalazłem. Zaproponowała, żebym wziął amforę. Najwyraźniej podziałał na nią mój urok osobisty.

- Najwyraźniej. A jak zlokalizowałeś nas?

- Jeśli NUMA nie chce się rzucać w oczy, to powinniście zmienić ten piękny turkus na waszych pojazdach na mniej wyróżniający się kolor. Byłem w drodze na późne śniadanie i zobaczyłem wasz samochód. Śledziłem was do stoczni jachtowej i widziałem, jak wyładowujecie sprzęt. Obserwowałem waszego dżipa i doprowadziliście mnie do domu Thelmy. A teraz ja mam pytanie, jeśli można. Jak się dowiedzieliście o wraku?

Kurt opowiedział mu o duplikacie Żeglarza w Turcji i mapie wygrawerowanej na posągu. Saxon zarechotał.

- Cholerny kot! Zawsze podejrzewałem, że był więcej niż jeden posąg. Zapewne para, strzegąca jakiejś świątyni.

- Świątyni Salomona? - Austin przypomniał sobie rozmowę z Nickersonem.

- Całkiem możliwe. - Saxon zmarszczył czoło. - Ciekawe, dlaczego ludzie, którzy ukradli

oryginalny posąg, nie wytopili wraku.

- Może nie są tacy bystrzy jak my - odparł Austin. - Masz amforę. Co zamierzasz z nią zrobić?

- Otworzyłem ją. Studiuję jej zawartość.

- Nie traciłeś czasu. Co w niej było?

- Odpowiedź zależy od ciebie, Kurt. Mam nadzieję, że się dogadamy. Chciałbym skorzystać ze środków NUMA. Nie interesuje mnie złoto ani żaden skarb, tylko informacje. Chcę za wszelką cenę odnaleźć grobowiec królowej Saby. Przyznam szczerze, że mam obsesję na punkcie tej damy.

Austin skrzywił się z powątpiewaniem i spojrzał na Zawalę.

- Myślisz, że powinniśmy zawrzeć umowę z tym cwany typem?

- Przecież wiesz, jaki jestem łasy na romanse. Głosuję „za”. Austin już się zdecydował. Uznał, że pomoc NUMA będzie niewielką ceną do zapłacenia za wiedzę Saxona. Podziwiał jego pomysłowość i wytrwałość.

Utkwił w nim wzrok.

- Zgodzę się pod dwoma warunkami.

Saxon się rozpromienił.

- Słucham.

- Po pierwsze, powiesz mi, co znalazłeś w amforze.

- Papirus - odpowiedział Saxon. - A drugi warunek?

- Postawisz następną kolejkę. Saxon podkreślił węża.

- Na Boga, Austin! Litości. Wykorzystujesz zdesperowanego człowieka. Roześmiał się, zawołał barmana i uniósł trzy palce.

Służący Baltazara doszedł korytarzem wyłożonym ciemną boazerią do grubych dębowych drzwi i zatrzymał się. Balansując tacą na jednej dłoni, zapukał cicho. Nikt nie odpowiedział. Uśmiechnął się lekko. Wiedział, że Carina jest w pokoju, bo sam ją tu przyniósł nieprzytomną z helikoptera.

Wyjął z kieszeni klucz, włożył do zamka, obrócił i pchnął drzwi.

Carina stała za progiem z wściekłą miną. Miała w rękach ciężką mosiężną lampę nocną bez abażuru. Trzymała ją jak maczugę. Była gotowa walnąć nią pierwszą osobę, którą zobaczy. Nie spodziewała się człowieka z tacą, na której stały porcelanowy dzbanek do herbaty i filiżanka.

Nie opuszczając lampy, zapytała ostro:

- Kto mnie rozebrał?

- Pokojówka - wyjaśnił służący. - Wzięła pani ubranie do prania. Pan Baltazar uznał, że lepiej się pani poczuje w czymś czystym.

- Niech mu pan przekaże, że ma zwrócić moje rzeczy. Natychmiast!

- Może pani zrobić to osobiście - odparł służący. - Czeka na panią w ogrodzie. Powiedział, żeby się pani nie śpieszyła i przyszła, kiedy będzie miała ochotę. Mogę gdzieś postawić tacę?

Piorunowała wzrokiem mężczyznę, ale odsunęła się i wpuściła go do sypialni. Postawił tacę na stoliku. Nie odrywając oczu od lampy, wycofał się z pokoju i zostawił otwarte drzwi.

Carina obudziła się kilka minut wcześniej i zorientowała, że leży w cudzym łóżku. Przypomniała sobie duszący zapach w taksówce. Odrzuciła przykrycie i zobaczyła, że jest w samej bieliźnie. Poszukała w luksusowej sypialni swojego ubrania, ale w szafie znalazła tylko długą, luźną białą sukienkę z bawełny.

Trzymając ją w rękę, rozejrzała się dookoła. Gdyby nie kraty w oknach, sypialnia wyglądałaby jak pokój w eleganckim hotelu. Podeszła do okna. Patrzyła na wypielegnowany trawnik, gdy usłyszała pukanie. Włożyła szybko sukienkę i chwyciła lampę.

Po odejściu służącego wyszła na korytarz i popatrzyła za nim. Zniknął za rogiem. Wróciła do sypialni i zatrzasnęła drzwi. Z napięcia trzęsły jej się ręce. Odstawiła lampę, opadła na miękki fotel i rozplakała się.

Gniew, który sprawił, że odważyła się przygotować do ataku na służącego, minął. Wytarła oczy, poszła do łazienki, umyła twarz i uczesała potargane włosy. Wypiła duży łyk herbaty i pomaszerowała śladem służącego. Dotarła korytarzem do drzwi otwartych na patio. Wyszła na słońce i rozejrzała się. Była w ogrodzie za domem. Zobaczyła fontannę w kształcie nagiej kobiety, otoczonej przez cherubiny. Ale jej uwagę przykuł Baltazar, który ścinał kwiaty na jednym z klombów wokół fontanny.

Był w luźnych białych spodniach, czarnej koszuli z krótkimi rękawami i espadrylach na sznurkowej podeszwie. Uśmiechnął się na widok Cariny i podszedł do niej, żeby wręczyć jej bukiet.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie chcę pańskich kwiatów. Co to za miejsce? Opuścił bukiet i położył go na marmurowej ławce.

- Jest pani moim gościem, panno Mechadi.

- Nie chcę być pańskim gościem. Żądam, żeby pan mnie stąd wypuścił.

Nie przestając się uśmiechać, Baltazar popatrzył na nią jak kolekcjoner motyli na rzadki okaz.

- Stanowcza. Władcza. Tego się spodziewałem po kimś z rodu Mekada.

Odpowiedź zaskoczyła Carinę. Jej gniew zastąpiła dezorientacja.

- O czym pan mówi?

- Mam propozycję. - Wskazał gestem marmurowy stolik, nakryty dla dwóch osób. - Zapraszam na drinka i przekąskę. Wszystko pani wyjaśnię.

Carina rozejrzała się po ogrodzie. Przy furtce stali dwaj mężczyźni w czarnych mundurach polowych. Ucieczka była niemożliwa. Nawet gdyby się stąd wydostała, to co dalej? Nie miała pojęcia, gdzie jest. Lepiej zyskać na czasie. Podeszła do stolika i usiadła sztywno.

Pojawił się służący z dzbankiem wody i napełnił im szklanki. Potem podał kilka dań. Carina zamierzała tylko skubnąć jedzenie, żeby nie korzystać z gościnności Baltazara, ale stwierdziła, że jest strasznie głodna. Pochłonęła wszystko, co miała przed sobą, przekonując samą siebie, że nie może opaść z sił. Nie tknęła różowego wina. Chciała być całkowicie trzeźwa. Nie wiedziała, co ją czeka.

Baltazar zdawał się czytać w jej myślach. Znał się dobrze na ludziach i nie prowadził z nią rozmowy przy jedzeniu, pytał tylko, czy jej smakuje. Kiedy miała dość, wypła wodę i odsunęła talerz.

- Przyjęłam pańską propozycję - powiedziała. - Jest mi pan winien wyjaśnienie.

Baltazar skinął głową.

- Historia, którą pani opowiem, zaczęła się trzy tysiące lat temu w czasach Salomona.

- Króla Salomona?

- Tak. Syna Dawida, władcy ziem leżących między innymi na terytorium dzisiejszego Izraela. Według Biblii Salomonowi złożyła wizytę królowa kraju zwanego Sabą. Słyszała o mądrości Salomona i była jej ciekawa. Kiedy przybyła na miejsce, wywarła na niej wrażenie nie tylko mądrość króla, lecz również jego bogactwo. Zadurzyli się w sobie. Salomon napisał nawet wiele poematów miłosnych, których przynajmniej część, jak uważają niektórzy, była adresowana do niej.

- Pieśń nad Pieśniami - wtrąciła Carina.

- Zgadza się. W poematach przedstawia się słowami: „Jestem czarna, lecz piękna, córki Jerozolimy”.

- Pochodziła z Afryki - zauważyła Carina.

- Na to wygląda. W Biblii jest o niej tylko krótka wzmianka, ale Koran rozwija temat. Arabscy, a później średniowieczni kronikarze podjęli ten wątek. Królowa Saby poślubiła Salomona, urodziła mu syna i wróciła do ojczyzny. Salomon miał wiele żon, konkubin i dzieci. Królowa Saby stała się jeszcze potężniejsza i bogatsza.

- A ich syn?

- Legenda głosi, że przybył do Afryki i został królem.

- Urocza bajka - powiedziała Carina. - Mogę już podziękować panu za gościnność i opuścić to miejsce?

- Ale to dopiero pierwsza część tej opowieści - powiedział Baltazar. - Salomon miał dziecko również ze służebnicą królowej Saby. Ten syn króla umarł młodo, ale zostawił potomków. Przenieśli

się na Cypr, gdzie zaczęli budować statki. Nawiazali kontakty z uczestnikami czwartej wyprawy krzyżowej. Po splądrowaniu Konstantynopola trafili do Europy Zachodniej i przybrali hiszpańskie nazwisko.

- Baltazar.

- Zgadła pani. Niestety, jestem ostatnim męskim potomkiem Baltazarów. Kiedy umrę, ród przestanie istnieć.

Oby jak najszybciej, pomyślała Carina. Roześmiała się zupełnie nie jak dama.

- Twierdzi pan, że pańskim przodkiem był Salomon?

- Tak, panno Mechadi. Pani też.

- Jest pan bardziej obłąkany, niż myślałam.

- Zanim pani oceni moją poczytalność, niech mnie pani wysłucha. Syn Salomona i królowej Saby został władcą Etiopii. Jego ród rządził tam przez wieki.

- Urodziłam się we Włoszech, ale matka opowiadała mi o etiopskim królu Meneliku.

- Więc musi pani wiedzieć o istnieniu Kebra Nagast, świętej księgi, opisującej dzieje królowej Saby i Menelika.

Carina znalazła się na mniej pewnym gruncie.

- Słyszałam o niej, ale nigdy jej nie czytałam. Zostałam wychowana w wierze katolickiej.

- Tę księgę znaleziono przypuszczalnie w trzecim wieku naszej ery w bibliotece Santa Sophia w Konstantynopolu, choć Kebra Nagast mogła powstać później, ale to nie ma znaczenia. Gdyby pani ją przeczytała, wiedziałaby pani, że jest w niej historia Salomona i Mekady, królowej Saby. Podałam pani nazwisko znawcy onomastyki, nauki o imionach własnych. Potwierdził, że „Mechadi” pochodzi od słowa Mekada.

- To niczego nie dowodzi! To by znaczyło, że każdy chłopiec o imieniu Jesus czy Christian jest powiązany z Mesjaszem.

- Zgodziłbym się z panią, gdyby nie jedna rzecz. Na kieliszku, z którego pani piła szampana na prezentacji Żeglarza, zostawiła pani ślady swojego DNA. Kazałem zbadać próbki w trzech różnych pracowniach analitycznych, żeby wykluczyć możliwość pomyłki. Wszystkie wyniki były identyczne. Pani i ja mamy takie samo DNA. Uważam, że oboje pochodzimy od Salomona. Pani poprzez królową Saby, ja poprzez jej służebnicę. Przyślę wyniki do pani pokoju i sama pani zobaczy.

- Wyniki badań laboratoryjnych można sfałszować.

- To prawda. Ale te są autentyczne. - Baltazar znów się uśmiechnął. - Dlatego niech pani nie uważa pobytu tutaj za uwięzienie. To raczej spotkanie rodzinne. Kiedy się poznaliśmy, miała pani ochotę zjeść ze mną kolację. Zapraszam na szóstą.

Wstał i odszedł.

- Niech pan zaczeka! - zawołała za nim Carina.

Baltazar nie był przyzwyczajony do słuchania poleceń. Odwrócił się z gniewną miną.

- Tak, panno Mechadi?

Szarpnęła sukienkę. Pomyślała, że jeśli Baltazar uważa ją za potomkinię królowej, to będzie się tak zachowywać.

- Nie podoba mi się ten strój. Chcę dostać z powrotem moje ubranie.

Skinął głową.

- Każę je przynieść do pani pokoju. Odszedł i zniknął w jednym z wejść do domu.

Carina patrzyła za nim osłupiała. Nie wiedziała, co robić. Zjawił się służący i zaczął sprzątać ze

stołu.

- Pan Baltazar powiedział, że może pani wrócić do swojego pokoju.

Przypomnienie, że jest uwięziona, wyrwało ją z transu.

Odwróciła się na pięcie, wkroczyła do domu i pomaszerowała korytarzem do swojej sypialni.

Miejsce, które jeszcze bardzo niedawno traktowała jak celę, teraz wydawało jej się bezpiecznym schronieniem.

Zatrzasnęła drzwi, oparła się o nie i zacisnęła mocno powieki, jakby dzięki temu mogła się przenieść gdzie indziej.

Nie ma mowy, żeby pochodziła z tego samego rodu, co ten odrażający typ.

Sama jego obecność budziła w niej wstręt i strach.

Ale jeszcze bardziej przerażała ją myśl, że mógł powiedzieć prawdę.

Profesor McCullough powitał swoich gości na schodach rotundy Uniwersytetu Stanu Wirginia, budynku z czerwonej cegły zwieńczonego kopułą i wzorowanego na projektach Jeffersona, przypominających Monticello i rzymski Panteon. Naukowiec zaproponował spacer wzdłuż ogrodzonych drzewami krużganków, których kolumny graniczyły z wielkim tarasowym trawnikiem.

- Mogę państwu poświęcić tylko dwadzieścia minut, potem muszę lecieć na wykład z etyki - oznajmił. Był wielkim, zwalistym mężczyzną z siwą brodą niczym kępa oplątwy brodaczkowatej. Miał policzki rumiane jak jabłka i rozkołysany chód emerytowanego marynarza floty handlowej. - Przyznam, że zaintrygował mnie państwa telefon z pytaniem o Stowarzyszenie Hodowców Karczochów.

- To najwyraźniej jakaś tajemnica - powiedziała Gamay, gdy mijali pawilony otoczone zielenią. McCullough przystanął w pół kroku i pokiwał energicznie głową.

- Zgadza się. Natknąłem się na nią, kiedy pisałem pracę naukową z etyki o przynależności do tajnych stowarzyszeń.

- Ciekawy temat - zauważył Paul.

- Tak sądziłem. Człowiek nie musi należeć do spisku, mającego na celu zawładnięcie światem, żeby zakwestionowano jego etykę. Nawet w nieszkodliwych organizacjach mogą występować niepożądane zjawiska. Ekskluzywność. „Oni przeciwko nam”. Dziwne rytuały i symbole. Elitaryzm. *Quid pro quo* w gronie członków. Przekonanie, że tylko oni znają prawdę. Do wielu organizacji mogą należeć tylko mężczyźni. W niektórych krajach, na przykład w Polsce, zakazano zakładania tajnych stowarzyszeń. Na jednym końcu skali są różne bractwa, na drugim naziści.

- Skąd się wzięło pańskie zainteresowanie tym problemem? - zapytał Paul.

McCullough ruszył dalej.

- Ten uniwersytet słynie z tajnych stowarzyszeń. W tutejszym kampusie jest ich ponad dwadzieścia. Przynajmniej o tylu wiem.

- Czytałam o Stowarzyszeniu Siódemka. - Angela zdawała się mieć niewyczerpany zasób wiedzy.

- A, tak. Członkowie Siódemki są tak tajemniczy, że o czyjejs przynależności do tego stowarzyszenia dowiadujemy się dopiero po jego śmierci, kiedy w publikacjach wydawanych w kampusie ukazuje się nekrolog. Grób zostaje ozdobiony kompozycją z czarnych magnolii w kształcie cyfry siedem. Dzwon w kaplicy uniwersyteckiej przez siedem minut wybija co siedem sekund siedmiodźwiękowy akord dysonansowy.

- Czy Jefferson był członkiem którejs z tych grup? - odezwała się Gamay.

- Kiedy studiował w William and Mary College, wstąpił do Stowarzyszenia Płaskiego Kapelusza, które potem przekształciło się w Klub Płaskiego Kapelusza.

- Skąd taka nazwa?

- Od biretu. Kiedyś studenci nosili je cały czas, nie tylko na uroczystości wręczenia dyplomów.



- Jak Harry Potter - zauważyła Angela. McCullough zachichotał.

- O ile wiem, to nigdy nie był Hogwart, ale Płaskie Kapelusze miały swój sekretny uścisk dłoni. Spotykali się regularnie i dyskutowali. Według własnych słów Jeffersona stowarzyszenie nie miało „żadnego pożytecznego celu”.

Gamay sprowadziła rozmowę z powrotem na właściwy tor.

- Czy mógłby pan nam powiedzieć, co pan wie o Stowarzyszeniu Hodowców Karczochów?

- Przepraszam, że odbiegłem od tematu. Zbierałem materiały do mojej pracy naukowej i w bibliotece uniwersyteckiej natrafiłem na stary artykuł prasowy. Autor napisał, że kiedy pojechał konno do Monticello w nadziei na wywiad z byłym prezydentem, zobaczył przed rezydencją Johna Adamsa, wysiadającego z powozu.

- Spotkanie twórców konstytucji amerykańskiej? - zdumiał się Paul.

- Dziennikarz nie wierzył własnym oczom. Podszedł do drzwi rezydencji i porozmawiał z samym Jeffersonem. Prezydent powiedział mu, że to nie był Adams, tylko miejscowy plantator, który wpadł podyskutować o nowych uprawach. Zapytany, o jakich, Jefferson się uśmiechnął i odrzekł, że o karczochach. Dziennikarz opisał całe spotkanie i zaznaczył, że znajomy Jeffersona wyglądał zupełnie jak Adams.

- Kto pierwszy zasugerował istnienie Stowarzyszenia Hodowców Karczochów? - dociekała Angela.

- Niestety, to moja sprawka - przyznał się McCullough z zakłopotaną miną.

- Nie rozumiem. - Gamay zrobiła wielkie oczy.

- Zadałem sobie pytanie: „A jeśli?” Załóżmy, że tamto spotkanie rzeczywiście miało miejsce. Po co jeden z twórców konstytucji odwiedzałby drugiego? Podróże nie były wtedy łatwe. Napisałem humorystyczny artykuł do opublikowania w prasie uniwersyteckiej, wykorzystując tę historię i zainteresowanie społeczności naszej uczelni tajnymi stowarzyszeniami. Już prawie o tym zapomniałem, gdy w zeszłym tygodniu zadzwonił do mnie państwa znajomy pisarz. Natknął się w Amerykańskim Towarzystwie Filozoficznym na materiał Jeffersona o karczochach. W wyszukiwarce Google natrafił na mój artykuł.

- Angela pracuje w Amerykańskim Towarzystwie Filozoficznym - wyjaśniła Gamay. - To ona odkryła ten materiał.

- Co za zbieg okoliczności - odparł McCullough. - To samo powiedziałem Nickersonowi.

- Kto to jest? - chciała wiedzieć Gamay.

- Przedstawił się jako urzędnik Departamentu Stanu. Podobno życie Jeffersona to jego hobby. Przeczytał mój artykuł i był ciekaw, co jeszcze wiem. Zamierzał zgłębić ten temat, ale już tu nie wrócił. W zeszłym tygodniu zadzwonił Stocker, a potem państwo. - Profesor spojrział na zegarek. - Cholera. To fascynująca sprawa, ale nie chcę się spóźnić na wykład.

Paul dał mu swoją wizytówkę.

- Proszę do nas zadzwonić, jeśli jeszcze coś przyjdzie panu do głowy.

- Oczywiście.

- Dziękujemy za pomoc - dodała Gamay. - Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać.

McCullough uścisnął wszystkim dłonie i odszedł.

Paul patrzył, jak profesor idzie przez trawnik.

- W wiadomości, którą Kurt przysłał nam do Woods Hole, była wzmianka, że facet z Departamentu Stanu, nazywał się Nickerson, poprosił go o zajęcie się fenicką zagadką. Poznali się

na starym jachcie motorowym na Potomacu.

- Pamiętam, wspominał o kimś takim. Myślisz, że ten człowiek kontaktował się również z profesorem? Może to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk?

Paul wzruszył ramionami i otworzył komórkę. Przejrzał książkę adresową i znalazł numer urzędnika Departamentu Stanu, z którym współpracował, zajmując się prawem morskim. Po chwili się rozłączył.

- Nickerson jest podsekretarzem. Mój kumpel nie zna go osobiście, ale powiedział, że to dobrze poinformowany facet, który potrafi sobie radzić. Ma opinię błyskotliwego gościa, ale ekscentryka. Mieszka na zabytkowym jachcie na Potomacu. Podał mi tylko nazwę przystani, łajby nie. Co wy na to, żebyśmy w drodze do domu zatrzymali się nad rzeką?

- Nie byłoby łatwiej, gdybyśmy znali nazwę tego jachtu? - zapytała Angela.

- Gdybyśmy lubili załatwiać sprawy w łatwy sposób, nie pracowalibyśmy w NUMA - odparł Paul.

Znalezienie pływającego domu Nickersona okazało się trudniejsze, niż Troutowie się spodziewali.

Wiele jednostek w porcie można było zakwalifikować do starych, ale tylko jedna - jacht motorowy z białym kadłubem, o nazwie „Lovely Lady” - wyglądała na zabytkową.

Paul wysiadł z SUV-a i podszedł do statku. Na pokładzie nie było nikogo, jacht wydawał się opuszczony. Wszedł po trapie i parę razy zawołał: „Halo!”

Nikt mu nie odpowiedział, ale z kabiny sąsiedniego jachtu motorowego wyjrzał jakiś mężczyzna.

- Nicka nie ma - poinformował. - Niedawno gdzieś pojechał.

Paul podziękował i wrócił do samochodu. Po drodze zerknął jeszcze raz na nazwę jachtu i zauważył, że pawęż jest bielsza niż reszta kadłuba. Poszedł z powrotem do sąsiada Nickersona i zapytał, czy jacht nazywał się kiedyś inaczej.

- Owszem - przytaknął mężczyzna.

Kilka minut później Paul usiadł za kierownicą.

- Nickersona nie ma.

- Widziałam, że sprawdzałeś nazwę jachtu - powiedziała Gamay.

- Z ciekawości. Sąsiad Nickersona powiedział, że kiedyś ten zabytek nazywał się „Thistle”<sup>\*</sup>.

Angela nastawiła ucha.

- Jesteś pewien?

- Tak. Dlaczego?

- Karczochy.

- Nie rozumiem - odparł Trout.

- Natknęłam się na to, kiedy wyciągałam materiały dla mojego znajomego pisarza. Ta roślina i karczoch należą do tej samej rodziny.

Saxon odryglował drzwi wynajętego domku nad zatoką, zapalił światło i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Witam w pracowni konserwatorskiej Saxona.

Fotele i kanapa w salonie wypełnionym zapachem stęchlizny zostały dopchnięte do ścian, żeby zrobić miejsce dla plastikowego pojemnika na śmiecie i dwóch składanych stolików kempingowych, zsuniętych razem, na których były położone dwie płyty ze sklejki, rozdzielone grubymi warstwami bibuły.

Amfora leżała na kanapie w dwóch kawałkach. Zieloną plamistą powierzchnię smukłego, zwężającego się naczynia przeżarła rdza. Zamknięty szczelnie wylot odcięty od szyjki leżał kilka centymetrów od reszty. Austin wziął ze stolika piłę do metalu i obejrzał zielonkawy pył na jej zębach.

- Widzę, że używasz wyjątkowo precyzyjnych narzędzi.

- Ściśle mówiąc, dla majsterkowiczów. - Saxon miał zakłopotaną minę. - Wiem, pomyślisz, że jestem wandalą. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że nabyłem spore doświadczenie, badając przedmioty sztuki antycznej w prymitywnych warunkach i wiem, jak się z nimi obchodzić, nie chciałem, żeby jakiś wścibski konserwator zadawał mi pytania. Istniało pewne ryzyko, ale chyba bym oszalał, gdybym musiał czekać, żeby się dowiedzieć, co jest w środku. Bardzo uważałem.

- Pewnie zrobiłbym to samo. - Austin odłożył piłę. - Mam nadzieję usłyszeć od ciebie, że pacjent umarł, ale operacja się udała.

Saxon rozłożył szeroko ręce.

- Fenicy Bogowie uśmiechnęli się do mnie. Nawet mi się nie śniło, że tak mi się powiedzie. W amforze znalazłem zwój papyrusu, w dużej części nienaruszony.

- Był długo pod wodą - zauważył Zavalę. - W jakim jest stanie?

- Papyrus przechowuje się najlepiej w suchym klimacie, takim jak pustynia w Egipcie, ale amfora była szczelnie zamknięta, a zwój umieszczono w skórzanym pokrowcu. Mam nadzieję, że coś na nim zostało.

Austin uniósł pokrywę śmietnika.

- Następny szczyt techniki?

- To moja ultradźwiękowa komora nawilżająca. Strony okazały się zbyt kruche, żeby je rozwinąć bez uszkodzenia, więc musiałem je nawilżyć. Wlałem na dno pojemnika wodę, zawinałem zwój w bibułę, włożyłem do plastikowego pudełka z wyciętymi dziurami i zamknąłem szczelnie pokrywę.

- I to urządzenie naprawdę działa?

- Teoretycznie, tak. Przekonamy się. - Saxon zerknął na płyty ze sklejki na stolikach.

- A to pewnie jest twój super-hiper osuszacz jonowy - domyślił się Austin.

- Kiedy nawilżony zwój zmiękł, włożyłem go między warstwy bibuły i goreteksu, które

wchłaniają wilgoć. Papirus się wyprostuje pod ciężarem sklejki.

- Widziałeś na nim jakieś pismo? - zapytał Austin.

- Mógłby szernieć od światła, więc rozwijałem go przy zaciągniętych zasłonach. Zerkałem na niego przy latarce. Z powodu plam na powierzchni trudno było rozpoznać jakiegolwiek pismo. Mam nadzieję, że kiedy zwój wyschnie, coś zobaczymy.

- Kiedy będziemy mogli go obejrzeć?

- Teoretycznie powinien już być gotowy. Austin zachichotał.

- Pan Saxon nadawałby się idealnie do pracy w NUMA, Joe.

- Zgadza się z tobą. Nowator, pomysłowy, nie boi się improwizować i jest biegły w sztuce CST

- Słucham? - Saxon nie zrozumiał.

- To hiszpański skrót od „chroń swój tyłek” - wyjaśnił Zavala.

Saxon szarpnął koniec węża gestem czarnego charakteru z niemego filmu.

- W takim razie, cieszę się, że tu jesteście. Jeśli coś spartolę, wina spadnie na nas wszystkich. -

Wyłączył lampy na stojakach. - Panowie, zaraz udowodnimy, że Fenicjanie dotarli do brzegów Ameryki Północnej całe wieki przed narodzinami Kolumba.

Austin wsunął palce pod krawędź sklejki.

- Podnosimy?

Zdjęli ostrożnie górną płytę i odstawili na bok, potem usunęli warstwy goreteksu i bibuły. Papirus miał około czterech i pół metra długości i składał się z oddzielnych stron o wymiarach mniej więcej pięćdziesiąt na trzydzieści centymetrów.

Arkusze o nierównych brzegach zachowały się zaskakująco dobrze. Dużą część brązowej plamistej powierzchni zwoju pokrywał ciemny brud. Gdzieniegdzie widniało pismo, ale wiele fragmentów było nieczytelnych.

Saxon miał minę jak dziecko, które dostało na urodziny tylko parę skarpetek.

- Cholera! To pleśń.

Cały jego zapał roztrzaskał się o mur rzeczywistości. Przez chwilę patrzył z kamienną twarzą na papirus, potem podszedł do okna i spojrział na zatokę. Austin nie zamierzał pozwolić, żeby Saxon się załamał. Wszedł do małej kuchenki i nalał trzy szklanki wody. Wrócił do pokoju, wręczył jedną Zavalii, drugą Saxonowi i uniósł swoją.

- Jeszcze nie piliśmy toastu za człowieka, który oddał życie, żeby wydobyć ten papirus z wraka.

Saxon zrozumiał. Jego rozczarowanie było niczym w porównaniu z losem nurka, który znalazł i uratował amforę.

- Za Hucha i jego czarującą żonę - powiedział przy brzęku szkła. Znów zebrali się wokół zwoju.

- Zignoruj na razie pismo, skoncentruj się i powiedz nam coś o samym papirusie - zaproponował Austin.

Saxon wziął szkło powiększające.

- Zrobiono go z wielkiej rośliny turzycowatej o nazwie cibora papirusowa, rosnącej w delcie Nilu. Te arkusze są najwyższej jakości i wykonano je zapewne z włókien pochodzących ze środka rośliny. Włókna układano w dwie krzyżujące się warstwy, ubijano i sklejano. Klej był na bazie skrobi. Atrament też jest doskonałej jakości. Używano wówczas pigmentu i piór trzcinowych, co umożliwiało pisanie jednym ciągiem.

- Przejdźmy do pisma - polecił Austin. - Na pewno jest fenickie?

Saxon przyjrzał się spokojnie znakom.

- Nie ma co do tego wątpliwości. Dwudziestodwuliterowy alfabet to największy wkład Fenicjan w światową kulturę. Samo słowo „alfabet” jest połączeniem dwóch pierwszych liter. Wszystkie alfabety: arabski, hebrajski, łaciński, grecki i wreszcie angielski wywodzą się z fenickiego. Fenicjanie pisali od prawej strony do lewej, bez przerw, bo używali samych spółgłosek. Pionowe ukośniki służyły za znaki przestankowe, które rozdzielały słowa i zdania.

- Dajmy spokój temu, czego nie możemy przeczytać. - Kurt machnął ręką. - Zaczynaj od tego, co jesteś w stanie odcyfrować. Nawet na kamieniu z Rosetty brakowało części tekstu.

- Powinieneś prowadzić terapię motywacyjną - odparł Saxon. Wziął notes w spiralnej oprawie, długopis i pochylił się nad jednym końcem papirusu. Obliznął wargi, coś zapisał i przeszedł do następnego fragmentu tekstu. Czasami studiował pojedyncze słowo, kiedy indziej kilka rzędów pisma. Posuwał się wzdłuż zwoju i mamrotał pod nosem. Wreszcie podniósł głowę z błyskiem triumfu w oczach.

- Mógłbym cię ucałować, stary!

- Nie zwykłem całować się z kimś, kto ma wąsy. Ani z mężczyzną, ani z kobietą. Mów, co odczytałeś.

Saxon postukał w notes.

- Pierwszy fragment napisał Menelik. Przedstawia się jako ukochany syn króla Salomona. Opowiada o swojej misji.

- Menelik to również syn królowej Saby - przypomniał Kurt.

- Nie dziw się, że o niej nie wspomina. Salomon miał wiele żon i przyjaciółek. - Saxon wskazał kilka wierszy tekstu. - Tu pisze, że jest wdzięczny za zaufanie. Powtarza to wiele razy, co uważam za bardzo interesujące.

- Dlaczego?

- Legendy głoszą, że kiedy Menelik był młody, on i jego przyrodni brat, syn służebnicy królowej Saby, ukradli ze świątyni Arkę Przymierza i zabrali ją do Etiopii, by założyć tam dynastię królewską Salomona. Niektórzy twierdzą, że zrobili to za wiedzą ojca, a miejsce Arki zajęła jej kopia. Jedna opowieść mówi, że święta Arka zniknęła w Etiopii. Według innej, dręczony wyrzutami sumienia Menelik zwrócił ją i Salomon mu wybaczył.

- Salomon też stosował terapię motywacyjną - zauważył Austin. - Kto jest bardziej godny zaufania niż winowajca, który stara się zrehabilitować za dawny zły uczynek?

- Salomon w pełni zasłużył na swoją reputację mądrego człowieka. Na papirusie są wzmianki wskazujące, że Menelik transportował jakiś ładunek o wielkiej wartości.

- Nie ma żadnych szczegółów?

- Niestety, nie. Reszta tekstu to właściwie dziennik okrętowy. Autorem jest Menelik, co oznacza, że musiał być kapitanem. Znalazłem słowo „Scytowie”, które powtarza się parę razy. Fenicjanie często zatrudniali najemników do ochrony swoich statków. Jest wymieniony jakiś „Wielki Ocean”, są zapisane obserwacje pogody, ale główna część dziennika spleśniała.

Austin pokręcił głową.

- Potrafisz poprawić mi humor.

- Chyba tak - odparł Saxon i wskazał kilka nieuszkodzonych miejsc.

- Tu zwój był bardzo mocno ściśnięty. Pleśń się nie dostała. Wiersze mówią o lądowaniu. Kapitan opisuje wpłynięcie do długiej zatoki, niemal jak małe morze, gdzie już nie czuł zapachu oceanu.

- Chesapeake? - zainteresował się Kurt.

- Możliwe. Statek rzucił kotwicę blisko wyspy w ujściu szerokiej rzeki. Według opisu, woda była bardziej brązowa niż niebieska.

- W czasie naszej dzisiejszej wyprawy widziałem, że jest zamulona - powiedział Zavala. - A w pobliżu terenów doświadczalnych Aberdeen Proving Grounds mijaliśmy jakąś wyspę.

Austin nadal miał przy sobie mapę zatoki Chesapeake w wodoszczelnym plastikowym opakowaniu. Wyjął ją i rozpostarł na podłodze. Flamastrem narysował znak X blisko Havre de Grace w ujściu Susquehanny.

- Tu zatrzymali się nasi Fenicjanie. Co zrobili z ładunkiem?

- Może ukryli go w jakiejś kopalni złota? - podsunął Saxon.

- W swojej książce sugerujesz, że Ofir leżał w Ameryce Północnej. Chcesz powiedzieć, że schowali to coś w kopalni króla Salomona?

- Kiedy rozpocząłem poszukiwanie jego kopalni, skoncentrowałem się na rejonie Chesapeake i Susquehanny - mówił Saxon. - Rzut kamieniem od Waszyngtonu wydobywano złoto na dużą skalę sto lat przed wielką gorączką złota w Kalifornii w roku 1849.

- Słyszeliśmy o tym - przyznał Austin.

- Thelma Hutchins wspomniała, że jej mąż wiedział o kopalniach złota w tej okolicy - dodał Zavala.

Saxon skinął głową.

- Na przełomie wieku wzdłuż Potomacu działało ponad pół tuzina kopalń, od Georgetown aż za Great Falls. W Marylandzie było co najmniej pięćdziesiąt, po obu stronach Chesapeake. Złoto znajdowano w skałach na płaskowyżu Piedmont, który ciągnie się od Nowego Jorku do Karoliny Południowej.

- Kawał terenu - zauważył Austin.

- Owszem. Zacząłem szukać jakiegoś dowodu obecności Fenicjan. Znalazłem go nie w Marylandzie, ale dalej na północ, w Pensylwanii. Niedaleko stolicy stanu, Harrisburga, odkryto kamienie pokryte fenickim pismem.

- I...?

- Niejaki W. W. Strong zgromadził około czterystu kamieni, znalezionych w pobliżu Mechanicsburga w dolinie rzeki Susquehanna. Doktor Strong zinterpretował znaki na ich powierzchni jako symbole fenickie. Barry Feli uważa, że to pismo baskijskie. Inni twierdzą, że wzory są dziełem przyrody.

- Coś ci pokażę - powiedział Austin. Poszedł do dżipa i wrócił z kamieniem, który wydobył z wraka. Salon wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Skąd to masz?

- Z tego zatopionego statku, do którego nurkowałem.

- Niesamowite! - Wziął od Austina kamień i trzymał go tak, jakby był z kruchej szkła; powiódł palcem po wrytej linii. - To jest Beth, fenicki symbol domu. Przekształcił się później w greckie B. Wiąże ten wrak z Mechanicsburgiem.

Austin narysował drugi X w miejscu zatonięcia statku w zatoce i trzeci w ujściu rzeki. Połączył je linią i pociągnął ją w górę Susquehanny.

- Trop urywa się w Mechanicsburgu.

- Niekoniecznie - stwierdził Saxon. - Od lat badam ten rejon. Przeszukałem dużą jego część

pieszo i samochodem. Jeśli sprawa gdziekolwiek wygląda obiecująco, to właśnie tu. - Zakreślił szybko flamastrem jakąś okolicę na północ od Harrisburga. - Tak zwana Głusza Świętego Antoniego zawsze mnie intrygowała z powodu opowieści o dawno zaginionej kopalni złota. Biegnie tam nawet droga o nazwie Gold Mine Road. Krąży mnóstwo legend o opuszczonych osadach górniczych w tej okolicy. To wyjątkowo trudny teren, jeden z bardzo niewielu w ogóle niezagospodarowanych.

- Legendy to jedno, fakty to drugie. Saxon skupił uwagę na papierusie.

- Tu jest niepoplamione miejsce z jedyną wzmianką o kopalni. Słowa dookoła są pokryte pleśnią, z wyjątkiem zdania opisującego zakręt rzeki w kształcie podkowy. - Powiódł długim palcem do wyraźnie widocznego zakola Susquehanny, wyglądającego jak litera U. - Głusza Świętego Antoniego jest na wschód od zakrętu. - Pokręcił głową. - To wielki obszar. Moglibyśmy szukać latami i nic nie znaleźć.

Austin wyjął kawałek papieru i położył obok mapy. Krzywa linia na kartce miała taki sam kształt jak zakole rzeki. Inne zawijasy oznaczały góry i doliny na wschód od Susquehanny.

- To jest kopia fenickiej mapy pokazującej lokalizację kopalni Salomona. Została znaleziona wśród dokumentów Thomasa Jeffersona.

- Jeffersona? To bez sensu.

- Mamy nadzieję, że z czasem nabierze sensu. Co myślisz o tej mapie?

Saxon przeczytał fenickie słowa na kartce.

- Tu jest dokładnie opisane położenie kopalni w stosunku do rzeki!

- Zanim wpadniemy w euforię, muszę wyjaśnić, jaki jest z tym problem - powiedział Austin. - Według miejscowych Susquehanna ma ponad półtora kilometra szerokości i tylko trzydzieści centymetrów głębokości. Roi się tam od bystrzy i wysp. Nie ma mowy, żeby okręt „Tarszisz” mógł pożeglować w górę rzeki.

- Ale ładunek mógłby spływać w dół - stwierdził Saxon. - Łodzią. Głębokość rzeki byłaby wystarczająca w czasie wiosennych roztopów.

- Ryzykowne, ale możliwe - przyznał Kurt. - Przy odpowiednim rodzaju łodzi.

- Taki odpowiedni rodzaj łodzi nazywano „arką Susquehanny”. Zaczęto ich używać w XIX wieku. Kursowano nimi z hrabstwa Steuben w stanie Nowy Jork w kierunku ujścia rzeki do Port Deposit w Marylandzie. To były w zasadzie duże tratwy o długości około dwudziestu trzech i szerokości pięciu metrów. Transportowały towary na rynek. Spływały w dół wiosną, kiedy topniał śnieg i podnosił się poziom wody. Potem je rozbierano, drewno sprzedawano i załogi wracały łodem do domu. Podróż rzeką do celu trwała osiem dni, wędrówka z powrotem, sześć. Arki przewiozły ładunki warte miliony dolarów, zanim wyparła je kolej.

- Prosty, ale genialny pomysł - wtrącił Zavala. - Fenicjanie mogli transportować złoto w ten sam sposób.

Saxon roześmiał się.

- Rider Haggard pewnie się przewraca w grobie. On i reszta świata przyjęli założenie, że kopalnie króla Salomona były w Afryce.

Zavala popatrzył na obie mapy.

- Mam własny problem. Zaznaczony teren jest pod wodą.

Saxon spojrzał tam, gdzie pokazywał Joe.

- Fakt. To komplikuje sprawę.

- Tylko trochę - odparł Austin.

- Proponuję przeprowadzić jutro operację poszukiwawczą z udziałem całego zespołu specjalnego. Helikopterem szybko dolecimy do Głuszy Świętego Antoniego. Możemy tam być jutro z samego rana.

- Doskonale! - ucieszył się Saxon. - Obejrzę papirus jeszcze raz i zajrzę do moich materiałów na wypadek, gdybym coś przeoczył.

Austin potarł podbródek.

- Salomon zadał sobie mnóstwo trudu, żeby ukryć tę relikwię przed ludzkim wzrokiem.

Zawała usłyszał w głosie kolegi poważny ton.

- Chodzi ci o to, że możemy złapać tygrysa za ogon?

- W pewnym sensie. Powiedzmy, że znajdziemy ten przedmiot. Co z nim zrobimy?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - przyznał Saxon. - Artefakty o znaczeniu religijnym potrafią wywołać wielkie poruszenie.

- Właśnie - przytaknął Austin z takim zaniepokojeniem, że Saxon zmarszczył czoło. - Kto wie, czy ukrywając tę rzecz, Salomon nie postąpił o wiele mądrzej niż my teraz, szukając jej?



Carina leżała wyciągnięta na łóżku i z braku lepszego zajęcia wpatrywała się w sufit, gdy usłyszała ciche pukanie. Wstała, otworzyła drzwi i zobaczyła za progiem wiklinowy koszyk ze swoim ubraniem. Na wierzchu starannie ułożonego stosu była kartka.

*„Droga Panno Mechadi. Zapraszam na kolację o dogodnej dla Pani porze.*

*V. B.*”

- Co za wersal - mruknęła i zatrzasnęła drzwi.

Noszenie własnego ubrania dawało jej poczucie kontroli nad sytuacją. Wiedziała, że to tylko złudzenie, lecz dobrze się z tym czuła. Przeczytała kartkę jeszcze raz. Wolałaby już nie oglądać Baltazara, ale zdawała sobie sprawę, że jej los jest w rękach tego człowieka.

Wyprostowała ramiona i pomaszerowała pustym korytarzem do ogrodu. Czekający tam ochroniarz zaprowadził ją do innego skrzydła rezydencji. Weszła do przestronnej jadalni, urządzonej w hiszpańskim stylu. Białe stiukowe ściany zdobiły kolorowe kafelki i wiszące dekoracje. W rogach pokoju stały wysokie terakotowe dzbany.

Zjawił się służący i posadził Carinę przy stole z blatem pokrytym skórą i z nogami z kutego żelaza. Dwa nakrycia oświetlał ozdobny metalowy kandelabr.

Chwilę później przyszedł Baltazar ubrany na czarno, jakby wybierał się na oficjalne przyjęcie.

- Bardzo mi miło, panno Mechadi, że zechciała pani przyłączyć się do mnie - powiedział z serdecznością starego znajomego.

Carina uśmiechnęła się smętnie.

- A miałam jakiś wybór?

- Każdy ma.

Strzelił palcami i służący napełnił im kieliszki mocnym winem Rioja. Baltazar uniósł swój w niemym toaście i nie wydawał się zbity z tropu, kiedy zignorowała ten gest. Poskubała sałatkę i pachnącą paellę, podaną jako główne danie. Odsunęła tartę na deser, ale wypila espresso.

Zjedli w milczeniu jak stare małżeństwo, które nie ma sobie już nic do powiedzenia. Baltazar zapytał tylko, czy Carinie smakowały potrawy i wino. Odpowiedziała mruknięciem.

- Cieszę się - odparł. Wyjął cienkie cygaro i zapalił. Przez cały czas nie odrywał wzroku od Cariny.

- Mam pytanie - odezwał się zza zasłony dymu. - Wierzy pani w przeznaczenie?

- Nie wiem, co pan ma na myśli.

- To, że o naszym życiu decydujemy nie tyle my sami, ile nasz los.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Koncepcja predestynacji to nic oryginalnego. Uważam, że wszyscy odpowiadamy za skutki

swojego postępowania. Jeśli skoczy pan z okna wysokiego budynku, skutkiem będzie pańska śmierć.

- Ma pani całkowitą rację. Nasze czyny wywierają wpływ na nasze życie. Ale niech pani się zastanowi nad tym, jakie tajemnicze siły mogłyby mnie nakłonić do skoku z okna.

- Do czego pan zmierza?

- Trudno to wyrazić słowami. Łatwiej będzie mi to pani pokazać niż wyjaśnić.

- Mam jakiś wybór?

- W tym wypadku, nie - odparł Baltazar i wstał. Zgasił cygaro w popielniczce i podszedł do Cariny z tyłu, żeby odsunąć jej krzesło. Potem zaprowadził ją do galerii portretów.

- To niektórzy z moich przodków. Widzi pani rodzinne podobieństwo?

Popatrzyła na płótna wiszące na ścianach wielkiego pokoju. Większość obrazów przedstawiała mężczyzn w ozdobnych zbrojach. Choć wiele twarzy różniło się od siebie, dużo sportretowanych osób, również kobiet, miało w oczach wilczy błysk Baltazara, jakby przekazywano sobie w genach instynkt drapieżcy.

- Owszem - przytaknęła. - Charakterystyczne cechy są wyraźne.

Baltazar podszedł do XVIII-wiecznego portretu olejnego młodej kobiety.

- Ta piękność była hrabiną. Niezwykła postać.

Zbliżył twarz do obrazu, po czym nacisnął rzeźbione panele po obu stronach. Carina myślała, że Baltazar całuje płótno, i patrzyła na niego ze zdumieniem. Wy tłumaczył, że taka jest procedura sprawdzania siatkówki jego oka i linii papilarnych. Sprowadził ją po schodach do stalowych drzwi z zamkiem szyfrowym.

Kiedy je otworzył, zobaczyła z zaskoczeniem oszklone szafki wzdłuż ścian.

- To wygląda jak biblioteka.

- Ma pani przed sobą rodzinne archiwum Baltazarów. W tych tomach są opisane nasze dzieje od ponad dwóch tysięcy lat. To skarbnica wiedzy o intrygach w Europie i Azji na przestrzeni tego czasu.

Otworzył następne drzwi. Wyjął pochodnię z kinkietu i zapalił ją zapalniczką. Blask ognia oświetlił okrągłe pomieszczenie z kamienia. Carina weszła do środka i stanęła na wprost posągu z wyciągniętymi ku niej rękami.

- Mój Boże! Co to jest?

- Starożytny posąg do składania ofiar. Należy do mojej rodziny od wieków.

Popatrzyła na ostry nos i podbródek, wykrzywione usta. Chybotliwe światło pochodni oraz ruchome cienie uwydatniały rysy twarzy.

- Ohydny.

- Niektórzy mogą tak uważać. To rzecz gustu. Ale nie posąg chciałem pani pokazać, tylko ten wolumin.

Baltazar wetknął pochodnię w wysoki metalowy stojak i podszedł do ołtarza. Uniósł wieko kufierka wysadzanego klejnotami i otworzył drewnianą szkatułkę wewnątrz. Wyjął z niej oprawione arkusze pergaminu.

Carina nie chciała mu dawać satysfakcji, okazując zainteresowanie, ale nie mogła powstrzymać ciekawości.

- Wyglądają na bardzo stare.

- Mają prawie trzy tysiące lat. Tekst jest w języku aramejskim. Powstał w czasach króla Salomona.

- Kto był autorem?

- Matka rodu Baltazarów, jego założycielka. Jej imię jest nieznane. Ona sama nazywa siebie „Kapłanką”, inni też tak ją nazywają. Chce pani usłyszeć, co napisała?

Carina wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic lepszego do roboty.

- Znam treść na pamięć. Tu, na pierwszej stronie, autorka się przedstawia. Była pogańską kapłanką, ulubioną konkubinią Salomona. Urodziła mu syna, któremu dano na imię Melkart. Jak już mówiłem, Salomon, zmienny w uczuciach, stracił głowę dla królowej Saby.

- Mojej przodkini - powiedziała Carina.

- Zgadza się. Mieli syna, któremu dali na imię Menelik. Salomon ofiarował kapłankę królowej jako jej służebnicę. Nie miała nic do powiedzenia. Chłopcy wychowywali się razem, ale Menelik był faworyzowany. Mieli po kilkanaście lat, kiedy Melkart, na polecenie matki, namówił przyrodniego brata do kradzieży prawdziwego skarbu ze świątyni Salomona. Menelik w końcu go zwrócił i ojciec im wybaczył, ale za pośrednictwem swojego przyjaciela Hirama wcielił obu do fenickiej marynarki wojennej.

- Co ukradli?

- Arkę Przymierza. Z oryginałem Dziesięciorga Przykazań w środku.

- Z kamiennymi tablicami, które Mojżesz przyniósł z góry Synaj?

- Nie. Te były ze złota. W Biblii są nazywane złotym cielcem. Mojżesz rzekomo kazał je zniszczyć, ale tak się nie stało.

- Dlaczego chciał, żeby je zniszczono?

- Powstały w okresie, gdy stare religie stale się zmieniały. Tekst na tablicach zwróciłby uwagę ludzi, zanim Mojżesz zdołałby ich przekonać do wiary, której nauczał.

- Tablice najwyraźniej nie zostały zniszczone.

- Pozostawały w ukryciu do czasów Salomona. Król widział w nich potencjalne źródło kłopotów, ale czuł lęk przed zniszczeniem świętych przedmiotów. Obawiał się też, że znów mogą zostać skradzione. Kazał Menelikowi zabrać Dziesięcioro Przykazań do Ofiru i ukryć. Kapłanka wysłała tam Melkarta, żeby odzyskał złote tablice. Doszło do walki między przyrodniemi braćmi. Menelik zabił Melkarta, przejął jego okręt i wrócił do domu, by opowiedzieć wszystko ojcu. Salomon wygnał matkę Melkarta, którą podejrzewał o podburzanie jego poddanych przeciwko niemu i wskrzeszanie starej pogańskiej wiary.

- A co Żeglarz ma z tym wspólnego?

- Kapłanka dowiedziała się od swoich informatorów, że Salomon kazał odlać z brązu dwa posągi Menelika i wyryć na nich mapy, wskazujące lokalizację Ofiru i tablic. Bardziej szczegółowa mapa, narysowana na Welinie, zaginęła podczas starcia braci.

- Dlaczego akurat dwa posągi?

- Salomon był nie tylko mądry, również przezorny. Kazał je ustawić przy wejściu do swojej świątyni. Ukryte na widoku, można powiedzieć.

- A co się stało z kapłanką?

- Na wygnaniu kipiała z gniewu z powodu śmierci swojego jedyne syna z rąk Menelika, potomka królowej Saby. Uważała, że powinna być żoną Salomona, i że Dziesięcioro Przykazań, wraz z władzą, którą dawały, należy się jej. Powierzyła synowi Melkarta zadanie odzyskania skarbu i dokonania zemsty na potomkach Salomona i królowej Saby. Nie udało mu się to, ale przekazał te polecenia następnemu pokoleniu. Z biegiem lat głównym celem stało się odzyskanie tablic, zanim

ktokolwiek dowie się o ich istnieniu. Zorganizowano ogólnoswiatową siatkę Obserwatorów, czuwających nad tym, by tajemnica nie wyszła na jaw.

- A jaka jest pańska rola w tym wszystkim?

- Mój ojciec powierzył wykonanie wspomnianego zadania mnie. Jestem ostatnim z Baltazarów i na moich barkach spoczywa obowiązek dotrzymania przysięgi złożonej przed wiekami.

- Więc o to chodzi. Zemści się pan za krzywdę tamtej kapłanki, która dawno obróciła się w proch. Wierzy pan, że jestem potomkinią królowej Saby, i zamierza pan mnie zabić.

- Wolałbym tego nie robić. Mam propozycję. Chciałbym podtrzymać istnienie rodu Baltazarów.

Czy jest na to lepszy sposób niż połączenie naszych genów?

Carina osłupiała.

- Chyba nie mówi pan poważnie? Wyobraża pan sobie, że mogłabym...

- Nie mam na myśli miłości - wyjaśnił Baltazar. - Niech pani to potraktuje jako propozycję transakcji.

- Dam panu dziedzica, a potem pan mnie zabije, tak?

- To będzie zależało wyłącznie od pani.

- Więc niech pan mnie zabije od razu. Na samą myśl o pańskim dotyku czuję wstręt.

Spróbowała go ominąć, ale zastąpił jej drogę. Odwróciła się odruchowo w poszukiwaniu miejsca do ucieczki, gdy jej wzrok padł na twarz posągu oświetloną blaskiem pochodni.

- Posąg. Teraz sobie przypominam. Widziałam taki w Rzymie. Został zabrany z Kartaginy w okresie wojen punickich. Kartagińczycy używali go do składania dzieci w ofierze Baalowi, kiedy Rzymianie atakowali miasto. To dlatego Salomon wygnał pańską świętą kapłankę. Praktykowała składanie ludzi w ofierze.

- Salomon był hipokrytą - warknął Baltazar. - Czczył starych bogów, ale kiedy jego kapłani powstali przeciwko niemu, poddał się.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z panem i pańskimi ohydnyimi bogami. Niech pan mnie stąd wypuści.

- To niemożliwe.

W oczach Cariny pojawił się groźny błysk. Wyszarpnęła ze stojaka pochodnię i dźgnęła nią w kierunku twarzy Baltazara. Uśmieł się z tego pokazu buntu.

- Proszę to odłożyć, zanim pani zabiorę.

- Jeśli mnie pan nie wypuści, zniszczę dzieło pańskiej cudownej kapłanki.

Obróciła się i przysunęła płomień do oprawionych stron pergaminu na ołtarzu.

Baltazar zareagował z szybkością kobry. Wyrwał Carinie pochodnię zanim suche arkusze się zajęły, i zdzielił ją pięścią w twarz. Osunęła się nieprzytomna na podłogę.

Spojrzał w górę na posąg. Skośne oczy lśniły w blasku ognia. Zdawało mu się, że wyciągnięte ramiona chcą go objąć.

Zerknął w dół na bezwładne ciało Cariny, potem znów podniósł wzrok na niemy posąg. Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał.

- Tak - powiedział po chwili. - Teraz rozumiem.

Austin zostawił worek marynarski ze sprzętem do nurkowania tuż za progiem swojego domu i poszedł prosto do gabinetu. Na automatycznej sekretarce pulsowała czerwona dioda. Dwie wiadomości. Wcisnął przycisk. Pierwsza nagrała się Carina.

„Cześć, Kurt. Wyszłam z muzeum około pierwszej trzydzieści. Spotkanie zakończyło się wielkim sukcesem! Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ci o tym opowiem. Mam nadzieję, że komputerowa obróbka zdjęć Żeglarza coś dała. Łapię taksówkę na dworzec Penn Station. Powinam być w Waszyngtonie późnym popołudniem. Zadzwoń po drodze. Ciao”.

Austin zerknął na zegar ścienny. Minęła dziesiąta. Z zamyślenia wyrwał go dźwięk sygnalizujący początek drugiej wiadomości. Może to znów Carina. Ale metaliczny głos przekazał krótką, przerażającą informację.

*„Dobry wieczór, panie Austin. Mamy pewną Włoszkę. Podaję nasz telefon”.*

Urządzenie zniekształcające głos zmieniało go tak, że dzwoniący mówił jak robot. Identyfikacja jego numeru wskazywała, że jest zamiejscowy. Austin przypomniał sobie słowa Bucka w pałacu Topkapi, że jego szef ma wobec Cariny „inne plany”.

Nie dotarła na dworzec Penn Station. Austin zacisnął wargi. Prześledził w myślach jej kroki tego dnia w nadziei, że przypomni sobie jakąś wskazówkę co do jej zniknięcia. Tylko on wiedział, że Carina wybiera się do muzeum w Nowym Jorku. Pamiętał, jak tego ranka umawiała się tam telefonicznie.

Podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Zavali, ale nagle odłożył ją z powrotem tak gwałtownie, jakby się zamieniła w grzechotnika, i wyszedł na taras.

W powietrzu unosił się wyraźny, ale nie przykry, zapach błota i gnijących roślin. Kumkały żaby, bzycały owady. Rzeka połyskiwała srebrzyście w poświacie półksiężyca. Przypomniał sobie intruza, obserwującego dom tamtego wieczoru, kiedy pierwszy raz była u niego Carina. Wysoki dąb, pod którym znalazł wtedy odcisk stopy, odcinał się na tle wody.

Intruz nie tylko obserwował dom.

Austin poszedł do drzwi frontowych, wyszedł na dwór i wsiadł do samochodu. Na końcu długiego podjazdu skręcił w drogę, przejechał prawie dziesięć kilometrów i się zatrzymał. Wyjął komórkę ze schowka pod deską rozdzielczą i wybrał z pamięci numer.

- Flagg - odezwał się basowy głos.

- Przydałaby mi się twoja pomoc - powiedział Austin. - Mógłbyś do mnie wpaść? Weź ze sobą specja od dezynsekcji.

- Będę za dwadzieścia minut - obiecał Flagg.

Był zapewne w Langley. Austin nie wiedział, gdzie mieszka jego dawny kolega. Może nie miał

innego domu niż kwatera główna CIA, gdzie spędzał większość czasu między podróżami służbowymi po całym świecie.

Austin zawrócił do swojej przystani rzecznej. Był na siebie zły za to, że nie należał, by Carina nie pokazywała się publicznie, choć prawdopodobnie nic by nie wskórał. Gdy chodziło o jej własne bezpieczeństwo, niczego się nie bała.

Dokładnie dwadzieścia pięć minut po telefonie Austina przyjechały dwa samochody. Flagg wysiadł z yukona. Szczupły młody człowiek w kombinezonie roboczym wyłonił się z furgonetki, która miała na drzwiach logo firmy zajmującej się zwalczaniem insektów.

Przedstawił się jako Odpluskwiacz; położył na podłodze w gabinecie aluminiową walizkę, otworzył wieko i wyjął gadżet o wyglądzie miotacza promieni Królika Rogersa. Obracał się na pięcie, celując w ściany.

Sprawdził szybko wszystkie pomieszczenia na parterze, potem wspiał się po spiralnych schodach do sypialni w wieżycze. Po kilku minutach wrócił na dół i zaczął pakować swój sprzęt.

- Nie ma tu żadnego robactwa - stwierdził. - Cały dom jest czysty.

- A na zewnątrz? - zapytał Austin i wskazał kciukiem taras. Odpluskwiacz stuknął się palcem wskazującym w prawą skroń.

- Racja. Jasne.

Wyszedł na taras i wrócił po kilku sekundach.

- Odbieram coś od strony rzeki.

- Chyba wiem, skąd. - Austin wziął latarkę i poprowadził obu po schodach tarasu w dół do podnóża wysokiego dębu. - Parę dni temu ktoś się tu kręcił. Znalazłem pod tym drzewem odcisk stopy.

Odpluskwiacz skierował miotacz promieni w górę na gąszcz gałęzi. Na małym wyświetlaczu LCD pojawiły się cyfry i urządzenie elektroniczne wyemitowało serię dźwięków.

Odpluskwiacz wziął latarkę i poprosił kolegów o pomoc. Podsadzili go do najniższych gałęzi i wdrapał się do połowy wysokości drzewa. Podłubał scyzorykiem w grubym konarze, zszedł na ziemię, wyciągnął rękę i oświetlił ją. Na dłoni leżało czarne plastikowe pudełko wielkości talii kart.

- Cud techniki. Aktywowany głosem. Na baterie słoneczne. Ten mały gadżet, który wyłapuje każdą pańską rozmowę przez telefon stacjonarny i komórkowy, transmituje ją do stanowiska nasłuchowego w dowolnym miejscu na świecie. Co mam zrobić z tą zabawką?

Flagg obserwował odpluskwianie w milczeniu, ale teraz się odezwał:

- Ja bym ją wsadził z powrotem tam, gdzie była. Może się przydać do wysłania w eter dezinformacji.

- Chętnie bym im nawrzucał - odparł Austin, ale wiedział, że pomysł Flagga jest dobry.

Odpluskwiacz znów się wspiał na drzewo. Flagg zerknął w górę na gałęzie.

- Ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby móc wtykać nos w twoje sprawy. Myślałem, że odkąd przeszedłeś do NUMA, twoim jedynym zmartwieniem jest liczenie ryb.

- Nie uwierzyłbyś, jaką wielkość mają niektóre z nich. Kiedy twój kumpel skończy, opowiem ci wszystko przy piwie.

Odpluskwiacz ponownie zainstalował elektroniczne urządzenie podsłuchowe i zeskoczył z dębu. Zebrał swoje narzędzia, wsiadł do furgonetki i odjechał. Austin przyniósł z lodówki dwie butelki sama adamsa i usiadł z Flaggiem w skórzanych fotelach w gabinecie. W ciągu następnej godziny Austin zrelacjonował koledze zdarzenia, które miały miejsce od chwili napadu na kontenerowiec.

Flagg wykrzywił szerokie usta w lekkim uśmiechu, ale wyraz jego twarzy pozostał obojętny.

- Kopalnie króla Salomona? W porównaniu z twoją pracą Austin, moja jest mniej więcej tak ekscytująca, jak sortowanie poczty. - Po chwili spowaźniał. - Masz przeciwko sobie jakichś ostrych bandziorów. Myślisz, że twoją panią porwał ten Baltazar?

- Przewija się w tej sprawie od samego początku.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Spróbuj ustalić, gdzie on jest.

- Zaraz się tym zajmę. Coś jeszcze?

- Zaczekaj.

Kurt podniósł słuchawkę telefonu, przełączył aparat na głośnik i wybrał numer, który podał mu jego anonimowy rozmówca.

- Długo pan nie dzwonił - powiedział upiorny głos.

- Byłem poza domem. Co to za Włoszka, o której pan mówił?

- Zna ją pan jako Carinę Mechadi. Jest w dobrej formie. Na razie. Nie mogę obiecać, że tak będzie dalej.

- Co chcecie w zamian za jej uwolnienie?

- Nie co, tylko kogo. Pana.

- Jaką mam gwarancję, że ją wypuścicie?

- Żadnej.

- Jakie są wasze warunki?

- Niech pan będzie dokładnie za półtorej godziny pod pomnikiem Lincolna. Sam. I bez żadnych urzędzeń naprowadzających. Przeszukamy pana.

Zerknął na Flagga.

- Dobrze.

Na linii zapadła cisza.

- To dopiero musi być kobieta - stwierdził Flagg i wstał. - Lepiej się zbieraj. Spróbuję wytropić Baltazara.

Poprosił Flagga, żeby kontaktował się z nim przez Zavalę. Po wyjściu kolegi podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Joego, zwalczając w sobie pokusę posłania kilku mocnych epitetów podsłuchującym ich ludziom.

- Cześć, Joe, tu Kurt. Nie będę mógł się z tobą jutro spotkać. Pitt mnie wezwał. Mam być u niego jeszcze dziś.

- To musi być coś pilnego.

- Jest. Zadzwoń do ciebie później.

Wykonał drugi telefon do Zawali po piętnastu minutach, kiedy jechał obwodnicą Beltway w kierunku Waszyngtonu.

- Czekałem, aż się odezwiesz. Byłem ciekaw, jak chcesz się zobaczyć z Pittem jeszcze dziś, skoro, o ile wiem, jest na Morzu Japońskim.

- Przepraszam za to kręcenie. Ktoś podsłuchiwał naszą rozmowę. Austin wyjaśnił Joemu, że jest w drodze na spotkanie z porywaczami Cariny.

- Zgodzę się na wszystko, co powiesz, Kurt, ale czy myślisz, że spełnienie ich warunków pomoże Carinie?

- Nie mam pojęcia. Może uda mi się do niej dotrzeć i ją uwolnić. To, że wiem, gdzie szukać

kopalni, może być moją kartą przetargową.

- Niechętnie ci to mówię, ale może oni po prostu chcą cię dopaść i nie zamierzają się targować.

- Biorę to pod uwagę, ale muszę zaryzykować. Chciałbym, żebyś przez ten czas zlokalizował kopalnię. To może być moja szansa. Liczy się szybkość.

- Załatwiłem już helikopter i rozmawiałem z Troutami. O świcie spotykamy się z Saxonem. Na razie życzę szczęścia.

- Dzięki. Będzie mi potrzebne.

Upowiedział Zawalę, że zadzwoni do niego Flagg, i rozłączył się. Zaparkował dzipa w podziemnym garażu NUMA, złapał taksówkę i pojechał pod pomnik Lincolna. Dotarł tam minutę przed czasem. Kilka sekund po odjeździe taksówki przy krawężniku zatrzymał się czarny cadillac escalade. Otworzyły się tylne drzwi, z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna i wskazał tylne siedzenie.

Austin wziął głęboki oddech i wszedł. Mężczyzna wśliznął się za nim i uwięził go między sobą i drugim pasażerem. SUV wystartował przed pomnika i włączył się do ruchu.

Pasażer z lewej strony sięgnął pod marynarkę. Austin zobaczył błysk metalu. Nie potrafił powiedzieć, czy to nóż, czy pistolet. Przeklął się w duchu za to, że źle ocenił sytuację. Nigdzie go nie zawiozą. Zabiją go natychmiast.

Uniósł ramię w obronnym geście.

Poczuł na szyi ucisk czegoś zimnego i usłyszał cichy syk.

Potem ktoś zasłonił mu oczy.

Stał się bezwładny, powieki same mu się zamknęły, głowa opadła na pierś. Gdyby nie eskorta po obu jego stronach, zsunąłby się z siedzenia.

SUV znalazł się wkrótce na peryferiach stolicy. Jechał z maksymalną dozwoloną prędkością w kierunku lotniska.



Helikopter McDonnell Douglas MD 500 leciał wysoko nad zatoką Chesapeake, jego turkusowy kadłub oświetlał łagodny blask świtu. Śmigłowiec pilotował Joe Zavala. Gamay siedziała w fotelu pasażera, Paul wyciągnął się na tylnej ławce, obok niego leżały worki marynarskie ze sprzętem do nurkowania.

Zavala popatrzył zmrużonymi oczami przez przyciemnioną szybę kokpitu i wskazał palcem w dół.  
- Tu nurkowaliśmy z Kurtem do tego wraka. Zbliżamy się do Havre de Grace.

W polu widzenia ukazała się biała latarnia morska w Concorde, potem most kolejowy nad ujściem Susquehanny.

Zavala trzymał się farwateru, prowadzącego na północny zachód. Na rzece tu i tam wyrastały wyspy. Wzdłuż jej brzegów ciągnęły się pofałdowane pola uprawne jak na obrazach Granta Wooda.

Lecąc z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę, helikopter szybko pokonał odległość do Harrisburga. Na drogach nie było jeszcze dużego ruchu. Jakies piętnaście kilometrów na północ od kopuły Kapitolu śmigłowiec skręcił na wschód w stronę gór i oddalił się od rzeki. Przeleciał nad gęstymi lasami i farmami, w końcu opadł w dół przez poranną mgłę i wylądował na pasie startowym.

Na skraju asfaltu stał używany chevy suburban Saxona. Kiedy tylko płozy helikoptera dotknęły ziemi, Saxon uruchomił silnik i pojechał przez lądowisko. Zatrzymał samochód obok śmigłowca i wysiadł. Przeszedł pod wirującymi rotorami i przywitał Zavale oraz Troutów mocnymi uściskami dłoni. Ubrał się jak na afrykańskie safari. Był w workowatych spodniach, kamizelce z mnóstwem kieszeni i kapeluszu z podwiniętym rondem z jednej strony.

- Gdzie Kurt? - zapytał.

- Coś mu wypadło. - Zavala zamaskował wesołym uśmiechem swoje obawy o los przyjaciela.

- Wielka szkoda - zmartwił się Saxon. - Straci całą zabawę, kiedy znajdziemy kopalnię.

- Wydaje się pan tego pewien - stwierdził Paul.

- Często mówię na wyrost - przyznał Saxon. - Joe wie to z doświadczenia. Mam takie zajęcie, że muszę zwracać na siebie uwagę. Ale przysięgłbym na grób królowej Saby, że kopalnia jest w zasięgu ręki. Pokażę wam.

Podszedł do swojego samochodu i opuścił tylną klapę. Z nesesera, mocno sfatygowanego, wyjął gruby plik papierów.

- Napracowałeś się - zauważył Zavala.

- Ledwo widzę na oczy po całonocnym ślęczeniu nad materiałami - odparł Saxon. - Ale warto było. To jest mapa topograficzna interesującego nas terenu. A tędy biegła stara linia kolejowa, która obsługiwała kopalnie węgla. Joe pewnie już was w to wtajemniczył - zwrócił się do Troutów. - Ciągnie mnie do tego miejsca z powodu pogłosek o istnieniu tutaj legendarnej kopalni złota i indiańskich grobowców w grotach. Jest tu też droga Gold Mine Road, która prowadzi przez góry,

i opuszczona osada o nazwie Gold Mine.

Trout przyjrzał się lasom wokół cichego lądowiska i zamrugał dużymi piwnymi oczami, jak to często robił, kiedy się nad czymś zastanawiał.

- Proszę mi wybaczyć mój sceptycyzm naukowca - powiedział z otwartością typową dla człowieka pochodzącego z Nowej Anglii - ale trudno uwierzyć, że Fenicjanie przepłynęli pół świata i znaleźli kopalnię złota w pięknym krajobrazie Pensylwanii.

- Sceptycyzm jest zdrowy - rzucił Saxon. - Musi pan spojrzeć na to w taki sposób. Teraz widzimy tylko szlaki piesze, senne miasteczka i farmy, ale kiedyś żyło tu w dwudziestu wioskach co najmniej pięć plemion. W roku 1600, gdy przybyli Europejczycy, te wzgórza i doliny zamieszkiwało prawie siedem tysięcy Indian Susquehannock.

- Jaką ma pan teorię na temat pierwszego kontaktu? - zapytała Gamay.

- Uważam, że załoga fenickiego statku, poszukująca miedzi, dowiedziała się od Indian o złocie. Fenicjanie mieli takie zdolności organizacyjne, że mogli wynająć miejscowych do pracy w kopalni, wydobywać złoto i wytyczyć trasy lądowe oraz morskie, którymi transportowali kruszec do siebie.

Trout skinął głową.

- Trudne, ale możliwe. Czy dobrze zrozumiałem, że może pan nas zaprowadzić do kopalni?

- Do miejsca, gdzie moim zdaniem ona jest. Wskakujcie do samochodu, przejedziemy się.

Przenieśli bagaże z helikoptera do suburbana. Saxon wyjechał z lądowiska na krętą wiejską drogę. Po kilku kilometrach skręcił w polną drogę prowadzącą do lasu.

- Głusza Świętego Antoniego - oznajmił, kiedy samochód podskakiwał na wybojach. - To drugie największe bezdroże w Pensylwanii. Prowadzi tędy Szlak Appalaski. Między dwiema częściami gór jest pięć tysięcy sześćset hektarów lasów.

- Nie wiedziałam, że święty Antoni odwiedził Amerykę Północną - wtrąciła Gamay.

- Nie odwiedził. Nazwa pochodzi od imienia misjonarza Antoniego Seyferta. Miejscowi nazywają tę okolicę Kamienną Doliną. Teraz dookoła jest cicho jak w grobie, ale w XIX wieku uwijały się tu setki mężczyzn i chłopców zatrudnionych w tutejszych kopalniach węgla. Do miasteczka Rausch Gap doprowadzono linię kolejową, która potem obsługiwała kurort Cold Springs. Prawie wszyscy się stąd wynieśli, kiedy się wyczerpały złoża.

- Prawie? - powtórzył Zawała.

Saxon przytaknął.

- Jacyś sprytni deweloperzy wiedzieli, jak zarobić na legendzie o złocie. Zbudowali hotel Gold Stream. Turyści tam przyjeżdżali i pływali łodziami do jakiejś jaskini, których jest pełno w Pensylwanii. Główną atrakcją była możliwość wypłukiwania złota.

- Naprawdę je znaleźli? - zapytała Gamay.

- Tyle, że mogli zadowolić gości. Hotel sprzedawał medaliony, żeby zatrzymać złoty pył. Wypadł z branży po zlikwidowaniu linii kolejowej.

- Musiało być jakieś źródło tego złotego pyłu - odezwał się Paul.

Saxon się uśmiechnął.

- Oczywiście. Dlatego uważam, że kluczem do rozwiązania zagadki jest tamten hotel.

- Dlaczego? - spytał Joe.

- Zobaczysz - odparł tajemniczo Saxon.

Kiedy zapuścili się głębiej w las, zaczął opowiadać o walce Indian z osadnikami. Wskazywał też ruiny osad górniczych i wieże szybów wydobywczych. Droga skończyła się nagle na brzegu jeziora.

Saxon zatrzymał samochód.

- Witam w hotelu Gold Stream - powiedział.

Zeszli po łagodnej pochyłości nad wodę. Powierzchnia była gładka jak lustro.

- Hotel jest zatopiony - domyślił się Zavala.

- Kiedyś stał w dolinie - mówił Saxon. - Gdy został opuszczony, zjawili się łowcy złota w poszukiwaniu źródła kruszcu. Mieli więcej dynamitu niż rozumu. Wysadzili w powietrze naturalną tamę i pobliski strumień zalał dolinę oraz hotel.

Zavala, patrząc na jezioro, ocenił, że ma około trzech kilometrów długości i półtora kilometra szerokości. Otaczały je gęsto zalesione wzgórza.

- Jaka tu jest głębokość?

- W najniższym miejscu prawie trzydzieści metrów; wiosną wody przybywa.

- Nurkowanie trzeba zaplanować. To duże jezioro. Orientujesz się, skąd powinniśmy zacząć?

- Pokażę ci.

Wrócili do samochodu, Saxon wyjął z torby akta oznaczone „Hotel Gold Stream” i podał Zawali poźółkły folder. Hotel był pokazany jako piętrowy budynek z kamiennych płyt.

Prowadził od niego chodnik do schodów, które biegły w dół do otworu groty, gdzie czekał rząd łodzi wycieczkowych. Ludzie w strojach z epoki wiktoriańskiej wypłukiwali złoto. Joe przeniósł wzrok z broszury reklamowej na jezioro, próbując sobie wyobrazić, co jest pod powierzchnią.

- Nikomu się nie udało znaleźć kopalni, kiedy hotel stał jeszcze na suchym gruncie - podjął - więc dlaczego myślisz, że będzie łatwiej teraz, kiedy jest pod wodą?

- Zadawałem sobie to samo pytanie - wyznał Saxon. - Już miałem odwołać ekspedycję, gdy w jakimś magazynie ilustrowanym natrafiłem na artykuł o tym hotelu. Ktoś z dawnego personelu kuchennego opisał wąż w podłodze kuchni. Pokrywa była zaryglowana, ale ten człowiek sforsował zamek i wrzucił coś do środka, żeby sprawdzić, jaka tam jest głębokość. Nie usłyszał uderzenia w dno. Kierownictwo hotelu założyło na wąż mocniejszą kłódkę, bo personel kuchni wsypywał do szybu obierki.

- To mógł być szyb wentylacyjny kopalni - wtrącił Paul.

Saxon otworzył szkicownik na stronie, gdzie wcześniej przerysował z foldera hotel. Szyb wentylacyjny zaznaczył dwiema pionowymi liniami.

- Moim zdaniem hotel zbudowano nad kopalnią - mówił. - Grota mogła być częścią wejścia do kopalni, zanim zawaliło się sklepienie. Otwór został zablokowany, ale do środka nadal wpływała woda z zawartością złota. Gdybyśmy się opuścili do szybu, może dotarliśmy do kopalni. Myślisz, że da się to zrobić?

Zavala przez chwilę studiował w milczeniu rysunek i analizował każdy krok podczas czekającego ich nurkowania.

- Znamy wielkość otworu wejściowego do szybu? - zapytał w końcu Saxona.

- W tamtym artykule nie podano żadnych wymiarów.

Zavala był ostrożnym nurkiem. Zaproponował dwuetapowy plan. On i Gamay najpierw spenetrują groty, potem szyb. Gamay miała duże doświadczenie w nurkowaniu, zbadała wiele wraków w Wielkich Jeziorach, później pracowała jako archeolog morski. Oboje mieli szczupłe sylwetki, co mogło im umożliwić przepłynięcie szybu.

Kiedy Paul pompował gumową łódź pneumatyczną, nurkowie wkładali skafandry i akwalungi. Saxon zaznaczył lokalizację hotelu na mapie topograficznej w wodoszczelnym plastikowym

opakowaniu.

Trout chwycił za wiosła i wypłynął pontonem z Gamay i Zawalą na jezioro. Wyrzucili za burłę obciążoną boję pozycyjną. Nurkowie stoczyli się z łodzi pneumatycznej do wody i zniknęli w głębinach. Tylko drobne fale na powierzchni znaczyły ich przejście z jednego świata do drugiego.

Austin się ocknął. Czuł się tak, jakby został napadnięty. Myślał naiwnie, że do chwili spotkania z Baltazarem będzie całkowicie przytomny, tymczasem dał się uśpić z zaskoczenia jak frajer.

Niecały metr od siebie zobaczył twarz jakiegoś mężczyzny, zabandażowaną grubo z prawej strony.

- Czujesz się lepiej? - zapytał obcy obojętnym tonem, który sugerował, że nic go to nie obchodzi. Austina bolała głowa, język miał jak kołek, niewyraźnie widział.

- Od ofiary wypadku drogowego, na pewno - odparł. - Kim jesteś?

- Możesz mówić do mnie Giermek. Pracuję dla Baltazara. - Mężczyzna podał Austinowi szklanekę przezroczystego płynu. Widząc jego wahanie, odsłonił w krzywym uśmiechu szczyrby po zębach. - Bez obaw. Gdyby Baltazar chciał cię wykończyć, już byś wachał kwiatki od spodu. Ten „drink” zneutralizuje działanie środka, którym cię naszprycowali.

Austin wypił łyk. Zimny płyn miał smak sztucznej słodyczy. Łupanie pod czaszką osłabło, odzyskał ostrość widzenia. Leżał na łóżku polowym. Jego nowy znajomy siedział na składanym krześle. Znajdowali się w prostokątnym namiocie. Przez półprzezroczyste białe i czerwone pasy przenikało słońce.

- Straciłem przytomność na całą noc - stwierdził Austin.

- Musiałeś ich wkurzyć. Wstrzyknęli ci taką dawkę głupiego jasia, że koń by po niej padł.

Austin opróżnił szklanekę i ją oddał. Mężczyzna, zbudowany jak zawodowy zapaśnik, miał na sobie dżinsowy kombinezon. O jego krzesło były oparte dwie aluminiowe kule inwalidzkie.

- Co ci się stało w twarz? Mężczyzna wykrzywił lewą stronę ust.

- Coś mi się przytrafiło. Chodźmy.

Chwycił kule i podniósł się. Obserwował, jak Austin przekłada wolno nogi poza krawędź łóżka i wstaje. Kręciło mu się lekko w głowie, ale czuł, że szybko odzyskuje siły. Zaciśnął pięści, potem wyprostował palce.

Giermek to zauważył.

- Na wypadek, gdybyś planował jakiś numer, uprzedzam cię, że przed namiotem jest dwóch ochroniarzy i nie są takimi miłymi facetami jak ja. Pan Baltazar upoważnił mnie do wydania im rozkazu popracowania nad tobą. Jasne?

Austin przytaknął.

Giermek wskazał gestem kierunek. Austin wyszedł na dwór i zamrugał oczami w jasnym słońcu. Ochroniarze stali po obu stronach wejścia. Ich średniowieczne stroje nie pasowały do automatów wycelowanych w Austina. Mieli zwodniczo znudzone miny, jakby tylko czekali na okazję zajęcia się nim.

Namiot był jednym z tuzina ustawionych w dwóch rzędach na rozległym polu pod lasem. W środku drugiego szeregu wznosiła się zadaszona i obudowana z trzech stron platforma

obserwacyjna, której narożniki miały kształt wież. Na wietrze łopotały chorągwie z wizerunkiem głowy byka.

Między rzędami namiotów ciągnął się pas otwartej przestrzeni o szerokości około piętnastu metrów. Dzieliła go na pół niska drewniana barierka, biegnąca niemal przez całą jego długość. Na obu końcach pasa, po przeciwnych stronach barierki, siedzieli na ogromnych koniach dwaj jeźdźcy w pełnych zbrojach. Trzymali drewniane kopie z tępymi metalowymi grotami. Masywne rumaki też osłaniały pancerze, które lśniły w porannym słońcu.

Ktoś na platformie zamachał czymś o wyglądzie zielonej chustki do nosa. Mężczyźni w zbrojach dźgnęli wierzchowce ostrogami i pogalopowali ku sobie z opuszczonymi kopiami. Ziemia drżała pod kopytami. Jeźdźcy starli się w połowie trasy z potężnym uderzeniem kopii w tarcze, drzewce się połamały. Przeciwnicy dojechali do końców barierki, obrócili konie i ruszyli na siebie z uniesionymi mieczami. Austin nie zobaczył drugiej części walki, bo ochroniarze wprowadzili go między dwa namioty.

Rozejrzał się. Wokół były pola i lasy. Na linii drzew pojawiło się coś czerwonego. Jakiś samochód zbliżał się z dużą szybkością. Kierowca w ostatniej chwili nacisnął hamulce i zatrzymał auto. Ciężki zderzak bentleya znieruchomiał centymetry od kolana Austina.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i zza kierownicy wysiadł uśmiechnięty Baltazar. Blask słońca odbił się od kolczugi, którą miał pod tuniką ozdobioną głową byka.

- Jak zwykle stalowe nerwy, Austin.

- Po prostu wolno się ruszam po koktajlu, którym mnie poczęstowali twoi ludzie.

Baltazar klasnął w dłonie. Giermek przyniósł dwa krzesła obite skórą i ustawił je na wprost siebie. Baltazar usiadł na jednym z nich i wskazał drugie Austinowi.

- Jak ci się podoba nasz skromny pokaz walki na kopie? - zapytał.

Austin popatrzył na jego strój.

- Myślałem, że jestem na planie filmu Janke na dworze króla Artura.

- Możesz to uważać za podróż w czasie - odparł Baltazar. - Odtworzyłem tutaj każdy szczegół turnieju rycerskiego w XV-wiecznej Francji.

Austin zerknął na samochód.

- Bentleya też?

Baltazar zareagował na drwinę zmarszczeniem brwi.

- W średniowieczu turnieje służyły przygotowaniu rycerzy do wojny i oddzieleniu odważniejszych od mniej odważnych. Tu wykorzystuję je do tego samego celu. Szkolę i sprawdzam moich najemników. Traktuję to bardzo poważnie.

- Cieszę się, że masz jakieś hobby, Baltazar, ale obaj wiemy, dlaczego przyjąłem twoje zaproszenie. Gdzie jest Carina Mechadi?

- Jak powiedziałem przez telefon, na razie nic jej nie grozi. - Baltazar popatrzył na Austina jak na ciekawą próbkę w laboratorium. - Ta młoda dama musi dla ciebie wiele znaczyć, skoro zgodziłeś się zostać moim więźniem.

Austin się uśmiechnął.

- Stęskniłem się za twoim widokiem, Baltazar. W ten sposób miałem darmową podróż do ciebie.

Baltazar wysunął do przodu wydatną szczękę.

- Więc mów, Austin. Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, czy masz coś interesującego do powiedzenia.

- Zaczniemy od tego, że wiem, czego chcesz w zamian za uwolnienie Cariny.

- Aha, jakaś propozycja. Co masz do zaoferowania?

- Lokalizację kopalni króla Salomona.

- Blefujesz, Austin. - Baltazar uśmiechnął się szyderczo. - Poza tym, mam oryginał Żeglarza z jego mapą. Po co miałbym z tobą pertraktować?

- Gdybyś znał lokalizację kopalni, nie potrzebowałbyś porywać Cariny i używać jej jako przynęty, żeby mnie tu zwabić.

- Może zrobiłem tak dlatego, żeby się pozbyć natrętnej muchy, Austin. Ale będę cierpliwy. Wysłucham tego, co wiesz o kopalni. Może uda ci się wykorzystać jakąś informację jako kartę przetargową.

Austin się skrzywił, jakby musiał dokonać trudnego wyboru.

- Mapą są wzory na ciele kota z brązu. Komputerowa obróbka zdjęć umożliwiła zlokalizowanie fenickiego wraka. W wydobytej z niego amforze był papirus z opisem drogi do kopalni.

- Wiesz, czyjego autorstwa? - spytał Baltazar.

- Menelika, syna Salomona.

- Menelika? - wycedził Baltazar.

- Zgadza się. Przetransportował do Ameryki Północnej jakąś relikwię.

Baltazar zareagował spokojniej, niż Austin się spodziewał.

- Próbując mnie zszokować swoją wiedzą, pokazujesz tylko, że nie rozumiesz sytuacji. Orientujesz się, jaką relikwię?

- Może ty mnie oświecisz? Baltazar się uśmiechnął.

- Oryginalny tekst Dziesięciorga Przykazań wryty na tablicach ze szczerego złota.

- Nie wierzę. Oryginał był na kamiennych tablicach.

- Dajesz dowód swojej ignorancji. Przyjmuje się, że istniały trzy wersje Dekalogu, wszystkie w kamieniu. Ale w rzeczywistości były cztery. Pierwsza w kolejności opierała się na pogańskich wierzeniach moich przodków i uznano ją za zbyt kontrowersyjną. Uważa się, że te tablice zniszczono. Nieprawda. Ukryto je i przekazano Salomonowi, który postanowił przetransportować je w najdalszy kraniec swojego imperium.

- Jesteś bogatszy niż Krezus - powiedział Austin. - Co to dla ciebie kilka kilogramów złota więcej.

- Tamte tablice należą prawnie do mojej rodziny.

- Nie wydajesz się typem rodzinnym, Baltazar.

- Wręcz przeciwnie, Austin, to jak najbardziej sprawa rodzinna. Rozglądasz się, widzisz przemoc i myślisz sobie, że to wszystko przez Baltazarów. Ale nie jesteśmy gorsi od rządów różnych krajów. Jak sądzisz, dlaczego wciąż jest tyle samo konfliktów, ile przed zakończeniem zimnej wojny? Rozległa infrastruktura wojskowa nie tylko przetrwała, lecz wręcz prosperuje.

- Co jest korzystne dla takich firm jak twoja, zajmujących się tak zwanym utrzymaniem pokoju i stabilizacji - zauważył Austin.

- Strach i napięcie są nam na rękę.

- A kiedy ich nie ma, wywołujecie je.

- Nie musimy rozpalać niczyich namiętności - odrzekł Baltazar. - Ludzie zabijaliby się wzajemnie bez względu na to, czybyśmy istnieli czy nie. Zagrożenie jest o wiele większe, niż się wydaje. Odkrycie tablic zasiałoby wątpliwości, zachwiało fundamentami władzy i wiary. Na całym świecie

doszłoby do niepokoju.

- Zaczęłoby się na Bliskim Wschodzie.

- Ale tam by się nie skończyło.

- Zdobyłbyś wielki majątek i władzę, Baltazar. A co potem? Cały świat?

- Nie zamierzam go opanować jak jakiś czarny charakter, z którym walczy James Bond. Całą kulą ziemską za trudno byłoby rządzić.

- Więc o co ci chodzi?

- Chcę być światowym monopolistą w dziedzinie bezpieczeństwa.

- Masz dużą konkurencję. W twojej branży działają tuziny firm, nie mówiąc o wojsku.

- Wszystkie stopniowo wyeliminujemy lub wchłonimy, aż zostanie tylko jedna licząca się spółka, PeaceCo. Nasze agencje ochrony i przedsiębiorstwa wydobywcze będą się wzajemnie wspierały. Kraje uprzemysłowione będą mogły zostawić sobie cenne armie i floty. My będziemy wynajmować nasze prywatne siły bezpieczeństwa biednym krajom afrykańskim, azjatyckim i południowoamerykańskim w zamian za ich bogactwa naturalne. Stworzę imperium wojskowo-przemysłowe nie mające sobie równych.

- Imperia powstają i upadają, Baltazar.

- To przetrwa lata. Ponieważ nie mam spadkobierców, być może zapiszę wszystko Adrianowi.

Traktuję go jak syna.

- Jesteś samym złem, Baltazar.

- Po prostu biznesmenem, który nie może się doczekać wielu małych wojen bez końca. Pax Baltazar. Ale wszystko w swoim czasie, Austin. Najpierw musimy znaleźć tablice.

- Więc może się dogadamy. Lokalizacja kopalni w zamian za pannę Mechadi.

Baltazar uniósł dłoń w rękawicy.

- Jeszcze nie. Powiedz mi, co wiesz. Każę komuś to sprawdzić.

Austin się roześmiał.

- Nie jestem idiotą, Baltazar. Zabijesz mnie, kiedy tylko dostaniesz potwierdzenie lokalizacji kopalni.

Baltazar cmoknął ze zniecierpliwieniem.

- Masz podejrzliwą naturę. W takim razie proponuję kompromis. Dam ci szansę ucieczki z moich szponów. Podjąłeś się obrony pewnej damy. Według prawa rycerskiego jesteś jej kawalerem i tak musisz postępować.

Austin zastanowił się nad jego słowami i doszedł do wniosku, że Baltazar to zupełny szaleniec. Zmusił się do uśmiechu.

- Wyjaśnij mi, co masz na myśli.

Baltazar wstał.

- Pokażę ci. Wsiadaj do samochodu.

Otworzył mu drzwi pasażera i zajął miejsce za kierownicą bentleya. Uruchomił potężny silnik i szybko osiągnął na prostym odcinku drogi prędkość prawie stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Baltazar po chwili zwolnił, nacisnął pedał hamulca i zatrzymał auto kilka metrów od krawędzi głębokiego wąwozu.

Nad parowem był przerzucony stalowy most o długości około dwunastu i szerokości sześciu metrów. Nie miał barier ochronnych, środkiem biegł drewniany parkan. Wyglądał na nowy.



Wysiedli z samochodu i podeszli do krawędzi rozpadliny. Strome brzegi opadały w dół do usianego głazami strumienia jakieś sto metrów poniżej.

- Miejscowi nazywają to Wąwozem Śmierci - powiedział Baltazar. - Kazałem zbudować most, żeby połączyć części mojej posiadłości. Zmodyfikowałem go trochę specjalnie na twoją wizytę.

- Nie musiałeś zadawać sobie tyle trudu.

- Drobiazg. Mam następującą propozycję. Ustawię mój samochód z panną Mechadi wewnątrz po drugiej stronie parowu. - Wskazał trawiasty teren na przeciwległym brzegu wąwozu. - Ja będę pośrodku. Odegram rolę mitycznego smoka. Stoczymy walkę konną o tę damę.

Austin obejrzał się na dwa SUV-y, które przyjechały za nimi.

- A co z twoimi bandziorami?

- Każę moim ludziom zostać po tej stronie.

- I pozwolisz nam uciec?

- Dam ci szansę. To więcej niż masz teraz.

- A jeśli nie skorzystam z twojego zaproszenia?

- Każę cię zepchnąć do wąwozu na oczach twojej przerażonej pani.

- Nie mogę odrzucić takiej wspaniałomyślniej propozycji.

Baltazar uśmiechnął się nieprzyjemnie i pokazał Austinowi, żeby wsiadł do samochodu. Wrócili z karkołomną szybkością na główny plac turniejowy. Baltazar wysadził Austina przed namiotem. W wejściu czekał Giermek wsparty na kulach inwalidzkich.

- Mój człowiek cię przygotowuje - powiedział Baltazar. - Będziemy ubrani tylko w kolczugi i hełmy. Obciążenie cię pełną zbroją nie byłoby rycerskie. Dostaniesz tarczę i kopię. Konie nie będą opancerzone, żeby to szybciej poszło. Do zobaczenia na moście. - Wcisnął pedał gazu i wystartował z poślizgiem kół na trawie.

Giermek popatrzył za odjeżdżającym Baltazarem, potem zaprosił Austina do namiotu. Pomógł mu ubrać się w kolczugę i wręczył mu tunikę bez żadnego emblematu. W kapturze kolczugi był otwór na twarz. Giermek włożył Austinowi na głowę myckę z dzianiny i przymierzył mu hełm. Powiedział, że jest trochę za luźny, ale nie ma na to rady. Przyasał Austinowi miecz, wyposażył go w ostrogi i dał mu tarczę w kształcie latawca.

Przyjrzał się Austinowi i wyszczerzył w uśmiechu ocalałe zęby.

- Sir Lancelot to ty nie jesteś, ale będziesz musiał sobie poradzić. Siadaj. Dam ci kilka wskazówek.

Austin zdjął hełm i usiadł na ławce.

- Słuchaj uważnie. Baltazar lubi to rozgrywać w trzech rundach. W czasie pierwszego przejazdu zabawi się z tobą. Całkowicie chybi. Podczas drugiego zada ci cios. Zapewne w tarczę. Za trzecim razem zakończy sprawę. Nadzieje cię na kopię jak prosiaka na rożen. Jakies pytania?

- Jedno. Gdzie tu można skombinować AK-47?

Giermek parsknął.

- Nie będzie ci potrzebny. Baltazar używa kopii z metalowym rdzeniem. Pilnuje tego, żeby przeciwnicy dostawali drewniane, które się połamią na jego zbroi i które będzie mógł odbić tarczą.

- To nie wydaje się rycerskie.

- I nie jest. Tym razem ty dostaniesz kopię z metalowym rdzeniem. Jemu dam cięższą drewnianą w niemieckim stylu. Mam nadzieję, że będzie tak skoncentrowany na tym, żeby cię zabić, iż nie zauważy różnicy w wadze.

- Dlaczego to robisz, Giermek?

Mężczyzna uniósł rękę do zabandażowanej twarzy.

- To ten skurwiel tak mnie urządził tą swoją fałszywą kopią. Lekarze mówią, że będę wyglądać jak Quasimodo. Nie ma na świecie takiego leku, po którym przestałyby mnie boleć pogruchotane nogi. Ale teraz nie chodzi o mnie. Trzeci przejazd jest decydujący. Baltazar uderzy w twoją tarczę, bo będzie myślał, że kopia przebije skórę i drewno. Celuj w jego tułów. To największa część ciała, więc najłatwiej w nią trafić. Uważaj, żebyś nie chybił.

- A jeśli chybię, to co się stanie z tobą?

- Nic. Tak czy inaczej, wynoszę się stąd. Może dostanę robotę w jakimś banku.

Do namiotu zajrzał ochroniarz.

- Już czas.

Przed namiotem był zaparkowany SUV. Pod eskortą ochroniarzy w innym samochodzie Giermek zawiózł Austina do mostu, gdzie panowała karnawałowa atmosfera. Na masztach powiewały chorągwie z wizerunkiem głowy byka. Wśród najemników Baltazara rozeszła się wieść o zbliżającej się walce konnej. Oprócz wszechobecnych ochroniarzy, wzdłuż krawędzi wąwozu stali mężczyźni w średniowiecznych strojach, którzy przyszli zobaczyć, jak Austin zostanie przebity kopią lub strącony w przepaść.

- Nie uprzedziłeś mnie, że wybieramy się na imprezę - powiedział Austin.

- Baltazar lubi widowiska. - Giermek wskazał dwa wielkie konie wyprowadzane z przyczep. - Siwek jest dla Baltazara, gniady dla ciebie. Nazywa się Śmiałek. Można na nim polegać. Nie boi się szarży. Baltazar chciał cię wsadzić na jakąś chabetę, ale dopilnowałem, żebyś dostał dobrego konia.

Giermek podjechał do przyczep i zatrzymał SUV-a. Austin wysiadł i poszedł się zapoznać ze swoim wierzchowcem. Z bliska zwierzę wydawało się ogromne jak słoń. Poklepał konia po boku i szepnął mu do ucha: Nie zawieź mnie ten jeden raz, to dam ci tyle cukru, ile zdołasz zjeść.

Śmiałek parsknął i potrząsnął łbem, co Austin uznał za znak zgody. Poszedł obejrzeć most. Wyglądało na to, że dwa mijające się konie ledwo się na nim zmieszczą. Gdyby Austin spadł z siodła, nie miałby żadnego marginesu błędu.

Usłyszał, że tłum wiwatuje. W kierunku wąwozu pędził bentley, a za nim czarna escalade. Samochody przejechały przez most i zatrzymały się jakieś sto metrów od kanionu. Baltazar wysiadł ze swojego auta i otworzył drzwi SUV-a.

Z escalade wyłoniła się jakaś postać w bieli. Towarzyszyło jej dwóch ochroniarzy. Pomachała, potem zaprowadzono ją do bentleya i posadzono na fotelu pasażera. Baltazar i jego ludzie wrócili SUV-em przez most.

Baltazar podszedł do Austina i wskazał bentleya.

- Tam jest twoja pani. Wywiązałem się z mojej części umowy. Kolej na ciebie.

Austin wyciągnął rękę.

- Kluczyki do samochodu.

Baltazar uniósł hełm, który trzymał pod pachą. Kluczyki wisiały na jednym z dwóch metalowych rogów sterzących z hełmu.

- Nie tak prędko, Austin. To nie może być zbyt łatwe.

- Daj mi kartkę i coś do pisania.

Baltazar warknął rozkaz. Jeden z jego ludzi pobiegł do najbliższego SUV-a i wrócił z samochodowym bloczkiem do notatek i przymocowanym do niego długopisem. Austin położył

bloczek na masce auta, napisał sporo wskazówek i naszkicował mapę. Podkreślił słowa „Kopalnia złota”.

Baltazar wyciągnął rękę. Austin włożył kartkę do swojego hełmu.

- Sam powiedziałaś, że to nie może być zbyt łatwe.

Wiedział, że Baltazar może kazać swoim ludziom rzucić się na niego, zabrać mu mapę i zepchnąć go do wąwozu. Ale liczył na to, że wyolbrzymione ego Baltazara nie pozwoli mu zepsuć przedstawienia, które zorganizował dla swoich podwładnych.

- Czas, żebyś pokazał, na co cię stać, Austin.

W oczach Baltazara zapłonęła taka zawziętość, że mógłby podpalić wzrokiem las. Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swojego konia. Dosiadł siwka z niewiarygodną łatwością. Giermek trzymał wodze. Był wielkim mężczyzną ubranym w szkarłatny strój z kapturem i stał tyłem do Austina. Odwrócił się i spojrzał na niego. Austin rozpoznał zabójcę z dzieciinną twarzą. Adriano się uśmiechnął i wskazał bentleya.

Wymowny gest oznaczał, że jeśli Austin zostanie pokonany, Adriano zajmie się Cariną.

Baltazar dźgnął konia ostrogami. Przegalopował przez most i obrócił rumaka przodem do Austina.

Kurt podszedł do Śmiałka i wspiął się na siodło. Nie był przyzwyczajony do ciężaru kolczugi i poruszał się dużo mniej zwinnie niż Baltazar. Giermek podał mu hełm i powiedział, żeby cały czas miał schyloną głowę, jeśli chce coś widzieć przez szczeliny na oczy.

Następnie, wręczając mu tarczę i kopię, poinstruował, jak je trzymać.

- Obserwuj proporczyk przy końcu drzewca - dodał. - Będiesz znał pozycję grotu.

- Masz jeszcze jakieś rady? - zadudnił w hełmie głos Austina.

- Owszem. Pozwól koniowi robić swoje, pamiętaj o trzecim starciu i módl się o cud.

Klepnął Śmiałka lekko w bok i wielki ogier ruszył z kopyta. Kurt spróbował zatoczyć nim krąg. Wierzchowiec posłusznie reagował na szturchnięcia kolanami. Ciężki rynsztunek był niewygodny, ale siodło miało wysoki tylny łęk i dawało jakie takie oparcie.

Krótką jazda próbna szybko dobiegła końca.

Ubrany na zielono herold zadał w trąbkę, dając sygnał do gotowości. Austin obrócił konia przodem do Baltazara. Drugi dźwięk trąbki nakazywał opuszczenie kopii. Sekundę potem rozległ się trzeci.

Baltazar dźgnął siwka ostrogami tuż przed ostatnim sygnałem.

Austin zrobił to samo zaledwie moment później.

Wierzchowce przyśpieszyły do galopu, grudy ziemi wzbiły się w powietrze niczym spłoszone ptaki. Masywne zwierzęta pędziły ku sobie z tętentem kopyt, wioząc na grzbietach dwie szarżujące postacie w metalowych strojach.

Gamay i Zavala opadali w dół wzdłuż liny boi pozycyjnej, wykonując szybkie nożycowe ruchy nogami. Przezroczystość wody na powierzchni jeziora okazała się zwodnicza. Zielonkawo-brunatna toń pociemniała wkrótce tak, że widoczność spadła do paru metrów. Snopy światła dwóch latarek ledwo rozpraszały mrok, żółte „mokre” skafandry straciły jaskrawą barwę.

Zawisnęli kilkadziesiąt centymetrów nad dnem, żeby nie poderwać do góry oślepiającej chmury mułu. Spojrzeli na kompas i skierowali się na zachód. Po jakimś czasie zobaczyli przed sobą cień. Blask latarek wyłowił z ciemności pionową powierzchnię, na której rozróżnili kamienne płyty. Piętrowy budynek hotelu porastała na zewnątrz roślinność podobna do szpinaku. Przez otwory okienne bez szyb, przypominające puste oczodoły, śmigwały ryby.

W słuchawkach podwodnego komunikatora Zavali rozległ się głos Kaczora Donalda.

- Witamy w gościnnym hotelu Gold Stream - odezwała się Gamay.

- Każdy pokój jest z widokiem na wodę - odparł Zavala. - To chyba nie sezon. Nikogo tu nie ma.

Choć budynek nie był wielki, mansardowy dach i kamienne ściany nadawały mu okazały wygląd. Kiedy przepłynęli nad frontowym gankiem, portyk się zawalił. Zielony szlam pokrywał gnijącą drewnianą werandę, na której w minionej epoce goście hotelowi siadywali w bujanych fotelach, by pooddychać świeżym wiejskim powietrzem.

Zajrzeli do środka. Wewnątrz panowała niemal nieprzenikniona ciemność, przez skafandry poczuli zimno. Okrążyli budynek. Zavala oświetlił parterową przybudówkę z tyłu hotelu.

- Tu mogły być kuchnia i zaplecze.

- Chyba masz rację - przytaknęła Gamay. - Z dachu wystaje coś podobnego do rury od pieca.

Popłynęli w dół łagodnego zbocza, gdzie trawę zastąpiła roślinność słodkowodna. Dotarli do szerokich kamiennych stopni. U stóp schodów ciągnęło się kamienne nabrzeże. Cumowano przy nim łodzie kursujące do groty. Granitowe pachołki wciąż stały na swoich miejscach. Dwoje nurków zapuściło się w głąb jaskini.

Stalaktyty i stalagmity były starte jak zęby starego psa, roślinność wodna pozbawiła ich dawnych żywych barw. Fantazyjne formacje skalne dawały wyobrażenie o tym, jaki niezwykle świat witał tutaj turystów na przełomie wieku.

Przepłynęli około pół kilometra pod prąd i znaleźli się na końcu groty. Drogę blokowały wielkie głazy. Gdy osunęło się sklepienie, zawrócili do otworu jaskini. Z prądem pokonali ten dystans w dobrym czasie.

Po kilku minutach znów byli za hotelem. Zavala posuwał się wokół przybudówki, dopóki nie natrafił na szerokie wejście. Wpłynął do środka, Gamay tuż za nim. Pomieszczenie miało wystarczającą wielkość, żeby być jadalnią. Joe skierował się naprzód wzdłuż ściany i napotkał drzwi, a kiedy przekroczyli próg, w blasku latarek zobaczyli puste szafki kuchenne i duże łupkowe zlewy. Kupa rdzy w kącie mogła być kiedyś żelaznym piecem. Zbadali każdy centymetr kwadratowy

podłogi, ale nie zauważyli nic podobnego do pokrywy włazu.

- Zastanawiam się, czy nie zostaliśmy wpuszczeni w kanał - powiedział Zavała. - Dosłownie.

- Nie poddawaj się jeszcze. Tamten dawny pracownik kuchni wyraził się dość jasno. Szukajmy dalej.

Sąsiednie pomieszczenie zajmowało mniej więcej jedną czwartą powierzchni kuchni. Półki na ścianach wskazywały, że to spiżarnia.

Gamay opadła tak nisko, że niemal dotykała maską podłogi. Wkrótce potem znalazła prostokątne podwyższenie. Gdy oczyściła je z mułu, zobaczyła zawiasy i zardzewiałą kłódkę.

Zavała sięgnął do wodoszczelnej torby przy swojej uprząży i wyjął z niej zakrzywiony, około trzydziestocentymetrowy łom. Wsunął go pod pokrywę włazu i zgniłe drewno rozpadło się na kawałki. Poświecił latarką w dół szybu. Ciemność wydawała się ciągnąć w nieskończoność.

- Nie słyszę, żebyś mówił: „Ja pierwszy”.

- Jesteś szczuplejsza ode mnie.

- Ja to mam szczęście.

Gamay tylko udawała niechętną. Była nieustraszonym nurkiem i chętnie posiłowałaby się z Zawałą na rękę o to, które z nich ma poszukać kopalni. Jednocześnie miała wystarczająco duże doświadczenie w pływaniu pod wodą, by wiedzieć, że musi być wyjątkowo ostrożna. Nurkowanie jaskiniowe wymaga niezwykłego opanowania. Każdy ruch musi być celowy i zawnazsu dobrze przemyślany.

Joe przywiązał jeden koniec nylonowej linki do nogi szafki, drugi do swojego łomu. Opuścił go do szybu, ale łom nie dotknął dna, choć linka miała piętnaście metrów długości.

Gamay zbadała dokładnie oszalowane ściany szybu. Mimo że deski były miękkie, uznała, że wytrzymają. Otwór włazu miał niecały metr kwadratowy, co wystarczyło, żeby zmieściły się w nim butle jej akwalungu.

Zerknęła na zegarek.

- Wchodzę.

Zsunęła się poza krawędź otworu, znikając w prostokątnej czarnej dziurze. Butle obity się o ściany, odrywając kawałki drewna, ale szyb pozostał cały. Zavała obserwował, jak oddala się blask jej latarki.

- Jak tam jest na dole? - zapytał.

- Jak w norze Królika z Alicji w Krainie Czarów.

- Widzisz jakieś króliki?

- Nie widzę ni cholery... Cisza.

- Wszystko gra? - spytał Zavała.

- I to jak. Wydostałam się. Jestem w jakimś tunelu albo grocie. Chodź tutaj. Pod wylotem szybu jest trzymetrowy spadek.

Zavała wsunął się do otworu i dołączył na dole do Gamay.

- Moim zdaniem to jest przedłużenie jaskini, do której kursowały łodzie - powiedziała. - Jesteśmy po drugiej stronie osuwiska skalnego.

- Nic dziwnego, że szefostwo hotelu było wkurzone. Odpadki z kuchni wpływałyby rzeką do groty dla gości.

Zavała znów objął prowadzenie. Wpłynął do jaskini, oświetlając latarką ściany. Po kilku minutach formacje skalne zostały z tyłu.

- Jesteśmy w kopalni - stwierdził. - Widzisz te wyryte znaki?

- Stąd mogło pochodzić złoto, które wypłukiwali goście hotelowi. Zavala skierował latarkę w ciemność przed sobą.

- Spójrz.

W ścianie po lewej stronie widniał otwór tunelu.

Zapuscili się tam. Korytarz miał około trzech metrów wysokości, niecałe dwa metry szerokości i łukowe sklepienie. W ścianie były wykute nisze na pochodnie.

Jakieś sto metrów dalej tunel przecinał inny, biegnący pod kątem prostym. Naradzili się szybko, co robić. Obawiali się, że to labirynt. Bez liny ratunkowej mogli się łatwo zgubić. Przy ograniczonej ilości powietrza w butlach wybór niewłaściwego kierunku mógł się okazać fatalny w skutkach.

- Decyduj - powiedział Joe.

- Podłóżę w korytarzu na prawo jest bardziej wydeptane niż w innych. Proponuję sprawdzić pierwsze sto metrów. Jeśli nic nie znajdziemy, zawrócimy.

Zavala zgiął kciuk i palec wskazujący: „okej”. Popłynęli prawą odnogą tunelu, nie rozmawiali, żeby oszczędzać tlen. Oboje wiedzieli, że z każdym pokonanym metrem coraz więcej ryzykują. Ale ciekawość pchała ich naprzód. Dotarli do końca korytarza i po przebyciu około pięćdziesięciu metrów wydostali się na otwartą przestrzeń.

Tunel doprowadził ich do wielkiej groty. Sklepienie i przeciwległe ściany były poza zasięgiem światła latarek. Nadeszła najbardziej niebezpieczna część podwodnej wyprawy. W rozległej pustej przestrzeni można łatwo stracić orientację. Postanowili poświęcić na eksplorację maksymalnie pięć minut. Gamay miała zostać u wylotu tunelu, Zavala zbadać grootę. Ani na moment jedno nie mogło zniknąć drugiemu z oczu.

Joe zagłębił się w ciemność, trzymając blisko ściany.

- Wystarczy, przestaję cię widzieć - ostrzegła Gamay.

Zawisnął w wodzie.

- Okej. Odpływam od ściany. Podłóżę jest gładkie. Musiał tu być duży ruch. Ale nic nie wskazuje, co tu było.

Gamay znów go ostrzegła. Zawrócił w kierunku blasku jej latarki. Posuwał się zygzakiem, żeby przeszukać jak największy teren.

- Znalazłeś coś?

- Zupełnie ni... Zaczekaj!

Skręcił w stronę jakiegoś obiektu w kształcie amfory.

- Znikasz mi z widoku! - zawołała Gamay.

Światło jej latarki stało się niewyraźną plamką. Dalsze zwiększenie dzielącej ich odległości byłoby samobójstwem, ale Zavala nie mógł się teraz wycofać.

- Jeszcze tylko kawałek. Potem zapadła cisza.

- Joe, ledwo cię widzę. Wszystko w porządku?

W jej komunikatorze rozległ się podekscytowany głos Zavali:

- Gamay, musisz to zobaczyć! Zostaw zapaloną latarkę w wylocie tunelu i pływaj za moim światłem. Będę nim machał.

Oceń, że zostało im akurat tyle powietrza, żeby wrócić korytarzem do szybu, wznieść się nim do otworu wjazdu i dotrzeć na powierzchnię.

- Mamy mało czasu, Joe.

- To zajmie tylko chwilę.

Gamay była znana z tego, że ma cięty język, ale tym razem zachowała swoje myśli dla siebie. Położyła latarkę na ziemi i popłynęła w kierunku ruchomego światła. Dołączyła do Zavali obok kamiennego cokołu o wysokości około metra i średnicy mniej więcej dwóch. Na okrągłym postumencie wałały się kawałki przegniłego drewna i żółtego metalu.

- Złoto?

Uniósł kawałek metalu do jej maski.

- Możliwe. Ale nie to zwróciło moją uwagę.

Usunął drewno i odsłonił metalową skrzynkę o długości około trzydziestu i szerokości jakichś dwudziestu centymetrów. Wypukłe litery na wieku były częściowo pokryte czarnym nalotem. Starł go rękawicą i wymamrotał coś po hiszpańsku.

Gamay pokręciła głową.

- To niemożliwe.

Ale wzrok ich nie mylił. Na kasetce widniało nazwisko Thomasa Jeffersona.

Koń pędził w kierunku wąwozu jak czołg, który wymknął się spod kontroli. Austin walczył o utrzymanie się w siodle, ciążyły mu broń i kolczuga; jedna stopa wypadła ze strzemienia, głowa w stalowym hełmie podskakiwała niczym pomponik, tarcza zsuwała się z ramienia. Długa kopia celowała wszędzie, tylko nie tam, gdzie chciał.

Kopyta Śmiałka zadudniły na metalowym moście. Przez szczeliny na oczy Austin dostrzegł niewyraźnie błysk lśniącego grotu kopii Baltazara i wizerunek głowy byka na jego tunice. Potem konie się minęły i znów znalazły na trawie.

Austin cały czas wstrzymywał oddech. Teraz wypuścił powietrze z płuc i ściągnął lejce. Zwolnił i obrócił Śmiałka przodem do Baltazara, który z hełmem przy piersi spokojnie obserwował z drugiego brzegu wąwozu jego chaotyczne poczynania.

- Dobrze starcie, Austin! - zawołał Baltazar. - Ale chyba z trudem trzymasz wszystko w kupie.

Tłum widzów wybuchnął śmiechem.

Austin też zdjął hełm i otarł z czoła pot wierzchem kolczej rękawicy. Zignorował ból w niezagojonej jeszcze całkiem ranie na żebrach i odkrzyknął buntowniczo:

- Rozpraszają mnie myśli o moim nowym bentleyu!

Baltazar chwycił kluczyki do samochodu zawieszane na jego hełmie i uniósł je wysoko nad głowę.

- Nie licz piskląt, dopóki się nie wyklują - zadrwił.

Austin sięgnął do hełmu po złożoną kartkę i wyciągnął rękę do góry w pozie Statuy Wolności.

- A ty nie wydawaj złota, dopóki go nie znajdziesz.

Baltazar z szerokim uśmiechem zawiesił kluczyki na hełmie i włożył go na głowę.

Austin odwrócił się w siodle i zerknął na samotną postać w bieli, siedzącą w bentleyu. Pomachał do niej. Odpowiedziała tym samym. Jej gest dodał mu odwagi. Wetknął kartkę do hełmu i opuścił stalowy garnek na ramiona.

Zabrział dźwięk trąbki.

Kurt uchwycił równowagę między tarczą a siodłem, uniósł kilka razy kopię, żeby wyczuć jej wyważenie. Schylił głowę i zobaczył przez szczeliny na oczy, że Baltazar przywołuje Adriana, pochyla się w siodle i rozmawia z zabójcą.

Rozległ się drugi sygnał herolda.

Austin skierował kopię w lewo, żeby grot celował w nadjeżdżającego przeciwnika.

Trąbka odezwała się po raz trzeci.

Przeprosił Śmiałka i wbił w niego ostrogi. Sylwetka Baltazara rosła w oczach. Austin ukrył się za tarczą, trzymając kopię na poziomie piersi Baltazara, tak jak radził Giermek. Jego ciężki oddech brzmiał wewnątrz hełmu jak odgłos parowozu.

Baltazar w ostatniej chwili uniósł kopię. Grot trafił w hełm Austina pod szczelinami na oczy



i uderzenie zerwało mu stalowy garnek z głowy.

Potem znaleźli się po przeciwnych stronach parowu.

Kurt obrócił konia w samą porę, by zobaczyć, że jego hełm upadł na ziemię blisko miejsca, gdzie most się łączył z krawędzią wąwozu. Adriano podbiegł tam i podniósł hełm. Wręczył go Baltazarowi, który wyciągnął ze środka kartkę. Przeczytał słowa napisane przez Austina i dał papier zabójcy. Adriano poszedł do SUV-a. Ale zanim wsiadł do samochodu i odjechał, przekazał hełm jednemu z mężczyzn, a ten rzucił go Austinowi.

- Masz pecha, Austin! - zawołał Baltazar. - Ale możesz jeszcze uratować kobietę.

Dźwięk trąbki zagłuszył propozycję Kurta, żeby Baltazar skoczył z mostu.

Obaj przeciwnicy ledwo zdążyli włożyć z powrotem hełmy, gdy herold dał sygnał do opuszczenia kopii.

Giermek powiedział wcześniej Austinowi, że trzecie starcie będzie decydujące.

Austin był zdeprymowany łatwością, z jaką Baltazar go trafił. Jednocześnie kopia z metalowym rdzeniem dawała mu przewagę, co postanowił wykorzystać. Zaciśnął zęby i schylił głowę.

Trąbka znów zabrzmiała.

Konie ruszyły. Baltazar zasłonił się tarczą tak dobrze, że wystawały zza niej tylko rogi jego hełmu. Austin celował prosto w nią. Kopia Baltazara uderzyła w sam środek tarczy Kurta. Tak jak przewidział Giermek, drzewce się złamało.

Kopia Austina przeszła przez tarczę Baltazara jak gorący nóż przez masło. Gdyby lepiej wymierzył, ostry grot przebiłby Baltazara. Tymczasem szpic przedziurawił róg skórzano-drewnianej tarczy i Baltazar został wyrzucony z siodła.

Zwalił się na stalowy most i zniknął za jego krawędzią.

Austin zaklął po marynarSKU. Nie współczuł swojemu przeciwnikowi, ale ten zabrał ze sobą kluczyki do samochodu.

Po chwili znów zaklął, tym razem z radości. Zza krawędzi mostu wylaniały się rogi hełmu. Baltazar próbował się podciągnąć do góry. Utrudniał mu to ciężar kolczugi i hełmu. Z jego ramienia wciąż zwisała tarcza.

Austin ściągnął hełm i cisnął kopię na bok. Zsunął się z konia i wbiegł na most.

Baltazar miał jedną rękę na górze. Zobaczył, że Austin pochyla się nad nim.

- Pomóż mi - poprosił błagalnie.

- Może to cię trochę odciąży - odparł Austin i zerwał kluczyki do samochodu z rogu hełmu.

Kusiło go, żeby strącić Baltazara kopniakiem w przepaść. Ale jego ludzie otrząsnęli się już z szoku wywołanego upadkiem szefa z konia i biegli do mostu.

Austin się odwrócił i puścił pędem do samochodu.

Kiedy był już blisko, zobaczył, że Carina opiera się czołem o deskę rozdzielczą, jakby nie mogła patrzeć na pojedynek. Zawołał ją. Postać na siedzeniu pasażera wyprostowała się. Spod nakrycia głowy spojrział na Austina drwiąco nieogolony najemnik Baltazara.

- Dzięki, że mnie uratowałeś - powiedział falsetem, naśladowując kobiecy głos. Sięgnął pod fałdy sukienki po broń, ale się zaplątała.

Austin zamachnął się prawą pięścią w kolczej rękawicy i wyladował na nim swoją wściekłość ciosem w szczękę. Wyciągnął nieprzytomnego faceta z samochodu i wskoczył za kierownicę. Wymamrotał modlitwę, żeby się nie okazało, iż Baltazar zamienił kluczyki, ale silnik zaskoczył.

Postanowił nie odjeżdżać od mostu i nie zapuszczać się na nieznany teren. Lasy widoczne

w oddali mogły być ślepa uliczką.

Ludzie Baltazara wciągnęli swojego szefa na most. Wrzasnął do nich, żeby złapali Austina, i pół tuzina ochroniarzy ruszyło w pościg. Kurt chwycił kopię, którą wcześniej porzucił, wysunął ją przed siebie jak do walki konnej, odjechał od wąwozu, zawrócił i wziął na cel most.

Na widok pędzącego w jego kierunku bentleya Baltazar dał nura za przegrodę na środku, ale kopia zmiotła najemników z mostu jak okruchy ze stołu.

Po drugiej stronie wąwozu Kurt wyrzucił kopię i dodał gazu. Koła buksowały na trawie, ale panował nad uślizgami tyłu samochodu i wypadł na drogę prowadzącą do namiotów.

Zerknął w lusterko wsteczne. Siedział mu na ogonie jeden z SUV-ów. Ktoś musiał zawiadomić innych przez radio, bo z przodu pojawił się drugi SUV. Jechał prosto na bentleya. Austin nie skręcił, tylko nacisnął klakson.

Kierowca SUV-a wiedział, że cięższy samochód wygra ten pojedynek. Austin w ostatniej chwili odbił w bok i SUV zderzył się czołowo z pojazdem ścigającym bentleya.

Austin minął długi podjazd do dużego domu w oddali. Pokonał jeszcze półtora kilometra i dotarł drogą do bramy z wartownią. Zwolnił, spodziewając się, że z budynku wyskoczy ochroniarz, ale nikt nie próbował go zatrzymać. Domyślił się, że wartownikom pozwolono opuścić posterunek i obejrzeć turniej.

Wysiadł z auta, wszedł do budynku i wcisnął przycisk otwierający dwuskrzydłową żelazną bramę.

Kiedy wyszedł z wartowni, usłyszał warkot silników. W kierunku bramy pędził konwój czarnych SUV-ów. Austin wyjechał na zewnątrz, zahamował i wrócił do budynku. Zamknął bramę, wziął ciężkie krzesło i roztrzaskał nim panel sterowniczy.

Konwój był w odległości niecałych dwustu metrów.

Kurt wdrapał się na drzewo i przeczołgał po grubej gałęzi, która wystawała poza ogrodzenie. Zeskoczył na ziemię i stracił oddech, ale szybko doszedł do siebie. Wsiadł z powrotem do bentleya, wdepnął pedał gazu i wystartował.

Mknał drogą między zielonymi pastwiskami i polami uprawnymi, w oddali wyrastały silosy zbożowe. Nikt go nie ścigał. Spojrzał na bezchmurne błękitne niebo i przyszło mu do głowy, że Baltazar może mieć helikopter.

Jaskrawoczerwone auto byłoby łatwym celem z powietrza.

Skręcił w wąską aleję. Korony drzew rosnących blisko obu jej krawędzi tworzyły sklepienie, które zasłaniało go z góry.

Zobaczył na poboczu samochód. O błotnik opierał się mężczyzna w ciemnym garniturze. Zauważył zbliżającego się bentleya i podniósł wzrok znad mapy. Austin dostrzegł w przelocie jego twarz. Wbił stopę w pedał hamulca, wrzucił wsteczny i cofnął się.

- Cześć, Flagg.

Człowiek z CIA wydawał się tu nie na miejscu w ciemnym garniturze i krawacie. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Popatrzył spod ciężkich powiek na bentleya i koleczkę Austina.

- Ekstrabryka. NUMA musi ci płacić kupę szmalu. Wdzianko też masz super.

- To nie moje. Pożyczyłem jedno i drugie od Baltazara. Co tu robisz?

- Dowiedziałem się, że on mieszka w tej okolicy. Węszyłem trochę. Kurt wskazał kciukiem za siebie.

- Kilka kilometrów w tamtą stronę. Gdzie jesteśmy?

- Na północy stanu Nowy Jork. Co z twoją panią?
- Nie udało mi się do niej dotrzeć. Jak szybko możesz ściągnąć kawalerię?
- Policja chyba przyjechałaby szybciej.
- Lokalna żandarmeria nie będzie miała szans w starciu z najemnikami Baltazara.

Flagg skinął głową i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni komórkę. Wybrał numer, porozmawiał z kimś kilka minut i rozłączył się.

- Dostanę jednostkę specjalną z Langley. Będą tu za dwie godziny.
- Za dwie godziny?! - wykrzyknął Austin. - Równie dobrze mogliby się zjawić za dwa lata.

Flagg wzruszył ramionami.

- Tylko tyle mogę zrobić. Ilu tam jest złych facetów?
- Jakieś trzy tuziny, łącznie z Baltazarem.

- W sam raz dla dwóch starych twardzieli z Firmy - stwierdził Flagg. Otworzył drzwi samochodu, sięgnął pod siedzenie, wyjął glocka kaliber 9 i podał go Austinowi. - Zapasowy. - Poklepał się w pierś. - Mam drugi.

Kurt pamiętał, że Flagg to chodzący arsenał.

- Dzięki - powiedział. - Wskakuj.

Flagg wsiadł do bentleya od strony pasażera.

- Cholera, już zdążyłem zapomnieć, jakie nudne jest moje życie, odkąd odszedłeś z Firmy.

Austin wrzucił bieg i wykonał ciasny nawrót.

- Trzymaj się wiatru! - zawołał przez pisk opon. - Życie zaraz zrobi się ciekawe.

- Nie powinni się już wynurzyć? - zapytał z niepokojem Saxon.

- Bez obaw. Oboje są doświadczonymi nurkami - uspokoił go Trout.

Siedzieli w pontonie obok boi pozycyjnej. Paul był bardziej zdenerwowany, niż to okazywał.

Kilka minut wcześniej zerknął na zegarek. Gamay i Zavala mogło zabraknąć powietrza, zwłaszcza gdyby musieli robić postoje na dekompresję. Wyobrażał sobie najgorsze. Bał się, że dwoje nurków zgubiło się lub utknęło w nieznanym korytarzach pod hotelem.

Patrzył na czapkę błękitną szybującą nad jeziorem, gdy zauważył ruch wody na powierzchni.

Wskazał pęcherze powietrza.

- Są!

Chwycił swoje wiosło i poleciał Saxonowi zrobić to samo. Po chwili byli kilka metrów od pierwszej głowy, która się wynurzyła. Gamay. Zavala pojawił się sekundy później.

W napompowanej kamizelce ratunkowej unosiła się w wodzie na plecach. Wyjęła spomiędzy zębów ustnik regulatora i oddychała głęboko świeżym powietrzem. Trout rzucił żonie linę.

- Może cię podwieźć, ślicznotko? - zawołał.

- To najlepsza propozycja, jaką dziś usłyszałam - odparła Gamay zmęczonym głosem.

Zavala złapał się liny za Gamay. Trout i Saxon doholowali ich do pływnicy. Nurkowie, zdjawszy akwalungi i płetwy, dobrnęli do brzegu; zrzucili pasy balastowe, wspięli się na krawędź trawiastej pochyłości i usiedli, żeby odpocząć.

Saxon wciągnął ponton na brzeg. Trout otworzył chłodziarkę i rozdał butelki zimnej wody mineralnej. Nie mógł powstrzymać ciekawości.

- Nie każcie nam czekać. Znaleźliście kopalnię króla Salomona?

Zavala uśmiechnął się lekko.

- To twój mąż - zwrócił się do Gamay. - Może od ciebie powinien usłyszeć złą wiadomość.

Gamay westchnęła.

- Ktoś nas ubiegł.

- Poszukiwacze złota?

- Niezupełnie - odparł Zavala. Przyniósł z pontonu torbę, z której wyjął skrzynkę ze stopu ołowiu i cyny, po czym wręczył ją Troutowi. - Znaleźliśmy to w kopalni.

Paul popatrzył z niemym niedowierzaniem na nazwisko na wieku i zamrugał szybko. Przekazał kasetkę Saxonowi. Saxon był mniej powściągliwy.

- Thomas Jefferson! - wykrzyknął. - Jak to możliwe?

Gamay wyciągnęła mały nóż z pochwy na nodze i podała go Saxonowi.

- Może pan zechce czynić honory?

Mimo podniecenia bardzo ostrożnie otworzył zardzewiałe zamknięcie. Wieko było zalakowane, ale łatwo się odchyliło. Wpatrywał się przez kilka sekund w zawartość skrzynki, potem uniósł do

góry dwa kawałki miękkiego welinu, zapakowane w sztywny woskowany papier, wypełnione liniami, znakami X i zwartym pismem. Położył jeden obok drugiego i dopasował do siebie ich nierówne krawędzie.

- To reszta fenickiej mapy - wyszeptał. - Pokazuje rzekę i zatokę. Gamay wyjęła welin z jego drżących rąk, przestudiowała wzory bez komentarza i przekazała materiał mężowi.

- Mrok wokół tej sprawy gęstnieje - stwierdziła.

Trout pokręcił głową.

- Od początku jest gęsty jak zupa z owoców morza. Gdzie dokładnie to znaleźliście?

Opisała ich nurkowanie do grotty i w dół szybu. Zawała zrelacjonował eksplorację tuneli i pomieszczenia, gdzie na kamiennym postumencie spoczywała skrzynka.

Saxon otrząsnął się z szoku i jego umysł znów zaczął pracować.

- Fascynujące. A co ze złotem?

- Ani śladu - odparła Gamay.

Saxon zmrużył oczy.

- Albo złoto tam jest, tylko go nie widzieliście, albo złożę się wyczerpało i kopalnia została opuszczona.

- Tak czy inaczej, to, co znaleźli, nie pasuje do opowieści o bajecznej kopalni złota króla Salomona - zauważył Trout. - To jest Ofir czy nie?

- I tak, i nie. - Saxon zachichotał na widok zdumionej miny Trouta. - Niektórzy uważają, że słowo „Ofir” nie oznaczało żadnej konkretnej lokalizacji, lecz było nazwą nadaną kilku różnym źródłom złota króla Salomona. Tu mogła się znajdować tylko jedna z jego kopalń.

Gamay popatrzyła na gładką powierzchnię jeziora.

- Jakże może być lepsze miejsce do ukrycia czegoś niż opuszczona kopalnia, gdzie nie ma nic wartościowego?

- Wracamy do wyprawy Fenicjan - powiedział Saxon. - Jej celem było ukrycie jakiejś relikwii.

- Powstaje pytanie, co się z nią stało - wtrącił Trout.

Gamay podniosła metalową skrzynkę.

- Może powinniśmy zapytać pana Jeffersona.

Saxon wziął dwie części mapy i przyjrzał się im dokładnie.

- Ciekawe. To wygląda na palimpsest.

- Na co? - zapytał Trout.

- Na welin wielokrotnego użytku - wyjaśnił Saxon. - Bizantyjscy mnisi opanowali do perfekcji sztukę usuwania tekstu z papieru welinowego, by móc go ponownie wykorzystać, ale ten sposób mógł być znany dużo wcześniej. Jeśli przysunie się to do światła, widać niewyraźne pismo.

Podał welin dalej, żeby wszyscy go obejrzeeli.

- Szkoda, że nie możemy odczytać poprzedniego tekstu. - Trout westchnął.

- Kto wie? - odparł Saxon. - Kustosze Walters Art Museum w Baltimore odcyfrowali ostatnio pismo sprzed tysiąca lat ukryte na palimpseście. Może zdołają coś z tym zrobić. Żałuję, że w tych wspaniałych odkryciach nie uczestniczy Austin. Kiedy do nas dołączy?

Zawała myślał o Kurcie nawet w podziemnych głębinach jeziora. Austin potrafił sobie radzić, ale oddając się w ręce bezwzględnego Baltazara, skoczył w otchłań. Joe wstał, żeby zebrać swój sprzęt do nurkowania.

- Mam nadzieję, że niedługo - odpowiedział Saxonowi.



Austin i Flagg siedzieli w bentleyu z pracującym silnikiem i obserwowali wjazd do posiadłości Baltazara.

- Chyba mówiłeś, że ci faceci nie są przyjaźnie nastawieni - odezwał się Flagg. - Wygląda na to, że się nas spodziewają.

- Tego się obawiam.

Przez ostatnią godzinę próbowali dostać się niepostrzeżenie do środka, ale wszędzie napotykali gęsty las i ogrodzenie pod napięciem. Zgubili się w labiryncie wiejskich dróg wokół posiadłości i znaleźli z powrotem przy głównej bramie. Była szeroko otwarta.

Austin oparł się na kierownicy.

- Teraz wiem, co myśli homar, zanim wlezie w pułapkę. Carina jest moją przyjaciółką, nie twoją. Możemy poczekać na posiłki.

- Posiłki pewnie jeszcze nie wyruszyły - zadrwił Flagg. Wyjął trzeci pistolet.

- Jedź powoli. Będę wypatrywał w zaroślach czerwonoskórych. Kurt wrzucił bieg i przejechał przez bramę. Flagg usiadł na oparciu fotela z bronią w każdej ręce. Nikt ich nie zatrzymał. Las został z tyłu i Austin skierował się na pole turniejowe. Wszystkie namioty były zrównane z ziemią, na podartej tkaninie widniały ślady opon. Platforma obserwacyjna pozostała nienaruszona, ale coś na niej przybyło. Kiedy się zbliżyli, Flagg stęzał.

- Co to jest, do cholery?

Z przedniej części podwyższenia dla widzów zwisał człowiek. Jego podbródek dotykał piersi, ręce i nogi dyndały luźno.

Austin zacisnął palce jednej dłoni na chwycie glocka i podjechał do wisielca.

- O, cholera.

- Znasz go?

- Niestety - przytaknął Austin.

Giermek był przyszpilony kopia do platformy niczym motyl w gablocie kolekcjonera.

Kurt minął makabryczną ozdobę podwyższenia obserwacyjnego i dojechał do dwóch SUV-ów, które zderzyły się czołowo, próbując przeszkodzić mu wcześniej w ucieczce. Oba zostały mocno rozbite.

- Co tu się stało? - zapytał Flagg.

- Była demolka - odparł Austin i pojechał dalej do wąwozu.

Pole, gdzie przedtem roiło się od samochodów i ludzi Baltazara, całkiem opustoszało. Zniknęły nawet konie i przyczepy do ich transportu. Głębokie koleiny w trawie wskazywały, że panował tu duży ruch.

Austin zrelacjonował Flaggowi swój pojedynek z Baltazarem i spotkanie z facetem podstawionym za Carinę. Potem zawrócił do platformy obserwacyjnej. Powiedział Flaggowi, że jest

winien Giermkowi przysługę. Wyciągnęli z ciała kopię i delikatnie zawinęli zwłoki w kawałek tkaniny namiotowej. Ułożyli martwego mężczyznę na platformie i przeszukali teren, jadąc bocznymi drogami. Natrafili na pusty hangar i pas startowy, które tłumaczyły szybką ewakuację Baltazara.

Postanowili sprawdzić dom. Austin skręcił na podjazd do rezydencji. Piętrowa hacjenda wyglądała jak przeniesiona żywcem z krajobrazu Hiszpanii. Ściany pokrywał gładki jasnobrązowy tynk, narożniki dachu z czerwonej dachówki zdobiły zaokrąglone gzymsy; duży, wymyślnie rzeźbiony ganek był obramowany łukowymi oknami.

Austin zaparkował przed domem. Wciąż żadnych przeciwników. Wysiedli z samochodu i poszli przez dziedziniec do wysokich dwuskrzydłowych drzwi z ciemnego drewna. Austin je otworzył. Nikt nie odstrzelił mu głowy, więc wszedł do przestronnego holu.

Oślaniając się na zmianę, zajrzeli do wszystkich pomieszczeń na parterze, potem przeszukali piętro. Znaleźli pokój z balkonem - gabinet z dużym biurkiem i skórzanymi fotelami. Austin wyszedł na balkon. Miał stąd widok na trawniki i pola wokół. W zasięgu wzroku nic się nie poruszało, z wyjątkiem kilku wron.

- Hej, Austin. - zawołał Flagg. - Twój kumpel zostawił ci wiadomość. Wskazał kartkę papieru listowego Baltazara, przyklejoną do pilota telewizyjnego na bocznym stoliku. Poniżej logo w kształcie głowy byka widniały słowa:

*„Drogi Austinie,  
Obejrzyj, proszę, kasetę wideo.  
V.B.”*

- Zbyt uprzejme - stwierdził Flagg. - To może być pułapka.

- Wątpię. Baltazar lubi torturować ludzi, zanim ich zabije.

Mina Flagga wyrażała sceptycyzm, ale wziął pilota i wcisnął przycisk odtwarzania.

Fragment ściany zniknął i odsłonił szeroki ekran telewizyjny. Pojawiła się na nim uśmiechnięta twarz Baltazara. Nagranie wideo zostało zrobione w gabinecie, bo za plecami Baltazara były drzwi na balkon.

- „Witaj, Austin - zaczął Baltazar. - Przepraszam za tę pośpieszną wiadomość, ale mam do załatwienia sprawę rodzinną. Panna Mechadi jest ze mną. Nie wiedziałeś, że pochodzi w prostej linii od Salomona i królowej Saby. Muszę wypełnić obowiązek mojego rodu i ofiarować tę kobietę Baalowi. Zamierzałem ją oszczędzić, ale Baal zesłał mi ciebie jako bicz boży, który mi przypomniał, żebym wrócił do rodzinnych korzeni. Adriano będzie zawiedziony, ale ma obsesję na twoim punkcie. Radzę ci stale oglądać się przez ramię. Dziękuję ci, Austin. Nasz pojedynek był dla mnie przyjemnością”. Uśmiechnął się. „Możesz zatrzymać mój samochód. Mam inne”.

Obraz zniknął.

Flagg zmarszczył brwi.

- Ten facet to psychol.

- Na nieszczęście, bardzo groźny psychol. I ma Carinę. Skoro znalazłeś to miejsce, może udało ci się zlokalizować inne, gdzie mógłby się zaszyc?

Flagg pokręcił głową.

- Wystarczająco trudno było zlokalizować tę chałupę.

Wciąż nad tym pracujemy, ale przy tylu fikcyjnych firmach, które założył, nie jest łatwo. Kto to



jest ten Adriano?

- Typ z koszmarnych snów. - Austin wyciągnął rękę. - Pożycz mi komórkę, muszę zadzwonić.

Zavala wspinał się do kokpitu helikoptera, gdy w jego kieszeni rozległy się dźwięki La Cucarachy. Wyjął komórkę, przyłożył do ucha i usłyszał znajomy głos.

- Jeszcze odbierasz telefon, więc chyba nie uciekłeś do Meksyku ze złotem króla Salomona - powiedział Austin.

Zavala uśmiechnął się szeroko.

- A Baltazar najwyraźniej miał dosyć twoich żartów, skoro dzwonisz.

- Tak jakby. Znaleźliście kopalnię?

- Owszem, ale nie ma tam złota, Kurt. Był za to inny skarb. Następny kawałek mapy na welinie w kasetce należącej najwyraźniej do Thomasa Jeffersona.

- Znowu Jefferson. Popracuj nad tym z Troutami. Nie uwolniłem Cariny. Muszę porozmawiać z Saxonem.

Zavala przekazał mu komórkę.

- Nie do wiary, Kurt, prawda? - odezwał się Saxon.

- Nie teraz - uciał Austin. - Baltazar zostawił mi wiadomość. Chcę, żebyś ją poznał i powiedział, co o tym sądzisz.

Wcisnął przycisk na pilocie telewizyjnym i uniósł telefon, żeby Saxon słyszał mrożące krew w żyłach pożegnanie Baltazara.

Na drugim końcu linii trwało milczenie, wreszcie Saxon się odezwał:

- On uważa, że Carina jest potomkinią Salomona?

- Najwyraźniej, tak. Co oznacza wzmianka o Baalu? Saxon szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- Baltazar mówi, że ofiaruje Carinę Baalowi. To może oznaczać tylko jedno. Złoży ją w ofierze bogowi Baalowi. A to skurwiel! Musimy ją znaleźć, zanim będzie za późno.

- Znasz Baltazara dłużej niż ja. Wiesz, dokąd mógł ją zabrać?

- Nie mam pojęcia.

- Jego firma jest właścicielem statku używanego przez najemników. Może tam?

- Wątpię. Odwołuje się do historii rodu. Może chodzić o Hiszpanię, gdzie Baltazarowie przenieśli się po wyprawach krzyżowych. Ale ich ojczyznę przez wiele lat był Cypr. Wchodzi w grę jedno i drugie. Stawiam na to swoje życie.

- Zdecyduj się, Saxon. Nie o twoje życie się obawiam.

- Przepraszam. Hm... Czeka! Po pożarze mojego statku zebrałem tyle informacji o Baltazarach, ile mogłem. Tajemnicza rodzina. Ale znalazłem coś o nich w historii templariuszy. Istniał między nimi jakiś związek, ale najwyraźniej zerwali stosunki z zakonem lub zostali zgładzeni z resztą jego rycerzy. Godłem templariuszy była głowa byka, która może również symbolizować jedno z wcieleń Baala.

Głowa byka.

Austin wrócił myślami do lotu helikopterem, który on i Joe odbyli po napadzie na kontenerowiec. Kiedy zeszli nisko nad rudowiec, Kurt po raz pierwszy zobaczył logo w kształcie głowy byka. Pod nazwą statku widniała nazwa portu jego rejestracji.

Nikozja na Cyprze.

- Dzięki, Saxon. Bardzo mi pomogłeś. Przekaż Joemu, że będę z nim w kontakcie.

Rozłączył się i streścił rozmowę Flaggowi.

- Cypr. - Flagg się zadumał. - To na drugim końcu świata.

- Blisko tureckiego wybrzeża. Gdybym wiedział, że Baltazar może się wybrać do Nikozji, zostałbym w Stambule. Masz tam kogoś?

- Na miejscu jest nasz człowiek, który się wychował na wyspie. W regionie są też inni ludzie Firmy. Mogę się postarać, żeby kilku facetów zrobiło tamtemu dżentelmenowi dużą niespodziankę.

- Baltazar jest niebezpieczny. Nie pozwoli nikomu stanąć na drodze przeznaczenia jego rodu. Zabije Carinę, zanim ktokolwiek zdąży go dopaść. Niech twoi ludzie go wytropią, ale nie wkraczają, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Spróbuję zarekwirować jakiś samolot NUMA. Baltazar ma nade mną tylko kilka godzin przewagi. - Pokręcił głową. - Niestety, w tym czasie może stworzyć masę problemów.

- Dlatego pomyślałem, że powinieneś tam być przed nim. Austin nie był w nastroju do żartów.

- Nie wiedziałem, że CIA opanowała sztukę teleportacji.

- Nic z tych rzeczy. Myślałem o blackbirdzie.

Kurt dobrze znał tę nazwę z okresu swojej pracy w Firmie. Chodziło o superszybki odrzutowiec SR-71, który na dużej wysokości wykonywał tajne loty zwiadowcze dla CIA, dopóki w końcu lat dziewięćdziesiątych nie zastąpiły go samoloty bezzałogowe i satelity. Legendarna maszyna mogła pokonać Atlantyk w ciągu dwóch godzin.

- Myślałem, że wszystkie blackbirdy wycofano ze służby - powiedział.

- Oficjalnie. Zostawiliśmy sobie jeden do transportu personelu w nagłych wypadkach.

- Moim zdaniem ten się do takich kwalifikuje.

- Też tak uważam. - Flagg otworzył komórkę. Przedał się telefonicznie przez gąszcz biurokracji i jeszcze rozmawiał, gdy rozległ się warkot helikoptera.

Austin wyszedł na balkon i zobaczył dwa śmigłowce krążące nisko nad rezydencją.

- Przybyła kawaleria - oznajmił.

Flagg wetknął komórkę do kieszeni.

- Zawsze kibicuję Indianom, ale dziś zrobię wyjątek, bo jestem w dobrym humorze. Właśnie rozmawiałem z szefem. Mimo że nie poszło łatwo, dostałeś bilet pierwszej klasy na blackbirda.

Wiadomość dobra, ale Austin był realistą. Miał małe szanse. Jego spojrzenie stwardniało. Gdyby Carinie coś się stało, poświęciłby wszystko, żeby posłać Baltazara do piekła.

Fred Turner klęczał za barem i ustawiał kufle. Słyszając, że ktoś wchodzi, wpadł w złość. Pewnie jakiś stały bywalec chce jak najwcześniej zacząć picie po niższej cenie.

- Jeszcze zamknięte - warknął.

Nikt nie odpowiedział. Turner wstał i zobaczył w drzwiach wielkiego mężczyznę. Obcy miał miękkie rysy dziecka. Turner był emerytowanym policjantem i instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo, czające się za niegroźnym wyglądem tamtego. Podszedł bliżej do strzelby, którą trzymał przy kasie.

Obcy się rozejrzył.

- Skąd się wzięła nazwa tego lokalu?

Turner zachichotał, słysząc to osobliwe pytanie.

- Ludzie myślą, że pochodzi od jakiegoś saloonu na Dzikim Zachodzie. Ale jak kupiłem ten bar, to sobie przypomniałem, że w tej okolicy były kiedyś kopalnie złota. Tak gdzieś wyczytałem.

- I co się z nimi stało?

- Zamknęli je lata temu. Znajdowali tak mało złota, że wydobywanie się nie opłacało.

- Dziękuję - powiedział mężczyzna po chwili namysłu i wyszedł. Turner wrócił do ustawiania szkła, mamrocząc pod nosem, że do barów przychodzą dziwni klienci.

Adriano wsiadł do swojego samochodu na parking; patrzył na kartkę z mapą i wskazówkami nagryzmonionymi przez Austina. Potem spojrzał z tępą miną na neon „Gold Mine Cafe” na płaskim dachu niskiego budynku. Podarł kartkę na strzępy, uruchomił silnik i wyjechał na boczną drogę w Marylandzie.

Po opuszczeniu posiadłości Baltazara pokonał trasę z północnej części stanu Nowy Jork do New Jersey i dalej do Marylandu. Wskazówki Austina doprowadziły go do wiejskiej okolicy niedaleko zatoki Chesapeake, a potem bocznymi drogami do lokalu Gold Mine Cafe.

Sięgnął po komórkę i wybrał bezpośredni numer Baltazara.

- I co? - zapytał jego pracodawca.

Adriano powiedział mu, że kopalnia złota okazała się nazwą baru.

- Szkoda, że Austin nie żyje - dodał. - Wydusiłbym z niego to, co chcemy wiedzieć.

- Za późno - warknął Baltazar. - Uciekł. Musieliśmy się ewakuować. Nie wracaj do hacjendy.

- A co z kobietą?

- Mam ją. Austinem zajmiemy się później. Chcę zobaczyć jego minę, kiedy mu powiem, co zrobiłem z jego piękną przyjaciółką.

Adriano miał nadzieję, że to on porozmawia z nią ostatni, ale postarał się, żeby w jego głosie nie zabrzmiało rozczarowanie.

- Co mam robić?

- Wrócę za kilka dni. Przyczaj się gdzieś. Zadzwoń do ciebie po powrocie. Będziesz miał dużo

pracy. Zamierzam zniszczyć NUMA i wszystkich ludzi związanych z tą agencją. Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebować.

Adriano się uśmiechał, kiedy odkładał telefon. Jeszcze nigdy nie próbował masowego mordu i cieszył się na wyzwanie, jakim było ludobójstwo.

Życie jest dobre, pomyślał. Ale śmierć jeszcze lepsza.

Boeing 737 z logo w kształcie głowy byka na kadłubie wylądował w międzynarodowym porcie lotniczym w Larnace i dokołował do części lotniska zarezerwowanej dla prywatnych odrzutowców firmowych. Mechanicy, którzy zwykle obsługiwali maszynę, poszli już na noc do domu. Baltazar zaplanował swój przylot bardzo starannie. Było mało prawdopodobne, żeby ktoś zainteresował się bliżej osobą znoszoną na noszach po schodkach samolotu.

Miała zabandażowaną całą twarz, z wyjątkiem oczu i nosa. Mężczyźni w białych fartuchach lekarskich załadowali nosze do czekającego helikoptera. Po chwili na płytę lotniska zszedł Baltazar i wsiadł do śmigłowca. Helikopter natychmiast uniósł się w powietrze i wziął kurs na zachód.

Wylądował w małym porcie lotniczym w nadmorskim mieście Pafos. Czekająca karetka pogotowia odjechała, gdy tylko włożono do niej nosze. Baltazar i jego ludzie ruszyli za nią mercedesem sedanem.

Dwa pojazdy okrążyły obrzeża miasta i wydostały się na autostradę. Po jakimś czasie zjechały z niej na krętą górską drogę. Wznosiła się i zwięzła do dwóch pasów ruchu. Biegła przez ciche miejscowości ze zniszczonymi hotelami, które kiedyś były modnymi letnimi kurortami, dopóki ludzie nie zaczęli spędzać więcej czasu nad morzem.

Im wyżej wspinały się samochody, tym bardziej surowy stawał się krajobraz. Okolica była coraz rzadziej zaludniona. Po obu stronach szosy wznosiły się ciemne sosnowe lasy. W końcu karetka i mercedes skręciły w zarośniętą drogę gruntową.

Po niecałym kilometrze wyboisty trakt nagle się urwał. Na tle rozgwieżdżonego nieba rysował się kształt przysadzistej piętrowej budowli. Baltazar wysiadł z auta i oddychał chłodnym nocnym powietrzem. Jedynym dźwiękiem było zawodzenie wiatru w pustych pomieszczeniach dawnego zamku krzyżowców. Baltazar chłonał wiekową atmosferę i czerpał siłę z bliskości ruin siedziby jego przodków.

Władze próbowały kiedyś przejąć historyczny obiekt i uczynić z niego atrakcję turystyczną, ale plan upadł, gdy pomysłodawcom zagrożono śmiercią. To wystarczyło wszystkim, którzy znali mroczną przeszłość zamku. Miejscowi wciąż szeptali o nieopisanej grozie rozpadających się ruin.

Baltazar nie odwiedzał tego miejsca od czasu złożenia Baalowi ostatniej ofiary. Pamiętał ponury wygląd budowli. Zaprojektowano ją jako twierdzę; blanki zapewniały osłonę obrońcom. Jedynymi otworami w murach były szczeliny strzelnicze dla łuczników. Ale Baltazar najlepiej pamiętał Salę.

Wspiął się po krótkich schodach do wejścia i odryglował staroświeckim kluczem drzwi. Zaskrzypiały żałośnie, kiedy je otwierał. W pustych wnętrzach panowała temperatura jak w lodówce, nie docierał tu upał dnia. Rozkazał swoim ludziom, żeby wnieśli nosze i postawili je przed kominkiem, wystarczająco wysokim, by zmieścił się w nim stojący człowiek.

Baltazarowi towarzyszyło sześciu najemników z jego firmy ochroniarskiej. Cechowały ich przede wszystkim posłuszeństwo, okrucieństwo i umiejętność trzymania języka za zębami. Kazał im zająć

stanowiska wartownicze. Kiedy tylko został sam, wcisnął kilka kamieni na gzymsie kominka, które otwierały ukryte wejście w jego głębi.

Włączył latarkę, dał nura przez drzwi i zszedł po kamiennych schodach.

Z dołu dolatywały wyziewy cuchnące bardziej niż oddech smoka. Stęchły odór przywodził na myśl grobowiec i niósł wspomnienia bólu i strachu. Powietrze przesyczone zapachem oleju dla Baltazara miało woń perfum. Zatrzymał się, żeby zapalić pochodnię w kinkiecie i od jej płomienia następną na ścianie krótkiego korytarza. Tunel kończył się idealnie okrągłym pomieszczeniem o średnicy około trzydziestu metrów.

Dziesiątki wmurowanych tablic pamiątkowych znaczyły miejsca wiecznego spoczynku Baltazarów, których pochowano w zamku, zanim ród został zmuszony do ucieczki z Cypru. Wnętrze pomieszczenia otaczał krąg figur przedstawiających różne wcielenia boga Baala.

Środek wolnej przestrzeni zajmował posąg z brązu, podobny do kamiennej rzeźby w podziemiach rezydencji Baltazara w Stanach Zjednoczonych, lecz co najmniej czterokrotnie większy. Postać siedząca na piedestale o wysokości około dwóch metrów miała wyciągnięte ręce i dłonie zwrócone do góry. Po obu stronach postumentu wznosiły się wąskie schody. Twarz mniejszego posągu wydawała się wręcz łagodna w porównaniu z obliczem większego, które było bardziej ohydne niż najszkaradniejszy gargulec.

Baltazar wspinał się po stopniach na małą platformę za posągiem. Kiedyś wchodzili tu kapłani i mówili przez tubę, żeby jeszcze bardziej przerazić swoje nieszczęsne ofiary.

Wyjął z opakowania księgę rodu i położył ją na specjalnie przeznaczonym do tego celu pulpicie. Odczytując rytualny tekst, zacisnął palce na dźwigni, która wystawała spomiędzy łopatek siedzącej postaci. Opuścił drążek. Rozległ się zgrzyt uruchomionego mechanizmu, systemu ciężarków i bloków. Tuż przed posągiem odsunęła się pokrywa i odsłoniła okrągły dół w podłodze.

Baltazar przestawił dźwignię do góry. Przedramiona postaci opadły i niemal równie szybko uniosły się z powrotem.

Zszedł po schodach i oświetlił latarką dół, który ponownie napełniono olejem po ostatnim użyciu, kiedy rodzinie przestało sprzyjać szczęście i konieczne stało się złożenie ofiary Baalowi.

Na Cypr zwabiono młodą, samotną kobietę z Europy Wschodniej. Obiecano jej dobrze płatną pracę.

Wszystko było gotowe.

Wrócił po Carinę. Obandażowana osoba na noszach poruszyła się. To dobrze, pomyślał Baltazar. Chciał, żeby widziała, jaki los ją czeka. Odpiął pasy noszy i zarzucił sobie Carinę na ramię jak strażak.

Usłyszał jej jęk. Dochodziła do siebie.

Uśmiechnął się. Wkrótce będzie w czułym uścisku Baala.

W interkombie rozległ się głos pilota brytyjskiego myśliwca Tornado FB:

- Witam na pięknej wyspie Cypr, w miejscu narodzin Afrodyty, bogini miłości.

Austin siedział za nim w fotelu, który zwykle zajmował operator systemu uzbrojenia ponaddzwiękowego samolotu. Odrzutowiec zatoczył krąg nad bazą Królewskich Sił Powietrznych w pobliżu starego rzymskiego miasta Kurion i opadł szybko w dół. Kiedy po dziewięćdziesięciominutowym locie z Anglii koła maszyny uderzyły w asfalt, Austin spojrzał na światła wzdłuż pasa startowego i pomyślał o tym, jaki mały stał się świat.

Kilka godzin wcześniej dostarczono go helikopterem CIA do Albany. Stamtąd odrzutowiec Firmy zabrał go do bazy lotniczej Andrews, gdzie w specjalnym hangarze trzymano blackbirda, który latał tylko nocą.

SR-71 został zaprojektowany jako strategiczny samolot zwiadowczy dalekiego zasięgu. Rozwijał prędkość ponad 3,2 macha i osiągał wysokość prawie dwudziestu sześciu tysięcy metrów. Spłaszczony kadłub, bardziej granatowy niż czarny, miał ponad trzydzieści metrów długości. Z dziobu wystawała półtorametrowa sonda, z ogona wyrastały dwa pionowe stateczniki, przypominające płetwy grzbietowe rekina. Jeden z silników o ciągu powyżej 14,7 tony wystarczyłby do napędu transatlantyka.

Austin przeszedł badanie lekarskie, dostał bogaty w białko posiłek, złożony z jajek i steku, oraz specjalny kombinezon, podobny do tych, których używają załogi promów kosmicznych. Oddychał w nim czystym tlenem, żeby usunąć gazy z organizmu. Zawieziono go furgonetką do hangaru blackbirda i przypięto do specjalnie zamontowanego fotela pasażerskiego. Siedem minut po starcie samolot spotkał się w powietrzu z latającą cysterną. Niecałe dwie godziny później wylądował w bazie RAF-u w Anglii.

Flagg postarał się, żeby Austin odbył ostatni etap podróży myśliwcem Królewskich Sił Powietrznych, który mniej niż amerykańska maszyna przyciągał uwagę na Cyprze, gdzie Brytyjczycy stacjonowali od dawna.

Na płytę lotniska wjechał samochód i towarzyszył tornado, dopóki samolot się nie zatrzymał. Kiedy Austin wydostał się z kabiny odrzutowca, powitali go trzej mężczyźni w czarnych luźnych spodniach, golfach i beretach, którzy wysiedli z pojazdu.

- Dobry wieczór, panie Austin - powiedział szef grupy, smagły Amerykanin greckiego pochodzenia. Przedstawił się jako George. Wyjaśnił, że ściągnięto go z Aten na spotkanie z agentami z Kairu i Stambułu. Dodał, że czwarty członek zespołu, przydzielony do ambasady amerykańskiej w Nikozji, zna wyspę i wyruszył wcześniej w teren zbadać sytuację.

- Jest pan uzbrojony? - zapytał.

Austin poklepał wybrzuszenie z przodu kurtki. Kiedy leciał do Marylandu, Flagg wysłał kogoś z Langley do jego domu po ubranie na zmianę i rewolwer Bowen. Dostarczono to do Andrews.

George się uśmiechnął.

- Powiniennem być się domyślić. Pracował pan w Firmie. Ale to może się przydać. - Wręczył Austinowi gogle noktowizyjne i beret.

Wsiadli do land-rovera. Samochód sił powietrznych poprowadził ich do wyjazdu i wartownik wypuścił ich za bramę. Pomknęli ciemną autostradą z szybkością prawie stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W końcu kierowca zahamował i skręcił w górską drogę.

George dał Austinowi latarkę i zdjęcie satelitarne. Pokazywało idealnie kwadratową budowlę na szczycie góry, dokąd prowadził tylko jeden szlak.

Zadzwęczała komórka George'a. Słuchał przez chwilę, potem się rozłączył i odwrócił do Austina.

- Do zamku właśnie przyjechały karetka pogotowia i samochód osobowy.

- Kiedy możemy tam być?

- Za niecałą godzinę. Górskimi drogami wolno się jedzie.

- To sprawa życia lub śmierci - powiedział z naciskiem Austin.

Na polecenie George'a kierowca dodał gazu, terenówka pokonała szybko serię ostrych zakrętów i ciasnych nawrotów.

Kiedy się zbliżyli do celu, George dostał drugi telefon od swojego zwiadowcy. Zobaczył samochód zjeżdżający ze wzgórza poniżej i powiedział kierowcy, żeby dał mu sygnał rozpoznawczy. Kierowca kilkakrotnie błysnął światłami. Po chwili ktoś na poboczu zrobił to samo latarką.

Land-rover się zatrzymał i George opuścił szybę po swojej stronie. W otwartym oknie drugiego samochodu ukazała się twarz mężczyzny.

- Szlak jest jakieś pięćdziesiąt metrów stąd - poinformował zwiadowca.

- Dalej pójdziemy pieszo - zdecydował George. - Poprowadzisz nas. Austin wysiadł z terenówki i włożył gogle noktowizyjne. Wszyscy ruszyli szybko za zwiadowcą wzdłuż drogi.

Baltazar wniósł Carinę po schodach i położył ją na uniesionych przedramionach posągu.

Środki, po których kilka godzin temu straciła przytomność, przestawały działać. Ocknęła się i poczuła zapach oleju. Kiedy odzyskała ostrość widzenia, zobaczyła ohydny twarz Baala z brązu. Ręce i nogi miała związane bandażami, ale mogła ruszać głową. Wyciągnęła szyję i dostrzegła Baltazara. Stał u stóp posągu.

- Radziłbym ci leżeć spokojnie, królowo Saby. Jesteś w niebezpiecznym miejscu.

- Nie jestem królową Saby, ty stuknięty idioto! Wypuść mnie stąd.

- Zdradza cię twoja królewska wyniosłość - odparł Baltazar. - Pochodzisz od królowej Saby. W twoich żyłach płynie jej krew. Kusiałś mnie jak twoja przodkini Salomona. Ale Baal zesłał Austina, żeby mi przypomnieć o moim obowiązku poszanowania rodu.

- Jesteś szaleńcem, nie tylko idiotą.

- Być może - przyznał Baltazar.

Przyjrzał się uważnie scenerii niczym malarz przed rozpoczęciem pracy. Sięgnął po pochodnię na ścianie, gdy usłyszał odgłosy, które brzmiały jak strzelanina.

Austin zatrzymał się na skraju drogi dojazdowej i opadł na jedno kolano.

Przed nim rozbłysła zapalka i lekki wiatr przyniósł zapach dymu papierosowego. W ziarnistym zielonym polu widzenia przez gogle noktowizyjne zobaczył jakąś postać spacerującą tam



i z powrotem.

George klepnął go w ramię i wskazał siebie, a potem wartownika.

Austin pokazał mu znak „okej”. George schylił się nisko i podkradł do niczego niespodziewającego się mężczyzny. Kurt patrzył, jak dwie postacie stapiają się w jedną. Rozległo się stęknienie i wartownik upadł na ziemię. George przywołał gestem pozostałych.

- Schrzaniłem - powiedział. - Przepraszam.

Inni wartownicy usłyszeli jęk kolegi i przybiegli sprawdzić, co się dzieje. Ze wszystkich stron rozbrzmiewały okrzyki. George'a oślepił blask latarki. Uniósł ręce, żeby zasłonić oczy. Austin skoczył na niego i zwałił go z nóg, zanim nadleciały pociski.

George się podniósł i nacisnął spust swojego pistoletu maszynowego. Krótka seria zgasiła światło i rozległy się wrzaski bólu.

Kurt wystartował sprintem w kierunku zamku i przebiegł przez most nad suchą fosą. Najemnik strzegący drzwi starał się coś zrozumieć z krzyków, ruchomych świateł i strzelaniny. W przeciwieństwie do Austina nie miał gogli noktowizyjnych i za późno zobaczył pędzącą ku niemu schyloną postać.

Austin uderzył w niego jak kula do kręgli. Wartownik poleciał do tyłu, walnął głową w mur zamku, potem osunął się nieprzytomny na ziemię.

Kurt otworzył ciężkie drzwi i wszedł do zimnego wnętrza. Z bowenem w wyciągniętych rękach przeszukał szybko parter i znalazł pomieszczenie z dużym kominkiem. Drzwi w jego głębi pozostały uchylone, przez szparę sączyło się światło pochodni.

Zdjął gogle noktowizyjne, otworzył kopnięciem drzwi i zbiegł po schodach. Wyłonił się z łukowego portalu; popatrzył na scenę w okrągłym pomieszczeniu, gdzie powietrze było przesycone ciężkim zapachem oleju. Carina leżała na uniesionych przedramionach groteskowego posągu, Baltazar stał spokojnie obok, jakby się spodziewał Austina.

- Wiedziałem, że to ty, Austin! - powiedział z wściekłą miną.

Kurt chciał przede wszystkim odciągnąć go od Cariny. Wycelował w niego bowena. - Zabawa skończona, Baltazar. Złaź stamtąd.

Baltazar dał nura za posąg i odezwał się przez tubę. Głuchy głos zdawał się dochodzić z otwartych ust postaci z brązu.

- Za późno, Austin. Królowa Saby spoczywa w ramionach Baala. Austin usłyszał pod nogami zgrzyt i cofnął się na widok odsuwającej się pokrywy, która odsłoniła dół z olejem.

Zacisnął zęby, rozstawił szeroko nogi, skoncentrował się, wziął na muszkę twarz posągu i nacisnął spust rewolweru. Rozprysły się kawałki metalu. Po nosie pozostała tylko dziura. Za nią była pusta przestrzeń. Znów strzelił. Pocisk dużego kalibru rozerwał policzek. Kurt metodycznie roztrzaskał resztę szkaradnego oblicza.

Rozległ się wrzask bólu. Baltazar wyskoczył z za posągu. Krwawił. Odłamki metalu poraniły mu twarz. Porwał ze ściany pochodnię. Austin strzelił na oślep. Chybił. Ale szukający w pośpiechu kryjówki Baltazar upuścił pochodnię na schody.

Zbiegł kawałek po stopniach, żeby ją podnieść. Austin nie miał już amunicji. Wetknął broń do kabury i wystartował sprintem w górę schodów.

Baltazar chwycił płonąca pochodnię i chciał ją wbić Austinowi w twarz. Ten się schylił i uderzył Baltazara barkiem w brzuch. Pochodnia wypadła mu z ręki, ale był równie muskularny jak Austin i wściekłość dodała mu siły. Zmagali się ze sobą przez chwilę, stracili równowagę i stoczyli się po

stopniach na krawędź dołu.

Baltazar walnął Austina bykiem, zerwał się z podłogi, kopnął go w żebra, potem w twarz. Austin zignorował piekący ból, złapał Baltazara za kostkę i mu ją wykręcił. Baltazar stał na jednej nodze, starając się daremnie utrzymać w pionie, wreszcie runął do dołu.

Austin się podniósł i zobaczył, że Baltazar próbuje pływać w gęstej cieczy. Na jego głowie i twarzy lśnił czarny olej.

- Kurt, wracaj!

Bandaże krępujące Carinę rozciągnęły się podczas podróży. Uwolniła się i zeszła z przedramion posągu. Stała teraz na schodach z pochodnią w dłoni. W białej sukience i z wyrazem gniewu na pięknej twarzy wyglądała jak anioł zemsty.

- Zaczekaj. - Austin ruszył w górę schodów.

Carina się zawahała. Zaczęła opuszczać pochodnię. Potem zobaczyła, że Baltazar usiłuje się wydostać z dołu. Olej na rękach mu to utrudniał. Gramolił się na brzeg niczym monstrualny gad, wynurzający się z głębin. Carina wzięła zamach i cisnęła pochodnię. Żagiew poszybowała w powietrzu, ciągnąc za sobą smugę żaru, i wylądowała na środku dołu.

Rozległ się głośny szum.

Austin wbiegł na szczyt schodów i chwycił Carinę wpół. Wepchnął ją za posąg i zakrył własnym ciałem.

Choć zasłona z brązu chroniła ich przed potwornym gorącem, groziło im uduszenie tłustym czarnym dymem, który unosił się pod sklepienie. Mimo że wydostawał się otworami wentylacyjnymi, pomieszczenie w ciągu kilku sekund wypełniły toksyczne opary.

Austin mocniej opasywał ramionami szczupłe ciało Cariny, gdy wyczuł na ścianie jakiś uchwyt. Pociągnął go. Odsunął się fragment muru. Z prostokątnego otworu powiało zimnem. Ledwo mógł mówić, ale krzyknął do Cariny, żeby tam wpełzła. Podążył tą samą drogą, zamykając za sobą wejście.

Wyjął z kieszeni latarkę ołówkową i poświecił dookoła. Byli w pomieszczeniu niewiele większym od szafy ubraniowej. Czuć było stęchlizną, ale nie dostawał się tutaj dym. Austin przypuszczał, że chronili się tu przodkowie Baltazara, kiedy składali ofiary Baalowi.

Poczekali za posągiem, aż wypali się cały olej. Austin uchylił kamienny właz. Powietrze cuchnęło, ale dymu było już niewiele. Zrobili z bandaży Cariny prowizoryczne maski na twarze. Potem wyczołgali się ze schronu i zeszli po schodach do drzwi.

Kiedy mijali dymiący dół, Carina odwróciła wzrok. Austin zerknął w głąb, jakby się spodziewał, że wpełźnie stamtąd Baltazar. Ale zobaczył tylko czarną otchłań.

Po szybkim telefonie do Baltazara Adriano pojechał do New Jersey przygotować się do zniszczenia NUMA.

Zatrzymał się w tanim motelu, gdzie ułożył skomplikowany plan. Zamierzał dokonać wielu zabójstw i zamachów, używając bomb w samochodach, składników broni biologicznej i starych sposobów, takich jak strzał z karabinu dużego kalibru. Przejrzał dokładnie listę personelu i wybrał na początek osoby, których śmierć sparaliżowałaby funkcjonowanie agencji. Następnego dnia przeniósł się do innego motelu. Trzeciego dnia dopracował szczegóły masowej zagłady. Potem czekał na wiadomość od Baltazara.

Po dwóch dniach spróbował się z nim skontaktować, ale telefon był zajęty. Rozłączył się i wybrał numer urządzenia nagrywającego, które umieścił na drzewie przy domu Austina.

„Cześć, Joe - usłyszał jego głos. - Jak idą poszukiwania?”

„Zlokalizowaliśmy kopalnię - odpowiedział Zavala. - Na papirusie były dokładne wskazówki, jak do niej trafić”.

Adriano uniósł brwi i się skoncentrował.

„To wspaniale! Podaj mi szczegóły”.

Zavala opowiedział Austinowi o hotelu zatopionym pod powierzchnią jeziora w Głuszy Świętego Antoniego i opisał szyb, prowadzący z kuchni do kopalni. Podyktował Austinowi współrzędne według GPS-u.

„Kiedy moglibyśmy tam zanurkować?”, zapytał Austin.

„Właśnie zbieram zespół. Myślę, że za czterdzieści osiem godzin”.

„Dobra robota. Jutro wszystko uzgodnimy”.

Po krótkiej pogawędce na inne tematy rozłączyli się.

Rozmowa została nagrana wcześniej tego samego dnia. Adriano przeczytał to, co zanotował. Wymeldował się z motelu i pojechał do jednego z kilku swoich magazynów w okolicach Waszyngtonu. Trzymał tam broń i amunicję, pieniądze, ubrania na zmianę, różne dowody tożsamości oraz sprzęt do nurkowania, który załadował do bagażnika samochodu.

Następnego ranka podróżował wyboistą drogą gruntową przez Głuszę Świętego Antoniego. Zaparkował na brzegu jeziora, włożył „mokry” skafander, kamizelkę ratunkową i akwalung. Był dobrym nurkiem, uczyli go komandosi Navy SEAL, opłacani przez Baltazara.

Dopłynął do boi pozycyjnej, zerknął na odbiornik GPS i zanurkował do hotelu. Dotarł do kuchni i znalazł szyb. Bez wahania opuścił się do otworu. Nawet gdyby nie zaprzętały go myśli o kopalni, z pewnością nie zauważyłby prostokątnych plastikowych przedmiotów, zagrzebanych w rumowisku niedaleko wjazdu.

Na dnie szybu zaskoczyła go tabliczka z narysowaną strzałką i słowem „Tędy”.

Skręcił we wskazanym kierunku i natrafił na drugą tabliczkę pokazującą tunel w bok od głównej

groty. Dopłynął do skrzyżowania korytarzy. Znów tabliczka i znów strzałka. Dotarł do końca tunelu. Czwarta strzałka wskazywała drogę do dużego pomieszczenia z postumentem.

Kiedy Adriano posuwał się naprzód według ostatniej wskazówki, z lasu wyłoniły się cicho dwie postacie i stanęły na brzegu jeziora. Austin spojrzął na zegarek.

- Minęło pół godziny - powiedział.

- Więc powinien już być w kopalni - odparł Zavala.

Ich rozmowa telefoniczna była przynętą. Czas zatrzaskać pułapkę. Austin wszedł do wody po pas. Trzymał nadajnik w wodoszczelnej obudowie. Odczekał kilka minut, potem zanurzył urządzenie i wcisnął przycisk. Parę sekund później na powierzchni jeziora wyrosły spienione wypiętrzenia.

Kurt obserwował je z zaciśniętymi wargami, dopóki rozchodzące się fale nie uderzyły go w pierś.

Wtedy się odwrócił i doznał z powrotem do brzegu.

Zavala czekał na niego z ponurą miną. Wręczył mu teczkę na akta, którą znalazł w samochodzie Adriana. Widniał na niej napis NUMA.

Głęboko pod powierzchnią jeziora Adriano usłyszał głuchoe odgłosy serii eksplozji.

Zastanowił się, czy nie zawrócić, ale zdecydował, że popłynie dalej. Zawsze dążył do celu niczym robot, dzięki czemu był skutecznym zabójcą. Teraz zamierzał znaleźć kopalnię i złoto za wszelką cenę.

Wpłynął do pomieszczenia z postumentem. Na widok kasetki Thomasa Jeffersona, spoczywającej na cokole, skoczyło mu tętno.

Wśród kawałków drewna tkwiła tabliczka do pisania, jakich używają nurkowie. Były na niej słowa:

*„Jak już będziesz w piekle, Adriano, pozdrów od nas pana Baltazara”.*

Znowu Austin.

Popatrzył na wiadomość, potem odrzucił tabliczkę na bok i popłynął najszybciej jak mógł z powrotem w kierunku szybu. Kiedy dotarł na miejsce, zastał tam rumowisko, blokujące mu drogę odwrotu.

Zerknął na wskaźnik ilości powietrza. Zostały mu minuty życia. Nawet gdyby istniało wyjście na zewnątrz, nie zdążyłby go znaleźć. Usiadł na stercie gruzu i tkwił w tej pozycji, dopóki miał czym oddychać. Ostatni z rodu oficjalnych hiszpańskich garoterów zmarł, jak na ironię, z powodu uduszenia.

- Ahoj! - zawołał Austin. - Proszę o pozwolenie na wejście na pokład „Lovely Lady”. Nickerson wyjrzał przez otwarte drzwi kabiny i uśmiechnął się na jego widok.

- Zezwalam.

Kurt wszedł po trapie i uściskał dłoń człowiekowi z Departamentu Stanu.

Poklepał czarną plastikową torbę.

- Chciałbym panu coś pokazać, jeśli ma pan chwilę czasu.

- Dla pana zawsze mam czas, panie Austin. Chodźmy na dół, zrobię kawę. I dodam do niej coś na rozgrzewkę.

- Jest dwadzieścia siedem stopni ciepła - zauważył Austin.

- Nieważne. Gdzieś jest chłodno - odparł Nickerson.

Zeszli do kabiny, Nickerson zaparzył dzbanek mocnej kawy i nalał dwa bourbony z Kentucky. Stuknęli się szklankami.

- Więc co pan dla mnie ma? - zapytał Nickerson.

Austin otworzył torbę i wyjął dwa kawałki welinu. Wręczył jeden Nickersonowi.

- Ten Jefferson dostał od Indian. Meriwether Lewis natrafił podczas swoich podróży na drugi.

Razem tworzą mapę, pokazującą lokalizację kopalni Salomona w Pensylwanii.

- Wspaniale! Wiedziałem, że potrafi pan tego dokonać. Zbadał pan kopalnię?

- Tak. Właśnie tam znaleźliśmy te kawałki welinu. Zostawił je Thomas Jefferson.

- Nie do wiary! A co z relikwią?

- Dziesięciorgiem Przykazań na złotych tablicach? Przypuszczam, że zna pan odpowiedź.

- Nie wiem, co pan ma na myśli.

- Pod mapą umieszczono pewien tekst. To najwyraźniej wersja Dekalogu, która trochę się różni od oryginału. Możliwe, że jest zgodna z tą na złotych tablicach.

- Słucham dalej.

- Taka wersja Dekalogu została przekazana przez kilku pogańskich bogów, łącznie z tym, który żądał składania w ofierze ludzi. Teraz wiem, dlaczego tak się pan niepokoił. Nie z powodu sytuacji na Bliskim Wschodzie.

- Rzeczywiście. Dekalog powinien pozostać niekwestionowanym przewodnikiem moralnym, ogłoszonym przez jednego Boga. Dziesięcioro Przykazań jest fundamentem religii, wyznawanych przez miliony ludzi, i podstawą sposobu myślenia rządzących na Zachodzie. Niektórzy twierdzą, że na Dekalogu opierają się systemy prawne wszystkich zachodnich krajów. Gdyby się okazało, że oryginalny tekst Dziesięciorga Przykazań wywodzi się z pogańskich pism, ten kruchy fundament zostałby jeszcze bardziej osłabiony.

Austin przypomniał sobie przewidywania Baltazara.

- Co stałoby się źródłem jeszcze jednego niepotrzebnego konfliktu na świecie.

- Zgadza się. Nikt nie wie, kto kazał wyryć Dziesięcioro Przykazań w złocie, zamiast w kamieniu, ale istnienie tych tablic oznacza, że są ważne. Salomon chciał, żeby były jak najdalej od niego. Ich treść mogła wywołać niepokoje w jego czasach. Podobnie jak dziś.

- Kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz, wiedział pan, że tablic nie ma w kopalni.

- Niestety, tak.

- Więc po co wysłał mnie pan na poszukiwania?

- Wiemy, gdzie są tablice, nie, gdzie były. Starożytne pisma mówią, że jakiś żeglarz wskaże drogę do Ofiru. Kiedy się dowiedzieliśmy o próbie kradzieży posągu Żeglarz i odkryciu dokumentów Stowarzyszenia Hodowców Karczochów, zaczęliśmy się obawiać, że ktoś znajdzie kopalnię, co doprowadzi go do tablic.

- „My” to znaczy Stowarzyszenie Hodowców Karczochów.

- Zgadza się. Wiedzieliśmy, jaką rolę odegrał pan w uratowaniu kontenerowca, znaliśmy pańską reputację w zespole i uznaliśmy, że pan najlepiej się nadaje do tej roboty.

- Jest mi pan winien prezentację waszego stowarzyszenia.

- Niestety, tak.

Nickerson sięgnął do telefonu. Po krótkiej rozmowie zapytał:

- Kiedy może pan zebrać swój zespół?

- Choćby zaraz. Gdzie mają się stawić?

Nickerson się uśmiechnął.

- W Monticello.

Później tego samego dnia Austin, Zavala, Troutowie i Angela szli między kolumnami do drzwi rezydencji Jeffersona. Emerson i Nickerson czekali na nich i wprowadzili ich do środka.

Emerson zaczekał, aż przejdzie grupa turystyczna.

- Przepraszam, że kręciłem - powiedział.

- Nie gniewamy się - zapewniła Gamay. - Ale musi pan wypełnić luki.

Emerson skinął głową.

- Byliście blisko. Meriwether Lewis natknął się podczas swoich podróży na brakującą połowę mapy. Uważał, że kopalnia jest gdzieś na zachodzie. Uświadomił sobie, że się mylił, i próbował dostarczyć połówkę mapy Jeffersonowi. W drodze został zamordowany przez ludzi, którzy chcieli zachować istnienie kopalni w tajemnicy. Zeb zawiózł brakujący kawałek welinu do Monticello. Mając całą mapę, Jefferson znalazł kopalnię i tablice. Zostawił welin pod ziemią. Podobnie jak Salomon, uznał, że najlepiej będzie trzymać tablice w ukryciu, i założył pewną organizację, żeby nad tym czuwała.

- Stowarzyszenie Hodowców Karczochów, którego istnieniu pan zaprzeczył? - zapytała Angela.

- Jestem członkiem tej organizacji i obowiązuje mnie dyskrecja. Do Stowarzyszenia należeli początkowo niektórzy twórcy naszego państwa. Kiedy się zestarzel, wybrali sobie następców. Zaskoczyłyby was nazwiska obecnych członków.

Austin pokręcił głową.

- W tej sprawie nic mnie już nie zaskoczy. Co się stało z tablicami?

- Jefferson sformował grupę roboczą - powiedział Emerson. - Włączył do niej mojego przodka Zeba. Odnaleźli kopalnię i przetransportowali tablice tutaj.

- Do Monticello?! - wykrzyknęła Angela i rozejrzała się, jakby tablice były na widoku.

Emerson postukał nogą w podłogę.

- Są pod panią. W tajemnym pomieszczeniu.

Zaniemówili z wrażenia. Milczenie przerwał Trout:

- Czy świat dowie się kiedykolwiek o ich istnieniu?

- To zależy od Stowarzyszenia - odrzekł Emerson. - Może przyszli członkowie uznają w pewnym momencie, że pora to ujawnić.

- Cały czas szukamy nowych członków - oznajmił Nickerson. - Każde z was byłoby mile widziane.

- Dzięki, ale wszyscy w naszym zespole dużo podróżują - odezwał się Austin. - Choć znam kogoś, kto wniósłby do waszej organizacji młodość i inteligencję.

Zerknął na Angelę, która odeszła na bok i wpatrywała się w podłogę, jakby mogła ją przeniknąć wzrokiem. Nickerson się uśmiechnął.

- Dziękuję za sugestię. I za pomoc. Mam nadzieję, że nie była uciążliwa.

Austin popatrzył na członków swojego zespołu.

- Wcale. Dobrze się bawiliśmy, prawda?

Paul Trout zamrugał kilka razy.

- Nie mogę się doczekać, kiedy napiszę Jak spędziłem wakacje - odparł z miną pokerzysty.

# Epilog

Austin wybrał szot grota swojej łodzi, żeglując bejdewindem, Carina trzymała rumpel. Skierowała szeroki dziób w stronę turkusowego statku badawczego, zakotwiczonego niedaleko wyspy w zatoce Chesapeake. Kiedy łódź się zbliżyła do statku, Carina zrobiła szybki zwrot pod wiatr i zatrzymała żaglówkę.

- Ładny manewr! - zawołał Austin.

- Dzięki. To zasługa mojego instruktora.

Anthony Saxon wychylił się za reling jednostki NUMA i przyłożył zwinięte dłonie do ust.

- Wejdźcie na pokład. Mamy wam dużo do pokazania.

Rzucili kotwicę i wsiedli do pontonu. Austin powiosłował do turkusowego statku, mniejszej wersji badawczych olbrzymów NUMA, używanej głównie na płytkich wodach przybrzeżnych.

Kiedy wchodzili na pokład, z wody wynurzył się Zavalą i wspiał na platformę dla nurków, przymocowaną do statku. Zobaczył Austina i Carinę, zdjął akwalung i dołączył do nich.

- Cześć - powitał przyjaciół. - Przyplłynęliście zanurkować do wraka?

- Nie dziś - zaprzeczył Austin. - Chcemy zobaczyć, co znaleźliście.

- Same cuda - wtrącił Saxon.

Zaprowadził ich do zbiornika z wodą, gdzie moczyło się co najmniej tuzin amfor. - Prześwietliliśmy je wstępnie rentgenem. Są w nich zwoje. To będzie skarbnica wiedzy, Fenicjanie żeglowali po całym świecie. Mam nadzieję, że znajdziemy mapy, pokazujące, gdzie handlowali, i opisy ich rejsów.

- Wygląda na to - powiedział Austin - że trzeba będzie napisać od nowa podręczniki historii.

- To zaledwie czubek góry lodowej, Kurt - odparł Zavalą. - Wrak jest wyładowany artefaktami.

Austin zerknął na zatokę.

- Co na to całe zamieszanie pani Hutchins?

- Kiedy zawiadomiliśmy Thelmę o tej operacji, przyznała, że Hutch mógł już za bardzo nasiąknąć wodą - mówił Zavalą. - Zgodziła się na wydobycie jego szczątków i przetransportowanie ich na ląd, gdzie będzie mogła być bliżej swojego starego.

Austin pogratulował wszystkim. Potem on i Carina powiosłowali z powrotem do żaglówki. Kiedy podnieśli kotwicę i postawili żagiel, Saxon zawołał:

- Do zobaczenia w sobotę, Carino!

Pomachała mu w odpowiedzi. Kilka minut później łódź sunęła po Chesapeake, pchana przez stałą południowo - zachodnią bryzę. Na lunch zawinęli do cichej zatoczki. Kurt wszedł do kabiny, przyniósł butelkę szampana z dwoma kieliszkami. Napełnił je i stuknęli się.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - zaczęła Carina.

- Domyśliłem się po twoim pożegnaniu z Saxonem.

- Odkrył nowy trop, prowadzący do grobowca królowej Saby w Jemenie. Poprosił mnie, żebym



mu pomogła w poszukiwaniach. Nie wierzę, że jestem potomkinią królowej Saby, ale bardzo bym chciała znaleźć miejsce jej wiecznego spoczynku. Była niezwykłą kobietą. Więc się zgodziłam.

- Będę za tobą tęsknić, ale zapowiada się fajna przygoda. - Austin pokiwał głową. - Kiedy wyruszą?

- Odlatujemy za trzy dni.

- Jakież sugestie, jak mam dogodzić Jej Królewskiej Wysokości przez ten czas?

- Masz siedemdziesiąt dwie godziny, żeby się dowiedzieć - odparła Carina z intrygującym uśmiechem. - To chyba aż nadto.

Kurt wyjął jej kieliszek z ręki, swój też odstawił. Wskazał gestem kabinę.

- Nie odkładajmy tego.@

---

\* Grinder (ang.) – duża kanapka, stand – stoisko (przyp. tłum.).

\* Thistle (ang.) – oset (przyp. tłum.).